

PESTYCYDY

Śledztwo: rolnicy
bez ochrony

PRAWDA O BENEDYKCIE

Dwa Kościoły w sporze
o papieża emeryta

UKRAINA

Zachód przeciw
planom Putina

BARTOSZEWSKI

Życie opowiedziane
na nowo

SMACZNE CHASZCZE

Całoroczna kuchnia
z lasów i łąk

Kraków 20 lutego 2022 nr 8 (3789)

cena 10 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

DONALD TUSK: Nie po Kaczyńskiego przyjechałem



TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

WYDANIE SPECJALNE

Kraków 9 lutego 2022 nr 1 (21)
cena 24 zł (w tym 8% VAT)

W I A R A

O Bogu i diable, duchowości i dotyku, nadziei i miłości



bliźniego; religijności i świętych, których świętości



nie potwierdziła dotąd żadna instytucjonalna pieczęć.



Nowe wydanie specjalne



już w najlepszych miejscach z prasą.

DLA DOROSŁYCH

ELŻBIETA ADAMIAK | NATALIA DE BARBARO | TINA BEATTIE | KS. ADAM BONIECKI
WOJCIECH BONOWICZ | S. BARBARA CHYROWICZ | SEBASTIAN DUDA
ZUZANNA FLISOWSKA-CARIDI | PHILIP GRÖNING | NONTANDO HADEBE | KS. TOMAŚ HALÍK
KS. MICHAŁ HELLER | O. WACŁAW HRYNIEWICZ | ALEKSANDRA KLICH | O. JAN ANDRZEJ KŁOCZOWSKI
LESZEK KOŁAKOWSKI | RYSZARD KOZIOŁEK | KS. STANISŁAW MUSIAŁ | ZBIGNIEW NOSOWSKI
KS. TADEUSZ PABJAN | KS. HENRYK PIETRAS | ANITA PIOTROWSKA | JANUSZ PONIEWIERSKI
KS. JACEK PRUSAK | ZUZANNA RADZIK | ABP GRZEGORZ RYŚ | RABIN RAMI SHAPIRO
PIOTR SIKORA | BARBARA SKARGA | ARTUR SPORNIAK | JERZY SOSNOWSKI
ANDRZEJ STASIUK | TOMASZ STAWISZYŃSKI | KS. GRZEGORZ STRZELCZYK
KAROL TARNOWSKI | KS. JÓZEF TISCHNER | OLGA TOKARCZUK | GENEVIÈVE ZUBRZYCKI

KS. ADAM

Boniecki: Gdy papież umiera na scenie

PISZĘ DO TYCH – JEŚLI TACY W OGÓLE SĄ – KTÓRZY nie interesują się teatrem albo do teatru nie chodzą. Niech ich nie zmyli padająca na początku artykułu Dariusza Kosińskiego „Idź i patrz” zapowiedź, że dotyczy on spektaklu „Śmierć Jana Pawła II” w reżyserii Jakuba Skrzywanka i dramaturgii Pawła Dobrowolskiego w poznańskim Teatrze Polskim. Rzeczywiście dotyczy, ale spektakl staje się okazją do ważnej refleksji o życiu i śmierci, o religii i Kościele, o teatrze i wreszcie o nas, mimowolnych uczestnikach spektakli reżyserowanych przez historię, w których, chcąc nie chcąc, jesteśmy aktorami.

Dariusz Kosiński przestrzega przed wypowiadaniem się o tej sztuce bez uważnego jej obejrzenia. Sztuki nie widziałem, więc nie wypowiadam się o sztuce, lecz o tym, co napisał autor. Moja wypowiedź jest krótka: przeczytajcie Państwo ten artykuł, koniecznie go przeczytajcie.

Przyznaję się, że nawet po artykule Kosińskiego nie odczuwam potrzeby pójścia na „Śmierć Jana Pawła II” w poznańskim Teatrze Polskim. Może dlatego, że wychowałem się na teatrze, w którym fakt np. morderstwa czy samobójstwa docierał do widzów jako huk zza sceny. To wciąż bardziej do mnie przemawia niż zainscenizowana przed widownią śmierć z krwią, jękami, agonią itd. Hiperrealizm raczej mnie odstrasza, niż pociąga.

Kosiński teatr traktuje poważnie, mówi o teatrze jasno i mądrze, nie zamierzam więc streszczaniem psuć tego, co każdy może w całości przeczytać. Bardzo ważne jest to, co Kosiński pisze o funkcji teatru. Może w ten sposób powstrzyma przynajmniej niektórych ignoranców od robienia awantury wokół poznańskiego przedstawienia. Może dotrze do nich i zrozumieją, dlaczego tego spektaklu nie można uznać za kolejną trywialną prowokację.



Poznańskie przedstawienie, ale i artykuł, odczytuję jako ostrzeżenie przed odczłowieczaniem wielkich postaci, a w tym przypadku odczłowieczaniem świętych. Niby myśl nie jest nowa. Wydana w latach 50. i przetłumaczona na kilka języków książka Schamonięgo „Das wahre Gesicht der Heiligen” (Prawdziwe oblicze świętych) stała się głośnym manifestem odbrązawia-
czy. Jednak mimo odejścia od „Złotej legendy”,

oczyszczenia brewiarzowych, liturgicznych czytań z bajkowych opowieści o świętych, nadal trudno się oprzeć wrażeniu, że kanonizacja wyjmuje „wyniesionych na ołtarze” ze świata ludzi i przenosi ich w jakieś nadludzkie rewiry.

Coś takiego stało się także z Janem Pawłem II. Tworzyliśmy model nadczłowieka i teraz jesteśmy zaskoczeni (zgorznięci?) realnością jego człowieczeństwa. To, co w spektaklu pokazano w kontekście mizerności ludzkiego odchodzenia, należy rozciągnąć na inne sfery życia, zwykle chronione tarczą urzędu, misją lub, jeśli kto woli, rolą społeczną głowy Kościoła. Wciąż jeszcze wskazywanie na jakieś błędy czy ewentualne winy papieża jest traktowane jak świętokradztwo. Dziwne, bo gdy chodzi o mało chwalebne zachowania (nie tylko to, że się zaparł, i to trzy razy) pierwszego papieża – św. Piotra, to o nich jasno opowiadają podstawowe dla chrześcijaństwa dokumenty: Ewangelie oraz Dzieje Apostolskie.

Przypomnienie, że wszystkich nas czeka umieranie, może zmienić stosunek do „siostr i braci w człowieczeństwie”, a więc także siostr i braci w śmiertelności. Ale czy koniecznie trzeba było o tym braterstwie przypominać na przykładzie Jana Pawła II? Kosiński pisze: „Bo na pytanie, po co pokazuje się w teatrze śmierć papieża, odpowiedź jest chyba taka...”. Jaka? Do niej autor przygotowuje nas przez cały tekst i warto przejść z nim tę drogę. ©P

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Zamów pakiet wydań specjalnych
z autografem ks. Adama Bonieckiego
na TygodnikPowszechny.pl/dladoroslych

Tylko 45 zł*

*Cena zawiera koszty przesyłki poleconej na terenie kraju.
Liczba pakietów ograniczona.



TEMAT TYGODNIKA

12 Wystawieni

KRZYSZTOF STORY

Od lat europejscy rolnicy cierpią z powodu zatrucia pestycydami. Mimo poważnych badań na ten temat nikogo to nie obchodzi. Także w Polsce.

17 Bądźmy umiarkowanie radykalni

ROZMOWA Z PAWEŁEM BRAVO, PUBLICYSTĄ KULINARNYM

Czy wolno mi wrzucić do jednego worka panią, która zlewa herbicydami działkę, bo chce mieć ładny trawnik, oraz rolnika, który w ten sam sposób kupuje sobie więcej czasu z rodziną albo ulgę dla schorowanego kręgosłupa?



32 Prawda

o Benedyktie

TOMASZ P.

TERLIKOWSKI

Oskarżenia papieża emeryta związane z raportem monachijskim nie podważyły jego autorytetu w oczach konserwatystów. Jednak na pewno ukazały w nowym świetle jego dokonania.



96 Idź i patrz

DARIUSZ

KOSIŃSKI

Przedstawienie

„Śmierć Jana

Pawła II”

będzie uwierało wszystkich: czcicieli i prześmiewców, gorących ortodoksów i letnich liberałów, teatromanów i teatralnych turystów. Teatr śmierci powinien uwierać. Naprawdę strasznie będzie, kiedy przestanie.



22 Nie po Kaczyńskiego przyjechałem

KAROLINA LEWICKA

Tusk jest odbierany jako polityczny drapieżnik, gracz bezwzględny, który tak długo będzie tulił partnera, aż go udusi. Jednocześnie opozycji pod jego kierunkiem jest obciążone tą obawą.



42 Ukraińska szachownica

WOJCIECH KONOŃCZUK

Rosja i Zachód rozgrywają dramatyczną partię szachów, której stawką jest kształt architektury bezpieczeństwa w Europie. Kreml regularnie grozi jednak wywróceniem planszy.

106 Brukiew w łasce

ROZMOWA Z KAJĄ NOWAKOWSKĄ I GOSIĄ RUSZKOWSKĄ – MEAD LADIES

Ludzie często myślą, że trzeba się nauczyć wszystkiego naraz, a my mówimy: wystarczy, że poznasz dwie rośliny miesięcznie. Po roku będą już dwadzieścia cztery. Wiesz, ile z tego można dań przyrządzić?



6 W najczarniejszej godzinie
WOJCIECH PIĘCIAK

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia

MAŁGORZATA KORDOWICZ

O. WACŁAW OSZAJCA

ABP GRZEGORZ RYŚ

PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

**22 Nie po Kaczyńskiego
przyjechałem**

KAROLINA LEWICKA

26 Państwu już dziękujemy

ANGELIKA PITOŃ: *Na Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie trwa od niemal roku czystka, z polityką w tle*

29 Zagubieni tubylcy

ROZMOWA Z PROF. JACKIEM PYŻALSKIM: *Ogromne cyfrowe kompetencje całego młodego pokolenia to mit*

■ ■ **WIARA**

32 Prawda o Benedykcie

TOMASZ P. TERLIKOWSKI

36 Sztuka rozeznawania

KS. TOMÁŠ HALÍK: *Tradycyjna spowiedź znika w wielu miejscach Kościoła. Czy powinno nas to martwić?*

39 Droga na przełaj

ARTUR SPORNIAK
o niemieckiej Drodze Synodalnej

■ ■ **ŚWIAT**

42 Ukraińska szachownica

WOJCIECH KONOŃCZUK

44 Niemcy się pogubili

WYWIAD Z ANNĄ KWIATKOWSKĄ,
EKSPERTKĄ DS. NIEMIEC
W OŚRODKU STUDIÓW WSCHODNICH

48 Separatyści z Saksonii

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z BUDZISZYNA
I FREIBERGU: *Ten region Niemiec stał się centrum ruchu sprzeciwu wobec restrykcji i obowiązkowych szczepień*

DODATEK SPECJALNY

JACEK TURCZYK / PAP



Władysław Bartoszewski stulecie urodzin

55–81

Pamięć absolutna

KS. ADAM BONIECKI

To, co zapamiętałem z wizyt Bartoszewskiego na Wiślniej, to nade wszystko jego opowieści. Dotyczyły spraw aktualnych, lecz ilustrowanych dygresjami czerpanymi z życiowych doświadczeń autora. Po jednej z tych wizyt Józefa Hennelowa, zawsze wrażliwa na wyższe wartości, powiedziała, że Bartoszewskiego powinno się obwozić po Polsce i pokazywać jako *exemplum* prawości.

■ FELIETONY ■

31 JACEK PODSIADŁO 41 WOJCIECH BONOWICZ

86 HANNA KRALL 104 JAN KLATA

105 PAWEŁ BRAVO 110 STANISŁAW MANCIEWICZ

110 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:

DONALD TUŚK, październik 2021 r.

FOT.: JERZY BARTKOWSKI / KOSYCARZ FOTO PRESS

Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

51 Chiński brat patrzy

DARREN BYLER, ANTROPOLOG
BADAJĄCY TEMAT REPRESJI WOBEC
UJGURÓW: *Na ulicach Sinciangu
zdemontowano część kamer, ale
wszechobecna inwigilacja nie zelżała*

■ ■ **HISTORIA**

82 Przez Bałtyckie płytkie Morze

HERMAN LINDQVIST, SZWEDZKI
HISTORYK: *Brak wojen umożliwia
rozwoj przemysłu i handlu.
To jeden ze szczęśliwych losów,
które my Szwedzi wygraliśmy
w XX wieku na loterii dziejów*

■ ■ **NAUKA**

88 Świece, linijki i syreny

WOJCIECH BRZEZIŃSKI: *Precyzyjne
pomiaru odległości są kluczowe
dla naszego rozumienia kosmosu.
Ale jak je wykonać?*

■ ■ **KULTURA**

92 Gorączka złota

MICHAŁ SOWIŃSKI: *Jonathan
Franzen odkrył, że nic nie wzbudza
w czytelnikach większej empatii
wobec bohaterów powieści
niż troska o ich stan finansowy*

96 Idź i patrz

DARIUSZ KOŚCIŃSKI o przedstawieniu
„Śmierć Jana Pawła II”

99 Nie dla dziewczynek

PIOTR OCZKO, BADACZ LITERATURY:
*Anne Shirley jak nikt nadawała się na
wzorzec osobowy, dawała nadzieję
i budziła aspiracje*

102 Zabawkowa tarcza

ANITA PIOTROWSKA o filmie „Belfast”

104 Świeżym okiem

LEKTOR o książce „Doktor Jekyll i pan
Hyde” Roberta Louisa Stevensona

■ ■ **ZMYSŁY**

106 Brukiew w łasce

ROZMOWA Z KAJĄ NOWAKOWSKĄ
I GOSIĄ RUSZKOWSKĄ
– MEAD LADIES

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Garbate skarby [Strona Świata]

Występują w wyścigach i konkursach piękności.
Wielbłądy na Półwyspie Arabskim to poważna sprawa
– pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ Styczeń w nauce [Podkast Powszechny]

O słomkach do picia piwa sprzed pięciu tysięcy lat i o tym,
co sądzą maleńkie dzieci o picciu tą samą słomką.
Zaprasza **ŁUKASZ LAMŻA** tygodnikpowszechny.pl/podkast



Anna Łabuszewska: ROSYJSKA RULETKA

Autorski serwis specjalny

[WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/ROSYJSKARULETKA](https://www.tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka)

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



W NAJCZARNIEJSZEJ GODZINIE

Polska dostarcza Ukrainie broń nie od dziś, lecz od 2014 r.
– praktyczną solidarność okazujemy tu od początku.
Teraz, gdy robi to wielu, można o tym głośno powiedzieć.

WOJCIECH PIĘCIAK

O SIEM LAT TEMU, W LUTYM 2014 ROKU, protesty na Ukrainie – rozpoczęte parę miesięcy wcześniej, gdy ówczesny prezydent odmówił podpisania umowy o stowarzyszeniu kraju z Unią Europejską – przerodziły się w ogólnonarodowe powstanie, a na ulicach Kijowa ginęli ludzie. Był to pierwszy przypadek w historii, aby ktoś umierał w imię integracji europejskiej i pod jej flagą: niektórzy z tych, którzy padli na Majdanie, nosili – obok barw ukraińskich – unijne symbole i kolory. Europa była ich nadzieją.

Wtedy, w lutym 2014 r., Ukraina zaczęła być groźna dla Władimira Putina. Nie dla Rosji

czy Rosjan, lecz dla Putina i stworzonego przezeń systemu, wobec którego „autokracja” jest określeniem zbyt banalnym – putinizm ewoluuje dziś ku totalitaryzmowi. Ukraina, która wybrała drogę ku Zachodowi, ku demokracji i wolności bezprzymiotnikowej, stała się dlań groźna, bo gdyby się jej powiodło, byłaby zachętą dla Rosjan. Dowodem, że nawet narody z dawnego sowieckiego centrum nie są skazane na „demokrację sterowaną” i mogą wybrać, jak chcą żyć. Nie chodziło o żadne NATO – Putin nie chciał, by udał się eksperyment z „zachodnieniem” Ukrainy na poziomie wartości. Rozpętał wojnę, która trwa do dziś.

*Instruktorzy
wojskowi szkolą
ludność cywilną
do samoobrony
w przypadku
inwazji wojsk
rosyjskich.
Odessa, Ukraina,
5 lutego 2022 r.*

Ukraińcy podjęli tę walkę i w kolejnych latach mogło się zdawać, że są zdani na siebie, że nie mają od nikogo wsparcia militarnego – równie ważnego co polityczne i rozwojowe. W końcu gdyby Putina nie zatrzymano na polu walki, nie byłoby gdzie realizować projektów rozwojowych.

Jeszcze kilkanaście dni temu jedna z czołowych polskich gazet napisała, że „testem na stosunek do Ukrainy są [dziś] dostawy broni”, i że do niedawna Polska zaliczała się do państw, które odmawiały jej takiego wsparcia – inaczej niż np. kraje bałtyckie. Ale chyba trudno mieć za złe tej gazecie, że zaliczyła Polskę do grona niesolidarnych. Bo wygląda na to, że w tej kwestii rząd PO z lat 2014-15 i potem rządy PiS były zgodne: utrzymywano w poufności kwestię, która zapewne powinna być poufną w czasie, gdy dostawy broni dla Ukrainy nie były dla Zachodu oczywistością. Mogły za to oznaczać zagrożenie – patrz: rosyjski zamach w 2014 r. na czeski arsenał, z którego na Ukrainę trafiała amunicja.

Bo nie tylko Polska, ale i Czechy od początku pomagały Ukraincom. Czasem zresztą we wzajemnej współpracy – za sprawą kooperacji polsko-czeskiej na Ukrainę trafiło m.in. ok. 200 bojowych wozów piechoty i ok. 80 haubic samobieżnych.

Dziś nie jest to już wiedza tajemna. W ostatnich dniach ukazało się parę opracowań na ten temat, kto i co przekazywał Ukrainie po 2014 r. (opartych na jawnych źródłach, tyle że skrzętnie zebranych). Kogo interesują szczegóły, może sięgnąć do analiz Ośrodka Studiów Wschodnich czy szwajcarskiego dziennika „Neue Zürcher Zeitung” (dostępnych w sieci). Okazuje się, że polskie zestawy przeciwlotnicze „Piorun”, które teraz przekazujemy, to drobny – choć ważny – fragment znacznie większego obrazu.

W 2017 r. autor gazety „Kyiv Post” pisał: „Trzy lata od wybuchu wojny Rosji z Ukrainą (...) Polska pozostaje najbliższym partnerem wojskowym i politycznym Ukrainy”. I cytował eksperta z Kijowa: „Polska była pierwszym krajem, który udzielił nam pomocy wojskowej w najczarniejszych chwilach Ukrainy. Jest bardzo wątpliwe, czy bez tego wsparcia byłibyśmy w stanie oprzeć się rosyjskiej inwazji”. Ostatnie zdanie to chyba przesada, ale faktem jest, że gdy Rosja uderzyła, Polska od razu przekazała armii ukraińskiej m.in. zapasy amunicji, aby zrekompensować jej braki.

Dziś, gdy Ukraincom znów grożą najczarniejsze godziny, pozostaje kontynuować tę pomoc – już w większym gronie. Oby jednak nie musieli korzystać z tych „Piorunów”. ©P

O sytuacji w Europie piszemy też w dziale Świat.

WOJCIECH FELESZKO, IMMUNOLOG:

W czerwcu będzie po covidzie

MAREK KĘSKRAWIEC:
Kiedy umawialiśmy się na rozmowę, wracał Pan z południa Europy. Co Pan zauważył?

WOJCIECH FELESZKO: Zarówno we Włoszech, Niemczech, Austrii, jak i w Czechach daje się już odczuć, że Europa powoli „relaksuje” się od covidu. Wszędzie słyszałem w wiadomościach zapowiedzi znoszenia obostrzeń, a nawet odchodzenia od obowiązkowych paszportów covidowych. Także Holandia, gdzie Omikron w ostatnich dniach gwałtownie daje się we znaki, przygotowuje się powoli do wygaśnięcia pandemii.

Czyli nie powinniśmy drwić z naszego rządu, który ogłasza już koniec covidu?

Mam mieszane uczucia. Z jednej strony wiem, że polskie statystyki z uwagi na problem stosunkowo niewielkiej liczby wykonywanych testów nie mówią prawdy o obecnej sytuacji. Niemniej pokazują wyraźny spadek zachorowań. Z prawie 60 tys., jakie notowaliśmy na początku lutego, teraz zeszliśmy do 30 tys. I dlatego myślę, że możemy powoli zacząć wyglądać światła w tunelu. Nie zapominajmy jednak, że wszystko to odbyło się w Polsce wysokim kosztem. Mieliliśmy bardzo liberalną politykę w sprawie obostrzeń, co przełożyło się na fatalne statystyki zgonów, sięgające przez długi czas setek przypadków dziennie. Zapłaciliśmy wysoką cenę, ale nawet jeśli dziś rząd przedwcześnie ogłasza sukces, to widać wyraźnie, że zimowa fala ma się ku końcowi.

Wszystko wskazuje na to, że pesymistyczne prognozy np. analityków z grupy MOCOS, wieszczących ponad 120 tys. zachorowań dziennie, się nie sprawdziły. Czy można mieć do nich pretensje o budowanie katastroficznej atmosfery?

To nie były niepoważne prognozy. W krajach, w których przeprowadza się masowe testy, liczba zachorowań szła w setki tysięcy, więc można było podejrzewać, że i u nas będzie znacznie

gorzej. Nie czyniłbym więc nikomu zarzutów. Instytucje analityczne były na alarm i tonowały wiarę w zbyt optymistyczne scenariusze, a że ich przewidywania się nie sprawdziły? Musimy mieć trochę pokory wobec tego wirusa, my wciąż się go uczymy, wciąż jesteśmy zaskiwani jego zachowaniem. Sam przyznam, że zaskoczyło mnie, jak krótko trwała ostatnia fala. Ale czy to źle? Chyba wszyscy już czekamy na takie przyjemne zaskoczenia. Kluczowe było nie dopuścić do przeładowania systemu ochrony zdrowia, zwłaszcza

szpitalnictwa, które w niektórych rejonach Polski znalazło się wcześniej na granicy wytrzymałości. Tym razem się udało.

Czy w takim razie spodziewa się Pan w ogóle kolejnej fali?

Jestem optymistą i głoszę tezę, że w czerwcu w Europie będzie po wszystkim. Rosnący poziom zaszczepienia wraz z naturalną odpornością społeczeństw spowodują, że wirus przestanie być dla nas aż tak groźny. Będzie wracał sezonowo: jesienią i zimą, głównie u dzieci, ale to nie będą już fale wypełniające szpitale chorymi i zabijające setki dziennie. Tyle że to, co mówię, dotyczy Europy.

Czy to prawda, że wirusy mają tendencję, by z czasem ewoluować do form bardziej zaraźliwych, ale o lżejszym przebiegu dla „żywiciela”, by móc dłużej na nim bytować?

Nie pokusiłbym się o takie uogólnienie. Jeżeli wirus ospy wietrznej zaatakuję jakąś rodzinę, to każde kolejne dziecko przechodzi go zazwyczaj ciężiej. W przypadku Omikrona proces „łagodnienia” rzeczywiście nastąpił, ale w pewnym stopniu to efekt szczepień, które czynią przebieg choroby lżejszym lub wręcz bezobjawowym.

Czy covid stanie się chorobą endemiczną?

Zapewne tak. Będziemy go lekko doświadczać u siebie, ale na innym kontynencie trzeba się będzie być może przed podróżą zaszczepić na kolejny lokalny wariant, tak jak szczepimy się na polio czy na cholera. ©P

DR HAB. WOJCIECH FELESZKO

jest immunologiem, pulmonologiem i pediatrą.

Ceny w punkcie krytycznym

MAREK RABIJ



DWUCYFROWA INFLACJA? TO CORAZ BARDZIEJ prawdopodobne. Ubiegły rok pożegnaliśmy wzrostem cen na poziomie 8,6 proc. Stycyniowy odczyt poznamy lada dzień, a prognozy oscylują już w przedziale 9,5-10 proc. W danych za styczeń nie będzie jeszcze widać efektu obniżek (głównie podatków paliwowych), które rząd wprowadził od 1 lutego, za to na pewno dadzą o sobie znać podwyżki taryf energetycznych dla firm. Jeśli dodać presję na podwyżki widoczną już w niemal każdym sektorze gospodarki, przepis na inflacyjny koktajl będzie kompletny.

Rząd i NBP uspokajają, że wystrzał drożyzny ma charakter incydentalny i już w przyszłym roku średnioroczna inflacja wróci w okolice 3 proc. Na razie czekają nas jednak trudne miesiące, zwłaszcza jeśli inflacja faktycznie zdoła przełamać dwucyfrową barierę. Dane historyczne pokazują, że hamowanie wzrostu cen staje się wtedy o wiele trudniejsze, bo śledząc podwyżki (i w obawie przed kolejnymi) konsumenci przyspieszają zaplanowane zakupy. Jeśli jednak stycyniowy odczyt nie pokaże tych wartości, rosną szanse, że nie zobaczymy ich wcale. W kolejnych miesiącach powinno dać się już bowiem zaobserwować efekty podwyżek stóp i tarcz antyinflacyjnych (rząd i NBP zapowiadają przedłużenie działania tych ustaw).

W wielu sektorach polskiej gospodarki dwucyfrową inflację mamy zresztą od miesięcy. Szczególnie trudna sytuacja panuje w branży spożywczej. Już w grudniu ub. roku mięso drobiowe zdrożało o 30,1 proc., wołowe o 19 proc., cukier o 22 proc., tłuszcze roślinne o 24,5 proc., a zwierzęce o 18,6 proc. Dwucyfrowe były także wzrosty ceny pieczywa (14,3 proc.), jaj (11,5) oraz warzyw (11,6).

©P

LICZBA TYGODNIA

308 177 km

O tyle skurczyła się siatka regularnej komunikacji autobusowej w Polsce od 2014 do 2020 r. Ośiem lat temu autobusy jeździły na trasach o łącznej długości 788 612 km, spadek wynosi więc ponad 40 proc., a co trzeci usunięty z rozkładów jazdy kilometr to linia o zasięgu regionalnym. W tym samym czasie długość linii kolejowych wzrosła o 182 km.

KRAJ W SKRÓCIE

WIELKA RZKA

„Jesteśmy dużym obozem politycznym, jak wielka rzeka, która płynie czasami różnymi nurtami, ma swoje odnogi, ale ostatecznie płynie w jednym kierunku” – stwierdził Mateusz Morawiecki w rozmowie z tygodnikiem „Sieci”.

SAMO DNO

Kłopot z płynieniem w jednym kierunku zdaje się mieć Andrzej Duda. „Jeżeli ktoś proponuje tego typu ustawę, to jak to można nazwać? Osłabianie własnego państwa, wprowadzanie chaosu? Zdradę, jak piszą niektórzy?” – stwierdził Patryk Jaki, oceniając propozycję likwidacji Izby Dyscyplinarnej SN. „Jest mi wstyd, że na niego głosowałem” – dodał europoseł.



KAROL PORWICH / EAST NEWS

ZMRUŻYŁ ŚLIPIE

Usunąć prezydenta trochę trudno, ale za to z grona parlamentarzystów PiS ma zostać wykluczony Jan Maria Jackowski za „wypowiedzi stojące w sprzeczności ze stanowiskiem klubu”. „Jeżeli receptą na kryzys ma być usuwanie z klubu wiernych programowi wyborczemu PiS-u, zamiast usuwania błędów, to znaczy, że ta formacja jest na kursie schyłkowym” – zareagował senator.

PUSTA MISECZKA

Czasami błędy się jednak usuwa. „Dlatego została m.in. przeprowadzona dymisja ministra finansów, że nawet Kancelaria Sejmu nie potrafiła nam wyliczyć wynagrodzenia” – powiedział w radiu RMF FM poseł Marek Suski.

Centralny Park Narodowy

RZĄD OPUBLIKOWAŁ PROJEKT USTAWY o parkach narodowych i da się go streścić jednym słowem: „centralizacja”. Nasze 23 parki trafią pod kontrolę nowej instytucji – powstaną Polskie Parki Narodowe z osobną dyrekcją i siedzibą w Czerwińsku nad Wisłą. Znikną też nabory i konkursy na stanowisko dyrektorów. W uzasadnieniu czytamy, że „były czasochłonne” i powodowały „trudności w kierowaniu parkami”. Teraz dyrektora wskaże sam minister środowiska (dotychczas mógł go jedynie odwołać).

Projekt zawiera też szereg drobniejszych zmian, jak stworzenie wspólnego funduszu rezerwowego dla parków, zwiększenie ich finansowania z Funduszu Leśnego Lasów Państwowych i obowiązek wyznaczenia korytarzy ekologicznych.

Centralizacja może pomóc zmniejszyć różnice między bogatymi (bo obleganymi przez turystów) Karkonoskim i Tatrzańskim PN a parkami takimi jak Poleski PN. Tyle że to dałoby się osiągnąć bez nowej instytucji i „ręcznego” wybierania dyrektorów. Ciężko zatem nie podejrzewać, że chodzi o stanowiska do podziału, a nie o ochronę przyrody.

W ustawie nie ma nawet wzmianki o zmianie przepisu, który pozwala samorządom blokować powstanie nowych parków narodowych. To właśnie przez „samorządowe weto” ostatni park narodowy w Polsce powstał ponad 20 lat temu.

©P KRZYSZTOF STORY

Polska ma nowy rodzaj wojsk

MINISTER OBRONY NARODOWEJ Mariusz Błaszczak utworzył 8 lutego wojska obrony cyberprzestrzeni. Ich dowódcą został gen. Karol Molenda.

To kolejny etap realizacji specjalnej strategii, która przyspieszyła po szczycie NATO w Warszawie, kiedy sojusznicy uznali cyberprzestrzeń za kolejny obszar prowadzenia działań zbrojnych. W ostatnich latach powstały w Polsce m.in. szkoła podoficerska szkoląca specjalistów w tej dziedzinie, trzykrotnie zwiększono też liczbę miejsc na uczelniach wojskowych na kierunkach związanych z tą tematyką.

Jako dyrektor Narodowego Centrum Bezpieczeństwa Cyberprzestrzeni gen. Molenda pokieruje pracą 6 tysięcy specjalistów, którzy będą fundamentem nowych wojsk. W 2019 r. Departament Obrony Stanów Zjednoczonych odznaczył go medalem za służbę w zakresie cyberkontrywywiadu, pozytywnie ocenia go także branżowy portal Niebezpiecznik.pl.

©P PATRYK STANIK

Pegasusem szpiegowano również w Izraelu

SŁYNNY PROGRAM do wszechstronnej inwigilacji używany był nielegalnie przeciw obywatelom Izraela – to, co twierdzi izraelska gazeta „Calcalist”, dla wielu w tym kraju było do niedawna nie do pomyślenia. Zapewniano, że program służy do zwalczania terrorystów i kryminalistów. Tymczasem „Calcalist” podaje, że izraelska policja używała go w ostatnich latach także przeciw działaczom praw człowieka, organizatorom protestów przeciw premierowi Netanjahu, dziennikarzom, urzędnikom, ale także przeciw zaufanym współpracownikom Netanjahu.

„Calcalist” twierdzi, że było to nielegalne, gdyż Pegasusa stosowano bez zgody sądu i często w sytuacjach, gdy wcześniej nie prowadzono śledztwa. Odpowiedzialność za to miał ponosić szef policji z lat 2015-18 i dwaj inni wysocy funkcjonariusze. „Jeśli te doniesienia są prawdziwe, jest to trzęsienie ziemi i coś, co pasowałoby bardziej do ponurych reżimów ostatniego stulecia” – komentowała obecna szefowa MSW Ajjelet Szaked. Minister bezpieczeństwa wewnętrznego Omer Bar-Lew obiecał powołanie niezależnej komisji śledczej.

Jeśli potwierdzi się, że nielegalnie śledzono ludzi z otoczenia Netanjahu (w tym jego syna), może to skomplikować proces, w którym były premier jest oskarżony o korupcję i nadużycia. Jego adwokaci żądają teraz zakończenia procesu, a sędziowie zawiesili go do czasu stwierdzenia, czy uzyskane nielegalnie informacje wpłynęły na śledztwo. Zagrożone mogą być też inne procesy. Na zdjęciu: siedziba firmy NSO, twórcy Pegasusa, na pustyni Arawa, 2021 r. © WP / NZZ, FAZ



AMIR LEVY / GETTY IMAGES



MICHELE TANTUSSI / AFP / EAST NEWS

FRANK-WALTER STEINMEIER został wybrany prezydentem Niemiec na kolejną kadencję. Głosowanie, w którym już w pierwszej turze poparło go 1045 spośród 1437 członków Zgromadzenia Federalnego (tj. posłów i przedstawicieli landów), z powodu epidemii miało szczególnie charakter: elektorzy i goście zostali rozproszeni na kilku piętrach w gmachu Reichstagu i innych budynkach parlamentu (na zdjęciu). W inauguracyjnym wystąpieniu Steinmeier zwrócił się do przywódcy Rosji: „Apeluję do prezydenta Putina: niech Pan rozluźni pętlę na gardle Ukrainy! Niech Pan szuka razem z nami drogi, która pozwoli zachować pokój w Europie!”. Steinmeier przestrzegł Putina, że nie docenia on siły demokracji. „Stoimy dziś wobec groźby konfliktu militarnego (...). Rosja ponosi za to odpowiedzialność”.

© WP / FAZ

Rosja: do łagru za Minecrafta

ANNA ŁABUSZEWSKA



W CIENIU GRY O ODZYSKANIE KONTROLI nad Ukrainą, w Rosji rozgrywają się ludzkie tragedie. Sąd wojskowy skazał w ubiegłym tygodniu 16-letniego Nikitę Uwarowa z syberyjskiego miasta Kańsk na 5 lat łagru za, jak stwierdzono, przygotowania do zamachu terrorystycznego. Wraz z grupą rówieśników zbudował on w grze komputerowej Minecraft model siedziby Federalnej Służby Bezpieczeństwa i na czacie dla żartu rozważał jego wysadzenie. Sąd żartu nie zrozumiał. „Jestem dzieckiem, a nie terrorystą” – mówił oskarżony podczas rozprawy.

Jego historia zaczęła się latem 2020 r., gdy wraz z dwoma kolegami zatrzymano go za rozwieszanie ulotek wspierających Azata Miftachowa, matematyka i anarchistę. Jedną z ulotek („Ręce precz od anarchistów”, „Państwo to główny terrorysta”) chłopcy nakleili na siedzibie rezydentury FSB w Kańsku. Gdy ich zatrzymano i odebrano im komórki, śledczy uzyskali dostęp do ich korespondencji i znaleźli negatywne opinie o władzach. Uwagę przyciągnęły plany wysadzenia wirtualnej repliki siedziby FSB. Dowodem był

też filmik, na którym nastolatki odpalają własnoręcznie wykonane petardy, co uznano za przygotowanie działań terrorystycznych. Aleksiej Tarasow pisze w opozycyjnej „Nowej Gazecie”, że „w akcie oskarżenia nie ma nic o zbudowanym w Minecraftcie budynku FSB”, ale właśnie to spowodowało wszczęcie postępowania.

W ostatnim słowie Uwarow tak opisał Kańsk: „To małe miasto, mające wiele problemów. Kiepski stan środowiska (...), bieda i ruina – przynębiający miejski pejzaż, rozwalające się domy, fatalne drogi i ludzie (...) Zostali pozostawieni przez państwo swojemu losowi, urzędnicy tylko składają obietnice, że coś się poprawi. Ze służbą zdrowia też jest źle, mało lekarstw, sprzętu, lekarzy. Wysoka przestępczość”. Uwarow uzasadnił, dlaczego z kolegami dyskutowali o polityce: „Byłem wstrząśnięty tym, że w Rosji represjonowani są ludzie, którzy chcą poprawy sytuacji w kraju”. Teraz sam odczuł despotyzm systemu. ©

Więcej na stronie internetowej w cyklu Rosyjska Ruletka.

Kult jednostki ma się dobrze

PIOTR SIKORA



NAPIĘCIA MIĘDZY KOŚCIELNYMI INSTYTUCJAMI A CHARYZMATYCZNYMI liderami ruchów nastawionych na intensywne przeżycia religijne istniały zawsze. Właśnie jesteśmy świadkami kolejnego takiego konfliktu. Dzieje się w tzw. Pustelni Czatachowa pod Częstochową. W latach 90. XX wieku osiedliło się tam kilku pustelników. W 2007 r. jeden z najmłodszych, Daniel Galus, został wyświęcony na księdza. Szybko przestał być pustelnikiem – zaczął gromadzić wokół siebie tłumy ludzi, którzy chcieli uczestniczyć w charyzmatycznych modlitwach o uzdrowienie i uwolnienie od wpływów złego ducha. Pustelnicy uciekli z Czatachowej.

Ks. Galus założył wspólną Miłość i Miłosierdzie Jezusa, która organizuje comiesięczne całonocne spotkania modlitwne. Bierze w nich udział od kilkuset do kilku tysięcy osób. Działalność charyzmatycznego duchownego i jego wspólnoty wzbudza kontrowersje. W 2014 r. nauczanie ks. Galusa bada Komisja Nauki Wiary KEP pod przewodnictwem bp. Andrzeja Czai. Opinia jest krytyczna – teologowie dostrzegają rodzenie się sekciarskiego kultu jednostki. Dopiero jednak zakwestionowanie przez ks. Galusa w 2020 r. antycovidowych przepisów sanitarnych doprowadza do nałożenia na niego kar – dostaje nagane i polecenie odbycia półrocznych rekolekcji poza Czatachową. Ks. Galus odmawia podporządkowania się i odwołuje się do Watykanu. Watykan potwierdza decyzję biskupa diecezjalnego: ks. Galus ma 19 lutego br. na pół roku opuścić Czatachowę.

Lider odpowiada: „Wola Boga jest, bym pozostał i prowadził wspólnotę. Tym, którzy chcą mnie uciszyć, brakuje pokory. Są pod wpływem diabła, nie są posłuszni Duchowi Świętemu. Niech oni przyjadą na półroczne rekolekcje do Czatachowej”. Słuchacze biją brawo. ©

Obowiązek pamięci

„**PRZEPRASZAMY I PROSIMY** o przebaczenie” – napisały przełożone amerykańskiej Federacji Sióstr Miłosierdzia w liście na temat zaangażowania zakonnic w niewolnictwo w XIX wieku. Z prowadzonych od 2019 r. badań wynika, że dwa zgromadzenia, które dały początek sześciu z trzynastu zrzeszonych obecnie w Federacji, posiadały przed zniesieniem w 1865 r. niewolnictwa co najmniej trzech niewolników, co najmniej dwukrotnie otrzymały dochody z ich sprzedaży, korzystały też z niewolniczej pracy.

„Chociaż instytucja niewolnictwa i wyzysku ludzi zniewolonych była głęboko zakorzeniona w społeczeństwie i gospodarce XIX wieku, ta haniebna rzeczywistość historyczna nie pomniejsza naszego dzisiejszego głębokiego żalu i przerażenia” – czytamy w liście. Zakonnice zobowiązały się działać na rzecz walki z rasizmem i zbudować pomnik poświęcony ofiarom niewolnictwa. ©

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

PROCES

Kongregacja Spraw Kanonizacyjnych zezwoliła na rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego 25-letniego studenta KUL Jacka Krawczyka. Pochodził on z Palikówki pod Rzeszowem. Już w liceum zaangażował się w wolontariat, który kontynuował, studiując najpierw teologię, a później psychologię na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Zmarł w 1991 r. po zmaganiach z chorobą nowotworową (ślub z koleżanką z roku brat w kaplicy szpitalnej).



KAROL SEREWIS / EAST NEWS

WYRÓŻNIENIE

„Za odwagę prawdy w Kościele” – tak brzmi uzasadnienie uhonorowania Medalem 75-lecia Misji Jana Karskiego ks. prof. Alfreda Wierzbickiego (na zdjęciu), wieloletniego kierownika Katedry Etyki KUL. Członkowie kapituły medalu wskazują, że nagrodzony bez wahania staje przy tych, którym odbierana jest godność.

PANEGIRYK

Zarządy wszystkich stowarzyszeń sekcji teologicznych w Polsce (jest ich 10) wraz z Prezydium Komitetu Nauk Teologicznych PAN stanęły w obronie Benedykta XVI, oskarżonego w niedawno ogłoszonym raporcie archidiecezji monachijskiej o ignorowanie przestępstw seksualnych podczas sprawowania urzędu metropolity Monachium i Fryzngi. Przesądzając niewinność papieża emeryta, polscy teologowie przedstawili hymn na jego cześć – „Mozart teologii” to tylko jedna z pochwał.

Gramatyka bożej łaski

OSÓB ŻŁE OCHRZCZONYCH poszukuje diecezja Phoenix (USA). Bp Thomas Olmsted (na zdjęciu) ogłosił, że jeden z proboszczów, ks. Andreas Arango, stosował od lat niewłaściwą formułę sakramentu: zamiast „ja ciebie chrzczę”, mówił „my ciebie chrzczymy”. Dlatego udzielone przez niego chrzty należy uznać za nieważne.

Przypadek ks. Arango nie jest odosobniony. Sakramentalne słowa modyfikowało wielu księży. W 2020 r. Watykan zakazał tych praktyk, tłumacząc, że chrztu udziela Jezus, nie ksiądz ze wspólnotą – zamiana zaimka oznacza więc nieważność aktu.

Decyzja budziła zdziwienie. Ujawniono list, jaki jeden z biskupów dostał w 2003 r. z Kongregacji Nauki Wiary, uznający ważność chrztów z formułą „my ciebie chrzczymy”. Co takiego wydarzyło się w teologii, że Watykan zmienił zdanie? – pytano. W jaki sposób uchybienie, bez złej woli, może być przeszkodą dla Bożej łaski? I dlaczego Kościół katolicki uznaje chrzty prawosławne, choć nie padają tam słowa „ja ciebie chrzczę”? Postulowano też, by zakaz obowiązywał od momentu ogłoszenia – wcześniejsze, błędnie udzielone chrzty Kościół mógłby „hurtowo sanować”.

Przypadek z Phoenix świadczy, że zdecydowano inaczej. Diecezja, po konsultacji z Rzymem, zachęca do powtórzenia sakramentów. Nie chodzi tylko o chrzest. Jego brak uniemożliwia przyjmowanie innych sakramentów: nieważne mogą się okazać niektóre małżeństwa (np. dwóch nieochrzczonych osób), na pewno do powtórki pójdą bierzmowania i święcenia kapłańskie. Słowo, choćby najmniejsze, ma znaczenie. Zmienia rzeczywistość.

© EDWARD AUGUSTYN



BILLY HARDIMAN / MATERIAŁY PRASOWE DIECEZJI PHOENIX

KULTURA W SKRÓCIE

SASNALOWIE
W BERLINIE

W prestiżowej sekcji Forum Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Berlinie – poświęconej produkcjom eksperymentalnym, balansującym na granicy kina i sztuk wizualnych – swój nowy film pokazali Anka i Wilhelm Sasnalowie. „Nie zgubiliśmy drogi” to jedyny polski tytuł, który w tym roku trafił do programu Berlinale.

DOSTOJEWSKA
NA NOWO

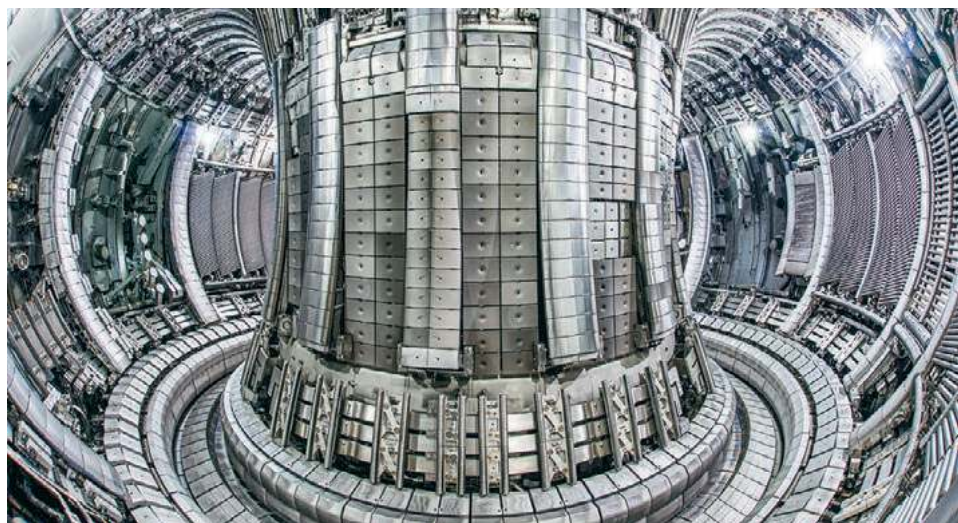
Tymczasem dwukrotna zdobywczyni Srebrnego Niedźwiedzia nakręci historię żony Fiodora Dostojewskiego. Film „The Gambler Wife” Małgorzaty Szumowskiej inspirowany będzie książką Andrew D. Kaufmana – eksperta od literatury rosyjskiej wykładającego na Uniwersytecie Wirginii. Anna Grigoriewna Snitkina, której swoją rozprawę poświęcił Kaufman, była nie tylko stenografką pisarza, ale też pierwszą Rosjanką, która założyła własne wydawnictwo.

PRZEMIANY
KAFKI

Agnieszka Holland zekranizuje natomiast biografię Franza Kafki. Jej film prześledzi najważniejsze wydarzenia z życia autora „Procesu” i „Przemiany”: od narodzin w Pradze, przez wieloletnią pracę w Zakładzie Ubezpieczeń Robotników od Wypadków Królestwa Czeskiego, aż po śmierć w jednym z austriackich sanatoriów. Za scenariusz odpowiada Marek Epstein, z którym Holland pracowała przy filmie „Szarlatan”.

KARNAWAŁ
TRWA

Wenecki festiwal filmowy dopiero jesienią, tymczasem w pierwszy weekend karnawału nad Canal Grande przybyło ponad 100 tysięcy osób. Impreza potrwa do 1 marca pod hasłem „Remember the Future”.



M. WOOLLARD / UKAEA / EURO-FUSION.ORG

Blżej syntezy

OSTATNIO WIELE mówi się o nowych eksperymentach, które mają nam pomóc okiełznać syntezę termojądrową – zjawisko, które napędza Słońce i inne gwiazdy. Czytamy o wynikach eksperymentów z Chin czy nowych start-upach powstających w USA. Tymczasem w Europie od lat 80. działa największy reaktor termojądrowy na świecie – JET (Joint European Torus, na zdjęciu). Eksperyment koło brytyjskiego Oxfordu już 24 lata temu ustanowił rekord energii uzyskanej z syntezy deuteru i trytu – dwóch izotopów wodoru. Na przełomie tego roku JET podwoił ten wynik i przez ponad 5 sekund wytwarzał 11 megawatów (MW) mocy.

Jeśli potrafimy okiełznać syntezę termojądrową przez 5 sekund, to jest tylko kwestią czasu i rozwoju technologii, że uda nam się to przez 5 minut lub 5 dni. Następny eksperyment, który powstaje na południu Francji – ITER (od łac. droga), ma już wytworzyć do 500 MW mocy z syntezy termojądrowej w wyładowaniach trwających do kilku minut. Po ostatnich przebudowach JET ma wewnątrz być prototypem powstającego we francuskim Cadarache reaktora, dlatego uzyskany wynik pozwala z optymizmem czekać na drugą połowę tego dziesięciolecia, kiedy ruszy ponaddziesięciokrotnie większy ITER. Gdy i on spełni pokładane w nim nadzieje, ludzkość będzie miała dostęp do czystego i niewyczerpywalnego źródła energii.

© MARCIN JAKUBOWSKI

Grabież własnego dziedzictwa



PIOTR KOSIEWSKI

DO SEJMU WPŁYNAŁ POSELSKI PROJEKT USTAWY o przekazaniu Węgrom kodeksu pochodzącego z biblioteki króla Macieja Korwina. Jeżeli ten pomysł zostanie zrealizowany, stracimy jeden z najcenniejszych rękopisów w polskich zbiorach.

Rękopis humanisty Nalda Naldiego ze wspólnymi iluminacjami Attavantego degli Attavantiego powstał ok. 1486 r. we Florencji – to poemat wychwalający Bibliotheca Corviniana. Po śmierci Macieja Korwina jego biblioteka uległa rozproszaniu, a kodeks pod koniec XVI w. znalazł się w Toruniu, w bibliotece tamtejszego Gimnazjum Akademickiego. I w zbiorach miasta do dziś pozostaje, dzieląc jego losy. Obecnie jest przechowywany

w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej – Książnicy Kopernikańskiej.

Projekt zakłada przymusowy wykup rękopisu – biblioteka ma otrzymać 25 mln zł – oraz jego przekazanie Węgrom w podzięce za podarowanie Polsce w 2021 r. zbroi młodego Zygmunta II Augusta. Kodeks bowiem, jak przekonują posłowie PiS, nie ma „ścisłego związku z historią Polski”. Pomysł ten i jego uzasadnienie ujawniają brak podstawowej wiedzy o własnej historii i kulturze. Przejęcie rękopisu, który od wieków był dumą miasta – już w 1594 r. w Toruniu wydano ten tekst drukiem! – byłoby ogromną szkodą dla lokalnego dziedzictwa i dla całego kraju, którego dobra kultury tak często były grabione i niszczone. Teraz będziemy grabić je sami? ©



WYSTAWIENI

Od lat europejscy rolnicy cierpią z powodu zatrucia pestycydami.
Mimo poważnych badań na ten temat, nikogo to nie obchodzi.
Także w Polsce.

KRZYSZTOF STORY



GRAZYNA MAKARA

Stosowanie pestycydów to codzienność każdego rolnika. W zależności od uprawy liczba zabiegów waha się od 10 do nawet 30 w ciągu każdego roku. Rolnicy w ciągu całego życia mogą być narażeni nawet na kilkaset różnych toksycznych substancji.

Na zdjęciu: wiosenne opryski zbóż. Brzeźno, woj. świętokrzyskie, kwiecień 2020 r.

JEAN-BAPTISTE LEFOULON STOI PRZED SWOIM ciągnikiem w samych bokserkach. Do pracy w rodzinnym gospodarstwie ubierają go cztery ręce w niebieskich rękawiczkach. Na zwykłe robocze ubranie dwójka naukowców nakleja mu kilka kwadratów z gazy, a pod nią znajduje się jeszcze aluminiowa podkładka dla dodatkowej ochrony. Przed czym? Przecież francuski rolnik po prostu wyjeżdża obsiać pole kukurydzy, część swojego stuhektarowego rodzinnego gospodarstwa.

Jean-Baptiste bierze udział w wyjątkowym badaniu naukowym. Pestexpo (skrót od *pesticide exposure*) to trwający od ponad 20 lat projekt, który bada skutki narażenia rolników na szkodliwe działania pestycydów w codziennej pracy. Na przykład przy napełnianiu ziarnami kukurydzy czterech siewników zamontowanych z tyłu traktora. Każde z nasion jest wzbogacone zaprawą zawierającą dwie substancje grzybobójcze: protiokonazol i metalaksyl. To przed nimi ma chronić aluminium na ubraniu rolnika.

Nikt nie wie, jak bardzo jest źle

Gromadzone przez lata obserwacje zespołu Pestexpo naruszają fundament całego współczesnego rolnictwa i produkcji żywności. Pokazują, że faktyczny wpływ masowego stosowania rzekomo bezpiecznych pestycydów jest znacznie poważniejszy, niż się powszechnie sądzi.

Jeszcze bardziej szokujący jest drugi wątek: środki ochrony osobistej, które powinni stosować wystawieni na działanie pestycydów rolnicy, bardzo często po prostu nie działają. Okazuje się, że zakładanie standardowych kombinezonów lub rękawic w niektórych sytuacjach nie tylko nie chroni, ale nawet zwiększa ilość przyswajanej przez organizm trucizny. Problem ten dotyczy milionów rolników oraz ich rodzin w całej Europie i jest znany od lat, ale jego prawdziwy wymiar pokazuje dopiero śledztwo, które przeprowadziliśmy w ramach zespołu dziennikarzy z kilku europejskich redakcji. Równolegle z tym artykułem w „Tygodniku” ukazują się publikacje w Niemczech, Danii, Holandii, Hiszpanii, Francji, Chorwacji i Słowenii.

W samej Polsce działa ponad 1,3 mln gospodarstw rolnych, w których na stałe pracuje ponad 2,3 mln osób, a kolejne setki tysięcy robią to dorywczo. Dla tych ludzi (czyli ok. 20 proc. wszystkich pracujących Polaków) kontakt z toksycznymi pestycydami jest codziennością. Choćby standardowa hodowla jabłek wymaga 25-27 różnych zabiegów każdego roku. Herbicydy zabijają chwasty, fungicydy grzyby, insektycydy – owady. Do tego dochodzą zaprawy

donasienne, nawozy i wiele innych. W efekcie rolnik w ciągu swojego życia może być narażony nawet na kilkaset różnych substancji, ale nikt nie mówi mu prawdy o tym, co to może oznaczać dla jego zdrowia. Producenci, ale także urzędnicy, którzy decydują o dopuszczeniu danego pestycydu do sprzedaży, przekonują, że w „normalnych warunkach” środki ochrony roślin nie stanowią zagrożenia.

Jednak nieliczne publikacje naukowe badające to zagrożenie, w tym projekt Pestexpo, jasno pokazują, że „normalne warunki” najzwyczajniej nie istnieją. W czerwcu 2021 r. francuski Narodowy Instytut Badań Zdrowia i Medycyny opublikował potężny raport dotyczący pestycydów. Po analizie ponad 5,3 tys. publikacji naukowych stwierdzono, że regularny kontakt ze środkami ochrony roślin łączy się ze zwiększonym ryzykiem wystąpienia zaburzeń poznawczych, chłoniaka niezłośliwego, szpiczaka mnogiego, raka prostaty, a także choroby Parkinsona.

Projekt Pestexpo stworzyła dwójka badaczy: Isabelle Baldi i Pierre Lebailly. Poznali się w 1999 r., ale z początku nie wyobrażali sobie, że ich odkrycia będą tak znaczące. W tamtym czasie bardzo rozpowszechnione było przekonanie, że rolnicy przyjmują śladowe ilości substancji. Naukowcy chcieli jednak zebrać niezależne dane, bo mieli świadomość, że większość badań nad pestycydami jest prowadzona lub sponsorowana przez samych producentów i traktowana jako tajemnica handlowa, więc nie podlega naukowej weryfikacji.

Pestycydy są zaprojektowane do zabijania żywych organizmów – grzybów, insektów, chwastów. A to oznacza, że ludzie mogą się stać ich przypadkowym celem. Dlatego zanim jakaś substancja trafi na europejskie pola, musi spełnić wiele warunków. Producent powinien wykazać, że wykonujący opryski rolnik nie wchłonie więcej substancji niż tzw. dopuszczalny poziom narażenia operatora. Jeśli ten poziom grozi przekroczeniem, na etykiecie muszą pojawić się dodatkowe zalecenia dotyczące użycia masek, rękawiczek oraz kombinezonów.

Baldi i Lebailly szybko i boleśnie przekonali się, jak daleko realia pracy rolnika odbiegają od zaleceń opisanych na etykietach. Bohaterem ich pierwszej obserwacji był farmer w Normandii. – Ten człowiek miał wyższe wykształcenie rolnicze, ale widziałem, jak wkładał gołe ręce do zbiornika z pestycydami – wspomina Pierre Lebailly. – Byłem w szoku.

Pestycydy mogą mieć formę proszku, płynu lub granulatu. Większość trzeba wymieszać lub rozcieńczyć przed zabiegiem, ale trudno to zrobić bez bezpośredniego kontaktu z substancją. Zdarza się zatkana rura, nieszczelny zbiornik, →

→ czasem coś się wylewa. W polu też nie jest lepiej, chyba że rolnik ma nowoczesny ciągnik z zamykaną kabiną i z dobrym filtrem powietrza. Ale najczęściej bywa zupełnie inaczej.

Życie niezgodne z zaleceniami na etykiecie

Witold Piekarniak ze Związku Sadowników RP ma 58 lat, prowadzi gospodarstwo niedaleko Warki. Pesticidy to jego codzienność od 16. roku życia. – Dziś już dużo się zmieniło, ale proszę sobie wyobrazić ciągnik Ursus bez żadnej osłony, albo opryskiwacz Śleza – mówi. – Wtedy wylewało się około 1000 litrów cieczy na hektar, dzisiaj to ok. 350-500. Pamiętam, jak sąsiad przyskał preparatem I klasy toksyczności sad obok mojego, a ja wracałem ciągnikiem bez kabiny. To było uczucie pojawienia się gęsiej skórki na głowie, jakby skórę człowiekowi ścigało z czaszki. Ewidentnie wchłonałem tę truciznę.

Narażeni są nie tylko pracownicy wykonujący opryski, ale również ci, którzy pracują w polu albo sadzie przez następne dni. Tak wynika z jednego z niewielu polskich badań wpływu pestycydów na zdrowie, które prowadziła ponad 10 lat temu prof. Joanna Jurewicz z Instytutu Medycyny Pracy w Łodzi. Ślady pestycydów znajdowała w moczu rolników jeszcze przed wykonaniem oprysku: „Mieszkanie na terenach wiejskich powoduje narażenie na pestycydy, nawet jeśli dana osoba nie jest bezpośrednio zaangażowana w wykonywanie oprysków”.

Witold Piekarniak opowiada o czasach, w których pestycydy zsypywało się do wiaderka i rozrabiało kijem, a „jak poszedł pył, to czasem aż w nozdrzach zagrało”. Na pewno jednak dużo się od tamtych czasów zmieniło: rolnicy mają lepszy sprzęt, niektóre agresywne pestycydy zostały zakazane (np. chlorpyrifos czy wiązany z chorobą Parkinsona parakwat), a nowe środki najczęściej mają bezpieczniejszą formę granulatu. Zwiększyła się też świadomość samych rolników.

Plagą są jednak wciąż problemy techniczne, na przykład dysza zatkana gęstą zawiesiną z dna zbiornika. We Francji rolnicy opisywali, że wiele razy zostali obryzgni pestycydem pod ciśnieniem przy próbie odeknięcia takiej dyszy. W Hiszpanii usłyszeliśmy nawet opisy „przedmuchiwania” jej własnymi

Zaprojektowane,
by przenikać do wnętrza
organizmów żywych,
pestycydy bardzo dobrze radzą
sobie nawet z wodoodpornym
plastikiem.

ustami (podobno warto wcześniej do niej napluć). Tak być nie powinno, ale cóż z tego? Łatwo jest na etykiecie toksycznej substancji napisać, że opryski należy wykonywać w pełnym kombinezonie. Dużo ciężiej jest to zrealizować. Nie da się np. wytrzymać 6 godzin na polu w upalny dzień w pełnym kombinezonie, bo grozi to udarem cieplnym.

– Tak, ludzie pracują w krótkich spodniach i koszulkach – mówi Isabelle Baldi. – Może to niezgodne z zaleceniami na etykiecie, ale tak wygląda życie. Bezpieczeństwo i kontrola nad pestycydami przy tak intensywnym rolnictwie jest oparta na fikcji. Według tej fikcji rolnik powinien pracować jak chirurg, który podnosi ręce, by ktoś założył mu sterylne rękawiczki. A potem niczego nie dotyka. To nierealne.

Badacze szacują, że zaledwie 30-40 proc. francuskich rolników korzysta ze środków ochrony osobistej zgodnie z przykazaniami producentów. Podobne wyniki otrzymała w polskim badaniu Joanna Jurewicz. Rolników kontroluje Państwowa Inspekcja Ochrony Roślin i Nasiennictwa oraz Państwowa Inspekcja Pracy, ale żadna z tych jednostek nie zbiera informacji, na ile środki ochrony osobistej stosowane w naszym rolnictwie są skuteczne. Nie może więc wyciągać żadnych wniosków ani zgłaszać rekomendacji.

Kombinezon, który nie pomaga

Reguły światowego rynku pestycydów zostały ustalone wraz z powstaniem Światowej Organizacji Handlu w 1995 r. Głos w debacie prowadzonej pod egidą NATO i OECD mieli urzędnicy oraz sami producenci środków ochrony roślin. W stenogramach rozmów pojawiają się przedstawiciele wielu potentatów: Rhône-Poulenc, DowElanco, DuPont, Bayer, Zeneca (obecnie firma nazywa się Syngenta). Po dwóch latach prac OECD

przyjęło zbiór zasad badania wpływu pestycydów na rolników i innych ludzi w okolicy. Dokument, który do dziś jest punktem odniesienia, został w całości sporządzony przez Grahama Chestera, pracownika Zeneki.

Poza wprowadzeniem koncepcji „normalnych” (*de facto* niemożliwych do użycia w codziennej pracy) warunków do testów, reguły OECD sprowadzają ludzkie ciało do kolejnych obszarów o określonej powierzchni. Dłonie – 820 cm², szyja – 100 cm², cały człowiek – ok. 2 m² skóry. Przez lata normy dla pestycydów wyliczało się, korzystając ze specjalnie stworzonych modeli matematycznych, które na podstawie szczątkowych danych podawały hipotetyczne narażenie operatora. Dla producentów było to dużo prostsze niż badanie realnych zagrożeń dla prawdziwych rolników.

Wszystkie stosowane modele matematyczne mają wspólną cechę: zakładają, że wzorcowe stosowanie środków ochrony osobistej zmniejsza narażenie rolnika nawet o 90-95 proc. Ten scenariusz to jednak fikcja, co wykazał prof. Alain Garrigou, ergonomista z Uniwersytetu w Bordeaux. Na początku XXI wieku był zaskoczony, gdy usłyszał o pierwszych wynikach projektu Pestexpo, a konkretnie o jednym ustaleniu. Podczas oprysków i czyszczenia sprzętu grupa rolników, pomimo ciągłego noszenia atestowanych kombinezonów, wchłonięła nawet trzy razy więcej toksycznego pestycydu niż ci pracujący bez żadnej ochrony. Garrigou i Isabelle Baldi zaczęli badać ten wątek. Odkryli, że pestycydy, zaprojektowane, by przenikać do wnętrza organizmów żywych, bardzo dobrze radzą sobie z... wodoodpornym plastikiem.

Nieskuteczność środków ochrony potwierdzają też badania Joanny Jurewicz z 2011 r. Wyniki pokazują, że stosowanie rękawiczek, masek czy kombinezonów nie ma żadnego wpływu na stopień narażenia na toksyny.

Wiedzą o tym również producenci. W 2006 r. Syngenta zbadała, jak popularny model kombinezonu z PVC poradzi sobie z dwunastoma różnymi pestycydami. Większość przeniknęła przez materiał w czasie poniżej 20 minut, w trzech przypadkach poniżej 10. Analizy ujrzaly światło dzienne już dawno temu, ale do dziś nie zaproponowano żadnych naprawdę skutecznych rozwiązań. Nie ma środków ochrony osobistej przeznaczo-

nych do pracy z pestycydami i przetestowanych przy niej. Korzysta się z typowych, używanych w przemyśle chemicznym, gdzie nie ma tak bezpośredniego kontaktu pracownika ze szkodliwymi substancjami.

W 2007 r. Garrigou i Baldi decydują się bić na alarm.

Odchorowując pracę w polu

Naukowcy piszą w tej sprawie do kilku francuskich urzędów i organizacji, a list zostaje wzięty na poważnie. Ministerstwo Pracy zleca zbadanie dziesięciu popularnych kombinizonów ochronnych. Wyniki opublikowane w 2010 r. są katastrofalne: tylko dwa zapewniają poziom ochrony zgodny z obietnicami producenta, a niektóre natychmiast przepuszczają pestycydy.

Francja zaczyna działać, ale zadziwiająca jest bierność Unii Europejskiej. Od opublikowania wyników mijają cztery lata, zanim Europejski Urząd ds. Bezpieczeństwa Żywności (EFSA) w 2014 r. przedstawi nowe analizy. Dokument powstaje dzięki grupie ekspertów stworzonej w niemieckim Instytucie Szacowania Ryzyka (BfR). Prawie połowa jej członków to przedstawiciele producentów pestycydów, w tym trzej pracownicy BASF i Bayer oraz ten sam Graham Chester, autor wspomnianych już regulacji OECD. Na nasze pytania dotyczące konfliktu interesów, EFSA odpowiedziała krótko: „wszyscy członkowie grupy roboczej spełniali określone przez EFSA standardy dotyczące konfliktu interesów”.

W nowym dokumencie (oraz w aktualizacji z 2022 r.) słowem nie wspomniano o ustaleniach projektu Pestexpo, nie pojawia się nawet pojęcie „przenikania substancji” przez ubrania ochronne. Wszystkie wyliczenia nadal opierają się na „normalnych warunkach” i „kodeksie dobrych praktyk”, określonym przez OECD. Stosowanie środków ochrony osobistej nadal uważa się za bezpieczne i zmniejszające zagrożenie o 90-95 proc., choć nie potwierdzają tego żadne publicznie dostępne dane. Oczywiście, to nie jest argument przeciwko samym ubraniom, to raczej apel o prawdziwe analizy.

– Pryskaliśmy zagrody dla owiec bez żadnej ochrony. Nie korzystałem z rękawiczek, maski, niczego, uważałem tylko, by nie dotykać substancji. Mieszało się ją drewnianym kijem – wspomina Luis



Antonio Ruiz od 35. roku życia zmaga się z przewlekłą obturacyjną chorobą płuc wywołaną przez pestycydy. Bárdenas, Hiszpania.



Rolnik bez żadnych środków ochrony osobistej przelewa toksyczny herbicyd do opryskiwacza. Biscarrués, Hiszpania.



Opryski herbicydami mają chronić uprawy przed chwastami. Niestety mogą też być zagrożeniem dla ludzi. Biscarrués, Hiszpania.



Etykieta informuje, że pestycyd może powodować nowotwory i wady płodu. Według zaleceń rolnik powinien pracować w pełnym kombinizonie ochronnym.

Grasa, 70-latek, który całe życie przepracował jako pasterz i farmer w Ceresoli, w hiszpańskiej prowincji Huesca. Kraj ten jest liderem zużycia pestycydów w Europie. Luis Grasa 8 lat temu usłyszał diagnozę: choroba Parkinsona. – Moje ruchy robiły się coraz wolniejsze.

Podobne wspomnienia ma jego żona, Maria del Carmen. Pamięta też, że bezpośrednio po opryskach Luis i jego ojciec potrafili spędzić w łózkach trzy dni, odchorowując pracę w polu.

Kontaktuję się ze stowarzyszeniami zrzeszającymi w Polsce chorych na Parkinsona. W ciągu kilku dni zgłasza się kilka osób, które chorują, a wcześniej przez lata miały kontakt z różnymi pestycydami, często w dzieciństwie. Jedną z takich osób jest Lucyna Wnuczek z okolic Pucka. Dziś ma 72 lata, od 8 lat choruje na parkinsona. Dzieciństwo spędziła w rodzinnym gospodarstwie w towarzystwie pestycydów. Często kilka dni po opryskach szła ręcznie zbierać stonkę z upraw, a jedynym zabezpieczeniem były zużyte rękawiczki.

Nie wiadomo, czy ci ludzie zachorowali przez pestycydy. Ani w Polsce, ani w Hiszpanii, ani w większości krajów Europy nie ma realnego systemu monitorującego narażenie na pestycydy i jego długofalowe skutki. Nawet lekarzom bardzo ciężko połączyć konkretną chorobę ze stosowanym przez lata miksem substancji. – Związek między wieloletnim narażeniem na pestycydy a chorobą Parkinsona ciężko udowodnić w konkretnym przypadku, ale ryzyko istnieje i jest naukowo potwierdzone – tłumaczy Fernando García López z hiszpańskiego Narodowego Centrum Epidemiologii. Liczba zgonów na chorobę Parkinsona w Hiszpanii wzrosła z 1715 w 1999 r. do 5006 w 2020 r. (wzrost o 292 proc.).

Nie ma danych, nie ma problemu

Pierwsze badanie ukazujące związek między narażeniem na herbicydy (środki chwastobójcze) a chorobą Parkinsona zostało opublikowane w 1985 r. Ekspozycja na pestycydy od dawna pojawia się też w literaturze jako potencjalna przyczyna, zwłaszcza w kontekście takich substancji jak rotenon i zakazany już w UE paraquat. Dlatego w naszym śledztwie wybraliśmy chorobę Parkinsona jako punkt odniesienia, by zobaczyć, jak wygląda system rozpoznawania chorób zawodowych u rolników.

→ Obecnie tylko dwa kraje Unii – Francja i Włochy – uznają, że Parkinson może być chorobą zawodową rolników. W tym drugim kraju przez ostatnie cztery lata jedynie 20 rolnikom udało się wywalczyć odszkodowanie z tego tytułu (wszystkich wykrytych w tym czasie chorób zawodowych było 19 tys.). Inaczej jest we Francji, która jako pierwsza w Europie dodała parkinsona do listy chorób zawodowych. Od 2012 r. 278 rolników dostało odszkodowania i renty, a na listę trafiły też nowotwory krwi i prostaty.

Tymczasem większość krajów UE nawet nie zbiera takich informacji, nie mówiąc już o wypłacaniu odszkodowań. Tak jest też w Polsce, gdzie system wykrywania chorób zawodowych opiera się na zamkniętej liście schorzeń, określonej w rządowym rozporządzeniu. Są na niej co prawda nowotwory krwi czy niektóre choroby układu oddechowego, ale próżno szukać parkinsona lub raka prostaty. Rolnik, który zachoruje, nie dostanie więc odszkodowania ani wyższej renty. Tymczasem w opublikowanym w 2021 r. raporcie Polskiego Towarzystwa Neurologicznego czytamy: „Badania epidemiologiczne wskazują, iż zwiększone ryzyko choroby Parkinsona jest związane z ekspozycją na pestycydy”. Są one wymienione jako drugie, zaraz po czynnikach genetycznych. Czyli wnioski są, ale nie przekładają się na ochronę prawną dla rolników.

Pytanie o powiązania między pestycydami a parkinsonem wysłałam najpierw do Instytutu Medycyny Wsi w Lublinie (20 stycznia), ale do dnia oddania tekstu do druku nie otrzymuję odpowiedzi. Milczy też Ministerstwo Rolnictwa. Inspekcja Nasiennictwa i Ochrony Roślin stwierdza, że nie ma uprawnień do zbierania danych o wpływie pestycydów na zdrowie ich użytkowników. W rozmowie z urzędnikami KRUS słyszę praktycznie wyłącznie o działaniach edukacyjnych, jak konkurs plastyczny dla dzieci na temat bezpiecznej pracy ze środkami ochrony roślin. A także o tym, że dużo zmieniło się na lepsze. Z kolei Ministerstwo Zdrowia odsyła mnie do

Nikt w państwowych instytucjach nie komentuje faktu, że największa zapadalność na parkinsona w Polsce dotyczy regionów wybitnie rolniczych.

Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego (choć przecież to nie NIZP uchwała rządowe rozporządzenia). W końcu NIZP, niczym w grze planszowej, odsyła mnie na pole startowe. Do Instytutu Medycyny Wsi.

Nikt w państwowych instytucjach nie podejmuje się skomentowania faktu, że największa zapadalność na parkinsona w Polsce dotyczy województw lubelskiego i podlaskiego – regionów wybitnie rolniczych. Parkinsona ma jeden na 335 mieszkańców Lubelszczyzny, w woj. zachodniopomorskim – jeden na 621. Oczywiście, to bardzo ogólna liczba i nie można jej jednoznacznie interpretować. Problem jest jednak taki, że lepszych danych nie mamy.

Nienadążanie przepisów za stanem badań to nie tylko polski problem. Dotarliśmy do niejawnych dokumentów, które pokazują, że niemiecka Rada Medyczna ds. Chorób Zawodowych rozważa wpisanie parkinsona na listę chorób zawodowych... od ponad 12 lat. Dopóki analizy nie przekują się w konkret, rolnicy nie mają co liczyć na odszkodowania. Chyba że sami pójdą do sądu.

Zostawieni samym sobie

Na to zdecydował się Hans-Jochen Bosse, zdiagnozowany pod kątem parkinsona w wieku 56 lat. – Przy podmuchach wiatru zawsze czułem oprysk na twarzy – wspomina. Bosse korzystał z rękawiczek i okularów, ale to nie pomagało na pył w powietrzu. – Powinniśmy być lepiej informowani, ale zostawiono nas samym sobie.

Od 2010 r. w Niemczech 61 rolników chorych na parkinsona złożyło wnioski o wypłatę odszkodowania ze względu na narażenie na pestycydy. Żadnego z wniosków dotąd nie uznano. W Szwecji przez ostatnie pięć lat odszkodowanie za choroby „pestycydowe” dostały ledwie trzy

osoby. W Danii zaś przedstawiciele największego związku zawodowego, 3F, opiekującego się także rolnikami, nigdy nawet nie słyszeli o wypadkach i chorobach związanych z pestycydami.

Wyższa świadomość jest w Holandii, gdzie stowarzyszenie chorych na parkinsona w 2019 r. otworzyło infolinię dla narażonych na działanie pestycydów. Od tego czasu dostali ponad 130 zgłoszeń. We Francji od 2011 r. funkcjonuje jedyna w Europie organizacja zrzeszająca „ofiary pestycydów” – Phyto-Victimes. Do 2020 r. dostała prośby o pomoc od ponad 540 chorych rolników, głównie mężczyzn urodzonych w latach 50. i 60.

W trakcie naszego śledztwa Phyto-Victimes po raz pierwszy pokazała, z jakimi chorobami zmagają się jej członkowie. Wyniki niepokojąco przypominają naukowe raporty: 25 proc. ma parkinsona, 18 proc. – nowotwory krwi. Reszta to rak prostaty, pęcherza, płuc i inne choroby neurodegeneracyjne. Wszyscy chcą od Phyto-Victimes jednego: pomocy w walce z koszmarną biurokracją o odszkodowanie i rentę.

W Polsce też nie jest to łatwa przeprawa, zwłaszcza w przypadku chorób o nieoczywistej przyczynie. Wystarczy rzut oka na dane KRUS dotyczące wypłaconych odszkodowań za uznane choroby zawodowe. W 2019 r. 23,5 proc. wszystkich takich chorób dotyczyło rolników (żadna branża nie ma więcej, to stała prawidłowość). Jest ich mniej więcej 250–300 rocznie i ponad 90 proc. stanowią choroby zakaźne (w tym ponad 80 proc. borelioza). Z tabeli można wysnuć prosty wniosek: jeśli ugryzie cię kleszcz, możesz liczyć na odszkodowanie. Inne choroby dużo łatwiej umykają systemowi. Ostatni przypadek nowotworu złośliwego zakwalifikowanego jako choroba zawodowa u rolnika miał miejsce w 2011 r. Ostre zatrucie toksycznymi substancjami – zero przypadków przez ostatnie 12 lat. Według oficjalnych danych polscy rolnicy sprawiają wrażenie wyjątkowo zdrowych.

Planowaliśmy w ramach śledztwa stworzyć infografikę dotyczącą chorób zawodowych i pestycydów. Okazało się to niemożliwe. Bezpieczeństwo pracy rolników wydaje się czarną dziurą w europejskim systemie prawnym. Eurostat stworzył wprawdzie eksperymentalną bazę dotyczącą chorób zawodowych, ale tak niekompletną, że ciężko z niej korzystać.



Autor będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia TOK FM w środę 16 lutego o godz. 15.20

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń

89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin

94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

Brakuje też zmian unijnego prawa. Regulacje dotyczące wprowadzania pestycydów na rynek są dopracowywane od prawie 30 lat, a spójnych zasad radzenia sobie z ich skutkami – nie ma wcale. Rzecznik Europejskiej Agencji Bezpieczeństwa i Zdrowia w Pracy (EU-OSHA) odpowiedział nam, że agencja „nie może informować o standardach i prawie poszczególnych państw”, oraz poinformował, że „w tym momencie nie da się nawet porównać podstawowych danych z państw członkowskich”. Niewiele też wynika z prac unijnego Komisarza ds. Zdrowia i Bezpieczeństwa Żywności. W 2017 r. tłumaczył on, że nie ma żadnych dowodów na zawodowe podłoże choroby Parkinsona. W odpowiedzi na nasze pytania dowiedzieliśmy się, że zdanie Komisji Europejskiej od tamtego czasu się nie zmieniło.

Rzeczniczka KE Veerle Nuyts w piśmie do nas podkreśla, że „Komisja wezwała państwa członkowskie do realizacji szkoleń dla rolników i kampanii społecznych dotyczących bezpieczeństwa pracy, także w zakresie stosowania środków ochrony roślin”. Zatem nadal to rolnicy, pracując z toksycznymi substancjami i mając do dyspozycji jedynie wadliwe środki ochrony osobistej, muszą dbać o własne bezpieczeństwo. Nikt im nie pomoże.

Alain Garrigou podsumowuje: – Zaszły pewne zmiany, ale krajobraz pozostaje ten sam. System nadal całą odpowiedzialność za obronę przed sobą samym przerzuca na potencjalną ofiarę.

©© KRZYSZTOF STORY

■ Międzynarodowe śledztwo dziennikarskie „Pesticides at work”, prowadzone przez Investigative Reporting Denmark, jest efektem współpracy dziennikarzy z redakcji: „Le Monde” we Francji, „Knack” w Belgii, „Tygodnik Powszechny” w Polsce, „Oštro” w Chorwacji i Słowenii, „IRPI” we Włoszech, „De Groene Amsterdammer” w Holandii, „Ippen Investigativ” w Niemczech, „The Midwest Center for Investigative Reporting” w USA oraz Marcosa Garcíę Reya z Hiszpanii. Powstało dzięki wsparciu Journalismfund.eu i IJ4EU.

Pestycydy wpłynęły na Twoje zdrowie?
Napisz na story@tygodnikpowszechny.pl

Bądźmy umiarkowanie radykalni

PAWEŁ BRAVO, PUBLICYSTA KULINARNY:

Czy wolno mi wrzucić do jednego worka panią, która zlewa herbicydami działkę, bo chce mieć ładny trawnik, oraz rolnika, który w ten sam sposób kupuje sobie więcej czasu z rodziną albo ulgę dla schorowanego kręgosłupa?

MAREK RABIJ: Czytelnicy „Tygodnika” znają Cię jako osobę, która do jedzenia podchodzi z szacunkiem, ale nigdy bezkrytycznie. Muszę więc zapytać: czy na pewno wiesz, co jesz?

PAWEŁ BRAVO: Pewności oczywiście mieć nie mogę. Staram się jednak wiedzieć jak najwięcej o tym, co trafia na mój stół. I muszę przyznać, że jest to niezwykle czasochłonne. Po pierwsze dlatego, że system informowania konsumenta o złożonych łańcuchach dostaw, które składają się na współczesny przemysł rolno-spożywczy, pozostawia nadal wiele do życzenia.

Przepraszam, że zaczynam od trizmu, ale warto to podkreślić na początku: produkcja żywności na skalę przemysłową, także w Polsce, nie ma już nic wspólnego z sielankową rzeczywistością reklam telewizyjnych, a przepisy konsumenckie są wobec niej bezsilne. Nie można przecież nakazać koncernom spożywczym, żeby na etykietach umieszczały szczegółowy opis wszystkich etapów produkcji.

Może trzeba zmienić kurs o 180 stopni? W kilku krajach Europy Zachodniej na produktach pojawiły się ostatnio oznaczenia francuskiego systemu Nutri-Score. Litera „A” na zielonym tle oznacza produkty o najwyższych właściwościach odżywczych. Litera „E” na czerwonym – coś, czego lepiej unikać.

System jest prosty, ale niepozabawiony wad. Nutri-Score w założeniach miał być odpowiedzią za rosnące zagrożenie jedzeniem śmieciowym, które dostarcza dużo kalorii, ale niewiele innych war-

tości odżywczych. Dlatego najwyżej ocenia produkty o wysokiej zawartości białka, błonnika czy witamin, natomiast degraduje te, które mają wysoką kaloryczność. W ten sposób oznaczenie „A” mogą jednak dostać preparaty instant dla sportowców, czyli chemia w czystej postaci. Za to pocciwy włoski parmezan, który od stuleci powstaje według niemal tej samej receptury, może zostać uznany za „złą” żywność.

Zwróć uwagę, że ze skali Nutri-Score nie wyczytasz też nic o procesie produkcyjnym czy warunkach, w jakich się odbywa, ani też o jakości składników. Zresztą ta skala nie obejmuje wcale żywności nieprzetworzonej, mięsa, owoców czy warzyw – tymczasem tam też mogą czaić się przykre niespodzianki.

Pestycydy, hormony wzrostu, antybiotyki?

Bez tego współczesny przemysł rolno-spożywczy działać już nie umie. Na domiar złego – i tutaj dochodzimy do kolejnej trudności czekającej na kogoś, kto chce wziąć dietę w swoje ręce – nauczył się je sprytnie maskować. Parę lat temu na etykietach wysoko przetworzonej żywności roilo się od symboli sztucznych dodatków i polepszaczy. Przykładowo E124 oraz E407. Dziś pojawiają się tam rzadziej, ale przecież nie przestały być używane. Producentom wyszło z badań, że klientom te oznaczenia kojarzą się z niezdrową żywnością, więc po prostu zmienili nazewnictwo. Zamiast E124 jest więc czerwień koszelinowa, a w miejsce E407 – karagen. Brzmi lepiej, prawda?

Próbuję być z tym na bieżąco, ale czasem czuję się jak pacjent, który w rękę

→ trzyma opakowanie leku bez ulotki. Weźmy przykładowo środki ochrony roślin. O ich działaniu na organizm wiemy *de facto* tyle, ile wynika z badań przeprowadzonych przez samych producentów. Nawet gdy pojawiają się ekspertyzy niezależnych ośrodków – jak ostatnio w sprawie glifosatu – zwykle trudno wyciągnąć z tego dla siebie użyteczne wnioski. Naukowcy spierają się o metodologię, lobbyści szukają furtok prawnych, ale to ty musisz postawić jako stawkę w tym zakładzie swoją wątrobę.

Od pisania tych umownych ulotek, o których wspominałeś, są instytucje i urzędy. Tymczasem ostatni raport NIK o kontroli produkcji żywności w Polsce nie pozostawia złudzeń: to kolejna sfera życia, w której państwo całkowicie oddało inicjatywę wolnemu rynkowi. Próbkę na stężenie pestycydów w warzywach i owocach czekają na przebadanie średnio ponad miesiąc, czyli wynik znany jest w chwili, gdy ze sklepu nie ma już czego wycofywać, bo klienci dawno to zjedli. Kontrola nad przetwórstwem mięsa to także fikcja. W jednym województwie na jednego inspektora przypada ponad trzysta podmiotów. Sprzedaży żywności online nie pilnuje nikt.

To ja od siebie dodam nieszczerły unijny system certyfikacji żywności ekologicznej.

Tej oznakowanej bio-listkiem z unijnymi gwiazdkami?

Właśnie tej. Znam przykładowo producentów sera, osoby bardzo przyzwyczajone do traktowania produkcji żywności jak misję i do tego cieszące się uznaniem konsumentów, którzy zrezygnowali z prawa do tego oznaczenia. Twierdzą, że szkoda im czasu na coś, co staje się własną parodią. Bruksela współpracuje z firmami, które przyznają te certyfikaty odpłatnie. Teoretycznie robią to wedle ściśle określonych procedur gwarantujących organiczność żywności. Jednak w praktyce często wygląda to w ten sposób, że przyjeżdża facet z grubym skoroszytem, przez pół godziny wypełnia jakieś kwity, ale nie ma czasu nawet spojrzeć na proces technologiczny czy warunki produkcji.

Nie wiercie Brukseli, gdy przynosi certyfikaty?

Unijne kwity nie są gwarancją jakości, choć moim zdaniem wcale nie dowodzi to ich całkowitej nieprzydatności. Bio-listek z gwiazdkami nikomu nie może dać pewności, że w oznakowanym nim produkcie nie ma pestycydów czy innych świństw. Kto miał zajęcia z logiki, ten wie, że nie da się z całą pewnością dowieść nieistnienia czegoś. Inspektor, który certyfikował warzywa, jakie kupiłem na bulion na bazarku pewnej sieci handlowej, również nie był przy ich uprawie od kiełkowania po zbiór. Swoją pieczęcią jedynie zwiększa prawdopodobieństwo, że proces ten odbył się w sposób zgodny z założeniami.

Jak wiesz, nie jestem bezkrytycznym wielbicielem unijnych instytucji, ale ufam im na tyle, żeby zakładać, iż rolnik, któremu na podwórku walają się beczki po roundupie [pestycydzie do zwalczania chwastów, który przy okazji zwalcza niemal wszystkie rośliny – red.] jednak tej certyfikacji nie przejdzie. W tym sensie cały system ma więc sens nawet wtedy, gdy nie jest w pełni szczelny. Ważne, że działa jak sito wyłapujące najgrubsze zanieczyszczenia.

Nie powiem, że mnie uspokoiłeś.

Też jestem daleki od spokoju. Zwłaszcza gdy widzę, co się wyprawia na najwyższym szczeblu unijnego zarządzania przemysłem rolno-spożywczym, gdzie jedynymi pewnymi danymi są coraz częściej miliardy wydane na lobbging.

Prawdziwie gwiazdne wojny toczyły się pięć lat temu o wspomniany glifosat, nam znany jako substancja aktywna powszechnie stosowanego preparatu Roundup. Pojawiły się wtedy badania, z których wynikało, że ten herbicyd może mieć działanie rakotwórcze. Producent, koncern Monsanto, przedstawił swoje dane, mówiące naturalnie coś zupełnie innego, a do tego zatrudnił armię prawników. Ostatecznie dostał tymczasowe dopuszczenie do obrotu, które kończy się w tym roku.

Za chwilę ten cyrk ruszy więc ponownie. Co roku prowadzi się wiele badań dotyczących wpływu herbicydów – w tym glifosatu – na zdrowie, ale nie dają one jednoznacznych wyników i do konsensusu naukowego w tej sprawie nadal daleko. Koncern Bayer, który w międzyczasie połączył się z Monsanto, wolał w 2021 r. wydać ponad 10 mld dolarów na ugody sądowe w USA, które ściągnęły mu z głowy około stu tysięcy pozwów.

Kwestia potencjalnej szkodliwości glifosatu zeszła z wokandy, ale to nie znaczy, że została rozstrzygnięta.

Podobne wątpliwości można mieć pewnie wobec wielu innych substancji?

Można wspomnieć także o neonikotynoidach. To nowoczesne środki ochrony, ważne zwłaszcza dla upraw rzepaku i buraka cukrowego, czyli bardzo rentownych gałęzi rolnictwa. Są jednak badania, z których wynika, że neonikotynoidy wpływają szkodliwie na zdolności orientacyjne pszczół i hamują ich rozmnażanie. Producenci oczywiście przedstawili ekspertyzy podważające te dane.

Unia w 2018 r. wpisała trzy takie substancje na listę środków zakazanych, ale jednocześnie zostawiła furtkę w postaci tzw. derogacji, czyli warunkowych dopuszczeń do stosowania. Efekt? Krajowy Związek Plantatorów Buraka Cukrowego co roku występował do polskiego rządu o tymczasowe zawieszenie zakazu i oczywiście je dostawał (choć np. plantatorzy rzepaku spotkali się za którymś razem z odmową). W innych krajach wygląda to zresztą podobnie, co może nas oczywiście słusznie oburzać, ale też pokazuje, że gdy w grę wchodzi bezpieczeństwo żywnościowe – czy to rozumiane jako dostęp do dużej ilości taniego jedzenia, czy jako dbałość o zdrowie konsumentów – każda decyzja staje się *de facto* polityczna.

W sprawach żywności politycy na całym świecie od dawna są zgodni: wolą opcję numer jeden. Trudno się im zresztą dziwić, kiedy się spojrzy na statystyki demograficzne.

Bez środków ochrony roślin i nawozów, których tak nie lubimy w bogatym zachodnim świecie, nie udałoby się w takim stopniu zredukować zagrożenia głodem. Przemysł rolno-spożywczy ma wiele ciemnych stron, ale zapewnia dość stabilne i niezależne od pogody dostawy, o przewidywalnych cenach. Z punktu widzenia przeciętnego Europejczyka żywność – nawet dziś, przy wysokiej inflacji – jest bardzo tania. Może nawet zbyt tania, skoro tyle jej marnujemy. Wydaje mi się, że z tej ścieżki nie ma już odwrotu, bo ona stanowi także element naszego zachodniego stylu życia i kultury, opartej na bezpieczeństwie żywnościowym.

Mój tata ma 90 lat, ale do dziś wyrwywa mu się przy stole powiedzenia krążące

wokół głodu. Niemal cała kultura ludowa do niedawna w centrum uwagi miała właśnie niedostatki żywieniowe. Jeszcze w latach 80. XX w., które my dwaj świetnie pamiętamy, problemy z aprowizacją były na porządku dziennym.

Dlatego sceptycznie traktuję narrację płynącą dziś ze strony części środowisk, powiedziałbym, mocno proekologicznych, które mitologizują czasy żywności przedprzemysłowej. Mówi się, że wtedy jedzenia było mało, ale za to było zdrowe, a dowodem na to mają być właśnie ludzie pokroju mojego taty, którzy rzekomo dzięki prostej diecie dożywają wieku matuzalemu. Jednak taki rachunek nie uwzględnia tysięcy tych, którzy w loterii genowej nie trafili równie szczęśliwie jak mój tato, a którym niedożywienie w połączeniu z rozmaitymi chorobami skróciło życie. Nie dowiemy się już, czy na śmieciowym żarciu, bez stałego lęku przed głodem, nie pożyliby jednak dłużej.

Najlepiej byłoby cały świat karmić obficie i zarazem zdrowo. Niewykonalne?

W Unii Europejskiej tylko 8 proc. obszarów uprawnych ma certyfikat ekologiczny. W małej i zamożnej Austrii udział biogospodarstw w ogólnym areale sięga 20 proc. Owszem, Austria czy Dania mogłyby przejść na eko w większym zakresie. Ale uboższe kraje? Wątpię. Rozwiązaniem może być za to tzw. żywność nisko-interwencyjna, czyli jeszcze nie biożywność, jeszcze z użyciem nawozów i her-



GRAŻYNA MAKARA

PAWEŁ BRAVO (ur. 1967) jest dziennikarzem i tłumaczem. Od 2011 r. regularnie obecny na łamach „Tygodnika” jako autor tekstów dotyczących polityki krajowej i zagranicznej oraz mód i obyczajów żywieniowych. Od 2015 r. prowadzi rubrykę kulinarno-społeczno-polityczną „Smaki”.

bicydów, ale w ograniczonym stopniu. Tylko tyle, ile trzeba dla zapewnienia obfitych i przewidywalnych zbiorów.

**Powiedz to naszym rolnikom.
W latach 2011-16 sprzedaż środków
ochrony roślin wzrosła w Polsce
o 12,3 proc., a powierzchnia upraw
tylko o 1,5 proc.**

Dlatego uważam, że zmianę może zapewnić jedynie „umiarkowany radykalizm”, ograniczanie stosowania chemii do sytuacji, w których nie ma alternatywy. Jako konsumenci jedziemy z producentami na jednym wózku. Mam prawo wściekać się na panią, która zlewa roun-

dupem działkę, bo chce mieć ładny trawnik. Ale czy wolno mi ją wrzucić do jednego worka z rolnikiem, który w ten sam sposób kupuje sobie więcej czasu z rodziną albo ulgę dla schorowanego kręgosłupa?

A możemy zrobić coś poza odczuwaniem słusznego oburzenia?

Myślę, że wiele. Suma indywidualnych decyzji konsumenckich może wymusić zmiany. W wielu sklepach nie uświadczysz dziś jajek z chowu klatkowego, bo klienci zaczęli zwracać na to uwagę. Dalej: nie kupuję nowalijek, bo zakładam, że w Polsce bez góry sztucznych nawozów nie da się uzyskać w marcu zbiorów młodej marchwi czy pomidorów. Od dawna propaguję, także w „Tygodniku”, ideę jedzenia mięsa jedynie w niedziele. Raz w tygodniu, ale za to z dobrego źródła. Zwłaszcza w dużych miastach można dziś w miarę łatwo dotrzeć do sprawdzonych dostawców. Dziś na obiad będę mieć m.in. barszcz: wywar przyrządziłem z warzyw z Lidla, ale zakwas mam z buraków od pana Darka Krężlewicza z targu w warszawskiej Fortecy, którego znam i wiem, że prowadzi uprawę w pełni ekologiczną.

Drogo?

Kosztowały, lekko licząc, dwa razy więcej od buraków z hipermarketu i zdaję sobie sprawę, że gdybym chciał w ten sposób codziennie gotować dla dużej rodziny, to budżet mógłby nie wytrzymać.

©® Rozmawiał MAREK RABIJ

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyta
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: artystyczny: ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata
Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabin,
Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyta,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyta (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
(kierownik), Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Marta Bogucka, Agnieszka Cynarska-Taran,
Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Katarzyna Domin,
Sylvia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska,
Maja Kuczmiska (kierownik), Mateusz Gawron,
Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna
Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata,
Hanna Krall, Stanisław Manciewicz, Dorota Masłowska,
Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik,
Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszynski

Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Dragula, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller,
Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski,
Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński,
Dorota Kozłowska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka,
Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk,
Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski,
Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski,
Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak,
Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepiolo,
Tadeusz Stawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczmiska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie
technologiczne
dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Dom Jakuba*



„BĄDŹCIE GOTOWI NA TRZECI DZIEŃ; nie przystępujcie do kobiety” (Wj 19, 15; Cyilkow) – słyszą od Mojżesza obozujący u podnóża góry Synaj Izraelici. Trudno nie dostrzec w tym wersie potwierdzenia tezy, iż przymierze z Najwyższym zawrą

tylko mężczyźni. Oczywiście druga płęć też będzie mu podlegać, ale – wraz z dziećmi i niewolnikami – w ramach przynależności do zawiadywanych przez mężczyzn klanów. Czy ta znajoma śpiewka sprawi, że potulnie poczekamy parę tysiącleci, aż judaizm liberalny zaoferuje nam nową optykę, czy jednak spróbujemy odszukać w dawnych źródłach cień innego spojrzenia na kobiety podczas Objawienia?

Zacznijmy od pierwszej części Talmudu. Pada tam pytanie: skąd wiadomo, że wydalające nasienie na trzeci dzień staje się rytualnie nieczyste (zob. Kpł 15, 16-18)? Odpowiedzią jest nasz wers. Ciche założenie: sperma w ciele kobiety może zapładniać do trzech dni po stosunku. Teraz rzućmy okiem na jeden z pomniejszych traktatów, które nie weszły do Talmudu. Zauważa on, że w ramach przygotowania do teofanii Bóg nakazuje Mojżeszowi: „Idź do ludu, a przygotuj ich dziś i jutro, i niech wypiorą szaty swoje” (Wj 19, 11). Ten jednak dodaje z własnej inicjatywy jeden dzień. Traktat odtwarza kalkulację Mojżesza: „Mąż będzie współżył z żoną [pierwszego dnia], ona wydali nasienie na trzeci dzień i będą nieczyści – wówczas Izrael otrzyma słowa Tory z góry Synaj w stanie rytualnej nieczystości. Dołożę im więc trzeci dzień i będą rytualnie czysti” (ciche założenie: sperma w ciele kobiety może jeszcze zapładniać dwa dni po stosunku, na trzeci już obumiera). Mojżesz sam podejmuje taką decyzję, lecz jest ona zbieżna z wolą Bożą. By wrócić do stanu czystości rytualnej, mężczyźni wystarczy kąpiel po stosunku i nadejście wieczora. Skoro Mojżesz dokłada dzień, najwidoczniej zależy mu również na tym, by i kobiety były odpowiednio przygotowane na Objawienie. One również otrzymają Torę?

„Tak powiesz domowi Jakóba, i oznajmisz synom Izraela” (wers 3) – rozpoczyna swoją mowę Najwyższy, a Mojżesz przekazuje Jego słowa ludowi. Zaznajomieni z konstrukcją biblijnej poezji nie zwracamy szczególnej uwagi na paralelizm w tym wersie. I tu niespodziankę sprawia nam starożytny midrasz – tak stary, jak pierwsza część Talmudu: dom Jakuba – to kobiety, synowie Izraela – to mężczyźni. Do kobiet przemawiaj łagodnie i w kategoriach ogólnych, szczegóły zostaw dla mężczyzn. Midrasz średniowieczny dodaje: mów wpierw do kobiet, bo mężczyźni podążają za nimi. Kobiety chętnie przestrzegają przykazań i przekazują to swoim dzieciom. Kto by pomyślał, że poza głównym nurtem jest i taka tradycja: kobiety też otrzymały Torę na górze Synaj – w dodatku przed mężczyznami! ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Duchy ofiary i daru*



„MIŁUJCIE WASZYCH NIEPRZYJACIOŁ”. „Dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą. (...) Temu, kto cię uderzy w policzek, nadstaw i drugi”, wtedy „będziecie synami Najwyższego. On bowiem jest łaskawy dla niewdzięcznych i złych”, mówi

Jezus w Ewangelii Łukasza. Natomiast w Ewangelii Mateusza czytamy: „Kto się przyzna do Mnie przed ludźmi – mówi Jezus – do tego i Ja się przyznam przed moim Ojcem, który jest w niebie. Ale jeśli ktoś się Mnie wyprze przed ludźmi, tego i Ja się wyprę przed moim Ojcem, który jest w niebie”. Podobnych sprzeczności mamy w Biblii pod dostatkiem, wręcz cała Biblia na tym konflikcie została zbudowana. Czytając Biblię, widać jak na dłoni, że Biblia jest areną mocowania się dwu koncepcji Boga, a co za tym idzie – człowieka. Zarówno Bóg, jak i człowiek rozpięci są, żeby nie powiedzieć: rozdzielani, między miłością i nienawiścią, przebaczeniem i karą, sprawiedliwością i miłosierdziem. Mówiąc za papieżem Franciszkiem, walczy w nas duch ofiary i duch daru. Czym różnią się te dwa duchy, te dwa podejścia do rzeczywistości?

Podczas przesłuchania Jezusa przez Annasza jeden ze sług, święcie oburzony Jego odpowiedzią na pytanie zadane przez arcykapłana, „wymierzył Jezusowi policzek, mówiąc: »W taki sposób odpowiadasz najwyższemu kapłanowi?«. Jezus mu odrzekł: »Jeśli złe coś powiedziałem, to udowodnij, co było złe, a jeśli dobrze, to dlaczego Mnie bijesz?«. Jezus bity nie pokornieje, ale podnosi głowę i zadając pytanie oprawcy sygnalizuje, że nie traktuje go jako wroga, nie nienawidzi, a przeciwnie, nadal o niego się troszczy. A to znaczy, że już odpuścił mu ten grzech, więcej, nigdy się na niego nie pogrywał.

Zadając pytanie, Jezus próbuje obudzić w człowieku sumienie, rozum, serce. Jezus zdaje się do niego mówić: Człowieku, pomyśl, co robisz? I właśnie na tym polega miłość nieprzyjaciół, na trosce o nich. Na tym też polega zbawienie. Nie na ogromie cierpienia, które spadło na Jezusa z naszej ręki, ale na tym, że Jezus nas nie odrzucił. „Grzechy są zgładzone śmiercią Chrystusową, przeto wiemy, że Bóg już się na nas nie gniewa, ale jest naszym przyjacielem, a nawet miłym Ojcem. Pojednanie to, jakież obowiązek wkłada na nas? Oto ten, żebyśmy radowali się, iż mamy Boga tak łaskawego i dobrotliwego, który jest miłością, i chwalili go i w nim pokładali swe ufanie w każdym utrapieniu i pokuszeniu. Bo jeśli Bóg naszym przyjacielem, cóż może nam szkodzić, martwić i straszyć nas? (...) Chrystus siedzący na prawicy Ojca przyczynia się za nami” – mówi ks. Marcin Luter. A więc jeśli już ktoś do kogoś musi zmieniać nastawienie, to nie Bóg do nas, ale my do Boga. To nie Bóg na nas, ale my na Boga musimy przestać się gniewać. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Jezus przekracza granice

*Diabeł – sam niespokojny
i innych niepokoi.*

DOROTEUSZ Z GAZY



*Wolny od przywiązania,
bez formy – świadkiem
wszystkiego jesteś.
Bądź szczęśliwy!*

ASZTAWAKRAGITA



Wybrał PIOTR SIKORA



„JEZUS UDAŁ SIĘ w okolice Tyru i Sydonu. Wstąpił do pewnego domu i chciał, żeby nikt o tym nie wiedział”

(Mk 7, 24). Pójście w okolice Tyru i Sydonu to pójście w świat pogański. Czemu Jezus tam idzie? Z całą pewnością nie z myślą o jakiegokolwiek misji. Szuka odosobnienia, i to możliwie kompletnego. Chce być sam. Idzie tam, gdzie – jak pewnie myśli – nikt Go nie zna, i nikt się nie dowie o Jego obecności. Szuka odpoczynku? A może miejsca na cichą modlitwę w odosobnieniu? A może po prostu samotności – by mógł pobyc z Bogiem, i z samym sobą?

Wszystko na nic. „Zaraz bowiem usłyszała o Nim kobieta, której córka była opętana przez ducha nieczystego (...) a była to poganka, Syrofenicjanka z pochodzenia, i prosiła Go, żeby złego ducha wyrzucił z jej córki” (w. 25 i 26).

Jej pojawienie się w otoczonym tajemnicą domu stało się dla Jezusa wezwaniem do przekroczenia wielu granic. Pierwszą z nich – pewnie najłatwiejszą – była granica własnych planów i związanego z nimi komfortu: przyszedł tu szukać ciszy, odosobnienia, modlitwy i samotności. Cała ta przestrzeń marzeń została przez nią bezpardonowo naruszona. Wtargnęła w sam środek Jego marzeń, nie licząc się z Jego planami i komfortem. Musiał je i to natychmiast (grec. *euthys*) zostawić i zwrócić się ku niej. Wiem, jak trudne to bywa...

Następne wyzwania ukryte są w zdaniu: „a była to poganka, Syrofenicjanka”. Polskie „poganka” ma w naszym tekście oddać greckie *Hellenis*, czyli (dosł.) „Greczynka”. Chodzi więc nie tylko o różnicę wiary, ale również kultury, innej wrażliwości i formacji intelektualnej. To dwie mocne granice – wzmocnione jeszcze określeniem „Syrofenicjanka” – a więc na pewno „nie-Żydówka”. Czy to widział? A może widział przede wszystkim po prostu zrozpaczoną i płaczącą matkę opętanej córeczki?

Z całą pewnością widział najpierw płaczącą matkę, ale widział także, kim jest. Na to wskazuje dialog, a ściślej to, co On mówi do niej: „Pozwól wpierw nasycić się dzieciom, bo niedobrze jest zabierać chleb dzieciom, a rzucać szczeniętom” (w. 27).

A więc: Nie! Albo przynajmniej: Nie, nie teraz; za wcześniej. Teraz jest czas działania wśród „dzieci”. Nie jest (przynajmniej teraz) do Was posłany (por. Mt 15, 24: „Jestem posłany tylko do owiec, które poginęły z domu Izraela”).

W tych słowach wyczytujemy pewnie najtrudniejszą granicę – granicę zdefiniowaną uprzednio rozebraną Wolą Bożą. Bo oto naraz jakby Bóg przyspieszył, wzywa do czegoś, co miało wydarzyć się później. Wzywa słowami i postawą kogoś, kto wydawał się żyć „poza granicami” Jego działania. Ostatecznie bowiem Jezus podejmuje działanie z racji na wypowiedziane przez nią słowa („przez wzgląd na te słowa idź; zły duch opuścił twoją córkę”). Co usłyszał w tych słowach? Czy nie usłyszał słów Ojca? ©

CZYTANIA LITURGICZNE (20 – 27 II)

7. niedziela zwykła: 1 Sm 26, 2. 7-9. 12-13. 22-23;

Ps 103; 1 Kor 15, 45-49; Łk 6, 27-38;

Poniedziałek: Jk 3, 13-18; Ps 19; Mk 9, 14-29;

Wtorek: 1 P 5, 1-4; Ps 23; Mt 16, 13-19;

Środa: Jk 4, 13-17;

Ps 49; Mk 9, 38-40;

Czwartek: Jk 5, 1-6; Ps 49;

Mk 9, 41-43. 45. 47-50;

Piątek: Jk 5, 9-12; Ps 103; Mk 10, 1-12;

Sobota: Jk 5, 13-20; Ps 141; Mk 10, 13-16;

8. niedziela zwykła: Syr 27, 4-7; Ps 92; 1 Kor 15, 54b-58; Łk 6, 39-45.

NIE PO KACZYŃSKIEGO PRZYJECHAŁEM

Tusk jest odbierany jako polityczny drapieżnik, gracz bezwzględny, który tak długo będzie tulił partnera, aż go udusi.

Jednoczenie opozycji pod jego kierunkiem jest obarczone tą obawą.

KAROLINA LEWICKA

Z DONALDEM TUSKIEM SPOTYKAM się w siedzibie Platformy, na piątym piętrze kamienicy przy Wiejskiej, tuż obok parlamentu. Tego dnia wieczorem kolejne potwierdzenie znajdują informacje o toczącym obóz władzy procesie rozkładu: prezes PiS-u polegnie w głosowaniu nad ustawą „lex Kaczyński”.

Od powrotu byłego premiera do polskiej polityki minęło już siedem miesięcy. Pytam, czy nie żałuje tego ruchu. Wcześniej jeden z prominentnych ludowców przekonywał mnie, że gdy Tusk staje rano przed lustrem, to sam siebie pyta: „Po co mi to było?”.

– Jestem szczęśliwy, że wróciłem – zapewnia Tusk. – Chociaż „szczęśliwy” to nie najlepsze słowo, mamy przecież tragedię pandemii i groźbę wojny na wschodzie. Ale czuję, że dobrze zrobiłem, moje miejsce jest tu, w Polsce. Chcę jeszcze raz podjąć walkę, a jest o co i jest z kim. Przed lustrem mówię sobie: „Teraz trzeba tylko wygrać”.

Przejąć własną partię

Tusk pojawił się w Polsce, kiedy o jego powrocie przestano już dywagować, a najwierniejsi z wiernych

przestali nań czekać. Stąd wrażenie było ogromne. – Wraciał jak Napoleon z Elby – mówi Paweł Piskorski, jeden z założycieli PO, dziś szef Stronnictwa Demokratycznego. – Cesarz Francuzów błyskawicznie zajął Paryż, porządkował sobie generałów i wygnał króla. Jednak potem było Waterloo.

Ta historyczna analogia to prognoza klęski. Ale ani dotychczasowy bilans działalności Tuska w krajowej polityce, ani perspektywy na przyszłość nie są jednoznaczne. Pewne jest jedno. Kiedy pytam Waldemara Pawlaka, czy Tusk wciąż ma apetyt na władzę, przewodniczący Rady Naczelnej PSL-u najpierw długo się śmieje, po czym stwierdza: – Proszę pani, on to ma we krwi!

Własna partia, w przededniu przyjazdu Tuska pogrążona w głębokim kryzysie, nie stawiała mu oporu. Borys Budka oddał stery, a Rafał Trzaskowski wycofał się do warszawskiego ratusza. Sondażowe notowania Platformy poszły w górę, ze słabych 12 proc. na sporo ponad 20, dzięki czemu wróciła na pozycję lidera opozycji. Oraz – według szefa PO – głównej alternatywy dla PiS-u. – Jeśli ktoś





JACEK DOMIŃSKI / REPORTER // MONTAŻ TP-ONLINE

nie chce ich, to pierwszym skojarzeniem jesteśmy my – stwierdza.

Ale na razie Platforma nie ma szans na samodzielne zwycięstwo. – Tusk z dużą determinacją przystąpił do zdobywania PO – mówi Piskorski. – Ale ewidentnie nie był przygotowany do drugiego etapu.

Okres jesienno-zimowy był czasem wielu działań rozpoczętych, ale niedokończonych. Na początek Tusk spolaryzował scenę polityczną ogłaszając, że mamy w kraju „konfrontację dobra ze złem”, co wzmocniło i PO, i PiS, ale osłabiło notowania opozycji jako całości. Później w Płońsku zapowiedział marsz na prowincję, po głosy Polski powiatowej. Po czym zabrakło ciągu dalszego, a Tusk tłumaczył mi, że to z powodu pandemii. W październiku był wprawdzie udany wiec w obronie członkostwa Polski w UE na placu Zamkowym w Warszawie (i, równolegle, w wielu innych miastach), ale próba odwołania się do tych emocji umarła śmiercią naturalną, bo – jak usłyszałam od jednego z członków kierownictwa PO – Polacy nie uważają wyjścia z Unii za realne. Miesiąc później Tusk stracił prawo jazdy za przekroczenie prędkości w terenie zabudowanym (jechał 107 km/h), a partię przez kilkanaście tygodni mroził kryzys graniczny, na którym, przynajmniej początkowo, wygrywał PiS, bo jego polityka wypychania uchodźców z powrotem na Białoruś zyskała akceptację także w części elektoratu opozycji.

Problemem były też relacje wewnątrz partii – przywództwa Tuska nikt nie kwestionował, ale na wielu działało ono mroząco. Czekano na ruch „kierownika”, wstrzymywano się z własnymi inicjatywami. A sam Tusk pojawiał się na chwilę i znikał na dłuższy czas, godząc szefowanie Platformie ze stanowiskiem przewodniczącego Europejskiej Partii Ludowej.

– Wiele osób było rozczarowanych tą prawie czteromiesięczną stagnacją – mówi mi poseł PO. – Ostatnio jednak w strukturach znów jest entuzjazm.

Donald Tusk w Mińsku Mazowieckim, styczeń 2022 r.

Bo Tusk wrócił niejako po raz drugi, na początku tego roku, i w końcu ruszył w zapowiadaną trasę po Polsce, odwiedzając głównie drobnych przedsiębiorców, uginających się pod ciężarem Polskiego Ładu i podwyżek cen energii. Pod koniec stycznia odbył się też pierwszy kongres programowy PO pod hasłem „Odporna Polska”, na którym padło kilka wyborczych i podlanych populistycznym sosem obietnic: choćby drugiej waloryzacji emerytur w przypadku dwucyfrowej inflacji czy pomocy kredytobiorcom, których raty poszły w górę na skutek podwyżek stóp procentowych.

Aktywność przewodniczącego i partii jest większa, ale ponoć w wewnętrznych rozmowach Tusk przekonuje, że problemy PiS już tak nabrzmiały, iż, jak w starym chińskim przysłowiu, wystarczy usiąść na brzegu rzeki i czekać na politycznego trupa Jarosława Kaczyńskiego. Kluczem zaś do zwycięstwa ma być wcześniejsze opanowanie sytuacji na opozycji.

Zepchnąć konkurentów w przepaść

Tu jednak sytuacja jest skomplikowana. Szerokim echem odbił się tekst Macieja Gduli, symptomatycznie zatytułowany: „Problem z Tuskiem”. Socjolog i poseł Nowej Lewicy przekonuje w nim, że były premier to dla opozycji obciążenie, bo postawił na politykę w starym stylu, a jej „stawką jest udowodnienie, kto kogo może rozstawiać po kątach”. Tyle że to tekst rozpaczliwy, bo nikt, także Tusk, lewicowych wyborców w jasyr nie bierze. Odpływają od Włodzimierza Czarzastego (i niemal kompletnie nieobecnego w kraju Roberta Biedronia) do browolnie. Zresztą kiedy PO traciła poparcie, to rosły notowania Hołowni, a nie Lewicy.

Jednak z drugiej strony narracja Tuska o ryzyku powyborczej koalicji Lewicy z PiS-em nie może być przypadkowa. – I ja jednak tego nie rozumiem – komentuje Andrzej Olechowski, jeden z założycieli PO, obok Tuska i Macieja Płażyńskiego. – Po pierwsze, argument, że Lewica jest niepewna politycznie, uważam za dęty. Po drugie, nie ma przepaści ideowej między Tuskiem a Lewicą. Po trzecie wreszcie, ➔

→ bez Lewicy opozycja nie zdoła uzyskać większości, a zepchnięcie jej pod próg może skończyć się tak, jak w 2015 r. Prędzej czy później trzeba będzie się dogadać.

Według jednego z posłów Nowej Lewicy Tusk gra na jej osłabienie, by pociągnęło ono za sobą zmianę przywództwa. – Chodzi o wyeliminowanie z gry Czarzastego, bo to jemu Tusk nie ufa – słyszę. To nie jest nierealny scenariusz: sondaże dla Lewicy nie są łaskawe, rośnie frustracja działaczy, a połączenie Wiosny z SLD było, co pokazały badania wewnętrzne, „całkowicie obojętne” dla elektoratu. Nie pojawiła się premia za jedność, jest za to koło PPS-u złożone z lewicowych dysydentów, współpracujące z Tuskiem i czekające na następnych uciekinierów z Nowej Lewicy. – Czarzasty liczy na to, że w kolejnej kadencji będzie języczkiem uwagi: wprowadzi ok. 20 posłów i będzie mógł wybierać, komu pomoże stworzyć rząd – mówi mi były już działacz Nowej Lewicy. – Ale nawet jeśli postawi na opozycję, to Tusk nie zechce być w obecnej sytuacji Kaczyńskiego, którego kilkunastoma szablastami szantażuje Ziobro.

Kiedy pytam o Lewicę byłego premiera, Tusk ucina: – Nie jestem w stanie zrozumieć i zaakceptować polityków, którzy chadzą np. do programu pana Rachonia w TVP, by wspólnie z nim, beczere-monialnie i jakby na rządowe zamówienie, atakować PO.

Niewykluczone, że cel byłego premiera to zepchnięcie Lewicy w sondażach poniżej 5 proc. – tak by jej wyborcy, nie chcąc zmarnować głosu, oddali go na tę partię, która daje największe nadzieje na pokonanie PiS-u (przypomnijmy, że to elektorat Lewicy jest najsilniej antypisowski). Wówczas obyłoby się bez konieczności jakichś programowych koncesji na rzecz lewicowego elektoratu, np. obietnic składanych środowiskom LGBT+. Tusk celowo zarzucił po powrocie konserwatywną kotwicę i nie zamierza jej podnosić.

Równie źle wyglądają relacje PO z Polską 2050, której powrót Tuska – podobnie jak wcześniej wejście do prezydenckiej gry Rafała Trzaskowskiego – podciął skrzydła. Obie partie dzielą między siebie ten sam elektorat, tyle że teraz silniej przyciąga go PO. Szymon Hołownia, pomny losu Nowoczesnej (skądinąd ostatnio pojawiły się pogłoski o planach jej ostatecznego wchłonięcia przez PO), obawia się marginalizacji, stąd tak nerwowo reaguje na propozycję stworzenia wspól-

Niewykluczone, że jednym z celów Donalda Tuska jest zepchnięcie Lewicy poniżej progu 5 proc.

Tak by jej wyborcy, nie chcąc zmarnować głosu, oddali go na partię dającą największe szanse pokonania PiS.

nej listy wyborczej. Wie, że silniejszy finansowo i strukturalnie partner Polskę 2050 najpierw zdominuje, a potem unicestwi. Tusk jest bowiem odbierany jako polityczny drapieżnik, gracz bezwzględny, który tak długo będzie tulił partnera, aż go udusi. Dlatego w odpowiedzi na publiczny apel reżysera Stanisława Brejdyganta o zjednoczenie opozycji Hołownia przekonywał, że zaproponowana przez byłego premiera strategia jednej listy „zniechęca ludzi, którzy od lat nie odnajdują się już w polsko-polskiej wojnie”. Polska 2050 powołuje się też na swoje wewnętrzne analizy – aż 40 proc. jej elektoratu wyraża niechęć wobec PO, stąd nie ma szansy na proste dodanie procentowych wyników obu formacji.

Podczas kongresu programowego Tusk oznajmił, że nie rozumie niechęci opozycyjnych partnerów do łączenia sił, ale szanuje ich zdanie, dlatego teraz skoncentruje się na przygotowaniach do zwycięstwa PO. – Nie ma już czasu – twierdzi. – Za półtora roku zacznie się kampania. Dziś należałoby ustalić wspólnych kandydatów do Senatu i „budować” tych, którzy mieliby walczyć o mandat w swingujących okręgach. Wydaje mi się dość oczywiste, że wspólny start oznacza zwycięstwo opozycji, a start osobny oznacza tylko możliwe zwycięstwo PO. Nie chcę podejmować ryzyka bez potrzeby, ale skoro nie ma woli pozostałych, to będę robił wszystko, i to bez żadnych pieszczot, by Platforma była jak najsilniejsza. Obawiam się jednak, że wówczas emocji będzie między nami coraz więcej, a gdy przekroczymy ich właściwy ciężar, później trudniej będzie się nam spotkać.

Opór Hołowni to dla szefa PO poważny problem. Chodzi o sondażowy sufit. Jeśli wspólny elektorat PO i Polska 2050 liczy około 40 proc., a Hołownia zagospodaro-

wuje przynajmniej jedną czwartą z nich, to maksimum, jakie w sondażach może osiągnąć Platforma, jest w okolicach 30 proc. To za mało, by być pewnym zwycięstwa nad PiS-em. Ponadto taki rozkład poparcia między dwie opozycyjne formacje oznacza mniej mandatów w przyszłym Sejmie, niż gdyby taki sam procentowy wynik uzyskało jedno wspólne ugrupowanie lub wyborcza koalicja.

Czy zjednoczeniowy scenariusz jest możliwy? Na razie nie wiadomo nawet, czy Tusk pojawi się 21 marca na debacie liderów opozycji, zaproponowanej przez Hołownię. Decyzję podejmie w ostatniej chwili. To wydarzenie medialne skłoniło zresztą Polskę 2050, Nową Lewicę i PSL do współpracy programowej. Widać, że chcą tworzyć wspólny front przeciwko Tusкови.

Znaleźć złote runo

Czy lider PO poradzi sobie, konkurując z PiS i jednocześnie z opozycją? W jakiej dziś jest formie? To pytanie najpierw zadaje ekspertom.

– Jest najjaśniejszą gwiazdą opozycji – uważa Antoni Dudek, historyk i politolog z UKSW. – Nikt nie jest mu w stanie zagrozić: Trzaskowski skapitulował, Hołownia wciąż jest za słaby, a Kosiniak-Kamysz ma kulę u nogi, czyli własną partię. Jednocześnie Tusk jest politykiem zużyтым, choć wciąż z potencjałem do mobilizowania ludzi. Mam wrażenie, że umiejętność zagrzewania do walki to jego najmocniejsza strona.

Faktycznie, właściwie nie ma wypowiedzi Tuska bez wątku motywacyjnego, umownego hasła: „Jesteśmy w stanie pokonać PiS”. Kiedy prezydent zawetował „lex TVN”, Tusk napisał – mocno na wyrost – że to dzięki ulicznym protestom, jakby chciał dać swoim wyborcom poczucie sprawstwa. – Protesty same w sobie mają sens – mówi mi sam Tusk. – Po prostu życie jest lepsze, kiedy człowiek jest zdolny do oporu, nawet jeśli nie przekłada się to od razu na efekty. Przecież nie każda akcja kończy się bramką. Dla mnie ważne są wskazówki Timothy’ego Snydera, zawarte w jego niewielkiej książce „O tyranii”. W każdej jest zawarte oczekiwanie jakiejś formy aktywności. I jeszcze jedno: jeśli PiS się przed czymś cofa, to jest to siła. Jeśli bierze coś pod uwagę, to jest to nastroj społeczny. Protesty mogą ich powstrzymać przed najgorszymi działaniami.

Według socjolożki Karoliny Wigury z UW i „Kultury Liberalnej”, Tusk dysponuje dużym kapitałem wyjściowym, ale dopiero zobaczymy, jak się on przełoży na działania w polityce krajowej. – Dostrzegam kilka problemów, pierwszy dotyczy zarządzania partią. Tusk, jak mawiają jego współpracownicy, robi magię, ale od budowy, mobilizacji i dyscyplinowania struktur zawsze był ktoś inny. Pytanie, na ile sprawne jest teraz to techniczne zaplecze. Kolejna rzecz to codzienne zużywanie się Tuska i jego partii w reagowaniu na kryzysy wywołane przez PiS. To generuje wrażenie bycia reaktywnym i redukuje przestrzeń na własną agendę. I wreszcie: Tusk wciąż szuka złotego runa, czyli sposobu na populistów.

Dla liberalnych demokratów, do których należy Tusk, najważniejszym punktem odniesienia są dwie kampanie z 2016 r.: wybory prezydenckie w USA i brexit, w których poległ, nie potrafiąc przekonać do swoich racji. Według Wigury kluczowe jest przemyślenie obu wydarzeń: – Na płynących z nich wnioskach została zbudowana zeszłoroczna kampania niemieckiej SPD. Wypracowano choćby formułę bezpiecznego ustosunkowywania się do kwestii budzących napięcia, np. emancypacji osób LGBT. Olaf Scholz nie zaproponował społeczeństwu polityki miłości, ale politykę szacunku dla każdego i dla wszystkich. To zdało egzamin. Tusk swojej formuły na kampanię wciąż szuka.

Przy tej okazji pojawia się powtarzane jak mantra pytanie o program. Tusk nie ukrywa, że w tym momencie nie ma on dla niego większego znaczenia. – Kiedy bijesz się na polu walki, to raczej nie myślisz o tym, jak urządzisz swój dom na emeryturze. Odebranie PiS-owi władzy to pierwszy i najważniejszy punkt mojego programu.

To podejście zupełnie odmienne od pozostałych liderów opozycji, którzy przekonują, że tylko klarowna wizja tego, jak ma wyglądać Polska po rządach Kaczyńskiego, jest gwarancją pozyskania większości wyborców i podjęcia dzieła naprawy państwa już w powyborczy poniedziałek.

O polityczną formę Tuska pytam też polityków prawicy. – Oczekiwania były duże, bo przecież wrócił król strzelców, ale do bramki wpadają nieliczne strzały – ocenia polityk PiS-u, twierdząc, że paniki w jego partii nie ma i nie było, bo Tusk

Tusk robi magię, ale od budowy, mobilizacji i dyscyplinowania struktur zawsze był ktoś inny.

Pytanie, na ile sprawne jest teraz to zaplecze.

Nie brak głosów, że Tusk wrócił na partyjną pustynię.

działa na jej elektorat mobilizująco. Tylko TVP ma więcej „pracy”.

– Tusk w tych materiałach urasta do roli demona, jak Sauron, który patrzy na świat swym ognistym okiem i niszczy wszystko, co dobre – ocenia Antoni Dudek i przekonuje, że paradoksalnie ta telewizyjna kampania, skrajnie karykaturalna, może się Tusкови przysłużyć. Z kolei według Waldemara Pawlaka problemem Tuska jest sam Tusk, będący jedyną twarzą i filarem PO, niedzielący się ani władzą, ani odpowiedzialnością: – My jesteśmy z rocznika, gdzie z przodu jest piątka, a w polityce są już ludzie z siódmką i ósemką. Jak pisał Tadeusz Kotarbiński: „Do tego, by dobrze się działo, potrzebne są młode ręce i stare głowy”. Tymczasem w PO król jest jeden, dla reszty ewidentnie brakuje miejsca.

Odzyskać utracone *virtù*

Nie brak głosów, że Tusk tak naprawdę wrócił na partyjną pustynię, którą przed laty sam stworzył, sukcesywnie eliminując konkurencję. I że blokuje dopływ świeżej krwi, co cieszy wyłącznie starą gwardię. – Oni się bali, że jak Platformę weźmie Trzaskowski, to nastąpi wymiana partyjnych elit, a wraz z Tuskiem wróciła gerontokracja PO, przekonana o swojej moralnej i dziejowej racji, jak kiedyś działacze Unii Wolności – uważa były polityk Platformy. I dodaje, że Tusk wybiera ludzi, którzy go adorują, a jednocześnie „przez okno nie wyfruną”, co ma negatywne konsekwencje dla jakości uprawianej polityki.

W historii Europy mało jest powrotów z poziomu polityki globalnej do ligi krajowej. Może tylko Romano Prodi, który po zakończeniu misji szefa Komisji Europejskiej wrócił do Włoch, by stoczyć zwycię-

ską walkę z Silviem Berlusconi. Więcej jest przypadków ponownych sukcesów po wcześniejszych klęskach i politycznym niebycie. Pawłowi Piskorskiemu od razu przypomina się Winston Churchill. – Ku zdumieniu wszystkich, a już najbardziej Józefa Stalina, w maju 1945 r. wygrał wojnę, a w lipcu przegrał wybory. Jednak upłynęło trochę czasu i znów był w siodle. Tyle że tym razem premierostwo uznano za nieudane i archaiczne. Mam wrażenie, że Donald też nie wraca jako zaktualizowany Tusk 2.0, lecz stary Donald, trzymający się dawnych zasług i dawnego sposobu uprawiania polityki. A świat się zmienił – przypomina Piskorski.

Niecały jednak świat. Na placu boju pozostał dobrze znany, stary przeciwnik. Kim jest dziś dla Tuska Jarosław Kaczyński? – Prezes PiS-u, będąc politykiem antyeuropejskim, antyzachodnim, narodowym i socjalistycznym, jest po prostu moją odwrotnością. Ale ja nie po Kaczyńskiego przyjechałem, choć gdy myślałem nad opowieścią najtrafniej mogącą opisać mój powrót, to wybrałem klasyczny westernowy scenariusz: oto stary szeryf wraca do swojego miasteczka, by wypędzić z niego bandytę. Tyle że widzę polityków będących większym zagrożeniem niż Kaczyński. Piękni trzydziestoletni, najwyżej czterdziestoletni, cyniczni, amoralni, bez poglądów, za to skłonni do każdego świństwa. Wręcz faszyzujący. Ich coraz wyraźniejsza obecność w przestrzeni politycznej zwiastuje kłopoty, a może doprowadzić do katastrofy. Musimy jej zapobiec.

Zdaniem Tuska, Platforma przed jego powrotem była partią po licznych przegranych, bez gotowości do narzucania własnej narracji i tempa. Ta sytuacja wymagała psychologicznego treningu. – Pierwszą potrzebą było odzyskanie *virtù*. Męstwo jest najważniejszą cnotą w polityce, plus zdrowy rozsądek – twierdzi Tusk.

Pojęcie *virtù* odsyła nas do Niccolò Machiavellego, dla którego cnoty polityczne były rodzajem specyficznych sprawności władcy, jego energii i zdolności do podejmowania szybkich decyzji oraz skutecznego, czasem brutalnego działania. A historia zawsze ostatecznie rozlicza polityków z osiągniętych celów. Tusk podjął duże ryzyko. Pokonanie Kaczyńskiego przysła mu nimbu, jednak przegrana rozwodni jego wcześniejsze zwycięstwa.

© KAROLINA LEWICKA

Państwu już dziękujemy

ANGELIKA PITOŃ

Pięciu pracowników Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie założyło związek, ale troje już zwolniono. Na uczelni trwa od niemal roku czystka, z polityką w tle.

GDYBY KTOŚ Z PAŃSTWA SŁYSZAŁ O PRACOWNIKACH dla humanistki, lat pięćdziesiąt pięć, najlepiej na stanowisku dydaktyczno-naukowym, to chętnie przyjmę, bo bez pracy ciężko żyć, nawet w tak cywilizowanym kraju” – napisała tuż po Nowym Roku do senatorów Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie Nina Pluta-Podleszańska. Profesorka iberystyki, na UP przepracowała 16 lat. W czerwcu stanęła na czele nowo utworzonego związku zawodowego Inicjatywa Pracownicza. Niespełna pół roku później rektor uczelni, prof. Piotr Borek, zwolnił ją dyscyplinarnie; mimo negatywnej opinii związku, co jest niezgodne z prawem. „Powodem rozwiązania stosunku pracy jest ciężkie naruszenie przez pracownika podstawowych obowiązków” – czytamy w wypowiedzeniu umowy. Profesorka bez zgody władz uczelni przeniosła 60-minutowe zajęcia ze studentami na inny termin, a sama w tym czasie protestowała przed gmachem uczelni.

Dziesiątki zwolnionych

Krakowski Uniwersytet Pedagogiczny to najstarsza uczelnia o takim profilu w kraju. Od miesięcy nie schodzi z ust osób związanych ze szkolnictwem wyższym; powodem nie jest jednak poziom nauczania (w rankingu magazynu „Perspektywy” plasuje się w siódmej dziesiątce), lecz rewolucja, jaką przeprowadzają tam nowe władze, wybrane w czerwcu 2020 r. Konkretnie: prof. Piotr Borek, wcześniej dziekan Wydziału Nauk Humanistycznych, którego w czerwcu 2020 r. wybrano rektorem UP, oraz kanclerz dr Krzysztof Wąsowicz, w którego CV znajdziemy wiceprezesurę MPK w Krakowie oraz kierowanie łódzkim MPK, skąd został usunięty w wyniku zarzutów korupcyjnych (sąd uniewinnił Wąsowicza). Kanclerzem został rok

temu. Wcześniej pełnił na UP funkcję dyrektora ds. finansowych.

Krzysztof Wąsowicz opracował dla uczelni program naprawczy. To nim władze usprawiedliwiają konieczność dużych zwolnień. Tyle że dokumentów tych nie zatwierdziło ani Ministerstwo Edukacji i Nauki (co z punktu widzenia ustawy o szkolnictwie wyższym jest obowiązkiem), ani Senat Uczelni, ani nawet prorektorzy. Prof. Anna Stolińska, która wówczas pełniła jeszcze funkcję prorektor ds. studenckich, mówi: – Program ten obnażył dużą niewiedzę kanclerza o tym, jak funkcjonują uczelnie. Odesłałam go z mnóstwem uwag. Ten dokument już nigdy do mnie nie wrócił.

Celem reformy było „finansowe zbilansowanie uczelni” i konieczność uregulowania sięgającego 24 mln zł długu, wynikającego z nieopłacania składek ZUS. Jednak rząd pod koniec 2020 r. przyznał na spłacenie najpilniejszych zadłużeń 10 mln złotych. Pięć miesięcy później władze UP mogły już przekazać, że: „Obecnie uczelnia uregulowała wszystkie wymagane zobowiązania, spłaciła długi”. Zwalnia jednak dalej.

W ciągu niespełna roku władze uniwersytetu pożegnały się z przeszło 80 osobami na ok. 1,5 tysiąca zatrudnionych, ale program zakłada redukcję nawet 200 etatów. Wśród usuniętych są: poprzednik prof. Borka na stanowisku rektora – Krzysztof Karolczak, kierownicy Instytutu Nauk Technicznych oraz Instytutu Filozofii i Socjologii, pracownicy administracji, bibliotek, pojedynczy wykładowcy innych wydziałów. Ostrożne szacunki mówią o ok. 30 pracownikach administracji, 15 wykładowcach w wieku nieemerytalnym i 40 w wieku emerytalnym – dokładnych danych uczelnia przedstawić nie chce. Pracownicy wypowiedzenia otrzymywali pocztą, bez konsultacji z kierownictwem instytutów, jak



było wcześniej. Klucz? Zwalniani w pismach czytali o osiągnięciu wieku emerytalnego lub o restrukturyzacji uczelni. Tak się jednak składało, że przeważały osoby otwarcie krytykujące zmiany na uczelni lub rozmawiające o tym z mediami. Jednym ze zwolnionych jest np. Janusz A. Majcherek, znany publicysta, bardzo krytyczny wobec rządów PiS.

Byli też tacy, którzy – jak dr Miłosz Puczyłdowski, filozof i laureat Nagrody Tischnera – z pracy na UP zrezygnowali na własnych warunkach. – Nie chciałem popaść w sytuację rozdwójenia i z jednej strony, po cichu, krytykować obecną politykę rektora, a z drugiej oficjalnie jej przyklaskiwać. Nie znajduję wytłumaczenia dla stylu dzisiejszych działań władz uniwersytetu i nie chcę zgadzać się na to, by kluczowym kryterium zatrudniania i utrzymania pracy na uczelni była zgoda na politykę rektora – wyjaśnia.

Opinie zbuntowanych pracowników do tego stopnia kłuły w oczy szefostwo, że złożyło ono w maju przeciwko niektórym pracownikom UP doniesienie do prokuratury z art. 212, czyli o zniesławieniu. Po pięciu miesiącach sprawę umorzono.



ADRIANNA BOCHENEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Protest OZZ Inicjatywa Pracownicza przed Uniwersytetem Pedagogicznym w Krakowie przeciwko antyzwiązkowym represjom władz uczelni. Kraków, 4 listopada 2021 r.

Uczelnia nie chce Inicjatywy

W czerwcu 2021 r. na UP założono nowy związek zawodowy, Inicjatywę Pracowniczą. Jednak rektor Borek wciąż kwestionuje m.in. uprawnienia osób wskazanych do specjalnej ochrony oraz konsekwentnie nie umieszcza związku w spisie organizacji pracowniczych działających na terenie uczelni. Nie odpowiada też na wysyłane pisma. W efekcie związkowcy weszli w spór z pracodawcą, a w sierpniu złożyli zawiadomienie do prokuratury w sprawie utrudniania im działalności. Jak przekazuje Janusz Hnatko, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Krakowie: – W sprawie zostało wszczęte dochodzenie.

Związek miał pięcioro ujawnionych członków – dziś na uczelni nie pracuje już troje z nich. Po tym, kiedy dyscyplinarnie zwolniono dr Małgorzatę Trojańską (prywatnie żonę wiceprzewodniczącego związku; jej dyscyplinarkę będzie badał sąd pracy), prof. Anna Stolińska podpisała i udostępniła w mediach społecznościowych link do petycji w obronie Trojańskiej. Rektor zwolnił ją w trakcie roku akademickiego. Powód: „utrata zaufania pracodawcy”. Drugą zwią-

kowczynię, dr Ewę Żmijewską, wyrzucano z powodu osiągnięcia wieku emerytalnego. Obie posady chroniła ustawa o związkach zawodowych. Listopadowa manifestacja pod uczelnią, w której uczestniczyła prof. Nina Pluta-Podleszańska, była protestem i sprzeciwem wobec tych zwolnień. Finalnie przewodnicząca związku zawodowego również otrzymała dyscyplinarkę. Jej sprawa znajdzie finał w sądzie. Podobnie jak przeszło dwudziestu innych, byłych już pracowników UP.

Joanna Grzymała-Moszczyńska, związkowczyni z Inicjatywy Pracowniczej Uniwersytetu Jagiellońskiego, komentuje: – Działania, jakie wobec pracowników UP podejmują władze tej uczelni, są skandaliczne, a przede wszystkim niezgodne z ustawą o związkach zawodowych. Nie mieści mi się w głowie, że do takich działań dochodzi właśnie na uniwersytecie. Związkowcy są pracownikami o tyle szczególnymi, że stoją na straży praw pracowniczych. Ich zwolnienia mogą budzić u reszty strach i rozczucie poczucie bezpieczeństwa. Myślę, że to właśnie jest celem władz tej szkoły.

Rozmawiałam z niemal trzydziestoma pracownikami Uniwersytetu Pedagogicz-

nego w Krakowie – wszyscy, którzy na uczelni jeszcze pracują, chcą pozostać anonimowi. Pytani przeze mnie, kto w istocie pociąga za sznurki w szkole i czemu służyć mają tak duże zwolnienia, wymieniają najpierw nazwisko mgr. Jana Władysława Fróga. Od początku lat 90. szefuje uczelnianemu związkowi zawodowemu Solidarność i słynie wśród pracowników z dwóch aktywności: pisania obszernych listów atakujących innych pracowników uczelni oraz przygotowywania szyderczej gablotki komentującej bieżące wydarzenia. – To pracownik o najdłuższym stażu na UP, jest tu zatrudniony od 1973 r. Mimo wieku emerytalne zwolnienia akurat jego nie dosięgły – słyszę.

O szefie uczelnianej Solidarności głośno w Krakowie było trzy lata temu, kiedy IPN przyznał mu Krzyż Wolności i Solidarności, choć – jak wykazano – był on w czasach PRL-u nie tylko działaczem opozycji, ale też... członkiem ORMÓ. Wiele osób twierdzi, że łączy go przyjaźń z wicemarszałkiem Sejmu, prof. Ryszardem Terleckim z PiS, i to ona gwarantuje mu pozycję na UP. Próbowaliśmy to potwierdzić u samego Terleckiego, ale nie odbierał od nas telefonów i nie reagował na esemesy. Fróg również nie chciał o tym rozmawiać.

– Solidarność jest najliczniejszym związkiem zawodowym na uniwersytecie. Fróg przekonał nowego rektora, że jego wsparcie oznacza poparcie reszty członków związku, co ma gwarantować szeroką sieć wpływów. Korzystają na tym obie strony: rektor i kanclerz, którzy mogą zadowolić się całkiem sporym wsparciem swoich działań, oraz Fróg, który stał się prawą ręką władzy na uczelni – mówi mi osoba, która wiele lat przepracowała w Instytucie Psychologii, gdzie zatrudniony jest Fróg. I dodaje: – Niejasny jest status Fróga. Nie prowadzi zajęć, nie ma w bazie danych jego publikacji.

Milczenie jest złotem?

Jednym z najbardziej symptomatycznych przykładów wpływu Fróga na decyzje kadrowe jest sprawa byłego prorektora prof. Tomasza Rachwała. W kwietniu 2021 r. razem z prof. Stolińską złożyli rezygnację z pełnionych na uczelni funkcji proktorów – zrobili to w geście sprzeciwu wobec polityki władz uczelni. Dwa miesiące później Fróg napisał do rektora, by ten odwołał Rachwała z Senatu szkoły: „Ta osoba

→ podejmuje działania destabilizujące uczelnię i uniemożliwiające prawidłowe działanie Senatu. Więcej, ta osoba wręcz agituje i skupia wokół siebie przeciwników obecnej władzy. (...) Z takimi działaniami nie można się zgodzić i należy podjąć natychmiastowe określone prawem działania” – napisał. Decyzję rektor podjął błyskawicznie. Pozostali członkowie Senatu (czyli inni pracownicy uczelni) nie zareagowali. To milczenie jest wymowne – Senat bowiem po reformie Jarosława Gowina jest najważniejszym organem kontrolującym uniwersytety.

– „Moja chata z kraja”, to zdaje się jedyna zasada, jaka przyświeca senatorom i tłumaczy ich konformizm – słyszę. – Senat został u nas sprowadzony wyłącznie do roli maszyny do głosowania. Ale ludziom o poglądach zbliżonych do władzy zmiany właściwie się podobają. Imponuje im, że uczelnia zacieśnia współpracę z rządem, oficjalnie współpracuje z Barbarą Nowak, małopolską kuratorką oświaty, wojewodą małopolskim czy lokalnymi mediami spod znaku przejętego przez Orlen Polska Press.

Pewna profesorka (w wieku emerytalnym, czeka na wypowiedzenie) twierdzi, że władze uczelni stosują jedną zasadę: bezwzględnego posłuszeństwa. Zwolnienia przypominają efekt domina. Posadę traci niewygodny pracownik i pociąga za sobą swoich zaufanych kolegów i koleżanki. Prof. Nina Pluta-Podleszań-

ska: – Pracownicy czują się zastraszeni. Na tyle, że boją się przystanąć na korytarzu i porozmawiać ze sobą. Bo być może ich interlokutor jest już na czarnej liście.

Jeszcze w maju 2021 r. rusycysta prof. Grzegorz Przebinda próbował zorganizować grupę zdolną odwołać Piotra Borka z funkcji rektora UP. Przebinda był wtedy członkiem Rady Uczelni. Wniosek ostatecznie przepadł (zakończył się remisem przy jednym głosie wstrzymującym), a Przebindzie rektor wygasł mandat w Radzie. Rada Uczelni nie zrobiła z tym nic. I od tamtej pory grono milczy. Jak słyszę, ze strachu, że rektor je rozwiąże. W wywiadzie dla „Forum Akademickiego” rektor przyznał zresztą to wprost: gdyby Rada Uczelni razem z prof. Przebindą rzeczywiście go wtedy odwołała, on zawnioskowałby do ministra edukacji o odwołanie całej Rady. I na ich miejsce powołał nowych członków.

O to działanie zapytałam w maju rzecznika Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich. Prof. Wiesław Banyś, rzecznik KRASP, stwierdził ostro: działanie rektora UP jest bezprawne. – Tak się dzieje być może w dyktaturach, ale nie w środku Europy w XXI wieku – mówił mi. Sprawę Przebindy bada sąd pracy i sąd administracyjny. Ale na jego miejsce w styczniu powołano już nową osobę: Piotra Zakrzewskiego, prof. KUL, pracującego na tym samym wydziale, co minister edukacji Przemysław Czarnek.

Uniwersytet otoczony murem

Kilkukrotnie prosiłam o kontakt działające na Uniwersytecie Pedagogicznym Związki Nauczycielstwa Polskiego oraz Związek Zawodowy Pracowników UP. Chciałam zapytać o działania władz uczelni wobec innych związkowców. Żadnego odzewu. Głuche na telefony pozostało również Ministerstwo Edukacji i Nauki. Po tym, jak na UP doszło do zwolnień związkowców, ponownie skontaktowałam się też z rzecznikiem KRASP, z którym rozmawiałam w maju. W międzyczasie jednak Jan Władysław Fróg przypomniał w liście do pracowników, że rzecznik KRASP jest doktorem *honoris causa* tej uczelni. „Szanowny Pan Profesor nie skorzystał z okazji, żeby siedzieć cicho” – napisał przewodniczący Solidarności na UP. I stwierdził: „KRASP to rodzaj pasożyta żerującego na systemie szkół wyższych (...) główny cel tejże Konferencji to jątrzenie, niszczenie rzetelnego dyskursu”.

Prof. Wiesław Banyś z KRASP również stał się nagle ostrożny w opiniach: „Uczelnie są autonomiczne i ich działalność podlega przede wszystkim ocenie przez Senat i Radę Uczelni (...) KRASP, podobnie jak i inne organizacje zewnętrzne, nie ma możliwości prawnych do reagowania w takich sytuacjach”.

Prof. Jacek Chrobaczyński, historyk związany do niedawna z Uniwersyteciem Pedagogicznym, z bólem patrzy na upadek etyczny swej byłej uczelni. – *Universitas* oznacza powszechność, całość, wspólnotę. Tak było zawsze, nawet w najtrudniejszych dla uczelni czasach. Wiele może nas różnić, ale uniwersytet zawsze powinien być miejscem spotkania i dialogu, w którym również o różnicach powinniśmy rozmawiać, a nie budować mur – zwraca uwagę.

Od miesięcy próbowałam umówić się z władzami uczelni. Niestety, publiczna placówka unika kontaktu, odmawiając rozmów lub pisemnych odpowiedzi na pytania dotyczące potencjalnych nieprawidłowości. Przed świętami Bożego Narodzenia wybrałam się na Uniwersytet Pedagogiczny, by porozmawiać z rektorem i kanclerzem osobiście. Rektor przebywał na urlopie, a sekretariat nie mógł samodzielnie ustalić terminu spotkania. Zastałam natomiast kanclerza, który wyprosił mnie ze swojego gabinetu, nie dopuszczając do rozmowy. Nie miał zamiaru się tłumaczyć.

© ANGELIKA PITOŃ

Z przykrością zawiadamiam, że 9 stycznia 2022 r.,
w wieku stu lat odszedł mój ukochany Dziadek,

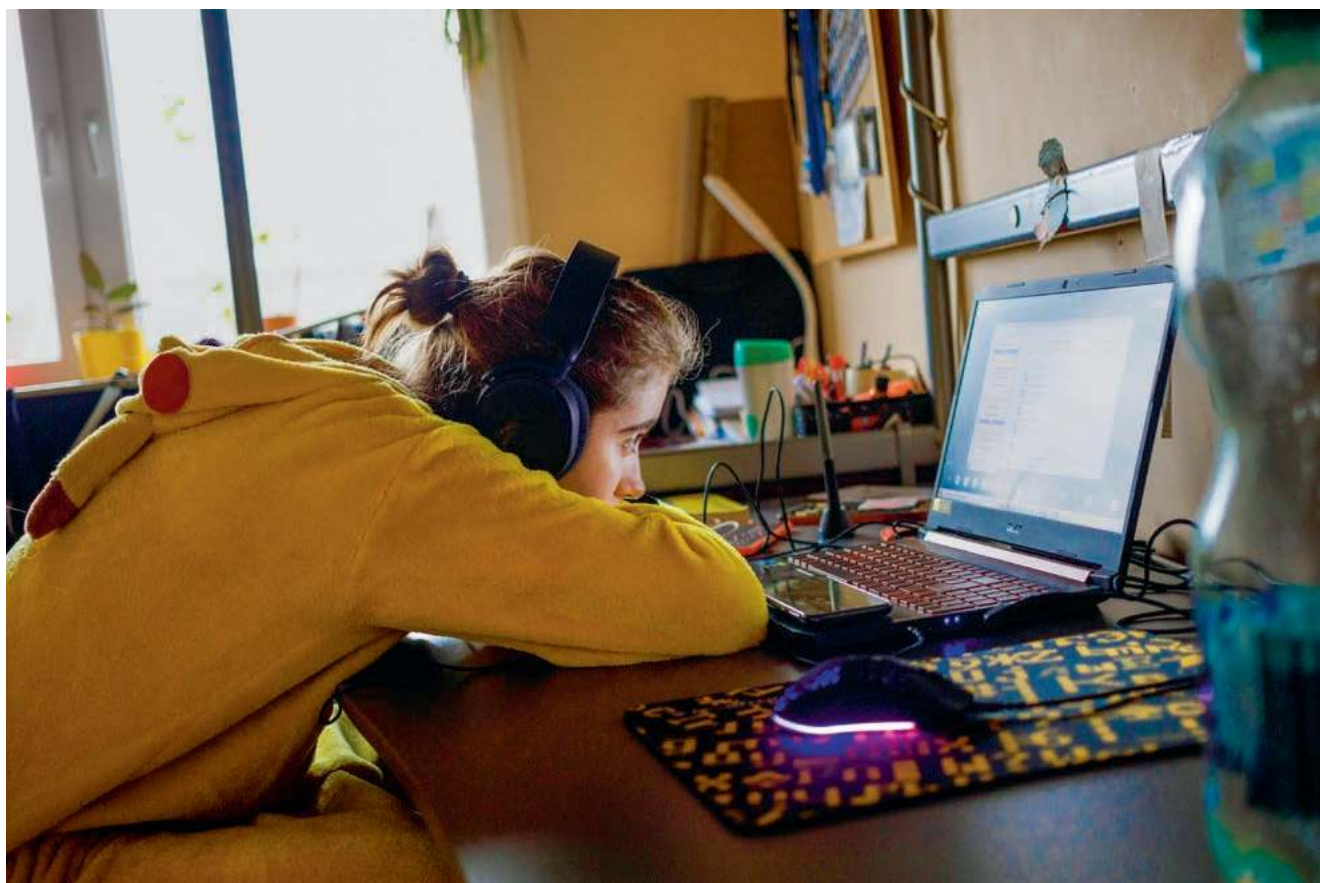
Ś.†P.

Krzysztof Wolski

– doktor nauk humanistycznych, badacz, podróżnik, kolekcjoner,
muzealnik, autor wielu publikacji naukowych,
wieloletni pracownik Muzeum Etnograficznego w Krakowie,
wykładowca Uniwersytetu Łódzkiego, Uniwersytetu Jagiellońskiego,
UMCS w Lublinie, wielowymiarowy, serdeczny człowiek
o nietuzinkowym poczuciu humoru, olbrzymiej wiedzy i elokwencji.

Uroczystości pogrzebowe odbędą się 8 kwietnia 2022 r.
o godz. 11.00 w kaplicy na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

O czym zawiadamia
WNUCZKA PAFNUCJA



PIOTR MAŁECKI / NAPO IMAGES / FORUM

Nauka zdalna w warszawskim liceum, luty 2021 r.

Zagubieni tubylcy

PROF. JACEK PYŻAŁSKI, EKSPERT W ZAKRESIE EDUKACJI MEDIALNEJ:

Ogromne cyfrowe kompetencje całego młodego pokolenia to mit. Wielu nastolatków nie ma w tej sferze podstawowych umiejętności, co odbija się także na jakości zdalnej nauki.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:

Rozmawiamy w dniach, gdy minister Przemysław Czarnek ogłasza rychły kres zdalnej szkoły. Ulga?

JACEK PYŻAŁSKI: Pewnie tak, choć wolalbyśmy unikać wniosku, że edukacja online jest z definicji zła. Ta jej wersja, jaką znamy, okazała się w niektórych aspektach mniej skuteczna od nauki tradycyjnej. Ale pamiętajmy, że efektywność zależy od wielu zmiennych.

Między innymi od kompetencji cyfrowych nauczycieli i uczniów. Te drugie zostały niedawno przebadane,

a Pan przeanalizował dla nas najważniejsze wyniki.

Chodzi o współrealizowany przez Uniwersytet im. Adama Mickiewicza projekt ySKILLS [od ang. *youth skills*, czyli „umiejętności młodych ludzi” – red.]. To międzynarodowe badanie kompetencji cyfrowych, a także tego, jak te kompetencje mają się do edukacji i rynku pracy. Częścią projektu jest pomiar kwestionariuszowy prowadzony w sześciu krajach, m.in. w Polsce. Choć nie mamy jeszcze wyników porównujących kraje, a przeprowadzone badanie jest ledwie pierwszą z trzech części tego przedsięwzięcia, to już teraz wiemy całkiem sporo o analizowa-

nej grupie. Czyli o nastolatkach w wieku 11-16 lat, których w Polsce przebadaliśmy ponad tysiąc sto.

I wyszło Wam, że jest gorzej, niż głosi stereotyp pokolenia „cyfrowych tubylców”.

Rzeczywiście, ogromne cyfrowe kompetencje całego pokolenia to mit, co zresztą potwierdziło już wiele wcześniejszych badań. A przecież jest to generacja niemal ciągle korzystająca z technologii. Aż 95 proc. codziennie lub częściej używa smartfona jako narzędzia łączącego z internetem. Jedna trzecia przyznaje wręcz, że robi to prawie cały czas. Co więcej, ten smartfon dla coraz liczniejszej grupy młodych ludzi jest jedynym „ekranowym” narzędziem. Gdy pytamy o laptopy i komputery stacjonarne, prawie co czwarty odpowiada, że używa ich dwa razy w miesiącu lub rzadziej.

A wracając do „cyfrowych tubylców”, częstotliwość użytkowania technologii nie musi iść w parze z umiejętnościami. Np. nie jest dobrze z kompetencjami dotyczącymi bezpieczeństwa.

Proszę o przykłady.



→ Na pytanie, czy potrafią zmienić ustawienia prywatności – to umiejętność decydująca np. o tym, co i komu pokazujemy na portalach społecznościowych – „tak” lub „zdecydowanie tak” odpowiada 65 proc. Z kolei aż 14 proc. deklaruje, że w ogóle nie wie, o co chodzi w tym pytaniu! Zaznaczam, że mówimy o dość podstawowej kompetencji. Ale nawet jeszcze prostsze umiejętności – jak zabezpieczenie urządzenia PIN-em – są obce co dziesiątemu badanemu. 70 proc. potrafi się zabezpieczyć przed niechcianymi reklamami, a trzy czwarte deklaruje, że umiałoby zgłosić mowę nienawiści czy złe traktowanie kogoś w sieci.

To deklaracje dotyczące wiedzy.

Czy przekłada się to na zachowanie w sieci?

Prawie połowa osób wskazała, że akceptuje na portalach społecznościowych zaproszenia od osób, których osobiście nie spotkała. Niemal co piąty przyznaje, że podzielił się z nieznanymi informacjami, które sam uważał za osobiste. Tyle samo deklaruje, że udostępniało online treści, które ktoś im wysłał prywatnie zastrzegając, że są wyłącznie do użytku prywatnego.

To naprawdę zachowania, które mogą nieść poważne konsekwencje zarówno dla samego użytkownika, jak i innych osób.

Tymczasem władza oświatowa „chroni” nasze dzieci przed... organizacjami pozarządowymi, forsując „lex Czarnek”.

To dobry przykład ilustrujący niezrozumienie, gdzie dziś istnieje prawdziwe życie. Niestety, próbujemy stosować stare metody w zupełnie nowych czasach, a problemy są nie tam, gdzie widzi je ministerstwo. Dla przykładu, połowa pytanym nie wie, że zalajkowanie jakiegoś posta albo jego udostępnienie może mieć negatywny wpływ na innych – chodzi tu np. o hejterskie czy obraźliwe treści. To pozwala wysnuć wniosek, że młodzi ludzie dosyć powszechnie bywają bezradni wobec zjawisk, które dotyczą ich bezpośrednio, w codziennym korzystaniu z internetu.

A co z kompetencjami dotyczącymi wyszukiwania i weryfikowania informacji w sieci?



ARCHIWUM PRYWATNE

DR HAB. JACEK PYŻALSKI

jest pedagogiem, profesorem UAM w Poznaniu. Ekspert w zakresie edukacji medialnej, autor wielu badań dotyczących agresji elektronicznej, nowych mediów, cyberprzemocy wśród młodzieży. Członek zespołu badawczego zdalnenauczanie.org.

Trzy czwarte pytanym deklaruje, że potrafi wybrać słowa kluczowe w przeglądarce, ale już jej zaawansowane funkcje znane są mniej niż połowie. 68 proc. twierdzi, że potrafi ocenić, czy dana strona internetowa jest wiarygodna, zaś 60 proc. mówi, że potrafi zweryfikować, czy informacja znaleziona w sieci jest prawdziwa.

Internet to również niewykorzystany potencjał: zarówno pod względem wiedzy, jak i twórczości. Tylko jedna czwarta pytanym nastolatków przynajmniej raz w tygodniu czyta portale informacyjne, a gdy pytamy o tworzenie w internecie – memów, gifów itd. – twierdząco odpowiada mniej niż co czwarty.

Polscy uczniowie przez ostatnie dwa lata spędzili dużo czasu, ucząc się zdalnie – jesteśmy pod tym względem w europejskiej czołówce. Jak to wszystko, co przebadaliście, ma się do efektywności nauczania online?

Ma na tę efektywność bezpośredni wpływ, np. bardzo wiele zadań wymaga umiejętności wyszukiwania i weryfikowania

wania informacji. Ale nie tylko to decyduje o skuteczności nauki. Pamiętajmy, że kluczowe w tej mierze są także kompetencje nauczycieli. Z badań Centrum Cyfrowego wynika, że aż dziewięcioro na dziesięcioro pedagogów deklaruowało na początku pandemii, że to ich pierwsze doświadczenie z edukacją zdalną. Co prawda większość z nich bardzo szybko nauczyła się podstawowych kompetencji, ale sama umiejętność korzystania z platform służących do e-edukacji to nie wszystko. To, że nauczyciel potrafi obsługiwać Zooma albo Teamsy, nie oznacza, że nabył np. kompetencje związane z komunikowaniem się online albo z sensownym ocenianiem i sprawdzaniem wiedzy w nowych warunkach. Albo że potrafi aktywizować wszystkich uczniów, co w tym trybie nauczania jest naprawdę trudne.

Co wiadomo o cyfrowych nierównościach wśród uczniów?

Z wcześniejszych badań wiemy, że nierówności te polegają w coraz mniejszym stopniu na braku dostępu do sprzętu, a w coraz większym właśnie na zróżnicowanych kompetencjach. Choć dostęp także bywa problemem. 97 proc. pytanym deklaruje, że ma w domu internet, ale po pierwsze nie należy zapominać o tych 3 proc., a po drugie sama obecność sprzętu oraz sieci nie oznacza automatycznie nauki online bez przeszkód. 5 proc. młodych ludzi mówi, że często nie mogli używać sprzętu wtedy, gdy był im potrzebny, natomiast aż jedna czwarta miała tego typu problemy czasami.

Wkrótce druga rocznica epidemii, a więc również inauguracji zdalnej szkoły. Jak ten czas ocenić? Została tylko spalona ziemia, zaległości w nauce i problemy psychiczne?

Stało się też wiele dobrego – myślę o organizacjach szkolących pedagogów, o rozwoju nauczycieli oraz uczniów. Jeśli założymy, że nie ma już powrotu do odgórnie zarządzanego nauczania zdalnego, to kluczowe pytanie brzmi teraz, co dalej zrobimy z tym dwuletnim doświadczeniem. Jak potraktujemy technologię w czasach, gdy jej użytkowanie z przymusu stanie się już naszym wyborem.

© Rozmawiał

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

JACEK

Podsiadło:

Agonia



OŻEŻ BULWA... DOIGRAŁEM SIĘ. NIE ZASZCZEPILIEM SIĘ, WCHODZIŁEM DO LASU, KIEDY BYŁ ZAKAZ, I TERAZ MAM. MAM KORONAWIRUSA. UMIERAM.

Od początku pandemii dziwiło mnie, że rząd ekspertów zapracowany przy naszym przemienianym, bulwa, luzowaniu obostrzeń i obostrzaniu luzowań nijak swoich decyzji nie uzasadnia. Nie wyjaśnia, czy parasol chroni przed koronawirusem, czy można zarazę odpędzić modlitwą... Osobiście poczułem się pewniej, kiedy na początku pandemii przeczytałem w nieprzyjemnej rządowi ekspertów „Wyborczej” artykuł Piotra Cieślińskiego streszczający zalecenia immunologów. Napisane było, że układ odpornościowy człowieka jest przygotowany na zwalczanie koronawirusa, byle tego układu nie osłabiać nadmiernym spożywaniem alkoholu, paleniem, narkotykami, deficytem snu, nieprawidłowym odżywianiem się, patologiczną otyłością i brakiem ruchu. Zalecane były: mycie rąk, unikanie bliskości, tłumnych zgromadzeń i kontaktu ze zwierzętami, przejście na dietę roślinną, w szczególności unikanie konsumpcji mięsa i mleka, dbanie o higienę w kuchni i szczepienie przeciw grypie. Z radością odkryłem, że jestem świetnie przygotowany do walki z koronawirusem. Większość warunków spełniałem na długo przed pandemią. Tylko ze zwierzętami kontaktowałem się na potęgę, ale już wkrótce miało się okazać, że zwierząt koronawirus jednak się nie ima.

Pamiętam, jak oczekując, aż rząd ekspertów zakaże spożywania krowiego mleka, alkoholu i papierosów i zachęci grubasów do ruchu na świeżym powietrzu, zacząłem dla zachowania odporności i uniknięcia zgromadzeń biegać po lesie jeszcze więcej niż dotychczas. Wtedy minister, bulwa, zdrowia obowiązał lasy i parki tasienkami, zabronił przemieszczania się i uwięził mnie w zatłoczonym mieście. Próbował mnie też udusić, pozwalając biegać tylko w maseczce i tylko tam, gdzie wisi najwięcej smogu. Był to ten sam, bulwa i jej nać, minister, który niewiele wcześniej brylował w radiu, że maseczki to można nosić, ale na dłoniach jak rękawice.

Dwa latka pandemii zleciały jak z bicza trzask. Luzowanie obostrzeń i obostrzanie luzowań znakomicie ubarwiały szarą codzienność. Teraz, owszem, umieram, ale nie umieram samotnie. Kupa narodu umiera razem ze mną. Rząd ekspertów stworzył nawet dla skonanych obywatelską platformę wymiany spostrzeżeń, złotych myśli, ostatnich słów itp. Na forum oceniania obowiązkowej aplikacji „Kwarantanna do-

mowa” wspieramy się i udzielamy sobie wzajemnie porad, że np. przymusowy autoportret udaje się zwykle wysłać już za trzecim razem. Że zadania zrobienia sobie zdjęcia aplikacja wyznacza wyłącznie o 8 rano, więc jak się dopilnuje, żeby codziennie o 8 być w domu, to w pozostałych godzinach można się cieszyć jesienią życia, szusować po stokach i w rolls-royse pić szampana, fa fa fa fa. Już ponad 24 tys. chorych i umierających Polaków skorzystało z możliwości zabrania głosu na forum tej aplikacji, „numeru 1 w swojej kategorii”. Ok. 22 tys. oceniło ją w skali 1-5 gwiazdek na 1, obecna średnia ocena to 1,3 gwiazdki. Liczni chorzy apelują do Google o możliwość przyznawania gwiazdek ujemnych. Zacytuję tylko opinie chorych podpisanych imieniem i nazwiskiem.

„Aplikacja to porażka. Chyba ją robili w liceum na zaliczenie informatyki”. „Aplikacja robiona na kolanie, w kiblu podczas ostrej biegunki... Muszę odinstalować aplikację pozorujące gps, których używałem przy grach”. „Pomimo wykonania zadania po paru godzinach pojawia się informacja o nie wykonaniu zadania. Już bym chyba wolała żeby policja mnie odwiedzała”. „Budzą o 8:00 każdego dnia, aby sobie fotę zrobić. Człowiek chory śpi o tej porze. Wezwanie pomocy nie działa. Na szczęście duszności minęły”. „Ta aplikacja jest tak samo głupia jak nasz rząd. Nawet odezwać się nie ma do kogo, bo automat gada”. „Ciekawa fabuła, wciąga na długie godziny. Codziennie nowe kwesty, przez co nie można się nudzić. Na plus na pewno fakt, że nie ma reklam. Niestety gwiazdka mniej za brak możliwości rozmów wideo z pozostałymi graczami”.

Żeby spełnić ustawowy obowiązek zainstalowania aplikacji „Kwarantanna domowa” na moim prywatnym smartfonie, musiałem zerwać się z kwarantanny i skoczyć do galerii handlowej po dodatkową kartę pamięci, bo aplikacja zajmuje ponad 40 MB, a nie miałem tyle. Podczas instalowania aplikacji kilkakrotnie trzeba potwierdzić nieprawdę. Że się przeczytało stukilometrowy regulamin, którego nie daje się przeczytać. Trzeba też przeczytać i zaakceptować listę nie wiem czego, co jest ponumerowane i wyświetla się na różne sposoby, ale nigdy czytelnie. Trzeba też dać aplikacji dostęp do swoich zdjęć, multimediów i plików.

Kiedy aplikacja poinformowała mnie, że mam obowiązek cały czas mieć telefon przy sobie, naładowany, niewyciszony, z połączeniem internetowym i z włączoną lokalizacją, poczułem się źle. Zbadałem sobie ciśnienie i zobaczyłem, że dramatycznie skoczyło. Bulwa nać! Poczułem, że muszę zapaść, żeby się uspokoić. Znów zerwałem się z kwarantanny, wziąłem w biedrze cały wagon szlągów, żeby do końca izolacji starczyło. Nigdy nie cierpiełem na deficyt snu, ponieważ spałem do południa, ale teraz, kiedy aplikacja budzi mnie codziennie o 8.00 na selfiaka, deficyt snu narasta z każdym dniem. Moje samopoczucie pogarsza się z każdą godziną. Czuję, że umieram. Czuję, że muszę się napić. Za chwilę z pomocą aplikacji „Kwarantanna domowa” zgłoszę się po pomoc psychologiczną. W kolejnym felietonie opowiem, jak mi poszło, zdam też relację z pogrzebu.

©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

WIARA

PRAWDA O BENEDYKCIE

Oskarżenia papieża emeryta związane z raportem monachijskim nie podważyły jego autorytetu w oczach konserwatystów.

Jednak na pewno ukazały w nowym świetle jego dokonania.

TOMASZ P. TERLIKOWSKI

WIARA W JEDEN KOŚCIÓŁ KATOLICKI, którego istnienie wyznajemy w Credo, zderza się w świecie współczesnym z socjologiczną rzeczywistością „dwóch katolicyzmów”. Jej symbolicznym (nawet jeśli sami bohaterowie nieustannie podkreślają jedność ich łączącą, a kanonicznie w sensie ścisłym nie ma o tym mowy) potwierdzeniem jest funkcjonowanie obok siebie „dwóch papieży”. Jeden z nich – papież emeryt Benedykt XVI – jest i będzie symbolem nurtu zachowawczego, konserwatywnego, podkreślającego ciągłość i niezmienność, a także wagę nie tylko Tradycji w sensie teologicznym, ale i tradycji; drugi, papież Franciszek, pozostaje symbolem zmiany, progresywnych reform, odwagi w wytyczaniu nowych horyzontów.

Fakty, realne poglądy obu papieży, zarzuty wobec nich formułowane, a nawet decyzje czy wydarzenia w tym symbolicznym świecie nie mają znaczenia. Każdą ze stron od rzeczywistości oddziela odmienna narracja. Te same wydarzenia są opowiadane w odmienny sposób, nabierają odrębnych znaczeń i układają się w całkowicie odmienną historię. Inaczej wartościowaną, z odmiennymi bohaterami, a nawet z innym opisem wydarzeń. Wydarzenia związane z zarzutami sformułowanymi wobec Benedykta XVI w raporcie dotyczącym archidiecezji monachijskiej są tego znakomitą przykładem.

Bezlitosny atak czy autodestrukcja

Te dwie narracje widać w zasadzie od pierwszych godzin po publikacji raportu. Część mediów, także konserwatywnych, natychmiast zaczęła mówić o „kłamstwie Benedykta XVI”, o jego zaniedbaniach, biskupi niemieccy – ci bardziej postępowi – zaczęli domagać się wyjaśnień czy przeprosin. „Nawet biskupi, w tym były papież, mogą stać się winni i w pewnych sytuacjach muszą to wyznać publicznie, nie tylko w modlitwie przed Bogiem czy w sakramencie spowiedzi” – mówił bp Helmut Dieser, ordynariusz Akwizgranu.

Jeszcze ostrzej wypowiadał się przewodniczący konferencji episkopatu Niemiec bp Georg Bätzing. Papież emeryt – jego zdaniem – „musi złożyć oświadczenie, odrzucić zalecenia swoich doradców i powiedzieć jasno i prosto: ponoszę winę, popeł-

niłem błędy, proszę o wybaczenie poszkodowanych”. Jednocześnie, od samego początku, i to także w Niemczech, brzmiała odmienna melodia. Biograf Benedykta XVI Peter Seewald od początku przekonywał, że nie ma żadnych dowodów na jakiegokolwiek zamieszanie kard. Josepha Ratzingera w tuszowanie nadużyć, a w podobnym tonie wypowiadali się także niektórzy z niemieckich biskupów, wskazujący na nieścisłości w raporcie kancelarii adwokackiej, a także powracający do wcześniejszych tekstów na ten temat.

Dwugłos nasilił się jeszcze po pierwszym oświadczeniu Benedykta XVI, w którym przyznał on, że w jego odpowiedziach (co zarzucili mu autorzy raportu) na pytania znalazła się nieprawda dotycząca jego uczestnictwa w spotkaniu w kurii poświęconym sprawie jednego z księży przestępców seksualnych. W wysłanym do kancelarii adwokackiej Westpfahl Spilker Wastl piśmie znajdowały się zapewnienia, że w spotkaniu, na którym omawiano sprawę ks. Petera H., kard. Ratzingera nie było, ale z dokumentów wynikało, że jednak był.

W pierwszym oświadczeniu papież przyznał, że w jego zeznania wdarła się pomyłka, która – by zacytować – „nie wynika jednak ze złej woli”, ale z błędu w „redakcyjnym opracowaniu jego odpowiedzi”. Od tego momentu nieco silniej brzmiały słowa obrońców Benedykta XVI, którzy wyrażali wdzięczność za przyznanie się do błędu, a także podkreślali – by wymienić tylko bp. Rudolfa Vorderholzera z Regensburga, że on sam stał się „kozłem ofiarnym”, którego wini się za nieudaną walkę z problemem wykorzystania nieletnich w społeczeństwie. Po drugiej stronie niewiele się zmieniło, przeprosiny i częściowe wyjaśnienia nie zadowolili bardziej progresywnych katolików. Centralny Komitet Katolików Niemieckich (ZdK) oskarżył Benedykta XVI o stosowanie „taktyki salami” i przyznawania się do tego, do czego nie przyznać się nie jest w stanie, a członkowie katolickiego ruchu „Maria 2.0” wezwali byłego papieża do porzucenia papieskiego imienia jako znaku pokuty.

Jeszcze bardziej odległe od siebie stały się narracje obu stron po publikacji osobistego listu Benedykta XVI do wiernych archidiecezji Monachium i Fryzycji, a także potężnej odpowiedzi zaprzeczających z nim prawników i kanonistów. Od tego momentu strona – nazwijmy ją konserwatywna – nabrała wiatru w żagle. Stanowisko tych samych osób, które wcześniej

Papież Benedykt XVI w drodze na śródowną audyencję generalną w Auli Pawła VI, Watykan, listopad 2011 r.

→ napisały odpowiedź zawierającą ewidentną nieprawdę (do której przyznał się i za którą przeprosił papież emeryt), zostało uznane za ostateczne potwierdzenie całkowitej niewinności papieża, nieadekwatności wątpliwości, a także za zamknięcie debaty. Od teraz można się już było skupić wyłącznie na atakowaniu tych, którzy za raportem stali, a także liberalnych biskupów.

Ton tym wypowiedziom nadał osobisty sekretarz Benedykta XVI: „Istnieje pewien nurt, który chce zniszczyć Benedykta XVI i jego dzieło. Nigdy nie lubili jego osoby, teologii i pontyfikatu. Teraz pojawiła się idealna okazja, by wyrównać rachunki, zrobić coś w rodzaju *damnatio memoriae*, skazać go na niepamięć” – mówił abp Georg Gänswein w wywiadzie dla „Corriere della Sera”. Kard. Gerhard Ludwig Müller poszedł zaś jeszcze dalej, oznajmiając, że „każdy uczciwy człowiek zawsze był pewien, że Benedykt XVI był zawsze prawdomówny”. A „wszelkie zniesławienie tego uczonego i wielce zasłużonego dla Kościoła duchownego jako kłamcy spada na jego autorów. Intencję ekspertyzy, która została zamówiona i obficie opłacona z pieniędzy kościelnych podatków, można rozpoznać już po samym fakcie, że 8000 stron akt nie zostało w odpowiedni sposób udostępnionych do badań. Ze względu na niejednoznaczne oskarżenia wobec ówczesnego arcybiskupa ktoś zapytał, czy nie powinien to być raczej raport z Münchhausen, a nie z Monachium. Niech inni odpowiedzą na to pytanie” – mówił były prefekt Kongregacji Nauki Wiary.

Krytycy Benedykta XVI natomiast, choć nadal słysząc ostre głosy, zazwyczaj docenili sam akt przeprosin, nawet jeśli nie uznali go za wystarczający. „Papież mniej skupia się na własnych działaniach, a tym samym na swoich własnych niedociągnięciach i błędach, a bardziej skupia się na sobie jako na odpowiedzialnym za rzeczy, które inni ludzie zrobili w tym systemie” – mówił w wywiadzie

Wciąż słyszymy wielkie słowa,

ale nie zawsze idą za nimi konkretne czyny i decyzje, a gdy nawet pójdą, to i tak zostaną zablokowane przez watykańskie urzędy.

dla katolickiego portalu domradio.de Johannes Norpoth, rzecznik rady doradczej Konferencji Episkopatu Niemiec ds. wykorzystania seksualnego nieletnich. „Odpowiedzialność osobista wygląda inaczej, wymaga jasnego wskazania, »biorę winę na siebie«” – mówił Norpoth, wskazując, że tego w wypowiedzi Benedykta XVI zabrakło, i dodając, że oznacza to w pewnym sensie „destrukcję własnych zasług” związanych z walką z nadużyciami seksualnymi w Kościele.

Obrońcy obu papieży

Ten dwugłos będzie się tylko nasilał, a sprzyja temu zachowanie także innych wskazanych jako winnych w raporcie przygotowanym przez kancelarię Westpfahl Spilker Wastl. Obecny metropolita Monachium kard. Reinhard Marx, choć także wobec niego formułowane są poważne zarzuty zaniedbania obowiązków, a ostatecznie to za jego czasów po raz kolejny skierowano do pracy duszpasterskiej skazanego już przez sąd świecki ks. Petera H. (którego sprawa ciąży także na imieniu Ratzingera), nie tylko nie podał się do dymisji (bowiem uznał, że zrobił to wcześniej, i to wystarczy), ale nawet przekonuje, że musi pozostać, by jeszcze szybciej wprowadzać reformy związane z Drogą Synodalną. Ten brak wzięcia na siebie nie tylko osobistej (bo osobiście kardynał przeprosił), ale i instytucjonalnej odpowiedzialności (czyli podania się do dymisji i publicznej pokuty), a także niewątpliwie wykorzystywanie raportu do wzmacniania nurtu progresywnego w Kościele sprawia, że część konserwatystów kościelnych, także w Niemczech, wprost mówi, jak biskup Rudolf Voderholzer, że „kwestia nadużyć seksualnych stała się ogniem, na którym gotowana jest zupa Drogi Synodalnej”.

Ten brak zachowania równowagi, zignorowanie zarzutów wobec obecnego metropolity, uznanie, że późniejsze zasługi (a miał je) pozwalają na zignorowanie wcześniejszych zaniedbań, wzmacnia myślenie obrońców Benedykta XVI, a także narracje tych, którzy w skandalach seksualnych widzą jedynie ataki przeciwko Kościołowi. To nadal jest silna grupa także w Kościele, także w Stolicy Apostolskiej, czego smutnym dowodem jest zablokowanie dostępu do dokumentów watykańskich nie tylko w Polsce.

W minionym tygodniu o zablokowaniu dostępu argentyńskiej prokuratury do dokumentów watykańskich zebranych w sprawie bp. Gustava Zanchetty informowały szeroko amerykańskie media. To pokazuje, że nawet Stolica Apostolska nie traktuje poważnie zapewnień Franciszka o konieczności walki z nadużyciami i jego zapewnień o przejrzystości. W sprawie bp. Zanchetty wiele jest pytań także w odniesieniu do samego papieża Franciszka, który – i to jest delikatne określenie – przynajmniej nie dotrzymał należytej staranności w tej sprawie, a oskarżonego o nadużycia seksualne biskupa przygarnął do Watykanu, powierzając mu istotne stanowisko. Te argumenty będą teraz nieustannie powracały, a zmierzyć się z nimi powinni także obrońcy tego pontyfikatu, który – mimo wielu zmian – wciąż nie stał się czasem głębokiego przełomu w kwestii obrony osób skrzywdzonych. Wciąż słyszymy wielkie słowa, ale nie zawsze idą za nimi konkretne czyny i decyzje, a gdy nawet pójdą, to i tak zostaną zablokowane przez watykańskie urzędy.

Gdzie jest Ratzinger

To jednak, że „konserwatywni” czy „ortodoksyjni” katolicy poradzą sobie narracyjnie z wyzwaniem, jakie stanowi sama treść raportu, a także późniejsze wypowiedzi, w niczym nie zmienia faktu, że jego istota pozostanie. I wbrew pozorom nie chodzi nawet o to, co wiedział, a czego nie wiedział kard. Ratzinger w momencie podejmowania decyzji w sprawie czterech księży oskarżonych o pedofilię, tego bowiem – obawiam się – z całą oczywistością się nie dowiemy.

Prawnicy jeszcze przez lata będą się spierać o interpretację zapisków i dokumentów, o to, która z wersji jest mniej, a która bardziej prawdopodobna. To, co już wiemy, pozwala jednak posta-



Autor będzie gościem
Grzegorza Chlasy w śróde
16 lutego o godzinie 8.20

w Polskim Radiu RDC. Audycję można także
odstuchać w podkastach na stronie internetowej
radia – www.rdc.pl

| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

wić tezę, że specjalnie nie zgłębiał problemu. Jak ogromna większość ówczesnych biskupów bardziej był skupiony na obronie instytucji i kapłanów (bo w przypadku podobnych oskarżeń wobec świeckich działano szybciej i bardziej zdecydowanie) niż na dobru skrzywdzonych.

Istotniejsze dla oceny tej kwestii jest jednak co innego. Wcale nie przeszłość, ale teraźniejszość, to, co obecnie mogliśmy usłyszeć (i przeczytać) od Benedykta XVI i jego współpracowników. Z tym – i piszę to jako osoba ukształtowana przez Benedykta XVI i jego teologię – trzeba się naprawdę gruntownie zmierzyć. Albo ogromną większość tekstów, pod którymi podpisał się papież emeryt, pisał zupełnie kto inny, kto nie ma wycucia jego teologii i myśli, albo trzeba inaczej spojrzeć na myśl Benedykta XVI i jego zaangażowanie w walkę z problemem pedofilii.

Jako pierwszy, i to jeszcze w odniesieniu do odpowiedzi Benedykta XVI dołączanej do raportu, zwrócił na to uwagę o. Hans Zollner SJ w rozmowie z KAI: „Jedną z rzeczy, których nie rozumiem w dokumencie, który podpisał Benedykt XVI, którego oczywiście nie napisał on sam w całości, są wyrażenia, które stoją w sprzeczności z jego własną wizją teologiczną od zawsze. Na przykład odnosi się do »ducha czasów« lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych. W tamtym czasie inaczej odnoszono się do przypadków wykorzystania seksualnego. I właśnie papież senior zawsze podkreślał, że istnieją wartości moralne niezależne od czasu. Tu pojawiają się sprzeczności z myślą teologiczną Josepha Ratzingera. Dla mnie jeszcze bardziej niesamowite jest to, że w odpowiedzi napisał, że jeśli ksiądz, który popełnia wykorzystanie, nie jest

ubrany jak ksiądz i popełnia wykorzystanie seksualne prywatnie, to biskup nie jest za to odpowiedzialny. To jest naprawdę niesamowite, bo jaki ksiądz był ubrany w strój kapłański, kiedy wykorzystywał kogoś seksualnie? Dosłownie. Po drugie: czy mamy jakąś formę kapłaństwa, którą można odstawić zdejmując sutannę? To jest zupełnie przeciwko rozumieniu sakramentu kapłaństwa. Nie mogę uwierzyć, żeby coś takiego zostało wymyślone i napisane osobiście przez papieża Ratzingera”.

Po oświadczeniach zarówno autorów owej odpowiedzi, jak i samego papieża, można już przyjąć, że przynajmniej część z tego tonu papieskiej odpowiedzi pochodzi od jego współpracowników, dla których istotniejsza była „obrona dobrego imienia” niż prawda. Jest tu jednak jedno „ale”. Otóż nieco podobny ton i analogiczny brak wycucia znajdziemy także w osobistym liście papieża Benedykta XVI. „Jest to bardzo osobiste wyznanie, ale zbyt ogólne i lepiej by było, aby najpierw odnieść się do tych, którzy zostali dotknięci nadużyciami, a następnie podziękować przyjaciołom” – mówił o tym dokumencie o. Zollner SJ.

Przyjaciele i ofiary

To, o czym wspomina w bardzo ostrożnych słowach jezuita, jest rzeczywiście istotnym mankamentem osobistego listu Benedykta XVI. Tekst ten, jak zwykle w przypadku papieża emeryta, pięknie napisany, rozpoczyna się wcale nie od wzmianek o skrzywdzonych, nie od skrucy, ale od wdzięczności dla tych, którzy napisali „odповідź” i obronę papieża, a także od ich obrony.

„W szczególności chciałbym podziękować małej grupie przyjaciół, którzy bez-

interesownie sporządzili moje 82-stronowe memorandum dla kancelarii prawnej w Monachium, którego nie mógłbym napisać sam. (...) W gigantycznej pracy tamtych dni – opracowaniu stanowiska – doszło do przeoczenia dotyczącego mojej obecności na spotkaniu rady diecezjalnej w dniu 15 stycznia 1980 r. Błąd ten, który niestety wystąpił, nie był zamierzony i mam nadzieję, że jest do wybaczenia. (...) W żaden sposób nie umniejsza to troski i poświęcenia, które dla tych przyjaciół były i są oczywistym imperatywem. Byłem głęboko wstrząśnięty tym, że przeoczenie to zostało wykorzystane do podważenia mojej prawdomówności, a nawet do przedstawiania mnie jako kłamcy” – napisał papież emeryt.

Dalej mamy dłuższy passus o odpowiedzialności pasterskiej, o błędach, ale i o pewności przebaczenia od Boga, w który włączone są rozważania na temat winy wobec ofiar i ich cierpienia. „Każdy przypadek wykorzystywania seksualnego jest straszny i nie do naprawienia. Ofiarom wykorzystywania seksualnego składałam wyrazy najgłębszego współczucia i ubolewam nad każdym poszczególnym przypadkiem” – napisał papież emeryt. Ważne to słowa, ale w takim tekście ta kolejność ma znaczenie. Uświadamia, że w osobistej hierarchii Benedykta XVI skrzywdzeni, choć ważni, są niżej niż przyjaciele, których celem była obrona „dobrego imienia”.

Z tej perspektywy warto przeczytać „List o przyczynach kryzysu Kościoła”, napisany na zwołane przez Franciszka spotkanie w Watykanie przewodniczących episkopatów w lutym 2019 r. w sprawie skandalu nadużyć. W nim także kluczowe jest dobro Kościoła, klarowność jego nauczania, skrzywdzeni – choć →

Literatura latynoamerykańska jest kobietą

LEKCJE CZYTANIA Z INSTYTUTEM CERVANTESA

Zapraszamy na spotkanie poświęcone twórczości argentyńskiej prozaiczki **MARIANY ENRÍQUEZ**, ze szczególnym uwzględnieniem opowiadania „**Budny dzieciak**” z tomu „**To, co utraciliśmy w ogniu**”. O tekście opowie iberystka i tłumaczka **Nina Pluta**.

Spotkanie odbędzie się online w **środę 23 lutego o godz. 12.00** na profilu **f / LekcjeCzytania**.

Współorganizatorami wydarzenia są Fundacja Tygodnika Powszechnego i Instytut Cervantesa w Krakowie.

TYGODNIK
POWSZECHNY

FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Instytut
Cervantesa

fanipay



→ występują, i w odniesieniu do nich padają istotne słowa – nie są najważniejsi. Oczyszczenie Kościoła, wiarygodność instytucji, piękno kapłaństwa są w centrum uwagi, a nie osoby skrzywdzone. To nie jest zresztą zarzut, lecz raczej uwaga pozwalająca lepiej zrozumieć myślenie Benedykta XVI. Jest ono zakorzenione w paradygmacie teologicznym, w którym instytucja Kościoła, jej dobro, kapłaństwo i jego wielkość pozostają kluczowe.

Papież – przy całym swoim geniuszu teologicznym – jest zakorzeniony w takim właśnie myśleniu.

Revolucja kopernikańska

Teraz jednak Kościołowi potrzebny jest kolejny krok, który papież Franciszek określa „zmianą perspektywy”. Na czym ma on polegać? Franciszek uważa, że chodzi o przejście od perspektywy „obronno-reaktywnej dla chronienia instytucji, na rzecz szczerego i zdecydowanego poszukiwania dobra wspólnoty, co da pierwszeństwo ofiarom nadużyć w każdym znaczeniu”. Abp Mark Coleridge idzie zaś o krok dalej i wskazuje, że w istocie chodzi o to, by uświadomić sobie, że „rany tych, którzy byli wykorzystywani, są naszymi ranami, że ich los jest naszym losem, że nie są naszymi wrogami, ale kością z naszych kości, ciałem z naszego ciała. Oni są nami, a my jesteśmy nimi. Tego rodzaju nawrócenie jest w rzeczywistości rewolucją kopernikańską. Kopernik udowodnił, że Słońce nie kręci się wokół Ziemi, ale Ziemia wokół Słońca. Rewolucja kopernikańska jest dla nas odkryciem, że osoby, które zostały wykorzystane, nie kręcą się wokół Kościoła, lecz Kościół wokół nich. Odkrywając to, możemy zacząć widzieć ich oczami i słyszeć ich uszami, a kiedy to zrobimy, świat i Kościół zaczną wyglądać zupełnie inaczej”.

Teologia Benedykta XVI, mimo swojej intelektualnej potęgi, jest teologią sprzed tej rewolucji. Kościół, jeśli ma odpowiedzieć na wyzwanie, jakie stanowi dla niego skandal wykorzystania seksualnego, jeśli ma stać się miejscem rzeczywistej empatii wobec ofiar, musi pójść w tym kierunku. Zrozumienie tego jest istotne także dla kościelnych konserwatystów, o ile mają oni rzeczywiście współodczuwać ze skrzywdzonymi.

© TOMASZ TERLIKOWSKI

Sztuka rozeznawania

KS. TOMAŚ HALÍK

Tradycyjna spowiedź znika w wielu miejscach Kościoła. Czy powinno nas to martwić?

W ODPOWIEDZI NA WEZWANIE Franciszka do głębokiej reformy Kościoła w celu wspólnego poszukiwania odpowiedzi na Boże wezwania, w wielu miejscach Kościoła powszechnego powstają koła synodalne. Dyskusje, którym towarzyszy modlitwa, nie powinny się jednak skończyć wyłącznie synodem biskupów. Droga synodalna to zadanie długookresowe, które zaowocuje albo przyszłym, reformatorskim soborem, albo serią synodów plenarnych na wszystkich poziomach, które – podobnie jak np. Sobór Trydencki – przyniosą zmiany, także w wymiarze doktrynalnym i dyscyplinarnym. Takich zmian nie możemy oczekiwać w ciągu kilku miesięcy – konieczne jest jednak odpowiedzialne przemyślenie i przygotowanie ich już teraz.

Reformy potrzebuje m.in. praktyka sakramentu pojednania. W wielu krajach sakrament ten praktycznie zanikł, a wielu wierzących ma z nim spore problemy. Do uwag o odnowieniu praktyki spowiedzi zainspirowały mnie także trzy biblijne czytania z liturgii niedawnej 5. niedzieli okresu zwykłego; wszystkie mówią o powołaniu.

W tych trzech czytaniach powołani ludzie nie reagują na fakt swojego wybrania dumą, lecz poczuciem braku godności i przynależności, a także grzeszności. Fakt wybrania prowadzi ich ku pokorze, a nie ku pysze. Paweł wyznaje swoją niegodność dlatego, że w przeszłości prześladował chrześcijan; prorok Izajasz broni się w ten sposób, że ma nieczyste usta, ponieważ żyje wśród ludzi o nieczystych ustach, a Piotr – niczego nie wyjaśniając, ani nie uzasadniając – prosi: „Panie, odejdz ode mnie, bo jestem człowiek grzeszny”. Pan nie wybiera sobie jednak doskonałych i bezbłędnych. Bóg lubuje się w paradoksach, stosuje inne kryteria niż ludzie. Uspo-

kaja Pawła: wystarczy ci mojej łaski, ponieważ Boża siła tym bardziej przejawia się w ludzkiej słabości.

Bóg chce oryginałów

Kiedy zastanawiamy się nad Bożym powołaniem i wybraniem, nie ograniczamy się do powołań „wyjątkowych”. Nie bójmy się przyznać, że także my jesteśmy wybrani przez Boga. Każdy z nas – nie tylko chrześcijan, ale każdy z ludzi – jest wybrany przez Boga. Każdego człowieka Bóg powołał i wybrał do wyjątkowego, niezamienialnego życia.

Pierwszym etapem wybrania jest fakt, że człowiek się urodził i żyje. Oryginalność jego powołania polega na tym, że narodził się w określonym czasie, środowisku i z pewnym wewnętrznym wyposażeniem. A sens jego życia polega na tym, aby to swoje obdarowanie rozpoznał i możliwie rozwinął, odpowiadając w ten sposób na potrzeby i wyzwania czasu i środowiska, w którym żyje.

Porównywanie się z innymi nie ma sensu. Każdemu dane było dokładnie tyle, ile potrzebuje do swojego życiowego zadania – i każdy będzie kiedyś sądzony według tego, jak to zadanie wypełnił. „Komu było dane więcej, od tego będzie więcej wymagane” – mówi jasno Biblia. Im większe obdarowanie, tym cięższe zadanie, tym większa odpowiedzialność.

Jeżeli jesteśmy chrześcijanami, potraktujmy poważnie kolejny aspekt naszego powołania – do chrześcijańskiego sposobu życia. Zostaliśmy powołani – jako prości galilejscy rybacy albo jako uczony faryzeusz Paweł – do naśladowania Chrystusa jako jego uczniowie.

W tym miejscu należy dodać dwie rzeczy. Po pierwsze, z powodu bycia wybranymi nie jesteśmy w niczym lepsi od tych, którzy tego specyficznego powołania nie otrzymali, i do których Bóg zwraca się w inny sposób. I po drugie,



LUKASZ DEINAROWICZ / FORUM

Podczas mszy św. w Lesie Piaśnickim koło Wejherowa, październik 2019 r.

jak wiemy z historii Kościoła, istnieją setki tysięcy różnych sposobów na bycie chrześcijanami, na naśladowanie Chrystusa – zawsze w określonym czasie i przestrzeni.

Każdy z nas musi znaleźć to, co należy do niego. Bóg chce oryginałów, a nie kopii. Boże powołanie to intymne zwrócenie się do nas, które usłyszymy w dialogu modlitewnym, jakkolwiek możemy czerpać ku niemu inspiracje z różnych wydarzeń w naszym życiu, ze spotkań i rozmów z ludźmi, albo z lektury (przy czym nie musi to być tylko lektura pobożnych ksiąg).

Ważnym znakiem wiarygodności powołania jest to, że prowadzi nas ono ku wahaniu i poczuciu, że jesteśmy niegodni. Bóg nie może pracować z pysznymi, ponieważ pycha oślepia, ogłusza i ogłupia ludzi, czyni ich nieczułymi na Boże wołanie. Możliwe, że wiele powołań do chrześcijaństwa (przede wszystkim powołań do praktycznej miłości, do służby innym) rozwija się trudniej w epokach i w środowiskach, które są przesiąknięte ludzką pychą i egocentryzmem – to dotyczy także naszej, współczesnej cywilizacji.

Jak możemy być w ogóle winni?

Na początku każdego nabożeństwa zwywa się nas do rachunku sumienia oraz wyznania grzechów i słabości. Kościół proponuje nam także sakrament pokuty. Bowiernie pokorne samopozna-

nie otwiera serce i sumienie człowieka na głos Boga.

Oba te sposoby wyznania grzechów dla wielu stały się niezrozumiałe i niezręczne – prawdopodobnie dlatego, że także z winy określonej teologii i wychowania religijnego doszło do zniekształcenia pojęcia grzechu. Kiedy dziś czytam owe „rachunki sumienia” ze spisem grzechów, opatrzonych ostrzegawczymi gwiazdkami, aby w ten sposób podkreślić grzechy ciężkie (szczególnie te, które dotyczą seksualności) – te same rachunki sumienia, zgodnie z którymi także ja się przez całe lata spowiadałem – nie dziwię się, że ludzie nie widzą w nich już dziś prawdy o swoim życiu. W niektórych przypadkach te wiwisekcje precedują komara i połykają wielbłąda. Obsesyjne, neurotyczne fiksacje na detalach seksualnego nieuporządkowania często zakrywały rzeczywiste poważne błędy w egzystencjalnym ukierunkowaniu życia. Takie, jak egoizm i egocentryzm czy marnowanie czasu i energii.

Owszem, rozumiem, dlaczego w wielu krajach sakrament pokuty praktycznie zanikł. Kiedy podczas spowiedzi spotykam się z ludźmi przyzwyczajonymi do tego, aby chwilę przed mszą wypowiedzieć stereotypowy zestaw banałów, przerywam im: „Przepraszam, ale tę wyliczankę mogę dokończyć za panią/pana. Proszę się zastanowić, co uważa pani/pan naprawdę za ważne, co oddziela od Boga?

Jaki związek ma to z tym, czym realnie żyjecie? Z tym, o co wam w życiu chodzi? Z tym, na czym budujecie swoją wiarę i swoje duchowe życie?”. W wielu językach wyraz „grzech” oznacza dług. Pytajmy się zatem: co jesteśmy winni swojemu powołaniu i wybraniu?

Zanim doszedłem do dzieł współczesnej teologii moralnej – np. ksiązek Bernharda Häringa, który jeszcze po Soborze wycierpiał swoje od kościelnych autorytetów – przeżyłem wielki zwrot w rozumieniu grzechu podczas lektury pewnej ważnej i niełatwej książki. Była to powieść „Proces” Franza Kafki. Za kluczowe miejsce w niej uważam rozdział o katedrze i odpowiedź Józefa K. księdzu: „Jak może być człowiek w ogóle winny? Przecież wszyscy jesteśmy tu ludźmi, jeden jak drugi”.

To zdanie przyniosło mi odpowiedź na pytanie o sens tego dzieła – a szczególnie na pytanie, na czym polega wina Józefa K. – i wina człowieka naszego czasu. Dzisiejsze poznanie biologicznych, genetycznych, kulturowych i społecznych uwarunkowań ludzkich zachowań proponuje nam gąszcz wymówek, którymi możemy przykryć swoją wolność, a więc także swoją odpowiedzialność. Wszystko możemy wyjaśnić, uzasadnić i wytłumaczyć działaniem szeregu z grubsza biorąc zewnętrznych okoliczności, na które nie mamy wpływu.

„Wszyscy jesteśmy tu ludźmi, jeden jak drugi” – ale być może właśnie to jest naszą wielką winą. Może właśnie konformizm i powierzchowność życia – to, że żyjemy, tak jak się żyje, tak jak jest to nam określone z zewnątrz – są winą chyba cięższą niż wiele z tych rzeczy, które ludzie szepotali czy dotąd szeptaają w mroku konfesjonałów.

Nasze niepowtarzalne ja, do którego powołuje nas Bóg, zmienia się w bezosobowe „się” – przecież tak się robi, tak się mówi, tak się dziś żyje, przecież robi to „każdy”. Ów nieokreślony, nieosobowy każdy, to „się” – *das Man, man lebt, man spricht* – to według filozofa Martina Heideggera charakterystyczna cecha życia nieautentycznego, życia na powierzchni.

Nawrócenie – którego oczekuje od nas Jezus – nie jest prostym „polepszeniem się”, ale właśnie przebudzeniem i odwróceniem od powierzchownego, nieautentycznego życia. Bóg nie będzie nas sądził według owych spisów grzechów i pseudogrzechów, ale według autentyczności, prawdziwości czy nieprawdziwości →

→ naszego życia, według wierności naszemu osobistemu powołaniu – według tego, czy wystarczająco pieczołowicie pytaliśmy się, dlaczego Bóg posłał nas na świat, i staraliśmy się to niezamienialne zadanie wypełnić.

Towarzyszenie duchowe

Być może nie trzeba załamywać rąk nad tym, że wiele konfesjonatów jest pustych. Widocznie owa klasyczna, tradycyjna postać spowiedzi (i przynajmniej, w wielu przypadkach całkiem jałowa) będzie zanikać dalej. Niemalże chrześcijan wie przecież albo przynajmniej przeczuwa, że to, co ich oddziela od Boga, jest o wiele głębszą i subtelniejszą, szarą rzeczywistością niż to, co wyliczają tradycyjne „rachunki sumienia”.

W ciągu 33 lat swojej służby kapłańskiej wysłuchałem dziesiątek tysięcy spowiedzi. Przez wiele lat proponujemy w naszej parafii oprócz sakramentu pojednania także rozmowy duchowe, które są zwykle dłuższe i głębsze, niż pozwala na to zwykła forma sakramentu, i do-

**Rola spowiednika
jako sędziego,**
który – patrząc do kodeksu
prawa kościelnego albo
podręcznika teologii moralnej
– udziela nakazów i zakazów,
przechodzi do przeszłości.

tyczą szerszego kontekstu życia duchowego. Wierzę w siłę łaski, którą proponuje sakrament pojednania, a jednak obawiam się, że tę siłę osłabia nadmierne poleganie na „opus operatum” [automatycy] sakramentu, oderwane od dialogicznego spojrzenia na cały życiowy kontekst wierzącego, na jego drogę dojrzewania, którą można postrzegać tylko w ramach długotrwałego towarzyszenia.

To, czego bardzo potrzebujemy i co słusznie będzie od Kościoła coraz bar-

dziej oczekiwane i pożądane – to profesjonalne, cierpliwe i naprawdę uzdrawiający towarzyszenie duchowe. Nie „kierownictwo” – nie chodzi o kierowanie z zewnątrz i zastępowanie człowieka sumienia i odpowiedzialności. Potrzebne jest towarzyszenie – ze zrozumieniem i szacunkiem dla wolności i odpowiedzialności każdego, wsparcie na drodze do dojrzałości i odpowiedzialności. Przy tym największym zadaniu życia duchowego potrzeba fachowego asystowania – sztuki rozeznawania, rozeznawania Bożego głosu, odróżniania go od projekcji naszych pragnień i lęków oraz rozpoznawania swojego specyficznego powołania. Rola spowiednika jako sędziego, który, patrząc do kodeksu prawa kościelnego albo podręcznika teologii moralnej, udziela nakazów i zakazów, należy już do przeszłości. „Konfesjonały nie są salami tortur, ale częścią szpitala polowego, w którym leczy się i obwiązuje rany” – mówi papież Franciszek.

Człowiek musi w końcu swoje decyzje podejmować sam i ponosić za nie odpowiedzialność, a jednak podczas ich podejmowania nie powinien być sam – właściwe decyzje dojrzewają w dialogu. Do praktyki empatycznego, dialogicznego towarzyszenia, które jest bardzo potrzebne i będzie coraz bardziej pożądane, Kościół powinien przede wszystkim wychowywać tych, którym będzie powierzona służba duszpasterska.

Do służby duchowego towarzyszenia potrzeba ludzi duchowych. To na pewno nie oznacza tylko ludzi ze święceniami kapłańskimi. Do towarzyszenia duchowego nie są bezwarunkowo potrzebne święcenia, jakkolwiek połączenie kapłańskiej służby sakramentalnej ze sztuką duchowego towarzyszenia jest bardzo potrzebne – a jednak charyzmaty ludzi są różne. Będziemy potrzebować wielu teologicznie i psychologicznie wykwalifikowanych ludzi, którzy w służbie duszpasterskiej mogą uwzględnić także perspektywę własnego doświadczenia małżeńskiego i rodzicielskiego doświadczenia zdobytego w środowiskach niekościelnych. Przypomnijmy wspomnienia świętego papieża Jana Pawła II o tym, jak przez lata duchowo towarzyszył mu i formował pewien świecki [krawiec Jan Tyranowski – red.]. Takich przypadków jest wiele.

Nie mam na myśli zastępowania duszpasterstwa psychoterapią – zajmowałem

5 lutego 2022 roku zmarł nagle przeżywszy blisko 86 lat

Ś.†P.
Leszek Plewicki

inżynier elektroniki, miłośnik przyrody,
znawca Tatr, góralskiej gwary, historii i kultury Podhala.
Wieloletni czytelnik i prenumeratorem „Tygodnika Powszechnego”

Msza św. żałobna i pogrzeb odbędą się w Murzasichlu k. Zakopanego
12 marca 2022 r. o godz. 12.00

Córkom Małgosi i Ani,
wnukom i prawnukowi Mani, Wawrzkowi,
Jankowi, Jackowi i Guciowi, a także całej rodzinie Zmarłego

składamy wyrazy serdecznego współczucia

PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

się obiema dziedzinami i widzę zacho-
dzące między nimi podobieństwa i róż-
nice. Zapewne ten, kto działa w dusz-
pasterstwie, oprócz wykształcenia teo-
logicznego mógłby posiadać pewne
wykształcenie i praktykę także w psy-
choterapii – przynajmniej na tyle, aby
potrafił rozróżnić, które problemy już
nie należą do jego kompetencji i kiedy
konieczne jest zwrócenie się do specja-
listy. A jednak duchowe towarzysze-
nie to coś więcej niż przełamywanie
psychicznych obciążeń albo wsparcie
wzrostu osobistego.

Potrzeba nam ludzi, którzy będą po-
trafili rozwijać wspierającą i terapeutyczną siłę wiary, sakramentów, modlitwy, duchowego życia i wsparcia ze strony zdrowych społeczności wierzących. Oszałałe formy „cudownych uzdrowień”, z którymi spotykamy się w licznych tzw. charyzmatycznych czy pentekostalnych grupach typu sekciarskiego, to tylko patologiczne odpowiedzi na właściwie rozpoznaną, aktualną potrzebę: trzeba rozwinąć uleczającą moc wiary i społeczności wierzących. Zazwyczaj nie dzieje się to za pomocą efektownych rytuałów, nadużywających religijnych gestów do psychicznej manipulacji. Chodzi raczej o cierpliwe nasłuchiwanie i ciche poszukiwanie w modlitwie.

To szczególnie pilne w czasie, kiedy strach i brak pewności prowadzą ludzi ku populizmowi, religijnym fundamentalizmowi, zabobonom i łatwowierności. Należy rozwinąć sztukę duchowego rozróżniania, kulturę kontemplacyjnej modlitwy i kontemplacyjnej relacji ku życiu. W epoce patologicznych, religijnych i politycznych sekt, w których ludzie wzajemnie umacniają się w strachu i nienawiści wobec innych, należy dbać o miejsca umocnienia i szkoły chrześcijańskiej mądrości oraz ludzkiej dojrzałości. Należy się nawzajem cierpliwie słuchać i wspólnie słuchać Boga, co podkreśla konsekwentnie Franciszek w związku z reformą synodalną. Wszyscy jesteśmy powołani – wybrani do wolności, do prawdziwego, szczęśliwego, autentycznego życia w relacjach miłości, do służenia innym. Starajmy się rozumieć swoje osobiste, specyficzne powołanie i krok za krokiem je wypełniać.

© KS. TOMAŚ HALIĆ

Przełożył TOMASZ MAĆKOWIAK



MAX VON LACHNER / SYNODALER WEG

Uczestnicy trzeciej sesji Drogi Synodalnej w rozmowie kularowej (trzeci od lewej bp Georg Bätzing, przewodniczący episkopatu Niemiec), Frankfurt n. Menem, 4 lutego 2022 r.

Droga na przełaj

ARTUR SPORNIAK

Trzecie zgromadzenie niemieckiej Drogi Synodalnej przegłosowało kontrowersyjne dla konserwatystów postulaty.

PONAD DWIE TRZECIE NIEMIECKICH biskupów zstąpiło w weekend ze swojego klerykalnego Olimpu i zobowiązało się do czegoś, co jakiś czas temu wydawało się nie do pomyślenia: podzielenia się swoją władzą ze świeckimi na równych prawach – napisał komentator dziennika „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, podsumowując zakończone 5 lutego trzecie zgromadzenie niemieckiej Drogi Synodalnej. W drugim czytaniu (a więc definitywnie) przyjęto tam trzy teksty: dokument o źródłach odnowy Kościoła, propozycję zmiany jego ustroju na bardziej synodalny oraz postulat udziału świeckich w mianowaniu biskupów. W pierw-

szym czytaniu (będą dalej opracowywane) przyjęto aż jedenaście tekstów, w tym dokumenty proponujące m.in. zmianę podejścia do homoseksualizmu, dopuszczenie sztucznej antykoncepcji, błogosławienie par jedнопłciowych i po rozwodach, święcenia kapłańskie dla kobiet oraz złagodzenie dyscypliny kapłańskiego celibatu. Fakt ten zaskoczył obserwatorów.

Przypomnijmy: Drogę Synodalną zawiązano jesienią 2019 r. jako zgromadzenie biskupów i świeckich, którzy wspólnie i na równych zasadach wypracować mają propozycje rozwiązań najważniejszych problemów Kościoła. Głównym bodźcem było ogłoszenie zamówionego przez niemiecki episkopat

→ raportu trzech uniwersytetów na temat wykorzystania seksualnego małoletnich. Biskupi zgodzili się na precedensową, pozakanoniczną formę pracy.

Eksperyment

Członkami Drogi zostali z urzędu wszyscy biskupi niemieccy, których jest obecnie 69. Tyle samo członków delegował Centralny Komitet Katolików Niemieckich – największa świecka organizacja kościelna w tym kraju. Do współpracy zaproszono także przedstawicieli różnych organizacji katolickich (w ten sposób znalazła się tam nasza autorka – Zuzanna Flisowska-Caridi, która reprezentuje organizację Voices of Faith, działającą na rzecz obecności kobiet na stanowiskach decyzyjnych w Kościele). 230 członków, podzielonych na cztery fora dyskusyjne, zajmujące się problemami władzy w Kościele, współczesnym życiem księży, etyką seksualną oraz dyskryminacją kobiet, wypracowuje dokumenty. Są one przyjmowane, gdy w ramach dwóch czytań zdobędą dwie trzecie głosów wszystkich członków – w tym dwie trzecie głosów biskupów.

Po trzeciej odsłonie niemieckiego eksperymentu wśród przynajmniej niektó-

rych jego uczestników dostrzec można wyraźny entuzjazm. Biskup Osnabrück Franz-Josef Bode powiedział, że wreszcie poczuł „silny wiatr w plecy”. Mówił też o „historycznej okazji, której nie można zmarnować”. Ten optymizm będzie bardziej zrozumiały, gdy porówna się owoce ostatniego zgromadzenia z trudnościami, jakie ujawniły się podczas drugiego spotkania, we wrześniu 2020 r. Zdając z niego sprawę, Zuzanna Flisowska-Caridi pisała wręcz o „sytuacji patowej” między stroną konserwatywną i postępową (zob. powszech.net/flisowska-droga-synodalna).

Tymczasem teraz 189 z 230 członków Drogi zgromadzonych we Frankfurcie nad Menem plus kolejnych 29 uczestniczących w spotkaniu online bez problemu przegłosowało najgorętsze i dla konserwatywnej strony najbardziej kontrowersyjne postulaty.

Dokument „Kobiety w posługach i urzędach w Kościele” stwierdza m.in.: „To nie udział kobiet we wszystkich posługach i urzędach kościelnych wymaga usprawiedliwienia, lecz wykluczenie kobiet z posługi sakramentalnej” – głosiło za nim 81 proc. uczestników. W do-

kumencie postulującym opracowanie celebracji błogosławieństwa dla par jedнопłciowych czy po rozwodzie czytamy, że nie da się przekonująco uzasadnić teologicznie odmowy błogosławienia dwojga ludzi, którzy chcą żyć w swoim partnerstwie w miłości, zaangażowaniu i odpowiedzialności wobec siebie nawzajem i wobec Boga, a orientacja homoseksualna jest częścią tożsamości człowieka „stworzonej przez Boga” i dlatego „etycznie nie należy jej oceniać inaczej niż jakiegokolwiek innej orientacji seksualnej”. To opracowanie poparło aż 86 proc. Podobnie wysokie poparcie otrzymał postulat złagodzenia dyscypliny celibatu kapłańskiego.

Niespodziewane owoce ostrej dyskusji

Co się stało w ciągu tych kilkunastu miesięcy? Niewątpliwie pogłębił się kryzys w Kościele. Opinią publiczną wstrząsnął raport dotyczący diecezji monachijskiej, którą w latach 1977-82 kierował Joseph Ratzinger. Okazało się, że w sposobie postępowania wobec przestępstw seksualnych księży nie wyróżniał się on wśród innych biskupów (pisze o tym w tym numerze „Tygodnika” Tomasz Terlikowski). Osłabił autorytet papieża emeryta, głównego promotora konserwatywnego pomysłu na kryzys (wzywania do nawrócenia bez strukturalnych i dogmatycznych zmian). To zmobilizowało reformatorów wśród członków Drogi Synodalnej i osłabiło ich adversarzy.

Pozostaje pytanie: czy te rozstrzygnięcia będą miały przełożenie na Kościół powszechny? Środowiska konserwatywne wieszczą schizmę, do której nieuchronnie ich zdaniem prowadzą niemieccy biskupi. Oni sami są jednak dobrej myśli. Droga wypracowuje solidne argumenty, które będzie mógł wykorzystać trwający synod na temat synodalności. Przewodniczący niemieckiego episkopatu Georg Bätzing realistycznie stwierdził: „Wierzę w porozumienie z Kościołem powszechnym, nawet jeśli nie we wszystkich punktach”. Zapowiedział utworzenie grupy roboczej liderów Drogi Synodalnej i członków Sekretariatu Synodu Biskupów. W tej sprawie rozmawiał już z głównym synodalnym sprawozdawcą kard. Jean-Claudem Hollerichem i sekretarzem synodu kard. Mario Grechem.

© © ARTUR SPORNIAC

Nasza bardzo kochana Ciocia

Ś.†P.

Zofia Sokołowska

zmarła 27 stycznia 2022 roku, przeżywszy 95 lat.

Była człowiekiem wielkiej prawości, dobroci i troski o swoich bliskich.

Była żołnierzem Armii Krajowej, pseudonim „Dzidzia”.

Uczestniczyła w zamachu na generała SS Wilhelma Koppego.

Brała udział w akcjach bojowych Batalionu „Skała” AK.

Została odznaczona Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami.

Po wojnie uzyskała dyplom magistra prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Jej szczerą i rozumną pobożność, ciekawość świata, pogoda ducha i uczciwość sprawiały, że była wzorem dla całej naszej rodziny.

I wierzymy, że będzie nad nami czuwać.

Została pochowana w grobie rodzinnym na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

O czym zawiadamiają

SIOSTRZENICA I SIOSTRZENIEC Z RODZINAMI

POZEGNANIE

WOJCIECH

Bonowicz: Świecenie



OD DAWNA PODEJRZEWALEM, ŻE ŻARÓWKA – raz wkręcona w nasze życie polityczne – powróci. I że będzie to żarówka zwykła, nie energooszczędna bynajmniej. Bo żarówka energooszczędna jest zaprzeczeniem demokracji.

Przypomnijmy, że żarówka została wkręcona w nasze życie polityczne po raz pierwszy przez pana prezydenta. Prawdę mówiąc, kiedy pan prezydent ją wkręcał, nie chodziło mu jedynie o nasze podwórko, ale również o podwórko europejskie. Nie od dziś wiadomo, że nikomu tak nie zależy na podwórku europejskim, jak tym, którzy ostatnimi czasy odpowiadają za podwórko polskie. Że jest ono pięknie posprzątane, widać to na każdym kroku i nie ma się czego wstydzić, chyba że jest się w opozycji, która nie tylko do sprzątania się nie garnie, ale jeszcze śmieci na złość rozsypuje. A podwórko europejskie to – nie da się ukryć – jeden wielki bałagan, żeby nie powiedzieć chlew. Więc panu prezydentowi też zależy, żeby coś z tym zrobić, bo niedobrze, kiedy u nas tak ładnie, a na zachód od nas już nie. „Ja mam takie poczucie – mówił jesienią 2018 roku (a spisuję jego słowa z nagrania, żeby mi nikt nie zarzucił, że coś przekręciłem) – że my w ramach Unii Europejskiej mamy niedosyt demokracji. I wielu ludzi zadaje sobie pytanie, dlaczego Unia Europejska zabrania tego, dlaczego Unia Europejska zabrania tamtego. Dlaczego w sklepie – to jest taki banalny przykład – w Polsce nie można już w tej chwili kupić zwykłej żarówki. Można kupić tylko żarówkę energooszczędną. Wiele ludzi zadaje sobie takie pytanie. Nie wolno kupić, bo Unia Europejska zakazała”. Koniec cytatu. Koniec cytatu, choć w tym miejscu należałoby jeszcze opisać minę, jaką pan prezydent zrobił na zakończenie wywodu, cofając nieco głowę i wytrzeszczając oczy.

„O matko, ale wstyd – jęczała potem połowa internetów. – Niechby wziął przykład z żony i się nie odzywał”. „Dobrze powiedział – odpowiadała druga połowa – bo rzeczywiście, o normalną żarówkę w sklepie coraz trudniej, a podobno jest

lepiej dla oczu”. A w ogóle, tłumaczyła druga strona pierwszej, lepiej mieć wybór, niż nie mieć, czyż nie? Jak chce, żeby mi świeciły żarówki nieenergooszczędne, to moja sprawa i nikomu nic do tego. Wolność, człowieku, wolność najważniejsza, ale Europa to dziś kontynent niewolników. (Nawiasem mówiąc, w takich dyskusjach wykuwał się już charakter naszych obecnych sporów o pandemię).

No i co się nie robi? Mija trzy i pół roku i żarówka wkręcona przez pana prezydenta powraca na sówicie oplaconych billboardach. Sens ich jest mniej więcej podobny, choć retoryka inna. Pan prezydent mówił: „Wielu ludzi zadaje sobie pytanie...”. No, niby prawda, kłamstwa mu zarzucić nie można: byli ludzie, którzy takie pytania zadawali. Billboardom z żarówkami kłamstwo można zarzucić jak najbardziej. Lub co najmniej manipulację. Jest to manipulacja w słusznej sprawie – przynajmniej słusznej z punktu widzenia tych, którzy się nią posługują. Ale jednak manipulacja. Ludzie dostali nowe rachunki i są wściekli. Co zrobić z ich wściekłością? Wiadomo: przekierować. Nikt przecież nie powie: zawaliliśmy, zmarnowaliśmy czas i wasze pieniądze. A już na pewno nie ten, kto ma władzę. Nie po to ma władzę, żeby przyznawać się do winy. Więc pisze po prostu: „Polityka klimatyczna UE to droga energia i wysokie ceny”. Jest winny? Jest – ale nie ten, kto zmarnował miliardy złotych przeznaczonych na „zieloną” transformację. Od teraz każdy, kto zechce w Sejmie czy w trakcie kampanii upomnieć się o czystsza energię, dwa razy się zastanowi.

No więc jadę przez miasto i co rusz mi te billboardy z żarówką wyskakują. A obok nich, na nieco mniejszych tablicach, błaganie Jana Pawła II o nowe oblicze tej ziemi... Nie wiem, kto sfinansował te ostatnie, wiem, że za te pierwsze zapłaciliśmy wszyscy, bo sfinansowały je polskie elektrownie. Przyznaję, też miałbym ochotę wołać o nowe oblicze tej ziemi. Ale o co konkretnie? Czy Duch Święty ma za nas rozstrzygać, jaki prąd popłynie w naszych mieszkaniach i czy w sklepach nadal powinny być stare żarówki? To sprawa naszego rozumu, że powinniśmy zużywać mniej energii i mniej zanieczyszczać środowisko podczas jej wytwarzania. Może więc, tak sobie myślę, przynajmniej w kwestii postępującego odmoralnienia naszej polityki, jej – nazwijmy rzecz po imieniu – postępującego ściemnienia, Duch Święty mógłby pomóc? Bo jak nie Duch Święty, to kto? ©

OGŁOSZENIE

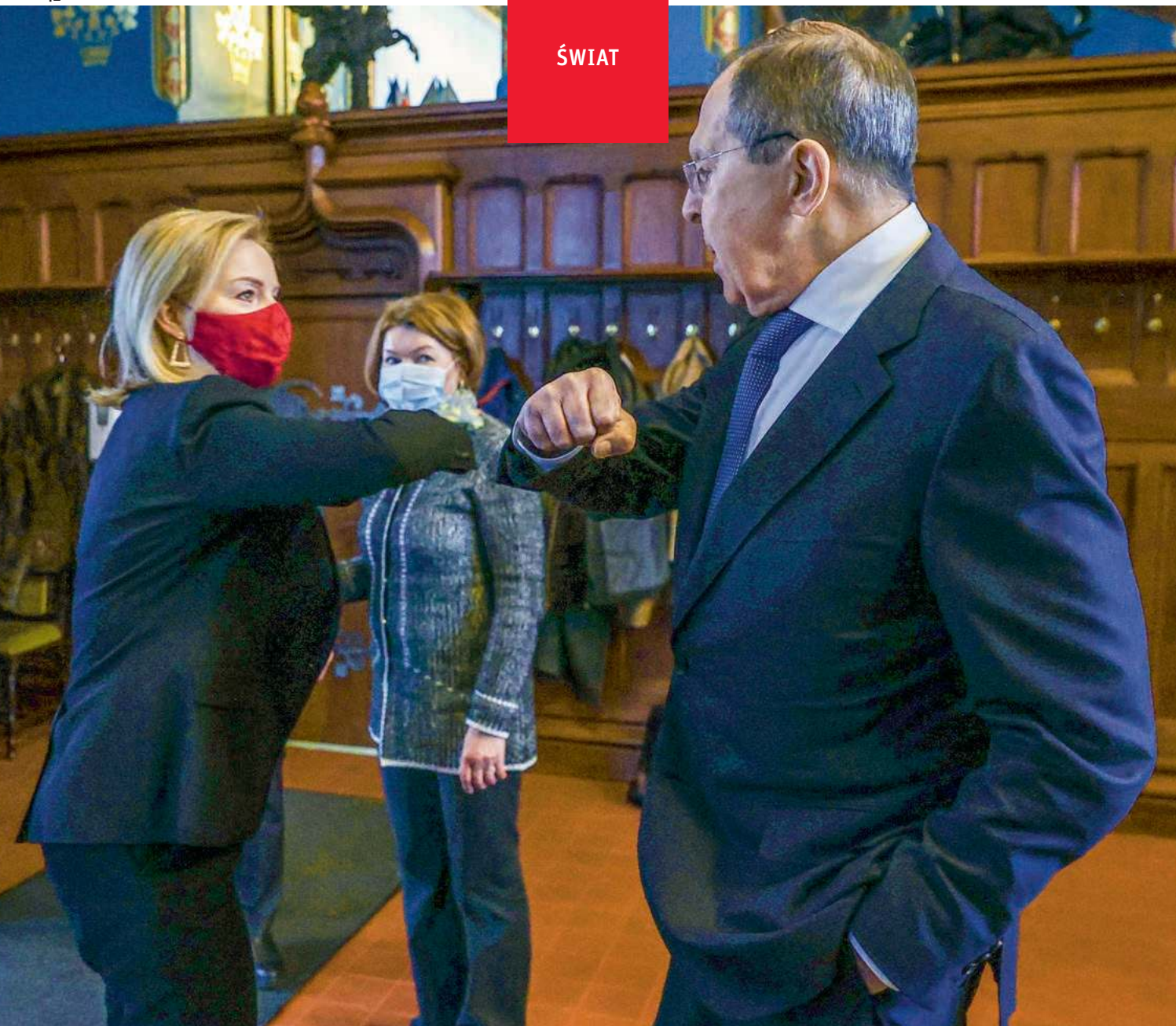
Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

REZERWUJ
CZAS!

● **POZNAŃ**, piątek, 18 lutego, Spotkanie z Leszkiem Wanatem „Las – przestrzeń wolności... Doświadczenie spotkania z przyrodą i jego aktualność w »Zapisach więziennych« Kardynała Stefana Wyszyńskiego” /online/

● **KRAKÓW**, środa, 23 lutego
Spotkanie z Arturem Barbarą Kapturkiewiczem i Kamilem Losiakiem
„Wykluczeni z Kościoła” /stacjonarne/

KLUB
TP KLUBYGDNIKA.PLSTOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZAwięcej na KlubTygodnika.pl/wydarzenia



Spotkanie ministrów spraw zagranicznych Liz Truss (Wielka Brytania) i Siergieja Ławrowa (Rosja), Moskwa, 10 lutego 2022 r.

UKRAIŃSKA SZACHOWNICA

Rosja i Zachód rozgrywają dramatyczną partię szachów, której stawką jest kształt architektury bezpieczeństwa w Europie. Kreml regularnie grozi jednak wywróceniem planszy.

WOJCIECH KONOŃCZUK

Ostatnie kilkanaście tygodni przyniosły w polityce europejskiej wzmożenie nieporównywalne z żadnym innym kryzysem po roku 1991. Wszystko ze względu na niebezpieczeństwo nowej rosyjskiej agresji na Ukrainę, które – w dominującej na Zachodzie percepcji, umiejętnie podsycanej przez Moskwę – może zniszczyć postzimnowojenny ład w Europie. Trwają gorączkowe zabiegi dyplomatyczne, aby do tego nie dopuścić.

Rosyjskie otwarcie...

Pozostając w terminologii szachów, przypomnijmy, jak się znaleźliśmy w obecnym momencie.

Kreml oczekiwał, że jego „otwarcie szachowe” – czyli trwająca od końca października 2021 r. koncentracja sił przy granicy Ukrainy (dziś szacowanych na 150 tys. żołnierzy w pierwszym rzucie), w połączeniu z grudniowym ultimatum dotyczącym rewizji zasad bezpieczeństwa – skutecznie wystraszą Europę i USA. Efektem tego miało być doprowadzenie do przyjęcia przynajmniej części rosyjskich żądań. Kluczowe z nich dotyczyło wywarcia przez Zachód na tyle silnej presji na Kijów, aby ten został zmuszony do realizacji porozumień mińskich. Od dawna nie ulega wątpliwości, że to jest głównym celem Rosji. Wyjaśnijmy, dlaczego to dla Kremla tak ważne.

12 lutego 2015 r. w stolicy Białorusi, w trakcie negocjacji między przywódcami Ukrainy, Rosji, Niemiec i Francji, ówczesny prezydent Petro Poroszenko podpisał pakiet niekorzystnych dla swego kraju dokumentów. Uczynił to pod presją – wobec postępującej w Donbasie rosyjskiej ofensywy i nacisków dyplomatycznych ze strony Zachodu.

Nie wdając się w szczegóły, porozumienia te zakładają nadanie separatystycznym „republikom” donieckiej i ługańskiej – które dziś są w pełni kontrolowanymi przez Rosję parapaństwami – znacznej autonomii w ramach państwa ukraińskiego (podkreślimy: w ramach Ukrainy). Realizacja tego planu doprowadziłaby zatem nie tylko do zalegalizowania obu „republik”, ale także do włączenia ich w organizm prawny Ukrainy – przy równoczesnym zachowaniu nad nimi kontroli przez Rosję.

...i założenie strategiczne

W ten sposób powstałaby sytuacja nieznana dotąd w świecie. Aby to zobrazo-

wać, wyobraźmy sobie państwo, którego część terytorium jest *de facto* kontrolowana przez wroga mocarstwo.

Inaczej niż większość państw Zachodu, Ukraińcy od początku zdają sobie sprawę, jaką groźbę niesie realizacja porozumień mińskich. Efektem byłaby dysfunkcjonalność państwa ukraińskiego, a także potężna destabilizacja wewnętrzna, gdyż dziś jedynie 12 proc. społeczeństwa Ukrainy zgadza się na ich realizację. W skrajnym przypadku, gdyby władze chciały forsować wypełnienie umów, mogłoby to doprowadzić do nowego Majdanu o trudnych do przewidzenia skutkach.

Dlatego Ukraina – zarówno w trakcie prezydentury Poroszenki, jak i obecnie Wołodymyra Zełenskigo – grała na czas, *de facto* odrzucając możliwość wypełnienia umów mińskich. Wprawdzie Kijów nie zdecydował się na ich formalne wypowiedzenie, ale to głównie za sprawą nacisków niektórych krajów Zachodu, które uznają, że nawet zły Mińsk jest lepszy niż potencjalna nowa wojna.

Rozwijanie figur

Moskwa natomiast nie tylko trzyma się korzystnych dla niej porozumień mińskich, ale próbuje wręcz narzucać własną ich interpretację – wiele bowiem zapisów jest dość ogólnych, a przez to spornych. Kpiną jest przy tym powtarzane od 2014 r. stanowisko Putina, że Rosja jest jedynie pośrednikiem i nie ma nic wspólnego z „ukraińską wojną domową”.

Dziś Kreml kontynuuje działania, które mają zademonstrować Zachodowi, że jeśli nie będzie korzystnego dlań rozwiązania, to gotów jest do nowej wojny. Trwa koncentracja wojsk przy granicach z Ukrainą, a 10 lutego na Białorusi zaczęły się nadzwyczajne rosyjsko-białoruskie manewry na bezprecedensową skalę. Zaangażowanych w nie będzie co najmniej 60 tys. żołnierzy. Dla lepszego efektu propagandowego Rosja przerzuciła tam – po raz pierwszy od 1945 r. – jednostki z Dalekiego Wschodu (ponad 9 tys. km).

Jakby tego było mało, zaczęły się niezapowiedziane manewry rosyjskiej marynarki na morzach Azowskim i Czarnym, co znacząco ograniczyło ruch statków handlowych na obu akwenach. To kolejny element działań Rosji skierowanych na pogorszenie sytuacji gospodarczej Ukrainy (ok. dwie trzecie jej eksportu wysyłane jest drogą morską). Od początku listopada 2021 r. hrywna straciła na warto-

ści prawie 10 proc., a groźba działań wojennych odstrasza inwestorów zagranicznych. Nic dziwnego, że władze w Kijowie regularnie wzywają, by nie panikować, obawiając się destabilizacji gospodarki.

Zdobyć przewagę pozycyjną

Kreml powtarza przy tym, że żadnej agresji przeciw Ukrainie nie przygotowuje, ale „jedynie” będzie reagował na „provokacje reżimu w Kijowie”. Rosyjską narrację dobrze oddają słowa Siergieja Naryszkina, szefa Służby Wywiadu Zagranicznego, który stwierdził niedawno, że to Ukraina planuje wywołanie wojny i „zniszczenie ludowych republik [w Donbasie], aby wciągnąć Rosję w wewnętrzno-ukraiński konflikt”. Nietrudno doszukać się w tych słowach możliwości „provokacji gliwickiej” na wschodzie Ukrainy.

Na wszelki wypadek państwa UE przygotowują się na najgorszy scenariusz. Nieprzypadkowo premier Mateusz Morawiecki mówił podczas wizyty w Kijowie, że choć ma nadzieję, iż Rosja „opamięta się i nie rozpocznie nowej wojny w Europie”, to „jeśli będzie inaczej, drzwi do Polski [dla ukraińskich uchodźców] będą otwarte”.

Pręząc militarne muskuły, Moskwa utrzymuje zarazem drożne kanały dyplomatyczne z Zachodem, który obawia się, że Putin w końcu wywróci szachownicę i pośle czołgi na Ukrainę. Niewątpliwym sukcesem rosyjskim są „pielgrzymki” na Kreml głównych polityków europejskich. Jak Emmanuela Macrona, który bardzo chciał pokazać, że Francja liczy się w tej rozgrywce i nie będzie w cieniu dyplomacji amerykańskiej, która od wybuchu kryzysu przejęła przywództwo. Jednak spotkanie Macrona z Putinem trudno uznać za przełom. Rosjanie nie wierzą w sprawczość Macrona, który walczy o reelekcję w kwietniowych wyborach i chce się pokazać francuskim wyborcom jako europejski mąż stanu.

Kombinacje taktyczne

Po spotkaniu z Macronem Putin nie powstrzymał się przed kolejną krytyką prezydenta Zełenskigo, który niedawno stwierdził otwarcie, że w porozumieniach mińskich nie podoba mu się ani jeden punkt. Rosyjski przywódca skwitował to słowami: „Podoba się czy nie – cierp, ślicznotko moja. Należy wykonać, innego sposobu nie ma”. Wywołało to skandal, bo część obserwatorów uznała, że mają one podtekst seksistowski. ➔

→ Zelenski odniósł się do tych słów Putina podczas wspólnej konferencji z Macronem (w drodze z Moskwy zahaczył on o Kijów). Prezydent Ukrainy stwierdził, że o ile „Ukraina rzeczywiście jest piękna”, to użycie przez Putina określenia „moja” to „już przesada”.

Z kolei we wtorek wizytę w Moskwie miał złożyć kanclerz Olaf Scholz (już po zamknięciu tego wydania „TP”). Odwiedzając wcześniej Waszyngton i Kijów, Scholz bardzo chce zatrzeć wrażenie niemieckiej bierności w obecnym kryzysie.

Mimo wszystko – trwające od ponad trzech miesięcy militarne demonstracje Rosji jak dotąd nie przyniosły oczekiwanego skutku. Co więcej: Moskwa liczyła, że wywoła istotne pęknięcia w stanowisku Zachodu, jednak – mimo próby gry singlowej Paryża – jak dotychczas do tego nie doszło. Wyraźnie zaskoczyło to Putina. Wizyta na Kremlu w ubiegłym tygodniu Liz Truss, szefowej dyplomacji brytyjskiej, potwierdziła tylko, że Zachód nie chce ustąpić – co minister Siergiej Ławrow skwitował jako „dialog nie-mego z głuchym”. Nie jest jednak wykluczone, że po wyborach we Francji w Pałacu Elizejskim zasiądzie ktoś znacznie bardziej odpowiedni z rosyjskiego punktu widzenia.

Także z Kijowa płyną wciąż sygnały, że żadnych ustępstw wobec Moskwy nie będzie: ani co do realizacji porozumień mińskich, ani w kwestii podjęcia bezpośrednich negocjacji z parapaństwami w Donbasie (czego również żąda Kreml). Władze ukraińskie znacznie spokojniej niż Zachód podchodzą też do możliwości rosyjskiej inwazji – choć mówią, że niczego nie wykluczają.

Utrzymanie napięcia

Wywołana przez Rosję szachowa rozgrywka jest daleka od zakończenia.

Na razie widać, że rosyjskie kalkulacje co do ustępstw Zachodu i Kijowa zawiodły. Choć Kreml definitywnie przeliczył, wszystko wskazuje na to, że będzie nadal utrzymywać napięcie, bo leży to w jego interesie. Zarazem jednak Rosjanie, jako wytrawni szachiści, będą unikać strat własnych (czytaj: sankcji) i próbować wyjść z rozgrywki z tarczą.

Co zatem może się wydarzyć w najbliższych tygodniach? Inwazja lądowa na Ukrainę, którą wciąż straszy Moskwa, jest najmniej prawdopodobnym scenariuszem i coraz bardziej wygląda

na wielki bluff. Wiązałaby się ona bowiem dla Putina z wielorakim ryzykiem. Nie tylko dlatego, że Zachód przygotowuje bezprecedensowe sankcje (na razie po to, by skutecznie Rosję odstraszyć). Kreml musi też brać pod uwagę, że w przypadku najazdu rosyjska armia spotka się nie tylko ze zdecydowanym oporem armii ukraińskiej (wzmacniającej w ostatnich tygodniach dostawami zachodniej broni), ale także – co może nawet ważniejsze – z oporem społecznym. Co trzeci Ukraińiec deklaruje, że w przypadku inwazji sięgnie po broń.

Putin musiałby zupełnie stracić kontakt z rzeczywistością, aby nie brać pod uwagę tych wszystkich czynników.

Jaka gra końcowa?

Dlatego bardziej prawdopodobny jest inny scenariusz. W sytuacji, gdy rozmowy z Zachodem nie przyniosą oczekiwanego przez Moskwę rezultatu – a dziś wszystko na to wskazuje – Rosja może zdecydować się na nową fazę konfliktu wokół Donbasu. Może go rozszerzyć, przeprowadzając uderzenia z powietrza na cele w innych regionach Ukrainy. Piętą achillesową ukraińskiej armii jest bowiem brak obrony przeciwlotniczej.

Idealnym rozwiązaniem byłoby tu posłużenie się tzw. separatystami, kontrolowanymi przez Moskwę, co – z jej punktu widzenia – dawałoby szansę na uniknięcie sankcji Zachodu. W tym wariancie ograniczone uderzenia – rzecz jasna „w odpowiedzi na ukraińskie provokacje” – miałyby zmusić Zachód i Kijów do nowych negocjacji, ale już w korzystniejszych dla Rosji okolicznościach.

Finalny efekt obecnej partii szachów zależeć będzie od tego, na ile trwająca operacja zastraszania – Ukrainy i Zachodu – przyniesie pożądaną przez Putina efekt. Dlatego najlepszym przygotowaniem do zwycięskiej (miejmy nadzieję) rozgrywki końcowej z Rosją będzie posiadanie mocnych „figur”. Czyli kontynuowanie dostaw broni dla Kijowa, demonstrowanie zachodniej jedności i nieustępliwości i przygotowywanie szerokiego pakietu sankcyjnego, gotowego do natychmiastowego uruchomienia.

Tylko za pomocą takich „wież”, „skoczków” i „gońców” możliwe jest zaszachowanie rosyjskiego „króla”.

© WOJCIECH KONOŃCZUK

Niemcy się pogubili

ANNA KWIATKOWSKA,
EKSPERTKA DS. NIEMIEC
W OŚRODKU STUDIÓW WSCHODNICH:

Rząd w Berlinie musi udowodniać swoją wiarygodność sojuszniczą.

AURELIUSZ M. PĘDZIWOŁ: Jest Pani rozczarowana? W Niemczech zmienił się rząd, ale nie polityka wobec Wschodu. Na Ukrainę leci broń z USA, Wielkiej Brytanii, Czech czy Polski. Tymczasem szefowa niemieckiego MSZ Annalena Baerbock, w której pokładano wiele nadziei, leci do Kijowa i tam wyklucza dostawy broni z Niemiec. Potrafi Pani sobie wyobrazić, że Niemcy zmienią stanowisko w tej kwestii?

ANNA KWIATKOWSKA: Jeszcze w czasie kampanii wyborczej wybuchła ogromna debata na ten temat, gdy Robert Habeck – ówczesny współprzewodniczący partii Zielonych, a dziś wicekanclerz oraz minister gospodarki i klimatu – pojechał na Ukrainę, także na linię frontu w Donbasie, a po powrocie właśnie to zaproponował. Choć Habeckowi chodziło tylko o broń defensywną, skrytykowała go większość partyjnych kolegów, włącznie z obecną minister spraw zagranicznych.

Niemcy zasłaniają się przepisami, które nie pozwalają im na wysyłanie broni w rejonów konfliktów. Uważają, że byłoby to dolewanie oliwy do ognia. Mówią, że preferują rozwiązania polityczne i dyplomatyczne. Wygląda na to, że nie zmieniają zdania nawet mimo silnej presji sojuszników i samych Ukraińców. Także przed niedawną podróżą do Waszyngtonu kanclerz Olaf Scholz potwierdził, że Niemcy nie prześlą broni Ukrainie. Co więcej, na razie blokują nawet dostarczanie broni przez innych, np. Estonię. Chce ona oddać Ukraińcom haubice, które wcześniej otrzymała z Niemiec, stąd konieczna jest zgoda Berlina.



THOMAS KOEHLER / GETTY IMAGES

Minister spraw zagranicznych Niemiec Annalena Baerbock w zniszczonym miasteczku Szyrokino na linii frontu w Donbasie, 8 lutego 2022 r.

Na ile wiarygodne jest tu argumentowanie „historyczną odpowiedzialnością” Niemiec wobec Rosji? Przecież w czasie II wojny światowej wśród narodów Związku Sowieckiego największe straty w stosunku do liczby ludności poniosły Białoruś i właśnie Ukraina, gdzie zginęła, odpowiednio, jedna czwarta i jedna szósta mieszkańców.

Dokładnie takie kontrargumenty przytaczają Ukraińcy w odpowiedzi na tę niemiecką wykładnię historyczną. Mówią Niemcom: „Jeśli już koniecznie chcecie używać tego argumentu, to używajcie go także wobec nas”. Ale w świadomości niemieckiej Ukraińcy nie istnieją jako ofiary tamtej wojny. Nawet prezydent Frank-Walter Steinmeier skompromitował się, usprawiedliwiając Nord Stream 2 zadośćuczynieniem za napaść nazistowskich Niemiec na Związek Sowiecki.

Berlin mógłby zmienić stanowisko, gdyby doszło do nowej inwazji rosyjskiej?

Wtedy być może Niemcy skorzystałyby z przepisu, który pozwala im przekazywać broń w celu samoobrony. Ale na pewno woleliby to zrobić nie w relacji dwustronnej Berlin–Kijów, lecz z poziomu NATO czy Unii Europejskiej. Ge-

neralnie Niemcy preferują podejmowanie tego typu niewygodnych dla nich decyzji z poziomu Wspólnoty czy Sojuszu.

I wtedy stają po właściwej stronie?

Wtedy stają po stronie, po której, miejmy nadzieję, tak naprawdę stoją. Choć przynajmniej, że ich pierwsze reakcje na rosyjskie żądania rewizji ładu bezpieczeństwa europejskiego były niespójne i asekuranckie. Nie doszło do zapowiedzianej przez nowy rząd zmiany polityki wobec Rosji. Z jednej strony było uzgodnione z USA, NATO i Unią wspólne stanowisko wobec roszczeń Moskwy, a w nim tzw. czerwone linie. Z drugiej zaś strony pojawiały się niepokojące sygnały w sprawie sankcji na Rosję, zwłaszcza dołączenia do nich kwestii uruchomienia gazociągu Nord Stream 2 czy wykluczenia Rosji z międzynarodowego systemu płatniczego SWIFT. Czyli spraw, które byłyby bolesne także dla niemieckiej gospodarki.

Z Niemcami jest jeszcze inny problem. Mają skłonność proponowania siebie jako mediatora w konfliktach między Rosją a Unią. Takie podejście jak gdyby wyjmuję ich z Unii czy szerzej z Zachodu. Jeśli ktoś jest mediatorem, to nie może przecież być stroną w sporze.

Obecne podróże Scholza do Waszyngtonu, Kijowa i Moskwy są właśnie taką próbą mediacji?

Raczej bym to odczytywała jako ustępowanie wobec nacisków na rząd, a zwłaszcza na kanclerza, płynących zarówno od niemieckich ekspertów i innych polityków krajowych, ale także, a nawet przede wszystkim, od sojuszników z zagranicy. Scholz jest kanclerzem od dwóch miesięcy, a już stracił w sondażach 17 punktów procentowych, co niewątpliwie świadczy o podważeniu jego kompetencji jako przywódcy.

W tej sytuacji zdecydował się na błyskawiczną ofensywę zarówno w mediach, jak i dyplomatyczną. Stąd jego długa lista spotkań: podróże do Bidena do Waszyngtonu, potem do Kijowa i Moskwy, w międzyczasie szczyt Trójkąta Weimarskiego z Macronem i Dudą w Berlinie, a także berlińskie rozmowy z przywódcami państw bałtyckich. Do tego dochodzą stałe konsultacje z prezydentem Francji i premierem Wielkiej Brytanii.

To wszystko ma pokazać, że wątpliwości sojuszników dotyczące postawy Niemiec w sprawie sankcji są nieuzasadnione, że Niemcy będą stać w jednym szeregu ze wszystkimi sojusznikami, że odpowiedź będzie wspólna i silna, że wszystkie opcje są na stole. Czyli także ➔

→ Nord Stream 2 i SWIFT. Ale broni nie będą dostarczać...

...tylko helmy? Ale może chociaż więcej niż pięć tysięcy?

Być może. Na pewno dobrym znakiem jest deklaracja niemieckiej minister obrony o wzmocnieniu niemieckiego kontyngentu w ramach sił NATO na Litwie. Ciekawą rzecz dało się zauważyć w niedawnych wystąpieniach Annaleny Baerbock, która podzieliła sojuszników według zadań. Litwa czy Polska mają inne zadania niż Francja, Włochy czy Niemcy. Między wierszami Niemcom przypisała rolę „dobrego policjanta”. Bo mają budować odporność Ukrainy w inny sposób, wspierając reformy państwa, restrukturyzację gospodarki i modernizację energetyki. I są największym dawcą pomocy rozwojowej dla Ukrainy, dali na nią prawie 2 mld euro. I będą nadal pomagać – właśnie tak, a niekoniecznie dostawami broni. Dlatego mówienie, że Niemcy nic nie robią, jest jej zdaniem niesprawiedliwe.

Baerbock uzgodniła ten podział ról w NATO z Jensem Stoltenbergiem?

Tego nie wiem. Ale zapewne go powiadomiła, że Niemcy tak widzą swoją rolę. I na pewno jest to uzgodnione z partnerami w rządzie, zwłaszcza z SPD. Tę narrację widać już także w wywiadach Scholza, np. w tych, których udzielił przed wyłotem do Waszyngtonu.

Spadek popularności Scholza jest związany z polityką wobec Rosji i Ukrainy?

Na to złożyło się kilka czynników, ale to chyba był najważniejszy powód. I wcale nie chodziło o broń, której rząd nie chce dostarczać Ukrainie. Wręcz przeciwnie, prawie 80 proc. Niemców uważa, że ich kraj nie powinien tego robić. Ale też grubo ponad połowa z nich sądzi, że kanclerz powinien być bardziej aktywny, że powinien polecić do Putina, do Zełenskigo, dogadać się z Macronem, u Bidena coś załatwić. Przecież obiecywał większą aktywność, większe niż za Merkel zaangażowanie międzynarodowe, więcej niemieckich inicjatyw. I w końcu, myślą Niemcy, przecież mamy specjalne relacje z Rosją. Niech jedzie i niech działa. Tymczasem Scholz początkowo zamilkł, zniknął czy zaniknął. To podważyło w oczach Niemców jego kompetencje przywódcze.

A jak było naprawdę?

Tego nie wiem, ale myślę, że on po prostu liczył, że da się przeczekać, że ma czas, by kluczyć, a jednocześnie wybrał zakulisowe działania. Posłał swojego doradcę ds. bezpieczeństwa i polityki zagranicznej Jensa Plötnera, by doprowadził do ożywienia tzw. formatu normandzkiego [negocjacje w sprawie Donbasu z udziałem Ukrainy, Rosji, Niemiec i Francji – red.]. Sądził, że właśnie tak, a nie w publicznych debatach, da się załatwić najwięcej. I czekał na efekty. A może na moment,

gdy wszyscy już się wypowiedzą, aby się potem objawić z jakimś pomysłem. A czekając, milczał. To zostało jednak odczytane nie jako przemyślana strategia, lecz asekurantwo, a nawet tchórzostwo.

Problem polega na tym, że wszyscy sojusznicy już się zebrali i idą jednym frontem. Przynajmniej w tej chwili tak jest i miejmy nadzieję, że tak pozostanie. Trzeba więc jasno i zdecydowanie opowiedzieć się po którejś ze stron, a nie mówić o tym tylko półgębkiem w wywiadach. Bo nie ma już żadnych tabu, wszystko zostało położone na stole – i ten Nord Stream, i ten SWIFT. Teraz konieczny jest już tylko jasny przekaz. Temu miało tak naprawdę służyć spotkanie z Bidenem w Waszyngtonie. Scholz pojechał tam głównie po to, by zapewnić i sojuszników, i opinię publiczną na świecie, że na Niemcy można liczyć, że Niemcy to Zachód. Choć Scholz wypadł nieźle, to miałam jednak wrażenie, że bardziej o wiarygodności Niemiec przekonywał Biden niż sam kanclerz.

Baerbock była ostatnio w Moskwie i dwa razy w Kijowie, wznowiono rozmowy w formacie normandzkim, na razie na szczepie doradców. Z niemieckiej inicjatywy powstał też z martwych Trójkąt Weimarski. Może więc ta strategia Niemiec ma sens?

Nie podważam jej sensu. Przeciwnie, cieszę się, że Niemcy się wreszcie obudzili, że są te ofensywne dyplomatyczne Baerbock i Scholz. Zwłaszcza szefowa MSZ wydaje się autentyczna w tym, co robi. Tylko że to wciąż za mało. A przede wszystkim o jakieś trzy tygodnie za późno. Straty są już duże.

A stosunek Niemiec do Nord Stream 2?

Niemcy usiłują prowadzić dwutorową politykę i nie łączyć energetyki z polityką, ale coraz gorzej im to wychodzi. Wprawdzie Angela Merkel przyznała wreszcie w ubiegłym roku, że Nord Stream 2 jest również projektem politycznym. Ale potem przyszedł Scholz i znów zaczął przedstawiać go jako czysty biznes. I to w kontekście eskalacji rosyjskiej u granic Ukrainy. Wycofał się pod ostrzałem krytyki, a nawet uznał, że w obecnych negocjacjach z Rosją kwestia gazu może być elementem nacisku na Władimira Putina.

Nord Stream 2 jest ewidentnym błędem politycznym i dewastuje wizeru-

W Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli, I Wydział Cywilny, pod sygn. akt I Ns 348/21 toczy się postępowanie z wniosku Teresy Paluch z udziałem Anny Paluch, Józefa Palucha, Agnieszki Cisek, Celiny Moniki Paluch, Doroty Stadnik, Witolda Kółko, Urszuli Kutuły, Elżbiety Pileckiej, Lucyny Kuny, Sylwestra Palucha o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonych w Turbi i Zbydniowie stanowiących następujące działki: nr ewid. 545 o pow. 0,14 ha, dla której nie jest prowadzona księga wieczysta, a która powstała z pgr 1376/2 objętej lwh 1413 gminy katastralnej Turbia, wpisanej na rzecz Agnieszki z Pendlowskich Mastalerczykowej, nr ewid. 2048 o pow. 0,33 ha, dla której nie jest prowadzona księga wieczysta, która powstała z części pgr 2108 objętej lwh 166 gminy katastralnej Turbia, wpisanej na rzecz Józefy Rębisz w 1/4 części, Karoliny Pendlowskiej (Karoliny Pędłowskiej) w 1/16 części, Walerii Pendlowskiej w 1/16 części, Stanisławy Pendlowskiej w 1/16 części, Stefani z Nowaków Kółko w 1/4 części, Józefa Mastalerczyka w 1/4 części, Stanisławy Pędłowskiej w 1/16 części.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, a w szczególności następców prawnych Agnieszki z Pendlowskich Mastalerczykowej, Józefy Rębisz, Karoliny Pędłowskiej, Walerii Pendlowskiej, Stanisławy Pendlowskiej, Józefa Mastalerczyka, Marii Mastalerczyk, Stefani z Nowaków Kółko, aby w terminie trzech miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli i wykazali swoje prawa do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w toczącym się postępowaniu, a Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

nek Niemiec. W kontekście możliwej rosyjskiej agresji prasa niemiecka pisze teraz, że ten gazociąg to „przygotowanie do wojny”.

Generalnie opinia w Niemczech jeszcze do niedawna była taka, że uzależnienie od Rosji się nie boimy, gdyż Rosjanie są wiarygodnymi dostawcami surowców energetycznych i nic nam nie zagraża. Jednak niedawny ogromny skok cen gazu, spowodowany m.in. grą Putina na rynkach, uświadomił Niemcom, co to znaczy, że aż 55 proc. gazu importują z Rosji. A ten gaz jest im potrzebny zwłaszcza w przemyśle i do ogrzewania. Transformacja energetyczna tylko pogłębi ten problem, zwłaszcza po rezygnacji z atomu i węgla.

Wicekanclerz Habeck otwarcie opowiada się dziś za ograniczeniem zależności Niemiec od rosyjskiego gazu. Ale kanclerz jest z SPD. Czy wyobraża sobie Pani, że Scholz mógłby nie dopuścić do otwarcia Nord Stream 2?

Gdyby nastąpiła nowa inwazja wojsk rosyjskich na Ukrainę, to myślę, że uruchomienie Nord Stream 2 byłoby niemożliwe.

Słowa Habecka potwierdzają, że Niemcy wykazali się strategiczną ignorancją, tak bardzo uzależniając się od Rosji. Bo zdzywersyfikowali jedynie drogi przesyłu gazu, a nie jego źródła. Gdyby pomyśleli strategicznie i zdecydowali się na terminale LNG, byłiby teraz w innej sytuacji. Ale wtedy było w Niemczech dużo głosów, że Nord Stream 2 jest zwalczany tylko z powodów finansowych i gospodarczych, rzekomo dlatego, bo Ukraina i Polska martwią się o swoje wpływy z opłat za tranzyt, które im się skończą po uruchomieniu gazociągu po dnie Bałtyku. I że USA chcą wcisnąć Niemcom swój drogi gaz. Gdyby Niemcy pomyśleli bardziej długofalowo, nie popełniliby tego błędu. I nie oddaliby jednej czwartej pojemności swoich magazynów gazu na terenie RFN w ręce spółek kontrolowanych przez Rosję.

Domyślam się, że za takim myśleniem Berlina stało przekonanie, iż skoro taki wróg jak kiedyś Związek Sowiecki nigdy nie nawalił jako dostawca, tym bardziej nie zrobi tego Rosja.

Dokładnie takie były argumenty: „Przecież nawet w czasie zimnej wojny Rosja-



OŚRODEK STUDIÓW WSCHODNICH

DR ANNA KWIATKOWSKA pracuje od 2005 r. w Ośrodku Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie, gdzie stworzyła Zespół Niemiec i Europy Północnej, którym do dziś kieruje. W latach 1997-2001 była sekretarzem wykonawczym Polsko-Niemieckiej Międzyrządowej Komisji ds. Współpracy Regionalnej i Przygranicznej. Studiowała arabistykę w Taszkencie i lingwistykę stosowaną na Uniwersytecie Wiedeńskim.

nie dostarczali nam gaz, więc teraz też będą”. Nie zadziałała też wiara w niewidzialną rękę rynku. Przecież gdyby Rosjanie kierowali się zyskiem, powinni właśnie teraz pompować gaz do Europy, gdy jego ceny są wysokie, i gdy dostaliby za niego duże pieniądze. Ale tak nie robią.

W Niemczech popularny jest pogląd, że wielkich światowych konfliktów nie da się rozwiązać bez Rosji.

To opinia dyskusyjna, delikatnie mówiąc. W Polsce mamy trochę inną percepcję. Rosja może jest niezbędna do rozwiązywania konfliktów globalnych, ale także dlatego, że sama je stwarza. Gdyby zmieniła postawę, wielu problemów by nie było. Prosta recepta. A Niemcy chcą pokoju i stabilizacji, by prowadzić interesy nie tylko z Rosją, ale i z Ukrainą, Białorusią, Chinami i z całym światem.

Zapewne chcą tego nie tylko Niemcy, ale zostaniemy przy nich. Jak to jest z Zielonymi, że widzą Rosję inaczej niż stare partie?

Nie tylko oni, ale także część liberałów i chadeków, a nawet niektórzy socjaldemokraci. Dziś podziały na zwolenników ostrzejszej polityki wobec Rosji i na tych bardziej prorosyjskich biegną w poprzek tych partii. Jeśli chodzi o Zielonych, to

w rządzie więcej jest polityków z tzw. skrzydła Realos, „realistów”, którzy mówią, że Rosja potrafi być destrukcyjna, a Nord Stream jest szkodliwy i antyjny.

I czego się domagają?

Postulują zaostrenie stanowiska wobec reżimów autorytarnych w Rosji czy Chinach. Chcą też spójnej polityki unijnej prowadzonej w sojuszu z USA, wspierają przywrócenie integralności terytorialnej Ukrainy oraz demokratyczne dążenia Białorusinów. Zawsze też stawiają na dialog i oni także wierzą w moc współpracy gospodarczej, stąd oferty wysuwane pod adresem i Rosji, i Ukrainy, np. w rozwijaniu energetyki wodowej. Ale realne działania niemieckiego rządu w pierwszych tygodniach jego istnienia nie są imponujące. Przez własne kunktatorstwo Niemcy podważyły swój wizerunek partnera godnego zaufania i na wschodzie Europy, i u sojuszników z NATO. Pogubiły się i dopiero teraz powoli się ogarniają.

Czy w takim razie niemiecka polityka wobec Rosji może się jeszcze zmienić?

Sojusznicy tego oczekują. A także duża część niemieckiej opinii publicznej i ekspertów. Dialog z Rosją jest ważny, ale pozabawianie się instrumentów odstraszenia już na poziomie dyskusji jest przeciwnie skuteczne. Zwłaszcza w negocjacjach z takim partnerem jak Putin. Także dlatego, że Rosjanie nie oszczędzają Niemców. Upadł właśnie mit o nietykalności Niemiec w rosyjskich szantażach gazowych. A wcześniej było jeszcze zabójstwo czeczeńskiego dysydenta w parku Tiergarten w Berlinie, były cyberataki na Bundestag i posłów. Cały czas trwa rosyjska kampania dezinformacyjna, dzieląca społeczeństwo Niemiec. Ostatnio Moskwa zamknęła też rosyjskie biuro rozgłośni Deutsche Welle.

Widać, że ani „pragmatyczne” podejście do Rosji, ani „strategiczna cierpliwość” już nie wystarczają. Niemcy muszą dokonać poważnych i momentami bolesnych korekt w polityce wschodniej. Pożegnać się z dawną Ostpolitik. A dynamika wydarzeń nie daje im na to tyle czasu, ile by chcieli.

© Rozmawiał AURELIUSZ M. PĘDZIWOŁ

Wywiad ukończono 9 lutego.



SEBASTIAN KAHNERT / DPA / PAP

Protest przeciwko przymusowi szczepień na rynku w Budziszynie, styczeń 2022 r.

Separatyści z Saksonii

ŁUKASZ GRAJEWSKI
Z BUDZISZYNA I FREIBERGU

Ten region Niemiec stał się centrum ruchu sprzeciwu wobec restrykcji i obowiązkowych szczepień. Plany organizatorów protestów sięgają dalej. Niektórzy marzą o niepodległości.

PONIEDZIAŁEK, GODZINA SIEDMNASTA. W Budziszynie, położonym pięknie na wzgórzu, jeszcze panuje cisza. Nieliczni przechodnie szybkim krokiem przemierzają uliczki średniowiecznego starożytności.

Nic dziwnego, można by pomyśleć. Mieszka tu niespełna 40 tys. osób. Miasto leży blisko autostrady, którą z Polski można dojechać do Drezna. Mówiąc krótko: prowincja, niemiecki daleki wschód, oddalony o ponad 600 km od Kolonii i innych zachodniemieckich metropolii.

A jednak ten popołudniowy spokój w ten konkretny dzień tygodnia – to cicha przed burzą. Im bliżej osiemnastej, tym więcej ludzi gromadzi się w okolicach starówki. Coraz dłuższe kolejki ustawiają się do sprzedawanych na wynos grillowanych kielbasek i grzanego wina. Jest zimno, zawiewa deszcz ze śniegiem, trzeba się więc rozgrzać i nabrać sił.

O osiemnastej położony w samym centrum plac Zbożowy zapelnia się ludźmi. Tłoczno robi się też na okolicznych ulicach. Ktoś z tłumu wyświeśla na murach wieży obronnej wzór w kształcie pocztówki, na której napisano: „Poniedziałkowe pozdrowienia z Budziszyna”. Adresat: Bundestag. I dopisek „Żadnego przymusu”.

Chwilę potem ten mocno ściśnięty, kilkutyśieczny już tłum ruszy żwawo w drogę, która powiedzie wzdłuż starych murów miejskich. Marsz protestacyjny – nazwany „spacerem”, jako że land Saksonia zakazał takich manifestacji – trwać będzie ponad godzinę.

Tysiące na ulicach

Po niemiecku miasto nazywa się Bautzen. Budziszyn to stara słowiańska nazwa, pochodząca od słów „budzić” i „sława”. Dla demonstrujących – albo inaczej: wychodzących w każdy poniedziałek na takie zbiorowe spacery – to forma przebudzenia, obywatelskiego sprzeciwu wobec błędnej, ich zdaniem, polityki rządzą-

cych. I tak oczywiście chodzi o pandemię i koronawirusa.

Jedną z uczestniczek jest Daniela (imię na jej prośbę zmienione). Niepozorna kobieta, może 50-letnia, mieszka parę kilometrów za miastem. Pracuje jako pielęgniarka w domu opieki dla osób starszych. Każdy kolejny poniedziałek przybliża ją do podjęcia fundamentalnej decyzji.

– Protestujemy przeciw obowiązkowemu szczepieniu. To mój główny powód, dlaczego co tydzień wychodzę na ulicę – mówi „Tygodnikowi”.

– Ale chodzi również o wszystko to, co się teraz dzieje – dopowiada niejasno stojący obok męża Daniela.

10 grudnia 2021 r. świeżo zaprzysiężony rząd federalny, powołany przez koalicję złożoną z socjaldemokratów, Zielonych i liberałów, przyjął ustawę wprowadzającą obowiązek szczepień dla pracowników służby zdrowia. Przepisy mają wejść w życie już 15 marca. Daniela nie chce, by ktokolwiek przymuszał ją do szczepienia. Czy zwolni się z pracy? – Może będę musiała, zobaczymy – odpowiada.

Obok niej stoją dwie inne pielęgniarki. Na kurtki naciągnęły czerwone koszulki, na których dużymi białymi literami przypomniano fragment niemieckiej konstytucji: „Każdy człowiek ma prawo do życia i nietykalności cielesnej. Wolność osoby jest nienaruszalna”.

Budziszyn to dziś jedno z najprężniejszych centrów oporu przeciw pandemicz-

nym obostrzeniom, ale protesty od jakiegoś czasu rozlewają się po całej Saksonii. Według policji tylko w tym jednym landzie na wschodzie Niemiec co poniedziałek na ulice wychodzi kilkadziesiąt tysięcy osób. Uczestnicy mówią nawet o stu tysiącach. Niełatwo jest ustalić, kto te protesty organizuje.

Region ponownie znajduje się w centrum zainteresowania całego kraju. Wcześniej masowe protesty organizowano tu w czasie kryzysu migracyjnego. Uczestnicy obecnych demonstracji potwierdzają, że widzą związek między sprzeciwem wobec przyjmowania uchodźców i imigrantów oraz sprzeciwem wobec polityki pandemicznej rządu w Berlinie.

„Jak w roku 1989”

Tydzień wcześniej przed protestem w Budziszynie jesteśmy we Freibergu.

To równie malownicze i bogate w historię miasto co Budziszyn, z rzemieślniczymi tradycjami, które sięgają średniowiecza. Również tutaj w poniedziałek o osiemnastej na wspólny spacer stawia się kilkutyśieczny tłum.

Kto jest organizatorem? – Nikt. Po prostu wszyscy wiedzą, że w poniedziałki się spotykamy – mówi mężczyzna, który przyszedł na protest z grupką znajomych. – Protestujemy przeciw obowiązkowym szczepieniom i wszystkim obostrzeniom – tłumaczy i dodaje, że jego żona pracuje w szpitalu.

Co do szczepień, w tłumie panuje zgoda: to eksperyment na ludziach, dopuszczony bez testów, i nie da się ustalić, jakie będą jego zdrowotne konsekwencje w przyszłości.

– To nie pierwszy raz, jak protestujemy – dodaje mężczyzna. Od pandemii mój rozmówca szybko przechodzi do Pegidy – ruchu przeciwko masowej imigracji, który zawiązał się w Saksonii w połowie ubiegłej dekady.

Grupka, z którą rozmawiam, również wtedy chodziła na protesty. – Nie damy Berlinowi narzucać nam, co mamy robić – podkreśla mężczyzna. – Znowu mamy rok 1989. Znowu jesteśmy uciskani przez polityków, znowu walczymy o sprawiedliwość i równość – wyjaśnia.

Demonstracje koronasceptyków lubią odwoływać się do tamtego ruchu protestu przeciwko komunistycznej dyktaturze w NRD. Wtedy, jesienią 1989 r., w całych wschodnich Niemczech ludzie również wychodzili na ulice w każdy ponie-

dzialek. Krzyczano to samo hasło: „*Widerstand*” („Sprzeciw”).

Na demonstracji we Freibergu – i wcześniej na tej w Budziszynie – słychać nawet te same piosenki, które pod koniec lat 80. zagrzewały do obalenia dyktatury i muru berlińskiego.

Presja na poluzowanie

Dziś w hasłach mówiących o „przywróceniu wolności” chodzi o zniesienie restrykcji, które są wymierzone tylko w niezaszczepionych. W Niemczech bez certyfikatu poświadczającego szczepienie w ostatnich miesiącach można było wejść jedynie do sklepów z artykułami pierwszej potrzeby. Inne sklepy, restauracje, kina itd. dostały zakaz wpuszczania niezaszczepionych.

Dodatkowo na opornych nałożono obowiązek wykonywania codziennie testu przed stawieniem się w miejscu pracy. Zaostrzenie zasad miało zachęcić Niemców do szczepień, tak aby zbliżyć się do celu, jakim miało być zaszczepienie 80 proc. społeczeństwa. Obecnie jedną dawkę przyjęło 76 proc., dwie dawki 70 proc., a trzecią dawkę (przypominającą) 55 proc.

Jednak restrykcje nie zachęciły tej mniejszości do zaszczepienia się. Zamiast tego, stały się paliwem dla nowej i coraz liczniejszej fali protestów (nowej, bo protesty odbywały się na terenie Saksonii już wcześniej i regularnie).

Teraz w każdy poniedziałek na ulice wychodzi coraz więcej ludzi, bo widać, że presja ulicy przynosi skutek.

Jako pierwsi zaczęli się łamać lokalni politycy. W Budziszynie jeszcze w styczniu do protestujących wyszedł *landrat*, starosta powiatu, aby zapewnić, że w tym regionie obowiązkowe szczepienia dla personelu medycznego nie wejdą w życie. Ta wypowiedź została wówczas uznana za niebezpieczne sprzyjanie skrajnościom.

Tymczasem teraz, na początku lutego, taki krok – oznaczający przecięcie obojczyka przepisów federalnych – zapowiedział premier landu Bawaria Markus Söder. Podobne rozważają władze landowe Saksonii. Politycy ci twierdzą, że przymus doprowadzi do ogromnych problemów personalnych w szpitalach i domach opieki. W Niemczech w sektorze medycznym i w sferze opiekuńczej pracuje ok. 1,7 mln pielęgniarek i pielęgniarzy. W Saksonii jedna trzecia z nich jest niezaszczepiona.

A to nie wszystko, bo organizacje reprezentujące handel wyblagały u polityków poluzowanie przepisów – wskazując na spadek utargu. W wielu niemieckich landach niezaszczepieni znów mogą robić zakupy, gdzie chcą. Aby wejść do sklepu, trzeba mieć tylko maskę (zwykle jednak profesjonalną typu FFP).

Ekstremiści z Telegrama

Jeśli politycy ugną się przed żądaniami demonstrantów, to czy w poniedziałkowe wieczory znów zapanuje spokój?

– Tego właśnie się obawiam – mówi „Tygodnikowi” Jens, który na „spacer” ulicami Freibergu przyszedł razem z żoną i dzieckiem. Czterdziestolatek ma na głowie zimową czapkę z herbem Saksonii. Tłumaczy, że można taką kupić w sklepie internetowym partii Wolna Saksonia.

– To taka prawicowo-ekstremistyczna organizacja – dodaje, uśmiecha się i mruga okiem, żeby podkreślić ironię.

Problem polega tylko na tym, że Federalny Urząd Ochrony Konstytucji (odpowiednik polskiej ABW) właśnie tak określa struktury tej partii: jako ekstremistyczne i łamiące przepisy ustawy zasadniczej. Niemiecki kontrwywiad śledzi jej działania również w internecie.

Wolna Saksonia koordynuje organizację protestów za pomocą kanału w komunikatorze Telegram, dostępnego na komputery i smartfony. Uważa się, że Telegram zapewnia większą anonimowość niż inne komunikatory (dlatego chętnie korzystają z niego opozycjoniści z Rosji czy Białorusi).

Jeszcze na początku 2021 r. kanał Wolnej Saksonii na Telegramie śledziło niespełna 30 tys. osób – teraz to już blisko 150 tys. Są tam zapowiedzi wszystkich demonstracji, relacje i polityczne przekazy dnia, sprowadzające się najczęściej do bezpardonowego rugania całego politycznego establishmentu. Nie wiadomo, kto dokładnie prowadzi ten kanał.

Początki partii sięgają sierpnia 2018 r. Wtedy to w Chemnitz, jednym z większych miast Saksonii, uchodźca zabił mieszkańca. W reakcji na tę zbrodnię w mieście doszło do ataków na uchodźców, a w kolejnych tygodniach odbyły się wielotysięczne demonstracje wymierzone w uchodźców i liberalną politykę migracyjną ówczesnej kanclerz Angeli Merkel.

Organizatorzy ze spontanicznej grupy przekształcili się w partię Wolna Saksonia. Jej lider, 45-letni prawnik Martin

→ Kohlmann, w kolejnych latach zawiązywał sojusze z najbardziej skrajnymi środowiskami. Jego prawa ręka to Stefan Hartung, który jest też członkiem neonazistowskiej Narodowodemokratycznej Partii Niemiec. W strukturach Wolnej Saksonii kręcą się także działacze ugrupowania Trzecia Droga, która nie tylko nazwą nawiązuje do Trzeciej Rzeszy.

Szwajcaria Niemiec

Cały ten konglomerat niemieckich skrajności nie przez przypadek na swój bastion upatrzył sobie Saksonię. To region, który – obok Bawarii – najbardziej lubi podkreślać swoją odrębność od pozostałych części Niemiec.

się z kompleksem niższości. Po zjednoczeniu Niemiec tereny te, należące wcześniej do NRD, podupadły gospodarczo. A akcent typowy dla Saksończyków wywołuje w pozostałych częściach kraju ironiczny uśmiech – kojarzy się z brakiem wykształcenia. Dodatkowo w następstwie aktywności prawicowych ekstremistów do całego landu i ich mieszkańców przylgnęła łatką „brunatnego bagienka”.

Liczy się cel

Podczas rozmowy z Jensem i Josephiną trudno dostrzec w nich radykałów. Modne, kolorowe kurtki zimowe, brak nienawiści wypisanej na twarzach, spokojny ton głosu. Tak wygląda zdecydo-

„tu i teraz”: wycofanie się z obowiązkowych szczepień, zniesienie obostrzeń, koniec pandemii.

Demonstrantom sprzyja fakt, że te żądania przechodzą do niemieckiego mainstreamu. Wariant Omikron infekował wprawdzie w Niemczech blisko ćwierć miliona ludzi dziennie (tyle stwierdzano, w rzeczywistości infekcji było zapewne więcej), ale choroba zwykle przebiega łagodnie i szpitale nie są dziś przepełnione. Stąd słuszność dalszych restrykcji i obowiązkowych szczepień zaczynają krytykować również media głównego nurtu.

Licytacja na skrajności

Jeśli politycy ustąpią, to Wolna Saksonia będzie mogła przypisać sobie wielki sukces, wywalczenie żądań ludu. Wtedy przyjdzie czas na następne kroki.

W czerwcu w około stu miastach tego regionu odbędą się wybory burmistrzów. Równocześnie z organizacją protestów Wolna Saksonia szuka kandydatów i mobilizuje wyborców, by oddolnie pięć się po drabinkach władzy. Dalekosieżnie ma to prowadzić do większej autonomii dla Saksonii. Program partii wskazuje na potrzebę uruchomienia negocjacji z „rządem centralnym” na temat ustępstw. A jeśli te będą nieskuteczne? Rozważany jest nawet scenariusz wybiicia się Saksonii na niepodległość.

Zapewne w tych hasłach – atrakcyjnych dla wielu Saksończyków – należy szukać powodów, dla których Alternatywa dla Niemiec (AfD), także oskarżana o populizm i tendencje skrajnie prawicowe, niedawno oficjalnie zakazała swoim członkom jakiegokolwiek współpracy z Wolną Saksonią (mimo oczywistych podobieństw programowych). Od wielu lat to AfD zdobywała najwięcej głosów w każdych wyborach w niemal wszystkich zakątkach Saksonii. Nowe ugrupowanie, które do populistycznych haseł dokłada sporą dawkę regionalnego separatyzmu, to zagrożenie dla AfD.

A dla Saksonii to także niebezpieczeństwo, że populiści pod różnymi barwami będą się licytować na skrajności, aby przeciągnąć wyborców na swoją stronę.

Mieszkający we Freibergu Jens nie miałby nic przeciw większej autonomii. Ale przyznaje, że nie ma pomysłu, jak to osiągnąć. – Przecież nie zrobimy zbrojnego powstania i nie ruszymy na Berlin – mówi ze śmiechem. © ŁUKASZ GRAJEWSKI



Także we Freibergu w poniedziałki o osiemnastej na „spacer” stawia się parotysięczny tłum.

ŁUKASZ GRAJEWSKI

– My, w przeciwieństwie do innych, częściej myślimy samodzielnie i nie damy sobie narzucić dyktatu centralnego rządu w Berlinie – opowiada Jens w trakcie „spaceru”.

W wytykaniu Berlinowi dyktatorskich zapędów wybrzmiewa tradycyjna niechęć do Prus, z którymi Saksonia, jeszcze jako niezależne królestwo, wielokrotnie była w stanie wojny. Dla Jensa częścią tożsamości jest też bliskość do Rudaw, tutejszych gór. – Jesteśmy Szwajcarią Niemiec – mówi z dumą. Rudawy znane są z tradycji górniczych i rzemieślniczych. – Tutaj mieszkają normalni ludzie, którzy chcą zachować swoją tradycję – dodaje Josephine, żona Jensa, która niesie syna na barana.

Niemieccy badacze i dziennikarze już od dawna łamią sobie głowę, skąd bierze się ów saksoński „gen oporu”. Na pewno wspomnienia o wielkości z czasów, gdy Drezno było stolicą królestwa, mieszają

wana większość uczestników obserwowanych na „spacerach”. Na ulicach saksońskich miast dominują ludzie w średnim wieku, choć nie brakuje też młodzieży i seniorów. Sporo rodzin zabiera ze sobą dzieci.

Co nie oznacza, że w tym dużym tłumie nie brakuje skrajności. Takich jak powiewająca nad tłumem w Budziszynie czarno-biało-czerwona flaga Rzeszy (tej z lat 1870-1918), po którą chętnie sięgają osoby odrzucające porządek prawnopolityczny w Niemczech. Na dalszej trasie „spaceru” grupka starszych mężczyzn rozwija plakat antyszczepionkowy z hasłem „Ręce precz od naszych dzieci”. Na dole widnieje czerwono-białe logo neonazistowskiej NPD. Tłum nie reaguje, spokojnie przechodzi obok.

Dla pytanych przez „Tygodnik” demonstrantów fakt, że protesty organizowane są przez radykałów, wydaje się nie mieć większego znaczenia. Ważne są cele



Fakt, że na ceremonii otwarcia olimpiady znicz zapalała także Ujgurka Dinigeer Yilamujiang (z lewej), potraktowano na świecie jako celową chińską prowokację. Pekin, 4 lutego 2022 r.

Chiński brat patrzy

DR DARREN BYLER, ANTROPOLOG BADAJĄCY TEMAT REPRESJI WOBEC UJGURÓW:

Na ulicach Sinciangu zdemontowano część kamer, ale wszechobecna inwigilacja nie zelżała. Mamy tam do czynienia z cyfrowym apartheidem.

MARTA ZDZIEBORSKA: W centrum dyskusji na temat zimowych igrzysk w Pekinie znalazła się biegaczka narciarska Dinigeer Yilamujiang, która zapaliła olimpijski znicz. Zastanawia mnie, jak 20-letnia Ujgurka, z prześladowanej w Chinach mniejszości etnicznej, mogła w ogóle zrobić karierę sportową?

DARREN BYLER: Dinigeer Yilamujiang pochodzi z wpływowej rodziny. Jej ojciec należał kiedyś do chińskiej kadry w biegach narciarskich, przez kilka lat służył też w armii. To nie są przeciętni Ujgurzy, poddawani represjom ze strony chińskich władz. Zresztą nie dziwiłbym się, gdyby ojciec narciarki – dziś pracujący w regionalnym ministerstwie kultury w północnym Sinciangu – był zaangażowany w tzw. ludową wojnę z terrorem

[tak władze nazywają kampanię przeciw Ujgurom – red.].

A ta wepchnęła do tzw. obozów re-educacji ponad milion Ujgurów i innych mniejszości etnicznych, które zdaniem chińskich władz należy „wyleczyć z ekstremizmu”. Jednocześnie według licznych doniesień Pekin poluzował ostatnio swoją politykę i wysłał do obozów coraz mniej osób. Co może stać za tą zmianą strategii?

Nie mamy wystarczająco informacji, by odpowiedzieć jednoznacznie. Można jednak zaryzykować tezę, że to po części reakcja na oburzenie, które na arenie międzynarodowej wywołały prześladowania Ujgurów. Wiemy, że władze wypuszczają z obozów osoby starsze i schorowane. Niektóre świeżo zbudowane placówki

są w pośpiechu zamieniane na więzienia i fabryki, gdzie Ujgurzy i inne mniejszości – Kazachowie i chińscy muzułmanie Hui – są zmuszani do pracy. Oczywiście nie dopuszcza się tam zewnętrznych inspektorów, przez co nie wiemy, jakie są tam warunki.

Jak dotarłeś do bohaterów Twojej książki „In The Camps. China's High-Tech Penal Colony”? Kontakt z mieszkańcami Sinciangu jest przecież maksymalnie utrudniony i może wpędzić ich w poważne kłopoty.

Większość ludzi, z którymi rozmawiałem, to osoby, które po wypuszczeniu z ośrodka reedukacji uciekły z Sinciangu do Kazachstanu. Moi bohaterowie mieli wyjątkowe szczęście: zostali wypuszczeni pod wpływem nacisków ze strony kazachskich władz i niedających za wygraną krewnych. Chińscy oficerzy nie zdawali sobie zapewne sprawy, że byli osadzeni opowiadają światu o warunkach w obozach.

Oknem na wydarzenia w Sinciangu są też doniesienia prasowe, jak relacja Associated Press z października 2021 r. Czytamy w niej, że na ulicach zdemontowano część kamer, a w niektórych miejscach otwierane są nawet meczety, postrzegane do tej pory

→ **pory jako siedlisko ekstremizmu. Czy to tylko teatr, czy dowód na realne zmiany?**

Zdecydowanie to pierwsze. Tekst Associated Press powstał podczas wizyty w Urumczy, mieście najczęściej odwiedzanym przez turystów. Właśnie tam chińskie władze chcą zbudować narrację, że życie w Sinciangu wróciło do normalności. W tym celu zaczęto nawet kamuflować posterunki policji.

Jak?

Jeszcze do niedawna nieodłącznym elementem krajobrazu miasta były emitujące czerwono-niebieskie światło maszty policyjne. Dziś posterunki policji mają nie rzucać się w oczy, z elewacji zdejmowane są tablice informacyjne. Zdarza się, że posterunki „robią” oficjalnie za biuro turystyczne albo budynek administracji. Miesiąc temu rozmawiałem z mężczyzną, który wrócił z Sinciangu. Mówił, że jego ojciec, policjant, ma nakaz pracowania po cywilnemu, bez munduru, co ułatwia wtapianie się w tłum. Na ulicach jest mniej kamer, ale kontrola Ujgurów w miastach nie zelżała. Podobnie jak na wsi, gdzie chińscy urzędnicy monitorują rodziny, których najbliżsi przebywają w obozach reedukacji lub więzieniach. Jednocześnie w ostatnich latach nasilił się proces wysyłania rolników do fabryk, co wyludnia ujgurską wieś i przyspiesza przejmowanie ziemi przez państwo lub prywatne firmy.

Czy ujgurscy rolnicy trafiają też do fabryk we wschodnich Chinach?

To zależy, czy zostali uznani za „godnych zaufania”, czyli za takich, którzy mówią nieźle po chińsku i pochodzą z rodziny, która nie zadarła z władzami. Reszta trafia zwykle do fabryk w Sinciangu. Jednak bez względu na to, gdzie przyjdzie im pracować, zawsze są pod ścisłym nadzorem policji i urzędników.

System nadzoru pokazuje np. historia studentki Very Zhou, którą opisujesz w książce. Po wyjściu z obozu trafiła „pod opiekę” lokalnego urzędnika. Ten wykorzystał jej znajomość angielskiego i zrobił z niej korepetytorkę dla swoich dzieci.

I tu tkwi paradoks. Vera została uznana przez władze za „kryminalistkę”, bo korzystała z sieci VPN i wchodziła na zagraniczne strony internetowe. Jednak z dru-



ARCHIWUM PRYWATNE

DR DARREN BYLER jest amerykańskim antropologiem, wykładowcą na Simon Fraser University w Kanadzie. Zajmuje się tematyką represji wobec Ujgurów. Autor książki „In The Camps: China's High-Tech Penal Colony” (w wolnym przekładzie: W obozach: Sinciang, czyli zaawansowana technologicznie chińska kolonia karna), która powstała na podstawie rozmów z byłymi osadzonymi w chińskich obozach reedukacji w Sinciangu.

giej strony można było jej zaufać i powierzyć opiekę nad chińskimi dziećmi. Nie dość, że dziewczyna uczyła angielskiego za darmo, to jeszcze przynosiła na lekcje jedzenie. Wszystko po to, aby udobruchać urzędnika i bez problemów przetrwać okres po przedterminowym zwolnieniu.

Czytając historię Very miałam wrażenie, że i tak była lepiej traktowana niż inni zatrzymani.

To prawda, nigdy nie została pobita. Z drugiej strony, w obozie poddawano ją przemocy psychicznej. Nie dość, że wielokrotnie na nią krzyczano, to musiała donosić na ludzi, którzy przebywali z nią w celi. Vera była przydatna, bo mówi płynnie po chińsku i sprawnie porusza się w świecie chińskiej propagandy. W przeciwieństwie do innych osadzonych wiedziała, jak napisać tzw. cotygodniowy raport o przeżyciach wewnętrznych, który jest samokrytyką za popełnione wcześniej przewinienia. W oczach strażników Vera jawiła się jako mniej „niebezpieczna” niż inni Ujgurowie, mówiący po chińsku.

Jaki obraz obozów reedukacji wyłania się z rozmów z Verą i innymi bohaterami Twojej książki?

Większość osób mówiła o zamontowanych wszędzie kamerach i świetle włączonym non stop w celach. Osadzeni

długimi godzinami musieli siedzieć na plastikowych taboretach i oglądać propagandowe programy w telewizji. Jeśli ktoś wstał bez pozwolenia, jego ruch zaraz wychwytywał zaawansowany system monitoringu. Niektórzy byli potem wysyłani do izolatki lub przywiązywano ich za karę na całą dobę do krzesła. To było upokarzające, musieli załatwiać potrzeby fizjologiczne na oczach strażników. Dostęp do toalet to zresztą problem. W niektórych placówkach osadzeni mogli załatwiać się tylko raz na dobę, mając na to zaledwie jedną lub dwie minuty.

Piekło istnieje także na wolności: nawet jeśli Ujgur nie trafi do obozu, i tak pozostaje pod cyfrowym nadzorem chińskich władz.

W 2017 r. Ujgurzy mieli obowiązek wyrobienia nowych dowodów tożsamości, a przy tej okazji stworzono bazę danych, w której zbiera się dane biometryczne: nagranie głosu, zdjęcie twarzy, odciski palców, skany siatekówek i próbki DNA. Mniejszości etniczne muszą też zdeponować na posterunku policji swoje smartfony. Odbierają je zwykle po kilku tygodniach, już z zainstalowanym programem szpiegowskim, który służy do śledzenia ich lokalizacji. Każdy, kto nie jest Chińczykiem Han, musi zawsze nosić przy sobie telefon. Jeśli go zapomni, może zostać zatrzymany jako osoba potencjalnie stwarzająca zagrożenie.

Piszesz o projekcie tzw. bezpiecznych miast, w ramach którego władze prowadzą ścisły monitoring mieszkańców. Jeśli w okolicy zjawi się ktoś spoza regionu albo ktoś znajdujący się na liście podejrzanych o ekstremizm, zaraz wie o tym lokalna policja.

Przed chińskimi władzami nic się nie ukryje. Miesiąc temu usłyszałem od znajomych historię mężczyzny, który po długim pobycie w obozie reedukacji i przymusowej pracy w fabryce nadal pozostawał pod ścisłym nadzorem policji. Mógł przemieszczać się tylko z domu do pracy i to tylko ustaloną trasą. Gdyby choć trochę zboczył, zapewne mógłby spodziewać się interwencji służb. Zresztą wystarczy wpisać do bazy danych numer dowodu tożsamości i od razu można sprawdzić aktualną lokalizację jego posiadacza. W zachodnich Chinach mamy do czynienia z cyfrowym apartheidem, bo prze-

cież Chińczycy Han poruszają się po Sinciangu w pełni swobodnie!

Jak w takich warunkach radzą sobie Ujgurzy i inne mniejszości? Co robią, by nie zadrzeć z policją?

Są skupieni na tym, by na każdym kroku okazywać lojalność wobec chińskich władz. Np. nigdy nie mówią w rodzimym języku, gdy wokół są Chińczycy. Nie używają pozdrowienia „Salam Alejkum” i nigdy nie pytają swoich nie-muzułmańskich znajomych, czy jedzenie, które spożywają, jest halal. Ostatnio rozmawiałem z ludźmi, którzy właśnie wrócili z podróży do południowego Sinciang. Mówili, że w ujgurskich wioskach nadal jest obowiązek uczestniczenia w cotygodniowych ceremoniach podniesienia flagi Chin, podczas których odśpiewywany jest hymn i komunistyczne pieśni. Mieszkańcy wsi zmuszani są do wygłaszania przemówień, podczas których krytykują swoje przewinienia. Bez względu na to, czy ich najbliżsi przebywają w obozach reedukacji lub fabrykach, i tak muszą dowieść swojego oddania dla „ludowej wojny z terrorem”.

W jednym z wywiadów mówiłeś, że niektóre Ujgurki rozwodzą się z mężami przebywającymi w obozach, by uznano je za „godne zaufania”, i by uniknęły dalszych problemów. Do czego jeszcze posuwają się ludzie, by mieć względny spokój?

Najwięcej kontrowersji budzi narzucona przez Pekin polityka planowania rodziny. Aby być uznanymi za „godne zaufania”, Ujgurki w wieku rozrodczym muszą mieć założoną wkładkę domaciczną, co jest kontrolowane podczas regularnych wizyt u lekarza. Jeśli kobieta sama usunie sobie wkładkę, może trafić za karę do obozu reedukacji lub czeka ją za to proces karny. Chińskie władze oferują też nagrody za donoszenie na sąsiadów, w których rodzinach doszło do „nielegalnego” porodu.

Oficjalnie mniejszości etniczne w Chinach mogą mieć dwoje lub troje dzieci.

Ta zasada obowiązuje tylko na papierze. Na tym etapie kontroli urodzeń w Sinciangu nawet posiadanie jednego dziecka może wymagać zgody lokalnych władz. Ta polityka w połączeniu

z powszechną separacją rodzin, których członkowie są wysyłani do fabryk i obozów reedukacji, doprowadziła do znacznego spadku liczby urodzeń.

Dramat przeżywają też dzieci: „osierocone” przez rodziców wysłanych do obozów, same trafiają do szkół z internatem. Jak wygląda proces kształtowania nowych obywateli bez ujgurskiej czy kazachskiej tożsamości?

Wiemy na ten temat niewiele. Mogę się opierać tylko na relacjach byłych osadzonych, z którymi rozmawiałem w Kazachstanie. Wiele osób mówiło mi, że ich dzieci mogły widywać krewnych zwykle raz w miesiącu. Na początku pytały bliskich: „Gdzie jest moja mama? Gdzie jest mój tata?”. Z czasem stawały się wycofane, przestawały mówić w rodzimym języku, wyglądały na strauumatyzowane. To wszystko odbywa się pod bacznym okiem ok. 90 tys. nauczycieli, których sprowadzono ze wschodnich Chin, by indoktrynowali mniejszości etniczne.

Taka rzeczywistość towarzyszy mieszkańcom Sinciangu co najmniej od 2014 r., gdy ogłoszono „ludową wojnę z terrorem”. Czy możesz opowiedzieć o jej początkach?

Kluczowym momentem był atak ujgurskich nożowników na pasażerów stacji kolejowej w Kunmingu. Incydent, do którego doszło w marcu 2014 r., przedstawiany był przez Pekin jako chiński odpowiednik zamachów na USA z 11 września 2001 r. Choć nie było dowodów na to, że wśród Ujgurów narodził się ruch separa-

tystyczny, powtarzano, że już niebawem muzułmanie z Sinciangu zradykalizują się jak talibowie czy bojownicy Państwa Islamskiego. Jednocześnie niepokojące dla chińskich władz okazały się zmiany wywołane przez pojawienie się w Sinciangu sieci komórkowej 3G. Po 2010 r. coraz więcej Ujgurów zaczęło kupować smartfony, które służyły im m.in. do praktykowania islamu i śledzenia doniesień na temat Arabskiej Wiosny [fala protestów w krajach Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej – red.]. Nie mając kontroli nad przegładanymi przez nich treściami, Pekin zaczął mówić o zagrożeniu ekstremizmem.

Dziś Ujgurzy mogą być zatrzymani pod byle pretekstem: wystarczy, że chodzą do meczetu, noszą brodę lub hidżab, oglądają tureckie seriale lub tak jak Vera odwiedzają zagraniczne strony internetowe. Rozmawiałeś z ludźmi, jak to wpływa na ich psychikę?

Już podczas mojej wizyty w Sinciangu w 2015 r. młodzi ujgurscy mężczyźni mówili mi, że cierpią na depresję, czują się bezsilni i myślą o samobójstwie. Teraz jest jeszcze trudniej, bo wraz z rozwojem technologii masowej inwigilacji państwo chińskie kontroluje ich absolutnie na każdym kroku. Można powiedzieć, że życie wielu Ujgurów ograniczyło się w zasadzie do trzech opcji: albo muszą pracować jako policjanci na usługach chińskiego rządu, albo harują w fabrykach, albo są uznawani za potencjalnych terrorystów i lądują w obozach reedukacji. Ujgurskie społeczeństwo zostało zniszczone.

© P Rozmawiała MARTA ZDZIEBORSKA

POZEGNANIE

Tomkowi Gancarzowi,
naszemu przyjacielowi i koledze z zarządu SIW Znak,

oraz Jego Mamie,
p. Mieczysławie Gancarz

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci Taty i Męża

ś.p. Tadeusza Gancarza

składają

PRZYJACIELE Z WYDAWNICTWA I MIESIĘCZNIKA „ZNAK”

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

1%

Przeznacz 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego,
która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego”.

WPISZ W ZEZNANIU PODATKOWYM

nr KRS 0000125605

powszech.net/dar



Dzięki Wam „Tygodnik”
zachowuje niezależność.

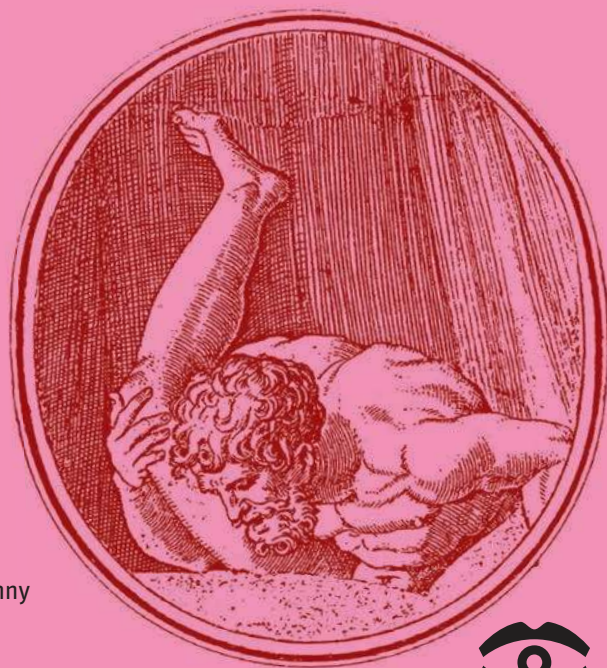
Adam Borkiewicz



Podkast Powszechny

Artyści renesansu nie byli cnotliwi,
a swoje bezpruderyjne dzieła tworzyli techniką
umożliwiającą masowe kopiowanie.
Niektóre z nich przetrwały do dziś.
Co się na nich znajduje? Słuchaj cyklu
„Sztuka powszechnie nieznana”
– o tajemnicach malarstwa opowiada
historyczka sztuki i mediewistka
Magdalena Łanuszka.

A jeśli Ci się spodoba, wesprzyj Podkast Powszechny
na [Patronite.pl/TygodnikPowszechny](https://patronite.pl/TygodnikPowszechny)



**Sztuka
powszechnie
nieznana**

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO



PATRONITE

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FRAGMENT GRAFIK Z CYKLU „I MODI”,
1. TERCJA XVI W., BYĆ MOŻE KOPIA WIG MARCANTONIA RAIMONDIEGO /
© THE TRUSTEES OF THE BRITISH MUSEUM / CC BY-NC-SA 4.0

A full-length portrait of an elderly man, Władysław Bartoszewski, standing against a dark grey background. He is wearing a dark blue pinstriped suit jacket over a light blue and white striped shirt and a dark blue striped tie. He has thinning grey hair and wears gold-rimmed glasses. He is smiling slightly and looking towards the camera. His hands are clasped in front of him, with his right hand resting on his left arm. A small gold ring is visible on his right ring finger.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

„TP” 8/2022

**DODATEK
SPECJALNY**

Władysław Bartoszewski
stulecie urodzin



GETTY IMAGES

Władysław Bartoszewski. Waszyngton, grudzień 2002 r.

Więcej niż dyplomata

ARNDT FREYTAG VON LORINGHOVEN AMBASADOR NIEMIEC W POLSCE

Przyzwoitość, wielkoduszość i przebaczenie ukształtowały postawę Władysława Bartoszewskiego wobec Niemiec, kraju jego byłych oprawców. Owa łaska przebaczenia po dziś dzień jest dla Niemców i także dla mnie osobiście powodem najgłębszej i najszczerzej wdzięczności.

Wyduje się, że o ogromnym dorobku Władysława Bartoszewskiego, jego aktywności i osobowości trudno dziś powiedzieć coś, czego jeszcze nie powiedziano. Jego życie to historia odwagi, niezłomności, stanowczości charakteru i gotowości aktywnego wsparcia. Jego słowa to nieustające dążenie do pojednania i permanentny sprzeciw wobec niesprawiedliwości.

Największe piętno na jego życiu wywarły wydarzenia II wojny światowej: był więźniem politycznym KL Auschwitz, uczestniczył w działaniach Armii Krajowej, współorganizował tajną Radę Pomocy Żydom i aktywnie uczestniczył w powstaniu warszawskim. Prześladowany przez powojenny

reżim i skazany pod zarzutem szpiegostwa, spędził sześć i pół roku w komunistycznych więzieniach.

Treścią jego życia w wolnej już Polsce stało się pojednanie: zarówno między ludźmi, jak i narodami – zwłaszcza między Polakami, Niemcami i Żydami. W swoim długim i dynamicznym życiu doświadczał dobra i zła o wiele więcej i częściej, niż jest to możliwe dla zwykłego człowieka. Może dlatego właśnie z taką pasją stał się tym, kim był.

Czy Bartoszewski był dyplomatą? Zaryzuję przewrotnie tezę, że był kimś więcej. To fenomen sam w sobie, wizjoner, barwny ptak, po którego odejściu Marian Turski powiedział, że nagle „świat poszarzał”. Nie mógł być dyplomatą w dzisiejszym rozu-

mieniu, ponieważ – jak wspomina go jeden z moich poprzedników – „nie miał w sobie ani krzty wyrachowania i był niczym otwarta księga. To właśnie czyniło go tak wyjątkowym, tak autentycznym i tak imponującym”. A w innym miejscu dodaje, że Bartoszewski był „żywym przykładem tego, że polityka w ostatecznym rozrachunku może być skuteczna jedynie wtedy, gdy podchodzi się do niej z sercem”.

Przyzwoitość, wielkoduszość i przebaczenie ukształtowały jego postawę wobec Niemiec, kraju jego byłych oprawców. Owa łaska przebaczenia po dziś dzień jest dla Niemców i także dla mnie osobiście powodem najgłębszej i najszczerzej wdzięczności.

To on powtarzał nam, że kto gardzi ludźmi, obojętne z jakiego powodu, ten przede wszystkim gardzi sobą. To on wciąż napominał i podkreślał, jak ważne i aktualne jest pojęcie przyzwoitości. Niekończąca staje się opowieść o trafności jego poglądów i szczerości wypowiedzi. Jego odwaga stała się wzorcem, jego swoiste poczucie humoru i rozliczne anegdoty przeszły do kanonu wyznaczającego właściwe ramy dyskursu i debaty. Człowiek ducha i człowiek czynu, nieustannie patrzący w przyszłość, ale również walczący o pojednanie narodów i społeczności, zabiegający niezmiennie o międzyludzką bliskość, serdeczność i uczciwość.

„Był najlepszym ambasadorem Polski tam, gdzie się pojawiał” – mówił o nim jeden z byłych prezydentów RP. A jeden z polskich europarlamentarzyistów miał powiedzieć, że Bartoszewski „to nasza Wunderwaffe, osoba, która ma niesamowity potencjał i siłę rażenia”. Jestem przekonany, że ten potencjał sprawi, iż Bartoszewski będzie bohaterem ponadczasowym, odkrywczym wciąż na nowo, a przekaz wspomnianej siły rażenia trafi do kolejnych pokoleń.

Nie miałem niestety możliwości poznania Władysława Bartoszewskiego osobiście. Ale ponieważ kilka lat temu nazwaliśmy salę konferencyjną Ambasady imieniem Władysława Bartoszewskiego, mamy ten przywilej, że codziennie możemy odczuwać jego ducha pojednania i konstruktywnej współpracy.

O tym nieustannym dążeniu do pojednania nie możemy zapomnieć w relacjach polsko-niemieckich. Pojednanie jest procesem, do którego każda ze stron musi dążyć codziennie w poczuciu odpowiedzialności za dobrą wspólną przyszłość mieszkańców obu naszych krajów. ©

Pamięć absolutna

KS. ADAM BONIECKI

Trudno napisać krótki tekst o Władysławie Bartoszewskim. Trudno, bo samo wyliczenie jego zaangażowań, funkcji, pełnionych misji, tematów jego publikacji itd. byłoby na krótki tekst zbyt obszerne. Trudno pisać o Bartoszewskim krótko, bo wyliczenie tego wszystkiego wymagałoby przynajmniej zwięzłego opisanie kontekstu historycznego. Trudno o nim napisać krótki tekst także dlatego, że on sam mnóstwo o sobie napisał i każde streszczenie jego opowieści byłoby jej deformacją.

Czasem żartowaliśmy w redakcji, że Bartoszewski, o czym by nie pisał, to ostatecznie zawsze pisze o sobie. To były żarty, bo oczywiście znaleźliśmy i „Ten jest z ojczyzny mojej”, i „Warszawski pierścień śmierci”, i „1859 dni Warszawy” oraz inne jego prace historyczne, świadczące o nieprawdopodobnej rzetelności i pracowitości autora. Co zaś do samej osoby Władysława Bartoszewskiego, to winniśmy wielką wdzięczność Michałowi Komarowi, który w trzynomowym wywiadzie rzecę utrwalił opowieść samego Bartoszewskiego o jego życiu. Podejmowanie tego rodzaju autobiograficznych opowieści bywa ryzykowne, bo czasem narrator – mimowolnie – zamienia relację w autopromocję. Nie tu jednak. Michał Komar jest zbyt wytrawnym i świetnie przygotowanym rozmówcą, jego interlokutor zaś, mimo że świadom własnych osiągnięć, nie przejawia najmniejszej skłonności do fabularyzacji. Dzięki fenomenalnej pamięci, w której – czego nieraz byliśmy świadkami – przechowywał setki nazwisk, dat, obrazów, wszystko, co mówi o sobie i swoim życiu, jest wiarygodne. Oraz – dodajmy i to – daje się sprawdzić.

Nie jest to pierwsza nasza publikacja poświęcona Bartoszewskiemu, bo bynajmniej nie dopiero teraz, siedem lat po jego śmierci, zdaliśmy sobie sprawę, że mieliśmy wśród nas człowieka niezwykłego. Pamiętam, że kiedy zaczynałem pracę w „Tygodniku” we wczesnych latach 60. ubiegłego wieku, Bartoszewski miał w piśmie stałą rubrykę, którą określał jako „uprawianie cmentarzyka”.

Rubryka nosiła tytuł „Zmarli”. Co jakiś czas pojawiał się na łamach spis (ze zwięzłymi informacjami, kto zaczął) osób znanych i mniej znanych, które w ostatnim okresie odeszły z tego świata. Tym sposobem „Tygodnikowi” udawało się przypomnieć osoby, o których pisanie nigdy by nie przeszło przez cenzurę.

To, co zapamiętałem z ówczesnych wizyt Bartoszewskiego na Wiślniej, to nade wszystko jego opowieści. Dotyczyły spraw aktualnych, lecz ilustrowanych dygresjami czerpanymi z życiowych doświadczeń autora. Po jednej z tych wizyt Józefa Hennelowa, zawsze wrażliwa na wyższe wartości, powiedziała, że Bartoszewskiego powinno się obwozić po Polsce i pokazywać jako *exemplum* prawości. (Książka „Warto być przyzwoitym” jeszcze nie powstała.) To był czas ukazania się pracy „Ten jest z ojczyzny mojej”. Bartoszewski już wtedy był zaangażowany w sprawy polsko-żydowskie. Wkrótce ujawniła się kolejna pasja: relacje z Niemcami. Bartoszewski jako były więzień Auschwitz, oficer AK, uczestnik powstania warszawskiego i historyk okresu niemieckiej okupacji okazał się człowiekiem wręcz opatrnościowym, zwłaszcza dzięki chrześcijańskiej wizji świata i fascynującej osobowości. Dodać trzeba, że w tych zaangażowaniach i pasjach znalazł zaplecze w „Tygodniku Powszechnym”, z którym się związał w roku 1960.

Przez długie lata figurował w stopce „Tygodnika” jako jeden z „Zespołu” – grona współpracowników pisma, choć coraz rzadziej w nim publikował. Kiedy (niefortunnie) w stopce znalazło się nazwisko osoby, która kilka lat wcześniej go skrytykowała czy wręcz wyszydzała jako ministra, Bartoszewski poprosił o wykreślenie go z niej, nie godząc się na takie „towarzystwo”. Nie obraził się – jak podkreślał w rozmowie ze mną – ale nie godził się na obecność tej osoby w stopce redakcyjnej. Potem, przy różnych okazjach okazywał nam życzliwość, jak choćby na obchodach mojego 50-lecia kapłaństwa na warszawskich Stegnach. Bartoszewski jest i będzie nieusuwalną częścią budowania tożsamości i historii „Tygodnika Powszechnego”. ©©

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 8/2022
 REDAKCJA: Maciej Müller | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
 KOREKTA: Grzegorz Bogdań, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow,
 Maciej Szklarczyk | FOTOEDYCJA: Grażyna Makara, Jacek Taran
 SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran, Andrzej Leśniak

NA OKŁADCE: Władysław Bartoszewski, 2011 r. FOT.: JACEK TURCZYK / PAP

WSPÓŁWYDAWCA



PARTNEREM DODATKU
 JEST FUNDACJA KONRADA
 ADENAUERA W POLSCE



DOFINANSOWANO
 Z FUNDUSZU POPIERANIA
 TWÓRCZOŚCI



PARTNERZY



Dziesięć punktów zwrotnych

MAREK ZAJĄC

Jak podjąć decyzję, która przesądzi o dalszym biegu całego życia? Im poważniejszy dylemat, tym lepsze są argumenty najprostsze.

Patrząc na biografie postaci znanych i szanowanych, podziwiamy dzieło niezmarnowanego życia. Ale nie dostrzegamy porażek i okresów bezczynności, gdy ludzie i los odstawiają na boczny tor. Chylimy czoło przed imponującymi czynami. Ale nie rozumiemy, że rzeczy wielkie rodzą się z małych. I zapominamy, że to wszystko mogło potoczyć się zupełnie inaczej, gdyby nie...

Oto dziesięć punktów zwrotnych w życiu Władysława Bartoszewskiego, z których każdy może zaczerpnąć coś dla siebie.

1.

Czasem bohaterstwo nie rodzi się z odwagi, ale ze wstydu. Jest kwestią smaku.

Koniec września 1939 r. Może początek października. Niemcy szykują w Warszawie defiladę zwycięstwa z udziałem samego Adolfa Hitlera.

Bartoszewski ma siedemnaście lat i maturę. Od ojca nauczył się tolerancji w wydaniu praktycznym i zdroworozsądkowym. „Niech będzie Turek, niech będzie Żyd, byle tylko był wypłacalny” – powtarza Władysław senior, urzędnik bankowy. Jego syn oczywiście wie, że taka postawa nie dla wszystkich jest normą. Nawet dobra i mądra matka twierdzi, że Żydzi zamordowali Pana Jezusa. A na Krakowskim Przedmieściu widział, jak endecy bojówkarze zaczepiali żydowskich studentów i krzyczeli: „PPS – Żydów pies!”. Ale wszystko to wydaje się w gruncie rzeczy dalekie i niegroźne.

Teraz jednak do Warszawy wkracza wojna. Niemcy zapędzają przypadkowych przechodniów – głównie Żydów – do usuwania barykad pozostałych po oblężeniu miasta. *Komm, Jude, mach mit!* – słyszy Bartoszewski. Chudy jak szczapa, w okularach z okrągłymi oprawkami

i dużym nosem, nie wygląda na Aryjczyka. Kątem oka dostrzega, jak inny mężczyzna wyciąga spod koszuli medalik z Matką Boską i panicznie tłumaczy podoficerowi: „Proszę! Niech pan popatrzy, wcale nie jestem Żydem! Jestem katolikiem!”. Niemiec każe Polakowi odejść.

Bartoszewski myśli: „Na miłość Boską, to przecież zwykłe świństwo. Ci ludzie już zaczynają dystansować się od Żydów. Uważają, że są lepsi, bo czczą – żydowską przecież! – Matkę Boga, Matkę Jezusa, Miriam z Nazaretu”. Postanawia zostać. Razem z upokorzonymi i przerażonymi Żydami do rozbierania barykady zabiera się człowiek, który w przyszłości będzie członkiem Żegoty, Sprawiedliwym wśród Narodów Świata i Honorowym Obywatelom Państwa Izrael.

2.

Najpotężniejszą siłą napędową w życiu bywa zobowiązanie. Dług wdzięczności tak wielki, że spłacany aż do śmierci.

Połowa grudnia 1940 r. Poranny apel w Auschwitzu. W szeregu stoi więzień numer 4427. Bartoszewski ma osiemnaście lat i zapalenie płuc. Trafił tu zagarnięty we wrześniu przez wielką łapankę na Żoliborzu. Wychuchany przez opiekunczą matkę jednak. Okularnik zatopiony w książkach, który przed wojną chciał wstąpić do jezuitów. To i tak cud, że w tym piekle przetrwał ponad dwa miesiące. Dawno powinien skończyć w krematorium.

Rozpalony gorączką, z odmrożonymi rękami, ledwo trzyma się na nogach. W końcu traci przytomność. W przebiegach świadomości widzi, że dwóch więźniów wlecze jego pokryte wrzodami ciało do obozowego szpitala. Tam czeka już tłum wycieńczonych współwięźniów. Do środka dostaną się nieliczni.

Po latach tak będzie wspominał pierwsze wrażenia z *Krankenbau*, bloku szpitalnego: „Ciepło, nikt nie szturcha, nikt nie tłucze. Nirwana. Trwała może pół godziny, może parę godzin – nie wiem. Obudziły mnie głosy dwóch lekarzy. Raz pochylał się nade mną jeden, raz drugi. Przez mgłę widziałem tylko białe plamy fartuchów, bo przed kilkoma dniami znowu zbili mi okulary”.

To doktorzy Edward Nowak i Władysław Dering. Numery 447 i 1723. Pierwszy chce chłopaka ratować, drugi ma wątpliwości: „Słuchaj, weźmy go. – Coś ty, szkoda miejsca, on nie przeżyje. Nic z niego nie będzie. Nie widzisz, ilu masz ludzi? – Weźmy go. Dajmy mu szansę. To młody inteligent”.

Bartoszewski: „No właśnie, doktor Nowak powiedział wtedy coś, co mnie uderzyło, ale dziś potrafię odtworzyć tylko sens tamtych słów: młodych trzeba ratować... żeby coś wiedział, coś przekazał... coś pozostanie... będzie świadkiem...”.

Nigdy nie mówił o tym tak brutalnie i wprost, ale Bartoszewski doskonale rozumiał, czego dotyczył spór między dwoma lekarzami. Przyjąć jednego więźnia znaczyło odmówić innemu. W praktyce: zostawić na śmierć.

Dlatego też Bartoszewski przez całe życie będzie pędził. Od rana do nocy. Bez przerwy zaangażowany w dziesiątki ważnych spraw i inicjatyw. A jako historyk poświęcił się przywracaniu pamięci o setkach i tysiącach ludzi z lat wojny i okupacji. Ofiarach i bohaterach, o których bez jego książek i wykładów nikt zapewne by nie usłyszał.

3.

Nie trzeba zbyt długo roztrząsać, dlaczego coś się stało. Dlaczego akurat mnie to coś spotkało. Lepiej odpowiedzieć sobie na pytanie, po co to było.

Lato 1942. Bartoszewski ma dwadzieścia lat i głęboki kryzys wiary. Tego, co widział i czego doświadczył w Auschwitzu, nie jest w stanie pogodzić z tym, czego uczył się w domu, szkole i kościele. Obozową relację dyktuje Hance Czaki – koleżance z sąsiedztwa, która już po uszy tkwi w konspiracji. Tak powstaje „Oświęcim. Pamiętnik więźnia” – wydana w podziemiu pierwsza w historii broszura o Auschwitzu. Rozmowy z Hanką działają terapeutycznie. Opublikowana relacja jest pierwszą ratą spłaty zaciągniętego w obozie długu. Ale to wszystko wciąż za mało.



Władysław Bartoszewski podczas pobytu w Izraelu, 1963 r.

Wreszcie dowiaduje się o księdzu, do którego zgłaszają się ludzie dotknięci wojenną traumą. Kłęką przy konfesjonale. Spowiednikiem jest ksiądz Jan Zieja. Życzliwy, ale się nie rozkliwiał. Nie zamierza się zastanawiać, dlaczego Bartoszewski przeżył – a inni nie. To wie jedynie Bóg. Nie ma sensu tracić czasu na pytania bez odpowiedzi. Ważne jest co innego: „Bóg chciał, żebyś przeżył, po co? Jak myślisz? Nie po to, żebyś się nad sobą litował, ale po to, żebyś był

świadkiem prawdy. Żebyś wiedząc, że istnieje tak straszne zło, upewnił się, że musi istnieć dobro. Są wokół nas ludzie nieszczęśliwi, cierpiący. Trzeba im pomóc!”.

Ale komu? Zieja odpowiada pytaniem: „Czy wiesz, co dzieje się w getcie?”.

Tylko jak ma pomagać – dwudziestolatek bez pieniędzy i kontaktów, który jest nikim? Zieja twierdzi, że ludzie się znajdują: „Tylko nie przejdź obojętnie. Tylko nie przejdź obojętnie...”.

W tym czasie Bartoszewski poznaje pisarkę Zofię Kossak-Szczucką, która od początku wojny ukrywa się przed Niemcami. Zostaje jej sekretarzem. Działa w katolickim Froncie Odrodzenia Polski. Redaguje podziemne pisma. Wstępuje do Armii Krajowej, służy w Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK. Jest współzałożycielem Rady Pomocy Żydom „Żegota”. Pracuje w Delegaturze Rządu na Kraj. Przygotowuje raporty dokumentujące niemieckie zbrodnie. Za udział w powstaniu warszawskim zostanie awansowany do stopnia podporucznika czasu wojny i odznaczony Krzyżem Walecznych.

U schyłku życia o spowiedzi u księdza Zieja powie: „To wielka łaska, którą otrzymałem. Jestem Bogu za nią wdzięczny. Nie tylko za ocalenie, ale za ukierunkowanie, które przyszło nie przez olśnienie czy objawienie, bo tych nie doznałem, ale przez ludzi Bożych. Za takich uważam i ojca Zieję, i Zofię Kossak”.

4.

Myśl o pojednaniu jest najwyższą sztuką w chwili, gdy sprawca wciąż jeszcze trzyma ofiarę za gardło.

Jesień 1943 r. Najmroczniejszy okres okupacji Warszawy. Po bestialskim stłumieniu powstania w getcie nasila się niemiecki terror. Bartoszewski ma 21 lat i dobre papiery. Podobnie jak Zbigniew Karnibad – przyjaciel zakonspirowany w wywiadzie AK i studiujący na tajnym uniwersytecie medycynę. Idą Nowym Światem. Bardzo się lubią, ale rzadko mają okazję się spotkać. Karnibad namawia kolegę, żeby razem doszli na Marszałkowską, ale ten spieszy się na inne spotkanie. Chwilę się przekomarzają, Bartoszewski wreszcie się żegna i rusza w przeciwnym kierunku. Za chwilę Karnibad wpada w wir łapanek. Papiery nie mają znaczenia. Po kilku dniach ginie rozstrzelany w jednej z pierwszych w stolicy egzekucji ulicznych. Śmierć przyjaciela to dla Bartoszewskiego szok. No i gdyby uległ jego namowom i przeszedł jeszcze kilkaset metrów...

Tymczasem fala terroru zalewa miasto. Kto wychodzi z domu – może już nie wrócić. Nienawiść do Niemców jest powszechna. To uczucie nie jest zresztą Bartoszewskiemu obce. Po zwolnieniu z Auschwitzu cieszył się, że „bombardowane są ich miasta, że tam giną ludzie, że ich rodziny cierpią i płaczą

→ – podobnie jak cierpiał i płakał nasze rodziny”.

Ale jesienią 1943 r. jest już w kręgu Frontu Odrodzenia Polski na czele z takimi postaciami jak ksiądz Zieja i Zofia Kossak-Szczucka. W prywatnych mieszkaniach uczestniczy w dyskusjach, czy chrześcijaninowi wolno nienawidzić wszystkich Niemców. Jaka jest granica między konieczną walką i ślepą zemstą? Czy można zlekceważyć fakt, że są i tacy Niemcy jak biskup Clemens August von Galen, otwarcie sprzeciwiający się nazistom? Albo rodzeństwo Hans i Sophie Scholl z Monachium, które za opór zapłaciło śmiercią na gilotynie?

Jesienią tamtego straszного 1943 roku w podziemnym piśmie „Prawda” wydawanym przez Front Odrodzenia Polski ukazuje się wiersz napisany przez Leonie Jabłonkównę. Autorka jest ochrzczoneą w dorosłym wieku Żydówką, która ukrywa się przed Niemcami. Pierwsze dwie strofy brzmią:

*Za ugór ojczysty rozdarty,
Za fali wiślanej płacz krwawy,
Za Tatry skalane i Bałtyk,
Za wrzesień śmiertelny Warszawy;*

*Za grób, co słabnącym jak ulga
Pokusą w męczeńskich dniach świci –
– Zbaw, Panie, kobiety i dzieci
Z płonących pożarów Hamburga.*

Aż trudno uwierzyć, że w Polsce pod okupacją ukazał się taki wiersz.

Jednym z redaktorów „Prawdy” jest Bartoszewski. Człowiek, który za kilkadziesiąt lat będzie nazywany budowniczym mostów i akuszerem polsko-niemieckiego pojednania.

5.

Jak podjąć decyzję, która przesądzi o dalszym biegu całego życia? Im poważniejszy dylemat, tym lepsze są argumenty najprostsze.

Ostatnie dni przed powstaniem warszawskim. A może pierwsze po jego wybuchu? Pamięć będzie potem zacierać szczegóły co do dat. W każdym razie Bartoszewski ma 22 lata i przydział do radiostacji „Anna”, która odpowiada za komunikację między powstańczymi oddziałami. Nagle pojawia się człowiek posługujący się pseudonimem „Lenart”. Proponuje wejście do organizacji „Nie”. Ta nazwa ma podwójne znaczenie. Pierwsze



Władysław Bartoszewski, więzień KL Auschwitz, numer obozowy 4427.

ARCHIWUM PAŃSTWOWE MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU

nawiazuje do słowa Niepodległość. Drugie wskazuje na cel: opór wobec wkraczających Sowietów i instalowanych przez Kreml agentur. Organizacja jest głęboko zakonspirowana. O jej istnieniu nie wie nawet legalny Rząd RP rezydujący w Londynie. Nie przyjmuje się ochotników. Stawia się tylko na sprawdzonych ludzi.

Bartoszewski ma prawo się wahać. To już piąty rok wojny. Wielu ma dość walki. Ludzie chcą wreszcie normalnie żyć. Sytuacja z Sowietami też nie jest jednoznaczna. Zamiany mają jak najgorsze, ale to przecież sojusznicy naszych sojuszników. Jak z nimi walczyć? Jak ich pokonać?

W myślach powtarza przysięgę, którą złożył jako żołnierz AK: „W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Marii Panny, Królowej Korony Polskiej kładę swe ręce na ten Święty Krzyż, znak Męki i Zbawienia i przysięgam być wiernym Ojczyźnie mej Rzeczypospolitej Polskiej, stać nieugięte na straży Jej honoru i o wyzwolenie Jej z niewoli walczyć ze wszystkich sił, aż do ofiary życia mego. Prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej i rozkazom Naczelnego Wodza oraz wyznaczonemu przezeń Dowódcy Armii Krajowej będę bezwzględnie posłuszny, a tajemnicy niezłomnie dochowam, cokolwiek by mnie spotkać miało. Tak mi dopomóż Bóg”.

Orientuje się, że w rocie nie było ani słowa o Niemcach. Przysięgał walczyć o wyzwolenie Polski. Kropka. „Lenartowi” odpowiada, że jego propozycja jest zaszczytem. Ma czekać na dalsze rozkazy. I zachować najściślejszą tajemnicę, nawet wobec przełożonych w AK.

Kiedy już po dziewięćdziesiątce Bartoszewski będzie szykować się na śmierć, poprosi współpracowników, aby dopilnowali, żeby na jego grobie obok imienia

i nazwiska znalazł się tylko jeden napis: „Żołnierz AK”.

6.

Mamy niewielki wpływ na okoliczności, w których musimy żyć. Ale całkowicie wolny wybór, jak wobec tych okoliczności się zachowamy.

14 grudnia 1949 r. Bartoszewski ma 27 lat i bilety do teatru Syrena. Wieczorem spieszy się na spektakl. Na ulicy podchodzi mężczyzna w kapeluszu zasuniętym tak, że nie widać oczu: „Pan Bartoszewski? – Tak. – To pójdziemy. – Ale dokąd? – Do nas, do ministerstwa, na chwilę. – Po co? – Musimy z panem porozmawiać”.

Bartoszewski dobrze wie, o co chodzi. To już jego drugie aresztowanie przez Urząd Bezpieczeństwa. Mądrzejszy o praktyczne doświadczenia, sugeruje, że wróci na chwilę do domu – to niedaleko, tu na rogu – i zabierze ręcznik, bieliznę i mydło. Ale ubek stanowczo nalega. Twierdzi, że to naprawdę będzie krótka rozmowa. Wsiadają – jakie to banalne – do czarnego samochodu, który zatrzymuje się przy chodniku.

Tyle że w stalinowskim systemie przemocy wszystko – łącznie z czasem – to rzecz względna. Po ponad dwóch latach i absurdalnym procesie Wojskowy Sąd Rejonowy uzna, że Bartoszewski dopuścił się szpiegostwa i skaże na osiem lat więzienia.

Po latach niechętnie będzie reagował na pytania o bicie podczas przesłuchań. Zasłoni się żartem, że na początku „odbywała się krótka wymiana zdań, a pogłębiła kontynuacja toczyła się już sposobem siłowym”.

W sumie w komunistycznych więzieniach siedzi ponad sześć lat. Od po-



Władysław Bartoszewski i Tadeusz Mazowiecki. Warszawa, listopad 2011 r.

czątku zamierza zrobić wszystko, żeby nie marnować dnia ani godziny. Ale co robić w celi bez dostępu do książek i gazet? Mimo wszystko trzeba tu urządzić uniwersytet.

Przez więzienie przewijają się elita Polskiego Państwa Podziemnego. Najtęższe umysły, wybitni fachowcy w przedwojennych zawodach, nieraz nauczyciele i wykładowcy. Każdy stanowi nieocenione źródło wiedzy. Ba – źródłem wiedzy są nawet esesmani i gestapowcy, teraz współwięźniowie. W zamierzeniu ubeków umieszczanie ich w celach z żołnierzami AK miało upokorzyć konspiratorów. Ale Bartoszewski dostrzega w tym unikalną szansę – dzięki Niemcom może konspiracyjne doświadczenia i informacje skonfrontować z perspektywą wroga!

Po latach w jego prywatnym archiwum odnajdzie się niepodpisana relacja jednego ze współwięźniów. Wiele wskazuje na autorstwo pisarza Janusza Krasieńskiego. Krasieński usiłował z Bartoszewskim zamienić w więzieniu kilka słów: „Nie teraz, nie teraz, później! Teraz mam spotkanie z docentem Gorzkowskim, zaraz potem z mecenasem Bilanem, później z księdzem, potem z adiutantem generała Bora-Komorowskiego, kapitanem Krzywickim. Przyjdź po obiedzie, będę miał wykład: Pieśni Ossyjana, czyli mistyfikacja w literaturze”.

Komentarz Krasieńskiego: „Spieszył się. Zerknąłby pewnie na zegarek, gdyby miał. Ale zabrali mu go razem z paskiem od spodni”.

Wielka historia nigdy nie pozwoli Bartoszewskiemu ukończyć studiów. A jednak tylko z przedwojenną maturą stanie się jednym z najwybitniejszych historyków wojny i okupacji. Niektóre z jego książek – jak „Ten jest z ojczyzny mojej” (wspólnie z Zofią Lewinówną), „Warszawski pierścień śmierci 1939-1944” czy „1859 dni Warszawy” – staną się klasyką polskiego dziejopisarstwa.

7.

Relatywiści nie odróżniają dobra od zła. Moralisci wprawdzie widzą różnicę, ale są ślepi. Bo chcą innych wyłącznie oceniać, zamiast zdobyć się na wysiłek i zrozumieć.

16 sierpnia 1954 r. Bartoszewski ma 32 lata i gruźlicę. Tego dnia odbiera dokument wypełniony i podpisany przez naczelnika więzienia w Raciborzu. Na rok może opuścić więzienie ze względu na stan zdrowia. Dopiero potem okaże się, że za kraty już nie wróci. Polskę powoli zalewa polityczna odwilż.

Ten świstek papieru daje nadzieję. Ale na co? Jego życie to zgłiszcz. Biorąc pod uwagę średnią długość życia w tamtym czasie – dla mężczyzn ledwie przekraczającą pięćdziesiątkę – najlepsze lata ma już

za sobą. Na dodatek jest ciężko chory. Nie założył rodziny. Bez wykształcenia i zawodu. Całe dotychczasowe dorosłe życie w konspiracji albo więzieniu. Teraz ludowa ojczyzna pozwala wprawdzie węgnować, ale obywatela Bartoszewskiego nadal uważa za element wrogi.

Przez Kraków jedzie na leczenie do Zakopanego. Potem wraca do Warszawy. W księgarniach kupuje mnóstwo książek i broszur. Chodzi do biblioteki i nałogowo czyta roczniki gazet. Od deski do deski. Chce się dowiedzieć, co działo się w Polsce, gdy on siedział w więzieniu. Orientuje się, że niektórzy z jego konspiracyjnych kolegów jednak zrobili kariery w „państwie robotników i chłopów”. Jeden został nawet wiceministrem. Ale nikt się za Bartoszewskim nie wstawił.

Powinien być rozgorzcony. Stać się zgorzkniałym moralistą – albo wyrachowanym cynikiem, który brałby odwet na zepsutym świecie.

Ale Bartoszewski dochodzi do innego wniosku: „W gruncie rzeczy komuniści zrobili mi przysługę, wsadzając do więzienia. Byłem młodym człowiekiem i gdybym pozostał na wolności, też chciałbym jakoś żyć. I pewnie nieraz musiałbym się zastanawiać, czy iść na mniejsze albo większe kompromisy. A tak po aresztowaniu miałem jeden dylemat: donosić na kolegów z celi czy nie donosić. Skoro zaś uznałem, że donosić nie będę – odtąd moje życie stało się dziecinnie proste”.

Do końca życia nie wskaże z imienia i nazwiska, na kim się po wojnie zawiódł. A kiedy już w wolnym kraju dostanie z Instytutu Pamięci Narodowej kilka metrów bieżących swoich teczek, nie ujawni personaliów żadnego z 56 donosicieli. Chociaż będzie zwolennikiem lustracji i rozliczenia komunistycznych zbrodni, to powie: „Żyją ich dzieci i wnuki. Jedyne, co zrobić, to przestać wspominać o nich publicznie”.

8.

Życie to nie jest matematyka. Czasem trzeba zmienić zdanie albo plany. Bo liczy się skuteczna realizacja idei, a nie ślepa konsekwencja.

Luty 1981 r. Bartoszewski ma 59 lat i zaproszenie do Londynu od prezydenta RP na uchodźstwie. Ku jego zaskoczeniu Edward Raczyński oświadcza: „Jestem starym człowiekiem. Mógłbym być pana ojcem. Chcę pana wyznaczyć na mojego następcę...”. Potem po kolei →

→ zbija kontrargumenty zaskoczonego Bartoszewskiego.

Trzeba wracać do kraju, gdzie trwa karnawał Solidarności. Raczyński mówi: „Poradzą sobie bez pana, a nam przyda się człowiek, któremu ufa Lech Wałęsa”.

Co ze wsparciem emigracyjnych partii politycznych? Raczyński: „Aprobują pana wszystkie ugrupowania, no, może z wyjątkiem prawego skrzydła endecji, ale i ten opór będzie przezwyciężony, gdy się dowiedzą, że ma pan poparcie episkopatu”.

A władze brytyjskie? Raczyński: „Zaręczam, że z tym nie będzie kłopotu”.

Trzeba by poprawić angielski... Raczyński: „Niech pan to zrobi”.

Ale po tygodniu Bartoszewski odmawia. Po latach będzie tłumaczył w rozmowie z Michałem Komarem, że nie miał prywatnych środków i musiałby liczyć na utrzymanie ze Skarbu Narodowego: „Miałbym być utrzymankiem Polski? Nie. Nie wypada”.

To oczywiście miało znaczenie, ale bez wątplenia Bartoszewski zawsze widział siebie w kraju, a nie na emigracji. Dotychczas Polski nigdy nie chciał opuścić. Nawet w najmroczniejszych i najgroźniejszych czasach. Tyle że życie pisze własne scenariusze.

Nie mija rok od spotkania z Raczyńskim. Nadchodzi stan wojenny. Bartoszewski należy do pierwszych aresztowanych – nocą 13 grudnia 1981 r. Trafia do ośrodka internowania w Jaworzu. Natychmiast rusza seria międzynarodowych protestów i żądań jego zwolnienia. Z okazji rocznicy powstania w getcie do Warszawy przyjeżdża Stefan Grajek, przewodniczący żydowskich kombatanów. Ministrowi spraw wewnętrznych Czesławowi Kiszczałowi oświadcza, że nie weźmie udziału w uroczystościach, jeżeli Bartoszewski nie wyjdzie na wolność. 19 kwietnia 1982 r. współzałożyciel Żegoty wraca do domu.

Gdy jednak po kilku miesiącach przychodzi zaproszenie na stypendium w Berlinie Zachodnim, tym razem Bartoszewski składa podanie o paszport. Rozumie, że w Polsce stanu wojennego wszyscy mają związane ręce. Zaczyna się wielka smuta lat 80. A on chce działać.

Przez dwanaście semestrów wyklada na trzech niemieckich uniwersytetach. Poznaje polityczną i kulturalną elitę Zachodu. Udziela wywiadów naświetlających sytuację w Polsce i odbiera presti-

żową Nagrodę Pokojową Księgarstwa Niemieckiego (nazywaną pół-Noblem).

W 1987 r. podczas seminarium poświęconego systemowi politycznemu w komunistycznych Niemczech Wschodnich czyni swoim studentom wyrzuty, że nie interesuje ich los rodaków mieszkających nad Łabą i Odrą. A przecież – tłumaczy – na pewno dożyją zjednoczenia Niemiec!

Gdy po zajęciach pyta asystenta, co o nim sądzą studenci, słyszy: „Mówią, że jest pan wykładowcą sympatycznym i lubianym. Ale i naiwnym polskim marzycielem”.

9.

Nawet jeżeli ludzie o tobie nie pamiętają, nie trać nadziei. Bo naprawdę nigdy nie jest za późno.

W roku 1989 Bartoszewski ma 67 lat. W Europie dzieją się rzeczy epokowe, pada mur berliński. Ale Jesień Narodów zaczyna się już wcześniej w Polsce, gdzie po częściowo wolnych wyborach powstaje rząd z pierwszym po wojnie niekomunistycznym premierem. Działacze opozycji sięgają po najwyższe stanowiska w państwie. Ale o Bartoszewskim, wciąż wykładającym w Niemczech Zachodnich, nikt nie pamięta. Lata 80. spędził z dala od krajowych środowisk. Jego zaangażowanie i sukcesy za żelazną kurtyną w kraju nie odbiły się większym echem. Zresztą – może wydaje się za stary? Tyle że on nadal pali się do działania. Po latach tamten okres będzie wspominał krótko: „Telefon milczał i milczał”.

Dopiero w 1990 r. dostaje zaproszenie od premiera Tadeusza Mazowieckiego. Mają tylko 35 minut, potem szef rządu musi jechać do Sejmu. Bartoszewski: „Pijemy herbatę, zagryzamy herbatnikami, rozmawiamy o sprawach prywatnych. I tak minęło dwadzieścia minut. Ja zdjąłem z ręki zegarek, położyłem przed sobą i mówię: – Słuchaj, Tadeusz, masz mało czasu, więc pozwól, że złożę ci propozycję. Wracam do Niemiec, uniwersytet Ludwiga-Maksymiliana przedłuża ze mną kontrakt, ale gdybym mógł ci jakoś pomóc, na przykład w nieformalnych kontaktach z chadecją... A na to Mazowiecki patrzy na mnie zdziwiony: – Ale właściwie to ty masz pójść do Wiednia... – Co to znaczy? – No bo tam są wściekli, że ambasadorem był człowiek, który w Gdańsku zwalczał Solidarność... Musimy go odwołać. Masz objąć ambasadę. Mówię: – Ale czy ja się na tym znam? Ale on, jak to on,

spojrzał na mnie ze smutkiem: – A czy ja się na tym znam?”.

Tuż przed siedemdziesiątką otwiera więc nowy rozdział w życiu i debiutuje jako dyplomata. Szczercze mówiąc, skoro już zdecydowano się rzucić Bartoszewskiego na głęboką wodę, musi dziwić, że z jego kontaktami i autorytetem za Odrą nie dostał spraw niemieckich. Ale w Wiedniu też radzi sobie znakomicie. Działa wprawdzie – oględnie mówiąc – poza schematami dyplomatycznymi, ale zdobywa dla Polski wielu przyjaciół. Gdy w 1995 r. zostaje szefem całego resortu spraw zagranicznych, austriacki dziennik „Die Presse” tytułuje artykuł: „Polski minister z Wiednia”. A izraelski ambasador urzędujący nad pięknym modrym Dunajem przypomina o jego honorowym obywatelstwie Państwa Izrael i oświadcza: „Nad Jordanem zdarzają się cuda. Izrael nie istnieje jeszcze nawet pół wieku, a już ma dwóch ministrów spraw zagranicznych!”.

Podczas pożegnania, przed powrotem do Warszawy, Austriacy obsypują Bartoszewskiego komplementami – podkreślając, jak niekonwencjonalnym jest dyplomata. Ten się dziwi: „Niekonwencjonalny? Ja po prostu mówię, co myślę!”.

10.

Czy warto zrezygnować z bycia powszechnie szanowanym autorytetem? Zwłaszcza że w Polsce takich postaci – jednoczących ponad podziałami – zawsze mamy deficyt?

19 lutego 2007 r. Bartoszewski kończy 85 lat. Kilka lat temu przestał (po raz drugi) pełnić funkcję ministra spraw zagranicznych. Zdaje się, że do końca swoich dni będzie już tylko odbierał kombatanckie hołdy i wyrazy czci. Podczas jego jubileuszowych uroczystości na Zamku Królewskim w Warszawie znowu wybrzmiewają peany. Jego życie „jest przykładem autentycznego patriotyzmu, prawdziwej odwagi i żywej postawy chrześcijańskiej”. A jego doświadczenia „składają się na los człowieka, który był udziałem najlepszych obywateli naszego narodu. Tych, którzy nigdy nie godzili się ze złem, przemocą i niesprawiedliwością i którzy potrafili dać świadectwo prawdy, godności i człowieczeństwa w nieludzkich czasach”.

To fragmenty uroczystości odczytanego listu, którego autorem jest ówczesny

premier. Jarosław Kaczyński odręcznie dopisuje: „Proszę przyjąć moje najlepsze życzenia i wyrazy najwyższego szacunku”.

Siedem miesięcy później w Filharmonii Krakowskiej Platforma Obywatelska urządza przedwyborczą konwencję. Bartoszewski zgadza się przemówić – głównie po to, żeby wesprzeć kandydującego do Sejmu Jarosława Gowina. Gdy czeka za kulisami, słucha przewidywalnych wystąpień przedmówców. Polityczne banały i komunały. Mowa-trawa. Zaczyna się irytować. Przypomina sobie, jak w latach 40. był agitatorem Mikołajczykowskiego PSL i przemawiał na mazowieckich wsiach. Tu trzeba ognia!

Wychodzi na scenę i mówi: „Ja kategorycznie wypraszam sobie rządzenie Polską przez niekompetentnych ludzi, działaczy partyjnych, niekompetentnych dyplomatołków”.

Zdaniem licznych publicystów jego wystąpienie staje się punktem zwrotnym w kampanii Platformy, która wreszcie nabiera wigoru – i rządzić będzie przez następne osiem lat.

Także Bartoszewski z impetem wraca do życia publicznego. Zostaje pełnomocnikiem premiera ds. dialogu międzynarodowego. Ale nie stroni też od ostrego recenzowania PiS-u i braci Kaczyńskich. Jego sarkazm bywa morderczy. U jednych budzi zachwyt i poklask, u innych oburzenie i niesmak. Już na początku wojny między dwiema Polskami nie zamierza mediować i wybiera jedną stronę. Zasypywany anonimowymi obelgami i wygwizdywany na Powązkach w rocznicę wybuchu powstania warszawskiego, płaci cenę za swój wybór. Nigdy nie chciał być obiektem muzealnym.

Pół żartem, pół serio prosił Boga o śmierć w biegu. Jego prośbom stało się zadość. Jak na rzetelnego urzędnika państwowego przystało, umarł w piątek popołudniu, gdy wydał już polecenia na przyszły tydzień, uporządkował bieżące papiery i wrócił z Kancelarii Premiera do domu.

Cenę za tamtą decyzję płaci do dziś. Dla rządzących i ich elektoratu pozostaje kamieniem obrazu. Opozycyjnym politykom po śmierci przestał być potrzebny.

Dla jego pamięci nie robią nic – albo za-wstydzająco mało. Nie pograżył się jeszcze w zapomnieniu dzięki różnym zapaleńcom, samorządowcom i ideowcom, jak były rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar. Jego życie wciąż budzi szacunek także w Niemczech i Izraelu. Cóż – nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. Zwłaszcza gdy mówi rzeczy raniące, bolesne i gorzkie.

Czy wtedy – w roku 2007 – postąpił słusznie? Akurat Bartoszewskiemu nikt nie może odmówić prawa do rozporządzania własnym życiem.

© MAREK ZAJĄC

Autor jest przewodniczącym Rady Fundacji Auschwitz-Birkenau. Przez 12 lat był sekretarzem Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej. Kieruje kanałem Polsat Rodzina.

Cytowane książki Władysława Bartoszewskiego: „Warto być przyzwoitym. Teksty osobiste i nieosobiste”, a także wywiady z rzezi: „Mój Auschwitz” (z P.M.A. Cywińskim i M. Zającem), „Życie trudne, lecz nie nudne” (z A. Friszke), „Mimo wszystko” (z M. Komarem).

REKLAMA

MAŻ STANU, MISTRZ, PRZYJACIEL



Wiele obliczy
Profesora Bartoszewskiego
i tylko jedno pytanie:
JAKI BYŁ?

Czułość, mądrość i dobry humor
emanują z każdego zdania
tej niezwykłej książki.

Ze wstępem **Adama Bodnara**
i ilustracjami **Henryka Sawka**

MANDO

znajdziesz w

empik

salony / online / aplikacja

Wrocławianin z wyboru

MAŁGORZATA PREISNER-STOKŁOSA

**Cenił fakty – mogą o tym zaświadczyć jego dawni współpracownicy, znajomi i przyjaciele.
Był dokumentalistą i kronikarzem, poruszał się w świecie uporządkowanym datami.**

Daty stanowiły podstawę jego najważniejszych książek, w których opisywał lata okupacji, ważne dla niego momenty w życiu, związki z ludźmi i miejscami. Gdyby dzisiaj Władysław Bartoszewski miał opowiedzieć o związkach z Wrocławiem – sięgnąłby zapewne do jednego ze swoich kalendarzy, których wiele zachowało się w zbiorach Ossolineum.

Pierwsze wizyty we Wrocławiu przypadają na drugą połowę lat 70. XX wieku. Przyjeżdżał na organizowane przez Klub Inteligencji Katolickiej Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej. Mówił o sprawach ważnych, często pomijanych w oficjalnej historii, o Państwie Podziemnym, walce Armii Krajowej, o postawach Polaków podczas okupacji. Kilka miesięcy przed wprowadzeniem stanu wojennego i internowaniem w Jaworzu dzielił się w KIK wrażeniami z odbytej właśnie podróży do Niemiec Zachodnich. Chętnie go słuchano, już wtedy był dla wielu autorytetem.

W wolnej Polsce kontakty Bartoszewskiego z Wrocławiem nie osłabły. Był obecny, gdy bliskie mu osoby – wśród nich Tadeusz Żenczykowski i Jan Nowak-Jeziorański – przekazywały Zakładowi Narodowemu im. Ossolińskich swoje zbiory. Ta instytucja o dwustuletniej tradycji założona została przez hrabiego Józefa Maksymiliana Ossolińskiego we Lwowie, a po wojnie przewieziona z częścią zbiorów do Wrocławia. W 1995 r. wróciła do statusu fundacji, dzisiaj w jej strukturach działają: Biblioteka, Muzeum Książąt Lubomirskich, Wydawnictwo oraz Muzeum Pana Tadeusza, w którym prezentowany jest rękopis epopei Adama Mickiewicza. Władysław Bartoszewski w 2004 r. dołączył również do grona darczyńców zakładu.



Na wystawie stałej „Misja: Polska”, w Muzeum Pana Tadeusza, Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu

Zanim to nastąpiło, w grudniu 1996 r. otrzymał doktorat honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego, a w czerwcu 2004 r. tytuł Honorowego Obywatela Wrocławia. Kilka dni później przekazał Ossolineum pierwszą część bezcennego archiwum i księgozbioru, których kolejne partie będą trafiać do Wrocławia systematycznie przez następne dziesięć lat. To przede wszystkim wydawnictwa z lat okupacji, druki konspiracyjne, dokumenty. Wśród najcenniejszych – archiwum jednej z komórek Rady Pomocy Żydom „Żegota” o kryptonimie „Felicia” – pokwitowania pomocy udzielanej Żydom ukrywającym się podczas Holokaustu. W zbiorach Ossolineum znalazła się również ogromna dokumentacja jego działalności politycznej, społecznej, dyplomatycznej, w tym korespondencja,

teksty przemówień. On sam za najważniejsze uważał to wygłoszone przed połączonymi izbami parlamentu niemieckiego w 1995 r. Dopelnieniem kolekcji są osobiste fotografie, notatki, kalendarze, czasopisma, w których skrupulatnie zaznaczał strony z opisem własnej działalności, liczne nagrody i odznaczenia. Wśród nich Order Orła Białego, Krzyż Wielki Orderu Zasługi RFN i Dyplom Sprawiedliwego wśród Narodów Świata.

W 2008 r. jako sekretarz stanu ds. dialogu międzynarodowego uczestniczył w uroczystości nadania kanclerz RFN Angeli Merkel doktoratu honoris causa Politechniki Wrocławskiej. Rok później wraz z byłą przewodniczącą Bundestagu Ritą Süßmuth odbierał nagrodę Księżnej Jadwigi Śląskiej, przyznaną co roku przez Uniwersytet Wrocławski, prezydenta Wrocławia i Salon Śląski. W ratuszu w 2012 r. obchodził 90. urodziny (również i to odnotował w jednym z kalendarzy). W tym samym roku, podczas współorganizowanego przez Radę Atlantycką Wrocław Global Forum otrzymał Freedom Award. Był wśród osób wspierających odbudowę Synagogi pod Białym Bocianem. W Muzeum Pana Tadeusza otworzył wystawę „Bartoszewski w karykaturach i bon motach”, zorganizowaną z okazji jego 92. urodzin. Podczas konferencji prasowej w 2013 r. mówił: „Wrocław mnie zachwycał, spotykałem tu zawsze życzliwych ludzi ze świata kultury, ze środowisk katolickich. Wrocław nadał mi honorowe obywatelstwo, Uniwersytet Wrocławski przyznał doktorat honoris causa, choć jeszcze nie wiedzieli, że przekażę swoje zbiory Ossolineum”.

Ostatni raz we Wrocławiu był 21 kwietnia 2015 r., trzy dni przed śmiercią. Wziął udział w posiedzeniu Rady Kuratorów Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, której członkiem został w 1998 r. W kwietniu 2016 r. działalność zainaugurowało ossolińskie Muzeum Pana Tadeusza z wystawą stałą „Misja: Polska”, opowiadającą o walce o wolną Polskę pokolenia Jana Nowaka-Jeziorańskiego i Władysława Bartoszewskiego. Bez ich archiwów nie mogłoby powstać. Dziś to jedna z wizytówek Wrocławia. ©

Od 4 marca do 11 kwietnia 2022 r. w Muzeum Pana Tadeusza będzie można zobaczyć ekspozycję czasową „Bartoszewski. Dlaczego nie ja?”, przygotowaną z okazji setnej rocznicy urodzin Profesora.

Dla przyszłości

NORBERT LAMMERT

Swoje działania podejmował z miłości do Polski. Jako patriota stawał w obronie wolności swej ojczyzny przeciw niemieckim okupantom i komunistom.

Naszym dążeniem będzie tworzyć zrozumienie, szacunek i sympatię między dzisiejszymi Niemcami i narodem polskim, aby na tej glebie wyrosła kiedyś prawdziwa przyjaźń – powiedział w 1959 r. kanclerz Konrad Adenauer. Dobre sześć dekad później stosunki między Polakami i Niemcami są ugruntowane – mimo obciążającej przeszłości i aktualnych kontrowersji. Wyraźnie wykazuje to współwydawany przez Fundację Adenauera „Barometr Polska – Niemcy” z 2021 r.: w obu krajach większość respondentów ocenia te stosunki jako dobre lub bardzo dobre. Wobec często niełatwej, nie zawsze szczęśliwej, ale w końcu wspólnej historii Niemców i Polaków, których „wola Boża uczyniła sąsiadami” (jak powiedział kiedyś Jan Paweł II), można to z pewnością uznać za cud, a przynajmniej za coś niezwykłego.

Ogromne zasługi dla takiego stanu rzeczy wniósł Władysław Bartoszewski, który w lutym 2022 r. skończyłby sto lat. Dla uczczenia tej rocznicy Senat RP ogłosił rok 2022 „Rokiem Bartoszewskiego”.

BYŁ AUTORYTETEM moralnym w Polsce i daleko poza jej granicami. Przez całe życie Bartoszewski wyróżniał się tym, że bronił swoich wartości i przekonań – niezależnie od tego, że mogło wiązać się to z osobistym ryzykiem. Postawę tę ukształtowało straszliwe doświadczenie uwięzienia przez niemieckiego okupanta w Auschwitz, gdy miał 18 lat. Po uwolnieniu na skutek interwencji Czerwonego Krzyża zaczął realizować postanowienia, które powziął w obozie, że w swoim życiu już nigdy więcej nie będzie bierny. Wstał więc do ruchu oporu i zaangażował się

w działalność Żegoty – organizacji, której celem było ratowanie Żydów.

Także w czasach panowania w Polsce władzy komunistycznej Bartoszewski pozostał wierny sobie, mimo bolesnych konsekwencji. Do więzienia trafił w latach 40. i 50. (łącznie spędził tam sześć lat), a potem na początku lat 80., gdy zaangażował się w ruch Solidarności. Zawsze działał z miłości do Polski, jako patriota stawał w obronie wolności swojej ojczyzny przeciw niemieckim okupantom i przeciw komunistom sowieckiego pokroju.

PO TAKICH DOŚWIADCZENIACH byłoby całkiem zrozumiałe, a nawet oczywiste, gdyby zwłaszcza do Niemców nastawiony był wrogo lub przynajmniej z dystansem. Ale to nie zemsta, lecz pragnienie porozumienia i wola pojednania były jego reakcją na zło, którego doświadczył. Wbrew komunistycznej propagandzie, kreującej Republikę Federalną Niemiec na odwiecznego wroga Polski, Bartoszewski odważył się nawiązać kontakty z Akcją Znaków Pokuty (Aktion Sühnezeichen), niemiecką sekcją Pax Christi, Komitetem Centralnym Katolików Niemieckich i innymi środowiskami. W ten sposób relacje między ludzkie rozwijały się na wielu poziomach.

Jako publicysta, a potem po upadku bloku wschodniego jako polski minister spraw zagranicznych i następnie także jako pełnomocnik rządu ds. dialogu międzynarodowego i stosunków polsko-niemieckich, pracował na rzecz pojednania Polaków i Niemców. Bartoszewski rozumiał, że aby pojednanie było szczerze i prawdziwe, obie strony muszą ze sobą otwarcie rozmawiać. I tak w 1995 r. w swoim niezwykłym przemówieniu, które wygłosił przed Bundestagiem z okazji 50. rocznicy zakończenia II wojny światowej jako polski minister spraw zagranicznych, nie tylko wyraźnie podkreślił winę Niemiec, ale mówił także o polskiej odpowiedzialności za wypędzenie Niemców pod koniec tej wojny: „Zło nam wyrządzone, nawet największe, nie jest jednak i nie może być usprawiedliwieniem zła, które sami wyrządziliśmy. Wysiedlanie ludzi z ich domów może być w najlepszym razie mniejszym złem, nigdy – czynem dobrym”. Była to odważna, zaskakująca i ryzykowna wypowiedź, która nie spotkała się w Polsce z powszechnym uznaniem, a i w toczonych aktualnie debatach ciągle jeszcze brzmi drażliwie. Bartoszewski uważał jednak, iż „Nie ma lepszego sposobu, nie ma innej, zdrowszej alternatywy. Jediną drogą jest wspólna przyszłość”.

NASZE DOBRE SĄSIEDZTWO rozwija się dzięki kontaktom i wymianie, także dzięki trudnej niekiedy konfrontacji z odmiennymi doświadczeniami, poglądami i interesami. To, że Niemcy i Polacy są dzisiaj partnerami w wolnej i zjednoczonej Europie, jest historycznym osiągnięciem i wielkim szczęściem. Zawdzięczamy to w dużej mierze Władysławowi Bartoszewskiemu. Naszym wspólnym obowiązkiem jest zachowanie pamięci o nim – oraz kontynuowanie jego dzieła.

© Przetoczyła HANNA DMOCHOWSKA

PROF. NORBERT LAMMERT (ur. 1948) jest politykiem niemieckiej CDU, obecnie przewodniczącym Fundacji Konrada Adenauera. W latach 2005-2017 był przewodniczącym Bundestagu.



Roman Herzog, Johannes Rau i Helmut Kohl składają gratulacje Władysławowi Bartoszewskiemu po jego przemówieniu w Bundestagu. Berlin, 28 kwietnia 1995 r.

NICOLE MASKUS / DPA / PAP

Pokaż mi swoich przyjaciół,

Oto lista osób, które w ciągu wielu lat mojej z nim współpracy

Władysław Bartoszewski często wspominał i wyróżniał jako swych przyjaciół.

Lista jest oczywiście niepełna i nie obejmuje żyjących. Noty stworzyłem na wzór tych, które Profesor publikował w rubryce „Zmarli” na łamach „Tygodnika Powszechnego”.

■ **JULIAN ALEKSANDROWICZ** – „Doktor Twardy” (1908-1988), prof. nauk medycznych, filozof medycyny, uczestnik kampanii wrześniowej, uciekinier z obozu w Płaszowie, żołnierz AK, wieloletni kierownik Kliniki Hematologicznej Akademii Medycznej w Krakowie.

■ **KS. DR ANDRZEJ BARDECKI** (1916-2001) – w latach 1943-44 kapelan Polaków-robotników przymusowych w Niemczech, kapitan AK, więzień KL Buchenwald, w latach 1951-53 i 1956-1991 asystent kościelny w „Tygodniku Powszechnym”.

■ **JADWIGA BEAUPRÉ z KLEMENSIEWICZÓW** (1902-1984) – dr nauk medycznych, kapitan AK, kierowniczka sekretariatu szefa sztabu Komendy Głównej ZWZ-AK gen. Tadeusza Pełczyńskiego, założycielka Poradni Świadomego Macierzyństwa w Nowej Hucie.

■ **WACŁAW BOJARSKI** (1921-1943) – poeta, student polonistyki na Tajnym UW, członek Konfederacji Narodu, redaktor miesięcznika „Sztuka i Naród”, w czasie akcji składania wieńca pod pomnikiem Kopernika zatrzymany przez granatowego policjanta, postrzelony przez niemieckiego żandarma zmarł w szpitalu.

■ **HEINRICH THEODOR BÖLL** (1917-1985) – pisarz, żołnierz Wehrmachtu, członek Grupy 47, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury (1972), w latach 1971-1974 przewodniczący międzynarodowego PEN Clubu.

■ **AXEL VON DEM BUSSCHE-STREITHORST** (1919-1993) – prawnik, oficer Infanterie-Regiment 9. (Krzyż Żelazny za kampanię wrześniową), uczestnik konspiracji antyhitlerowskiej (przyjaciół Clausa von Stauffenberga), po wojnie działacz Kościoła ewangelickiego w Niemczech (EKD).

■ **WIESŁAW CHRZANOWSKI** (1923-2012) – adwokat, prof. nauk prawnych (KUL). W czasie okupacji współtwórca Młodzieży Wszepolskiej, żołnierz Narodowej Organizacji Wojskowej, powstaniec warszawski, więziony w latach 1948-1954, w 1980 r. doradca NSZZ „Solidarność”,

współtwórca ZChN, minister sprawiedliwości i prokurator generalny w rządzie Jana Krzysztofa Bieleckiego, marszałek Sejmu I kadencji.

■ **HANNA CZAKI** (1922-1944) – harcerka, studentka socjologii na Tajnym Uniwersytecie Ziemi Zachodnich, sekretarka kpt. Jerzego Makowieckiego (szefa Wydziału Informacji w Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK). Aresztowana przez żandarmerię niemiecką na podstawie denuncjacji dokonanej przez ludzi skrajnej prawicy usytuowanych w Delegaturze Rządu i Oddziale II KG AK. Rozstrzelana 10 lutego 1944 r.

■ **LUCJAN DOBROSZYCKI** (1925-1995) – historyk, więzień getta w Łodzi i KL Auschwitz-Birkenau, pracownik Instytutu Historii PAN, od 1970 r. w Nowym Jorku w YIVO Institute for Jewish Research.

■ **ADAM DOBROWOLSKI** (1903-1981) – prawnik, od grudnia 1939 r. członek Związku Odbudowy Rzeczypospolitej, aresztowany w 1940 r., więziony w Krakowie, Tarnowie i KL Auschwitz, ponownie uwięziony w 1942 r., po ucieczce do Warszawy pracownik Zarządu Miejskiego i jednocześnie Wydziału Informacji BIP KG AK; w czasie powstania dowodził placówką informacyjno-radiową „Kowal”; do stycznia 1945 r. zastępca szefa BIP. Po wojnie prowadził praktykę adwokacką w Krakowie.

■ **KRZYSZTOF DUNIN-WĄSOWICZ** (1923-2013) – historyk, varsavianista, profesor w Instytucie Historii PAN, żołnierz AK, współpracownik Żegoty, członek socjalistycznej organizacji Płomienie, więzień KL Stutthof, Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. W 1999 r. raniony przez demonstrantów z Ligi Republikańskiej w czasie pochodu pierwszomajowego.

■ **MAREK EDELMAN** (1922-2009) – dr nauk medycznych, członek Bundu, współzałożyciel Żydowskiej Organizacji Bojowej i jej ostatni dowódca, uczestnik

powstania warszawskiego w szeregach Armii Ludowej. Współpracownik KOR. Uczestnik obrad Okrągłego Stołu w podziale ds. służby zdrowia.

■ **BRONISŁAW GEREMEK** (1932-2008) – historyk, członek Towarzystwa Kursów Naukowych (TKN), członek Komisji Ekspertów przy Międzyzakładowym Komitecie Strajkowym w Gdańsku, doradca Solidarności, internowany 13 grudnia 1981 r., zwolniony w grudniu 1982 r. Współzałożyciel Ruchu Obywatelskiego Akcja Demokratyczna, Unii Demokratycznej i Unii Wolności. Poseł na Sejm w latach 1989-2001. Minister spraw zagranicznych w latach 1997-2000.

■ **HELENA JAMONTTÓWNA** (1914-1944) – prawniczka, członkini RNR-Falanga i ONR, w czasie okupacji kierowniczka Wydziału Więziennictwa Konfederacji Narodu, działała też w Międzyorganizacyjnym Porozumieniu Pomocy Więźniom. Zginęła w czasie powstania warszawskiego, walcząc w Zgrupowaniu „Radostaw”.

■ **PAWEŁ JASZENICA** (1909-1970) – historyk, oficer AK, żołnierz podziemia antykomunistycznego, publicysta „Tygodnika Powszechnego”.

■ **STEFAN KISIELEWSKI** (1911-1991) – kompozytor, krytyk muzyczny, powieściopisarz, felietonista „Tygodnika Powszechnego”; uczestnik kampanii wrześniowej i powstania warszawskiego, poseł na Sejm PRL II i III kadencji (Koło Poselskie Znak).

■ **HELMUT KOHL** (1930-2017) – od 1946 r. członek CDU, w latach 1969-1976 premier rządu Nadrenii-Palatynatu, a w latach 1982-1998 kanclerz Republiki Federalnej Niemiec.

■ **ABA KOWNER** (1918-1987) – poeta, działacz Haszomer Hacair, organizator ruchu oporu w getcie wileńskim, dowódca oddziału partyzanckiego „Mściciele” i – w 1945 r. – organizacji Odwet. Kapitan Izraelskich Sił Obronnych. Współtwórca Muzeum Diaspory w Tel Awiwie.

a powiem ci, kim jesteś

Świadek na procesie Eichmanna. Laureat izraelskich nagród literackich.

■ KRZYSZTOF KOZŁOWSKI

(1931-2013) – dr filozofii (KUL), dziennikarz, polityk. W „Tygodniku Powszechnym” od 1956 r., od 1965 r. zastępca redaktora naczelnego. W 1990 r. minister spraw wewnętrznych w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. Senator w latach 1989-2001.

■ KAZIMIERZ KUMANIECKI (1905-1977)

– filolog klasyczny, prof. UW, członek PAN i PAU. W czasie okupacji w Wydziale „N” BiP KG AK, działał też w katolicko-narodowym Znak. W latach 1945-46 poseł do KRN z ramienia Stronnictwa Pracy. Do przejścia na emeryturę w 1976 r. kierował Zakładem Nauk o Kulturze Antycznej PAN.

■ KARL LEHMANN (1936-2018)

– kardynał, od 1983 r. biskup Moguncji, w latach 1987-2008 przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec.

■ REINHOLD LEHMANN (1939-1998)

– w latach 1969-1982 sekretarz generalny niemieckiej sekcji Pax Christi, od 1977 r. członek zarządu, potem przewodniczący Dzieła Maksymiliana Kolbego.

■ STANISŁAW LEM (1921-2006)

– pisarz, filozof, futurolog.

■ WITOLD LIS-OLSZEWSKI (1905-1986)

– prawnik, uczestnik kampanii wrześniowej, w czasie okupacji w Narodowej Organizacji Wojskowej, następnie komendant Okręgu Radomskiego AK. Więziony w latach 1950-55. Obrońca w procesach świadków Jehowy. Współpracownik KOR.

■ KAZIMIERZ MOCZARSKI (1907-1975)

– prawnik, dziennikarz, działacz przedwojennego i podziemnego Stronnictwa Demokratycznego, w czasie okupacji w Wydziale Informacji BiP KG ZWZ-AK i kierownictwie Walki Podziemnej, od października 1944 r. szef BiP KG AK, w 1952 r. skazany na

karę śmierci, zamienioną na dożywocie. Więziony do 1956 r.

■ JAN NOWAK-JEZIORAŃSKI (1914-2005)

– ekonomista, oficer WP, w czasie okupacji uczestnik Akcji „N”, kurier Komendanta Głównego AK i emisariusz Rządu RP w Londynie, uczestnik powstania warszawskiego. W latach 1948-51 pracownik BBC, w latach 1951-76 dyrektor Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Działacz Kongresu Polonii Amerykańskiej, konsultant Narodowej Rady Bezpieczeństwa USA.

■ KAZIMIERZ OSTROWSKI (1907-1999)

– prawnik, działacz Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej. Od września 1939 r. komendant Okręgu Krakowskiego Związku Odbudowy Rzeczypospolitej-AK. Od 1942 r. w BiP KG AK, podczas powstania warszawskiego dowódca placówki radiowo-informacyjnej „Anna”. Po wojnie obrońca w procesach politycznych, m.in. w krakowskim procesie II Zarządu WiN, tzw. procesie kurii krakowskiej oraz w latach 80. w procesach działaczy Solidarności.

■ SZIMON PERES (1923-2016) – od 1947 r.

członek Hagany, współtwórca Sił Obronnych Izraela, dwukrotnie premier, w latach 2007-2014 prezydent Izraela, laureat Pokojowej Nagrody Nobla.

■ MIECZYŚLAW PSZON (1915-1995)

– polonista (absolwent UJ), działacz Młodzieży Wszechpolskiej i Stronnictwa Narodowego, w czasie okupacji w Narodowej Organizacji Wojskowej, po wojnie ostatni delegat Rządu RP na woj. krakowskie, aresztowany w 1947 r., skazany na karę śmierci, zwolniony w 1955 r. Od 1960 r. redaktor „Tygodnika Powszechnego”. W 1989 r. pełnomocnik premiera Tadeusza Mazowieckiego ds. kontaktów z Urzędem Kanclerskim Helmuta Kohla.

■ KURT SKALNIK (1925-1997)

– dziennikarz, żołnierz Wehrmachtu, w latach 1954-67 redaktor naczelny austriackiego tygodnika katolickiego „Die Furche”, w latach 1967-1990 dyrektor biura prasowego prezydentów Austrii.

■ ANTONI SŁONIMSKI (1895-1976)

– poeta, inicjator Listu 34, od 1970 r. współpracownik „Tygodnika Powszechnego”.

■ CHONE SZMERUK (1921-1997) – student

UW, w latach 1940-46 więzień obozów w ZSRR, w 1956 r. stworzył przy Izraelskiej Akademii Nauk Centrum Badań i Dokumentacji Żydów Wschodnioeuropejskich, od 1982 r. dyrektor Centrum Badań nad Historią i Kulturą Żydów Polskich przy Uniwersytecie Hebrajskim.

■ JERZY TUROWICZ (1912-1999) – publicy-

sta, redaktor. W latach 1930-39 działacz Stowarzyszenia Katolickiej Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie”; w 1939 r. redaktor naczelny „Głosu Narodu”. W czasie okupacji w Federacji Organizacji Narodowo-Katolickich „Unia”. Współzałożyciel „Tygodnika Powszechnego” i w latach 1945-53 oraz 1956-99 jego redaktor naczelny (początkowo wraz z ks. Janem Piwowarczykiem). Członek Społecznej Rady Prymasowskiej w latach 1981-85, uczestnik obrad Okrągłego Stołu. Honorowy przewodniczący Rady Etyki Mediów.

■ TADEUSZ ŻENCZYKOWSKI (1907-1997)

– prawnik, kapitan WP. Od 1937 r. szef propagandy Obozu Zjednoczenia Narodowego, uczestnik kampanii wrześniowej, od 1940 r. w BiP KG ZWZ-AK. Kierownik Akcji „N”, następnie kierownik podwydziału „Antyk” (propaganda antykomunistyczna), w powstaniu warszawskim – szef propagandy AK. W latach 1954-75 redaktor, a następnie zastępca dyrektora Rozgłośni Polskiej RWE.

■ KS. PROF. JÓZEF ŻYCIŃSKI (1948-2011)

– biskup diecezjalny tarnowski w latach 1990-97, arcybiskup metropolita lubelski od 1997 r., filozof i teolog, członek Papieskiej Rady ds. Kultury, członek Rady Fundacji Auschwitz-Birkenau. ©

Autor jest pisarzem, scenarzystą, publicystą i dziennikarzem, autorem wywiadów rzek, m.in. z Władysławem Bartoszewskim, Stefanem Mellerem i z Krzysztofem Kozłowskim.



MATERIAŁ PARTNERA

Władysław Bartoszewski, lato w Zielonce, 1943 r.

Profesor Bartoszewski zawsze młody

MARIUSZ MALINOWSKI

**Idea skweru w Warszawie,
jako miejsca związanego z jego
osobą, powstała już w niespełna
rok po śmierci Profesora.**

Poculiśmy, jak bardzo brak jego osoby i jak ważnym jest dla nas symbolem. Padły kolejne granice przyzwoitości, a my zbieraliśmy podpisy pod wnioskiem o nadanie jego imienia skwerowi przy sądach. Skwer ten znajduje się na miejscu dawnej ulicy Białej.

W czasie okupacji ta wąska uliczka, z obu stron obramowana wysokim na trzy metry murem getta, była z niego wyłączona, stanowiąc przejście do budynku sądów. Żydzi wchodzący do sądów od strony leżącej w getcie ulicy Leszno mogli tam dostać od organizacji pomocowych ubrania i fałszywe

dokumenty, a potem wyjść przez Białą na wolność. Pomagała im w tym między innymi organizacja Żegota, której działaczem był wtedy Bartoszewski. Idąc wąskim przesmykiem pomiędzy murami z obu stron ulicy Białej, uciekinierzy i ich przewodnicy przeżywali niezwykle emocje. To miejsce jest nasyczone ich nadzieją wolności. Dlatego uważaliśmy, że jest odpowiednie, aby nosiło jego imię, choć przecież nigdy nie zabiegał o zaszczyty.

Zebrałiśmy w tej akcji ponad 4 tysiące podpisów (niezbędnych było 200). Wiele organizacji społecznych, obywatelskich i politycznych wyraziło na piśmie swoje poparcie.

Przygotowane przez nas dokumenty miały przekonać panią prezydent Warszawy Hannę Gronkiewicz-Waltz, aby odstąpiła od pięcioletniego przewidzianego prawem okresu oczekiwania na upamiętnienie i zgłosiła wniosek do Rady Warszawy.

Tak się też stało i 4 grudnia 2016 r. otworzyliśmy skwer Władysława Bartoszewskiego pierwszym Wiecem Przyzwoitości. Teraz, 19 lutego, organizujemy kolejny w 100-lecie urodzin. Podczas pierwszego Wiecu przedstawiciele organizacji obywatelskich mówili, czym dla nich są wartości Profesora. To było ich zobowiązanie, które zawsze możemy przywołać. Transmisja z wydarzenia miała na Facebooku ogromną liczbę widzów.

Od początku wiedzieliśmy, że chcemy upamiętnić pomnikiem właśnie młodego Profesora Bartoszewskiego, bo przecież na zawsze pozostał młody. Kiedy miał ponad 90 lat, zadziwił nas młodzieżowym temperamentem i jasnością rozumowania, ciekawością świata i ludzi charakterystycznymi dla wielokrotnie młodszych. Jego charakter skryształizował się w trudnych i bolesnych latach wojny, kiedy młody Bartoszewski po wyjściu z obozu koncentracyjnego zaangażował się w pomoc prześladowanym Żydom i pracę dla Polski. Potrafił też zwalczyć w sobie nienawiść do narodu niemieckiego. To uformowało go na całe życie.

Taki właśnie napis umieścimy przy jego postaci na pomniku.

Szukaliśmy zdjęcia, które opowiadałoby o nim w tamtych latach. Oczywiście jest jego fotografia obozowa, są zdjęcia w dokumentach, jednak najbardziej emocjonalne okazuje się zdjęcie zrobione przez dziewczynę, którą prawdopodobnie darzył przyjaźnią. Dziewczyna wraz z koleżankami namówiła go, aby wsiadł na rower, damski rower, choć rzadko na rowerze jeździł. Było lato i grupka młodych osób ze środowiska Zofii Kossak-Szczuckiej pojechała do Zielonki pod Warszawą na odpoczynek. Wokół wojna, okupacja, oni wszyscy zaangażowani w konspirację – a tu radość z pięknego dnia i zielonego sadu. Władek Bartoszewski uśmiecha się promiennie do swoich przyjaciółek. Niektóre z nich potem zginęły, on przeszedł powstanie, komunistyczne więzienie, trudne lata komuny. Ale zachował się ten moment ulotnego szczęścia. Takiego właśnie chcemy go pokazać.

Rada Warszawy zaakceptowała nasz projekt do realizacji. Zbieramy pieniądze na jego wykonanie.



Prosimy o wpłaty na konto
36 1050 1025 1000 0090
3260 4424
lub <https://rzrutka.pl/kdu8u6>



UCHWAŁA SENATU RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

z dnia 26 listopada 2021 r.

ustanawiająca rok 2022 Rokiem Władysława Bartoszewskiego

W 2022 roku mija setna rocznica urodzin Władysława Bartoszewskiego, znanego towarzyszom broni z Armii Krajowej pod pseudonimami Ludwik lub Teofil. Urodził się 19 lutego 1922 roku w Warszawie. Uczestniczył w jej cywilnej obronie w 1939 roku. Walczył o nią w Powstaniu Warszawskim. Zmarł w Warszawie 24 kwietnia 2015 roku i tu został pochowany.

Władysław Bartoszewski był człowiekiem wszechstronnym: humanistą, historykiem, publicystą, dziennikarzem, pisarzem i wykładowcą. Traktował ten segment swego życia jako misję. Zналиśmy go także jako dyplomatę i polityka. Powiedzieć o kawalerze Orderu Orła Białego oraz człowieku uhonorowanym tytułem Sprawiedliwego wśród Narodów Świata, iż był działaczem społecznym, to pozbawić go części jego niezwyklej osobowości.

Był więźniem Auschwitz, co dawało mu niezwyklej mandat w rozmowach z Niemcami i Austriakami. Gdy mówił im ascetyczną prawdę, oni słuchali w ciszy i dziękowali oklaskami. Tłumaczył, że prawda leży tam, gdzie leży, i on nic na to nie może poradzić. Ale jego prawda miała jednocześnie moc oczyszczającą; nie była rytualnym oskarżeniem, lecz fundamentem dla nowej budowy. Jego osobista historia, historia jego miasta i kraju służyła mu do stawiania tamy dla nurtów ideologicznych, które relatywizowały tragiczną przeszłość.

Jego zasługi dla dialogu dawnych wrogów Berlin podsumował Krzyżem Wielkim Orderu Zasługi RFN, a Wiedeń - Wielką Złotą Odznaką Honorową za Zasługi dla Republiki Austrii. Uzasadnienia były krótkie: za pracę na rzecz pojednania między Polakami, Niemcami i Żydami.

Wytatuowany na przedramieniu obozowy numer 4427 uwiarygadniał jego sądy przedstawiane Niemcom i Austriakom. Trudne słowa adresowane do Polaków stawały się wiarygodne za sprawą dwukrotnego aresztowania i pięcioletniego pobytu w stalinowskim więzieniu. To burzyło małą stabilizację polskich sumień. Choć zakazano druku jego tekstów, odmawiano wydania paszportu, przeprowadzano regularnie rewizje w jego mieszkaniu, oczerniano go i obejmowano śledztwami prokuratorskimi, on szukał ludzi dotkniętych większą krzywdą. Głośno upominał się o ułaskawienie Stefana Niesiołowskiego, Andrzeja i Benedykta Czumów oraz innych członków organizacji „Ruch”.

Władysława Bartoszewskiego odznaczono wieloma orderami i odznaczeniami, wśród których dwa - przyznane za pomoc Żydom - zasługują na uwagę szczególną: Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, którym odznaczyła go Rada Państwa PRL w 1963 roku, oraz Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski przyznany mu przez prezydenta RP na uchodźstwie w 1986 roku.

Władysław Bartoszewski był autorem 50 książek i 1500 artykułów. Posiadał kilkanaście doktoratów honoris causa, w tym Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie, Hebrew College w Baltimore, uniwersytetów w Augsburgu i Marburgu oraz Uniwersytetu w Hajfie. Honorowe obywatelstwo przyznały mu Warszawa, Kraków, Gdynia, Wrocław, Opole, Gdańsk, Szczecin, Sopot, Dolny Śląsk oraz gminy Oświęcim i Baranów.

Oficer Armii Krajowej z Krzyżem Walecznych i Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami za udział w Powstaniu Warszawskim, organizator i pracownik Polskiego Państwa Podziemnego, uczestnik „Żegoty”, czyli Rady Pomocy Żydom, ambasador RP w Austrii, minister spraw zagranicznych, senator IV kadencji, sekretarz stanu w Kancelarii Premiera, jak również wieloletni przewodniczący Międzynarodowej Rady Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau oraz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa zasługuje nie tylko na nasze wspomnienie, lecz stosowanie przez nas jego moralnych rygorów. Władysław Bartoszewski chciał bowiem, byśmy pozostali wierni innej jego maksymie. A brzmiała ona: Warto być przyzwoitym!

Senat Rzeczypospolitej Polskiej składa hołd wielkiemu patriocie, uznając jego credo za istotne dla Polaków angażujących się w pracę na rzecz przyszłości demokratycznej Rzeczypospolitej.

Uchwała podlega ogłoszeniu w Dzienniku Urzędowym Rzeczypospolitej Polskiej „Monitor Polski”.

MARSZAŁEK SENATU

Tomasz GRODZKI



Portret z Krakowem w tle

TOMASZ FIAŁKOWSKI

**Nawet kiedy został szefem MSZ, Bartoszewski nie usunął swojego nazwiska ze stopki redakcyjnej „Tygodnika Powszechnego”.
Tłumaczył: „Widziałem w tym wyraz wzajemnego przywiązania, przyjaźni i szacunku”.**

Kwiecień 1943 r., Warszawa, księgarnia Arcta, Nowy Świat 35. Władysław Bartoszewski ma tu umówione spotkanie – „Ciotka”, czyli pisarka Zofia Kossak-Szczucka, kierująca Frontem Odrodzenia Polski, katolicką organizacją podziemną, poprosiła go, by zajął się „reprezentantem krakowskiego środowiska kulturalnego”. 21-letni Bartoszewski –

„Teofil” – jest już zaprzysiężony w Armii Krajowej, pracuje w Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej, a równocześnie wspiera autorkę „Krzyżowców” w jej działaniach.

„O wyznaczonej godzinie zjawił się niezbyt wysoki, przystojny, ciemnowłosy mężczyzna o przymrużonych, odrobinę skośnych oczach. Przekazałem mu stosowne wiadomości i odprowadziłem do

lokalu konspiracyjnego FOP... Nasza rozmowa trwała kilkanaście minut”. Upłyne sporo lat, by mogło dojść do kolejnej rozmowy, później za to będzie ich wiele. Bo przybyłem z Krakowa był Jerzy Turowicz, przyszły redaktor naczelny pisma, z którym Bartoszewski się zwiąże. I – jak po latach powie Krzysztof Kozłowski – będzie budował swoimi niezliczonymi tekstami jego wielkość.



Władysław Bartoszewski w redakcji „Tygodnika Powszechnego”. Po lewej ks. Adam Boniecki, po prawej Marek Zając. 12 lutego 2007 r.

znajduje się w rękach ludzi Bolesława Piaseckiego.

Dwa lata później, kiedy paksowski „Tygodnik” już nie istnieje, a władze dają prawowitym właścicielom tytułu zgodę na jego wskrzeszenie (pierwszy numer ukazuje się na Boże Narodzenie 1956 r.), Bartoszewski pracuje już w tygodniku „Stolica”. Przyjeżdża jednak do Krakowa z propozycją współpracy. Propozycja zostaje przyjęta, a w rocznicę wybuchu powstania warszawskiego w „Tygodniku” ukazuje się ogromny, zasadniczy artykuł „Sierpień i wrzesień Warszawy 1944” – pierwszy z wielu poświęconych przemilczanemu przez dekadę tematowi. „Władzio – wspominał Kozłowski – nie dość, że napisał świetny artykuł, ale też przy okazji zlikwidował cenzurkę... Wspominał mianowicie o radzieckim radiu »Wanda«, które pod koniec lipca 1944 r. zachęcało Warszawę do walki: »Ludu Warszawy, do broni!«. Cenzorze wydało się, że skoro radiostacja właściwa, a tekst wezwania patriotyczny, to należy puścić... Zanim się połapała – wyrzucono ją z pracy”. Ujawnienie cynizmu polityki Stalina nawet po Październiku okazało się niewybaczalne.

Zmarli

„Dość tego bepcłowego głędzenia! Lud czeka na rzut granatem wymowy i na prawdziwą ikrę. Chcemy Bartoszewskiego!!!”. Karteczkę tej treści – z dorysowanym sierpem, młotem i pięciorną gwiazdą – podsunął Bartoszewskiemu Kisiel, czyli Stefan Kisielewski, podczas dorocznego zebrania redaktorów i współpracowników „Tygodnika”, odbywającego się jesienią 1960 r. Głędzenie i nudzenie dotyczyło koegzystencji i dialogu, które wówczas, cztery lata po Październiku, coraz bardziej w Polsce kulały. Sprowokowany przez Kisielewskiego podjął więc próbę zdefiniowania tych pojęć, zadając na koniec fundamentalne pytanie: „Czy koegzystencja z komunistami ma się odbywać na kłęczkach, na siedząco czy na stojąco?”. Zapadła cisza...

Skutki rzutu granatem okazały się dalekosiężne. Sala była na podsłuchu, tekst wystąpienia trafił do Biura Prasę KC PZPR, autora wyrzucono z pracy w redak-

cji „Stolicy”. Gdy ta wiadomość dotarła na Wiślną, Krzysztof Kozłowski ruszył do Warszawy, by w imieniu Turowicza zaproponować Bartoszewskiemu stałą pracę w „Tygodniku”. Odtąd będzie nie tylko pisał, ale też organizował spotkania warszawskich współpracowników pisma w mieszkaniu Anieli Urbanowiczowej (*nota bene* – znów przy Nowym Świecie) i regularnie przyjeżdżał do Krakowa. Gdy dostanie wreszcie paszport – będzie przysyłał korespondencje z Izraela i Niemiec, mocno zresztą cenzurowane. Uruchomi też jedną z najpopularniejszych Tygodnikowych rubryk – prowadzoną anonimowo rubrykę „Zmarli”.

Tym, co Peerelu nie pamiętają, jej znaczenie trudno pewnie zrozumieć. Wtedy – stała się ważnym frontem walki o pamięć. Przemilczanie niewygodnych nazwisk albo fałszowanie życiorysów, a przez to fałszowanie obrazu przeszłości było stałym elementem strategii ówczesnej propagandy, nie wspominając już o tym, że nekrologi – jak wszystkie publikacje – pilnie cenzurowano. Jedni mieli w ogóle zniknąć, innym poprawiano biografię. W mistrzowsko, z chłodnym obiektywizmem redagowanej rubryce udawało się Bartoszewskiemu wiele przemycić, i dotyczyło to zarówno wrogów ustroju, jak i zdeklarowanych komunistów. Michał Komar, wtedy uczeń liceum, wspomina: „To był najciekawszy podręcznik dwudziestowiecznej historii Polski, jaki można było wtedy kupić, w dodatku za grosze...” [zob. tekst Michała Komara na s. 66 – red.]. Kronikarsko-dokumentalny styl zdominuje całe pisarstwo Bartoszewskiego.

Dodajmy dla równowagi, że ten ceniony autor, redaktor i współpracownik dosyć długo będzie czekał, aż jego nazwisko znajdzie się w stopce redakcyjnej. Stanie się to dopiero... w maju 1982 r., gdy Bartoszewski wyjdzie z obozu internowania w Jaworzu, a „Tygodnik” zacznie się znów ukazywać po kilkumiesięcznej przerwie.

Ten jest z ojczyzny mojej

Tematy? Powstanie warszawskie i w ogóle dzieje Polski pod okupacją niemiecką (to Bartoszewski upowszechni termin „Polskie Państwo Podziemne”). Współczesne Niemcy i Izrael. „Zmarli”. Co jeszcze? Współpracownik Zofii Kossak-Szczuckiej i działacz (jako „Ludwik”) Żegoty – Rady Pomocy Żydom, w numerze „Tygodnika” z 24 marca 1963 r. publikuje apel →

Droga na Wiślną

To jednak znacznie później. Na razie tylko jesienią 1945 r. krótka wizyta w redakcji nowo powstałego „Tygodnika Powszechnego” (wtedy Bartoszewski rozpoznał w Turowiczu wojennego gościa) i w numerze 17. z 1946 r. debiut na łamach – w dziale „Listy do redakcji”. I tyle, bo 15 listopada tegoż roku Bartoszewski zostaje aresztowany. „Po wyjściu z więzienia w kwietniu 1948 r. spędziłem sporo czasu na przeglądaniu roczników »Tygodnika«. Widać było, że mimo zaciskającej się śruby cenzury Turowicz i jego zespół stawiają opór”. Jesienią 1949 r. trafia ponownie do więzienia, tym razem na pięć lat. O lekturze „Tygodnika” nie ma oczywiście mowy, nawet wiadomość o jego zamknięciu i przejściu przez PAX dociera z opóźnieniem, a w sierpniu 1954 r., kiedy „Teofil” wychodzi na wolność, pismo nadal

→ o nadsyłanie wspomnień i dokumentów związanych z pomocą, jakiej Polacy udzielali podczas wojny Żydom. Akcja „Ten jest z ojczyzny mojej” – cytat z wiersza Antoniego Słonimskiego – choć nie wspierana wcale przez władze, spotyka się z niezwykłym odzewem i w kraju, i na emigracji (apel przedrukowała „Kultura” Jerzego Giedroycia).

Zebrane w ten sposób materiały – część z nich publikował sukcesywnie „Tygodnik” – złożyły się na książkę wydaną w 1967 r. nakładem Znak. Późno, bo blokowała ją zarówno cenzura, jak i szefowa Departamentu Książki Ministerstwa Kultury (nazwisko zmilczmy). Współredaktorką była Zofia Lewinówna – po kądzieli wnuczka rabina, córka majora Wojska Polskiego rozstrzelanego w Palmirach, uratowana przez rodziny Krahelskich i Lipskich, katoliczka więziona po wojnie za udział w nielegalnej Sodalicii Mariańskiej...

Rok 1963 to także pierwsza podróż zagraniczna Bartoszewskiego – do Izraela, na zaproszenie instytutu Yad Vashem. I reportaż z tego kraju w „Tygodniku”, bacznie obserwowane przez cenzurę. Potem Wiedeń. Podczas tej podróży Bartoszewski nawiązuje kontakt, który wkrótce zmieni się we współpracę, z Rozgłośnią Polską Radia Wolna Europa. Odbiorcą informacji jest Tadeusz Żenczykowski, którego zna z czasów wojny. W 1970 r. SB, świadome tej współpracy, ale niemające na nią dowodów, wszczyna wielką operację.

„Byłem u Władka B. – notuje Stefan Kisielewski 3 listopada 1970 r. – na gruzach jego biblioteki. Rewizję zrobiono mu 27-godzinną, zabrano z 700 kilogramów książek i to często zupełnie niewinnych... Był wielokrotnie przesłuchiwany, aresztowano też kilka osób, chodzi o Wolną Europę”. Postawiono mu zarzut prokuratorski, do procesu jednak nie doszło i sprawa została umorzona, ale objęto go zakazem druku. A „Tygodnik”? Bartoszewski zasygnalizował wcześniej aluzyjnie Kozłowskiemu, czym się zajmuje. „Jeśli zdarzy się, że mnie oskarżą o kontakty z Wolną Europą, a to może się zdarzyć, i jeśli w związku z tym będą chcieli zrobić jakąś prowokację przeciw »Tygodnikowi« – mówcie, że was to nie obchodzi. A jeśli powiedzą, że są jakieś zeznania – mówcie, że to kłamstwo, że nie wierzycie. A jeśli przedstawią dowody, to powinniście mnie potępić”. „Tygodnik” nadal jednak

drukował „Zmarłych” (przypominam – była to rubryka anonimowa) i nadal wypłacał Bartoszewskiemu uposażenie.

Pismo i jego ludzie

„Coraz bardziej zacieśniały się moje serdeczne relacje z ludźmi Tygodnika: Ziutą Hennełową, ks. Andrzejem Bardeckim, Mietkiem Pszonem, Markiem Skwarnickim. Wiedziałem, że mam do czynienia z ludźmi absolutnej lojalności”. Szczególnie wiele łączyło go z Pszonem, ostatnim Delegatem Rządu RP na województwo krakowskie, który także spędził kilka lat w stalinowskim więzieniu, a przez pół roku czekał na wykonanie wyroku śmierci... Mieli podobny dystans do własnej martyrologii, podobne, nieco zgryźliwe poczucie humoru. No i przekonanie o konieczności budowania dobrych stosunków z Niemcami. Pszon, przedwojenny endek, nie tylko w tej kwestii radykalnie zmienił poglądy. Przez lata utrzymywał kontakty z ludźmi z obu państw niemieckich, a pod koniec życia dane mu było, podobnie jak Bartoszewskiemu, zając się tym tematem na szczeblu państwowym – jako wysłannik premiera Mazowieckiego przygotowywał z Horstem Teltschikiem przełomową wizytę kanclerza Kohla w Polsce.

Bartoszewski był także blisko ze Stefanem Kisielewskim – jest jedną z niewielu osób, których Kisiel nie obsmarował w swoich dziennikach. Rzecz o tyle osobliwa, że w jednej, bardzo ważnej kwestii różnili się fundamentalnie – w kwestii oceny powstania warszawskiego. „Zniszczyłeś Warszawę przez to powstanie!” – krzyczał Kisiel, a Bartoszewski się odgryzał: „A ty siedłeś, żeby przy tym przygrywać, ale trafiło cię w pośladek i nie mogłeś!”. Istotnie bowiem, zgodnie z przydziałem mobilizacyjnym Kisielewski miał działać w Polskim Radiu, ale zamiast tego od 1 sierpnia leżał na brzuchu w polowym szpitalu w kościele wizytek, a potem z innymi rannymi został ewakuowany...

Kraków Władysława Bartoszewskiego nie ograniczał się tylko do redakcji na Wiślniej, a Turowicz, Kozłowski i Pszon nie byli tu jedynymi jego ludźmi najwyższego zaufania. Związana od początku z „Tygodnikiem” Hanna Malewska, autorka znakomitych powieści historycznych („Żelazna korona”, „Przemija postać świata”, „Panowie Leszczyńscy”), współtwórczyni i redaktorka miesięcznika „Znak”, miała za sobą piękną kartę oku-

pacyjną. „Była mianowicie – cytuję precyzyjnego jak zwykle Bartoszewskiego – w stopniu kapitana kierowniczką Biura Szyfrów Zagranicznych w Wydziale Łączności Konspiracyjnej Oddziału V (Dowodzenia i Łączności) Komendy Głównej AK”. Uczestniczyła w powstaniu warszawskim, więc teksty autora „1859 dni Warszawy” szczególnie ją poruszały.

Łączyło ich coś jeszcze. Malewska, absolwentka historii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, w połowie lat 30. spędziła rok na praktyce w warszawskim Gimnazjum im. św. Stanisława Kostki, do którego uczęszczał Bartoszewski. Dobrze zapamiętała przystojną, miedzianowłosą młodą kobietę, budzącą poruszenie wśród uczniów (gimnazjum było męskie). Tym bardziej że czytał już jej „Wiosnę grecką”, powieść o sportowej młodości Platona. Kiedy przypominał się autorce w 1957 r., usłyszał: „Nosił pan już wtedy okulary? A więc to pan był tym nieznosnym ludzikiem, który przeszkadzał na lekcjach, wciąż zgłaszał się do odpowiedzi i zadawał podchwytliwe pytania!”.

Pod koniec życia Hanny Malewskiej (zmarła w 1983 r.) często ją odwiedzałem. Byłem też u niej zaraz po wprowadzeniu stanu wojennego. Opowiadałem, co się dzieje w „Znaku”, gdzie już wtedy pracowałem, i w „Tygodniku” – oba pisma oczywiście zawieszono, ale lokali redakcyjnych nie zamknięto i służyły za nieformalne punkty informacyjne, więc od rana się w nich kłębiło. Dodałem, że nikogo z obu redakcji dotąd nie internowano, myśląc oczywiście o Krakowie.

– Jak to – zachnęła się pani Hanna – a Bartoszewski?...

Mieszkanie przy Grodzkiej

Najważniejszym krakowskim adresem była dla Władysława Bartoszewskiego Grodzka 40 – mieszkanie Kazimierza Ostrowskiego. Doktor praw, prowadzący od 1934 r. kancelarię adwokacką, działacz Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej, od pierwszych dni niemieckiej okupacji włączył się w konspirację. Zagrożony aresztowaniem, przeniósł się w 1942 r. do Warszawy, wszedł w skład Biura Informacji i Propagandy KG AK – kierował podwydziałem do spraw badania postawy politycznej społeczeństwa i referatem prasowym. No i został bezpośrednim zwierzchnikiem „Teofila”.

7 października 1944 r. obaj znaleźli się w grupie, która pod przewodnictwem



Debata z okazji 85. urodzin Władysława Bartoszewskiego „Być Polakiem, być Europejczykiem”. Kraków, 12 lutego 2007 r.

Kazimierza Moczarskiego, nowego szefa BIP-u, ewakuowała się z Warszawy do Pruszkowa jako „ekipa sanitarna Czerwonego Krzyża”. Potem dalsza podróż, w końcu Kraków. Już tylko we dwóch doszli do rogu Poselskiej i Grodzkiej. Ostrowski kazał podwładnemu poczekać. „Po paru minutach – wspominał – grzecznie dygnęła przede mną dziesięcioletnia dziewczynka: Tatusi kazał pana zaprosić na górę”. Dziewczynka to w przyszłości mecenas Jolanta Ostrowska-Jaźwiecka. A na górze powitała Bartoszewskiego pani domu: „Pan u nas zostanie”...

Podległość służbowa zmieniła się w przyjaźń, choć w kontaktach byli powściągliwi – instynkt konspiracyjny po wojnie nadal był niezbędny. „Unikaliśmy rozmów telefonicznych, unikaliśmy pisanie listów”. Ostrowski wrócił do adwokatury. Wcześniej głównie cywilista, zwrócił się ku karnistyce i występował w procesach politycznych, także w sądach wojсковych – w okresie stalinowskim, ale i w stanie wojennym. Sprawę przyjaciela oskarżonego o działalność szpiegowską obserwował „z drugiej linii”, ale kiedy chory na gruźlicę Bartoszewski został w sierpniu 1954 r. czasowo zwolniony (do więzienia na szczęście nie wrócił), Ostrowski natychmiast sprowadził go do siebie i tego samego jeszcze dnia wysłał do domu wypoczynkowego w Zakopanem. Przyjaźń trwała do śmierci Ostrow-

skiego w 1999 r.; cztery lata wcześniej Bartoszewski wręczył mu w imieniu prezydenta Lecha Wałęsy Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Polonia Restituta. A w aktach IPN pozostały dziesiątki stron ubeckich rozważań na temat ich złowrogiej roli i wzajemnego złowrogię na siebie oddziaływania...

Wspomnianą zakopiańską kurację w 1954 r. załatwił „Teofilowi” inny starszy kolega z BIP-u, prawnik Adam Dobrowolski, również krakowianin, a część kosztów wzięła na siebie Jadwiga Beaupré – kolejna niezwykła postać, o której trudno nie wspomnieć, pisząc o „Krakowie Bartoszewskiego”. Córka Zygmunta Klemensiewicza, lekarza i działacza PPS, a potem BBWR, ukończyła w latach 30. studia medyczne ze stopniem doktora. Podczas wojny, po aresztowaniu męża, który zginął w Auschwitz, przeniosła się do Warszawy. Była oficerem Armii Krajowej w randze kapitana, prowadziła sekretariat szefa sztabu Komendy Głównej gen. Tadeusza Pełczyńskiego. Bartoszewski poznał ją właśnie wtedy – jako „Malinę”. Brała udział w powstaniu, potem była lekarzem w obozach jenieckich, w 1945 r. wróciła do Krakowa. Specjalizowała się w ginekologii i położnictwie. Zapalona społeczniczka, w budowaniej dopiero Nowej Hucie uruchomiła pierwszą w Małopolsce Poradnię Świadomego Macierzyństwa, stworzyła też szkołę rodzenia. Dla Bartoszewskiego

pozostała zawsze osobą najwyższego zaufania, a jej rekomendacja u generała Pełczyńskiego pomogła mu w londyńskich poszukiwaniach archiwalnych.

Rozmowy z Lemem

I jeszcze jeden krakowski przyjaciel Władysława Bartoszewskiego – Stanisław Lem. Przyjaźń nietypowa, bo późna, zrodziła się w Berlinie jesienią 1982 r., gdzie obaj znaleźli się na stypendium Wissenschaftskolleg, w towarzystwie innych wybitnych gości, jak węgierski pisarz dysydent György Konrád, francuski mediewista Philippe Ariès czy prawnik Axel von dem Bussche, przyjaciel Klausa von Stauffenberga. „Zgadaliśmy się ze Staszkiem bardzo szybko” – wspominał Bartoszewski. Tematów było wiele, począwszy od matury, którą zdawali w 1939 r. tego samego dnia – 12 maja, poprzez przeżycia wojenne, aż po gorące (czy raczej zimne) aktualia. Rankiem 10 listopada umarł bowiem Breżniew, co Bartoszewski z Konrádem oblewali mimo wczesnej pory pałką, Lem natomiast przestrzegał: „Być może będziemy jeszcze płakać z żalu po wielkim humaniście”. No i po dwóch dniach nowym gensekiem został były szef KGB – na szczęście i on niespodziewanie szybko przeniósł się na tamten świat.

Przyjaźń Zofii i Władysława Bartoszewskich z Barbarą i Stanisławem Lemami mogła się dalej rozwijać: Bartoszewski →

→ wykładał na bawarskich uniwersytetach w Monachium, Augsburgu i Eichstätt, Lemowie zaś zamieszkali na kilka lat w Wiedniu. „Odjeżdżaliśmy ich tam – mówił potem Bartoszewski – i za każdym razem rozmowa toczyła się tak, jakbyśmy rozstali się przed chwilą. Stopień zaufania między nami był taki, że gdy Lemowie wyjeżdżali z Wiednia, po prostu dawali nam klucze do swego mieszkania”.

Potem Lemowie wrócili do Krakowa, za to Bartoszewski przeniósł się na dłużej do Wiednia, bowiem w 1990 r. mianowano go ambasadorem RP w Austrii. Jego współpracowniczką została zaprzyjaźniona z Lemami poetka Ewa Lipska... Z tego przyjacielskiego pięciokąta (właściwie sześciokąta, bo wliczyć trzeba syna Lemów, Tomasza) pozostały listy, zdjęcia i anegdoty. Wcześniejsze berlińskie rozmowy panów Władysława i Stanisława zaowocowały natomiast książką. Lem, wysłuchawszy relacji Bartoszewskiego o warszawskim getcie, namówił go na jej spisanie po niemiecku, a niemieckiego wydawcę – znakomitego, bo to S. Fischer Verlag – który chciał od autora „Solaris” wydobyć nową powieść, przekonał do wydania tej relacji, obiecując swój wstęp. I wstęp napisał, choć go Bartoszewskiemu nie pokazał przed drukiem...

Węższa ojczyzna

Nic tu jeszcze nie było o Bartoszewskim na Wiślniej, oddam więc głos Krzysztofowi Kozłowskiemu: „Gdy wpadał do »Tygodnika«, robił ogromne zamieszanie, dostarczał wielką ilość informacji, przypominał, szturchał i przy tym okropnie krzyczał, że nie zrobiliśmy jeszcze tego, a moglibyśmy to a tamto. Kopaliśmy w tyłek i zmuszał do roboty”. Ja pamiętam już lata 90. i Bartoszewskiego ambasadora, senatora i ministra. Może więc nie było „kopania w tyłek”, ale zamieszanie na pewno i jakiś powiew niebywalej energii. „Dziewczęta!” – wołał do naszych sekretarek, oblicza Kasi Morstin i Teresy Skoczynskiej krasniały, a Krzysz Burnetko mruczał pod nosem: „No tak, łączniczki...”.

Czasem mitygowała go pani Zofia, osoba mocnego charakteru i skuteczna w chronieniu męża przed światem i przed nim samym. Pamiętam z lat 90., chyba z czasu, gdy Bartoszewski powtór-

■ Był jedną z niewielu osób, których Kisiel nie obsmarował w dziennikach. Rzecz o tyle osobliwa, że różnili się fundamentalnie w kwestii oceny powstania warszawskiego.

nie został ministrem spraw zagranicznych, taki oto moment. Zamykaliśmy już wydanie, a bardzo potrzebowaliśmy jego komentarza – niestety zbliżała się jedenasta wieczorem. Wybrałem domowy numer Bartoszewskich – z drżącym sercem, bo przecież wiedziałem, że to pani Zofia odbierze. Usłyszałem chłodne: „Słucham?”. Troszkę się jękając przedstawiłem się, wyjaśniłem, o co chodzi, i zapytałem, czy pan Władysław jest w domu. Po drugiej stronie długa cisza, a potem odpowiedź: „Dla pana – jest”. To była naprawdę chwila czegoś w rodzaju dumy...

Kiedy Bartoszewski objął ambasadę w Wiedniu, poprosił oficjalnie ministra Skubiszewskiego o zgodę na to, by mógł pozostać w stopce „Tygodnika”. Kiedy sam został szefem MSZ, również nie usunął nazwiska ze stopki. „Było to już nietypowe – mówił – członek rządu nie powinien przecież być zarazem w zespole jakiejś gazety. Ale widziałem w tym wyraz wzajemnego przywiązania, przyjaźni i szacunku”.

W lutym 2007 r. kończył 85 lat. Jego jubileusz czcili także „Tygodnik”. Poproszony o wypowiedź przez Kubę Gałęziowskiego jubilat powiedział: „Do dziś należę do ludzi »Tygodnika«. To pismo to taka moja węższa ojczyzna”.

Minęło kilka miesięcy i przyszła katastrofa. Do zreformowania „Tygodnika” (reformy były, podkreślam, niezbędne) wynajęto dotychczasowego naczelnego poznańskiego oddziału „Wyborczej”. Reformator zażądał tytułu „pierwszego zastępcy naczelnego”, po czym zaczął konsekwentnie ignorować i obrażać jednego z dwojga dotychczasowych wicenaczelników – Krzysztofa Kozłowskiego. I nastąpił klasyczny efekt kuli śnieżnej.

W szczególności nie chcę się wdawać, podkreślam jednak, że moim zdaniem gwałtowna reakcja Władysława Bartoszewskiego, podobnie jak rezygnacja Andrzeja Wajdy i Krystyny Zachwatowicz z przyjęcia Medalu Świętego Jerzego, nie były odpowiednią na głupie i nieśmieszne felietony, które kilka lat wcześniej umieszcila w „Gazecie Polskiej” zatrudniona właśnie w „Tygodniku” reporterka, ale wyrazem solidarności z Kozłowskim, który o przyjęciu tejże dziennikarki dowiedział się podczas zebrania redakcyjnego i między innymi z tego powodu zrezygnował ze swojej funkcji.

Bartoszewski, a także Marcin Król zerwali z „Tygodnikiem” (pierwszy współpracował z nim dokładnie pół wieku, drugi tylko [?] niespełna 40 lat). Obaj już nie żyją, podobnie jak Kozłowski. Reformator z Poznania stosunkowo szybko zniknął z naszego horyzontu, a po roku 2015 odnalazł się, nieźle urządzony, w PiS-owskim świecie zreformowanej kultury. Pozostał smutek, że stało się tak, jak wcale nie musiało się stać.

A Władysław Bartoszewski ze swoją nieprawdopodobną energią do ostatniego dnia życia pracował. I publikował kolejne książki: rozmowy z Andrzejem Friszke, dwa tomy rozmów z Michałem Komarem i w oparciu o nagrania Komara kolejne zbiory portretów ważnych dla Bartoszewskiego postaci, dokumentację jego wypowiedzi na tematy żydowskie i na temat relacji z Niemcami, rzecz o PEN Clubie, „Dziennik z internowania”, wznowienie dawnych prac... Jakby chciał do końca spożytkować swoją fenomenalną wiedzę i pamięć.

Otrzymując kolejne tomy, byłem nimi trochę przytłoczony – to w końcu spora półka! Teraz jednak, kiedy przeglądam ich zawartość, rośnie mój podziw. To przecież praca ocalająca czyjeś istnienie, a choćby tylko czyjeś imiona albo pseudonimy. Czy może być coś ważniejszego?

©/® TOMASZ FIAŁKOWSKI

Korzystałem z licznych książek Władysława Bartoszewskiego, a także z „Dzienników” Stefana Kisielewskiego, z rozmów Michała Komara z Krzysztofem Kozłowskim („Historia z konsekwencjami”) i z artykułu Jakuba Gałęziowskiego („TP” nr 7 / 2007).



WOJTEK JAKUBOWSKI / KFP

W roku 2007 Władysław Bartoszewski otrzymał honorowe obywatelstwo Sopotu z rąk prezydenta Jacka Karnowskiego. Laudację wygłosił wówczas Aleksander Hall, który podkreślił, że „Bartoszewski to człowiek pojednania polsko-niemieckiego, a także osoba, która ma być może największe zasługi dla przełamywania barier w stosunkach polsko-izraelskich”.

Honorowy obywatel

Wielki człowiek, patriota, żołnierz AK, więzień Auschwitz, Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, mąż stanu, niepokorny inteligent – w tym roku obchodzimy 100. rocznicę urodzin Władysława Bartoszewskiego. Jak pamiętają go przyjaciele z miasta, w którym lubił bywać i którego był honorowym obywatelem?

– Dla Bartoszewskiego Sopot był czymś więcej niż tylko ulubionym miejscem wypoczynku. Czuł się tu u siebie – wspomina Jacek Taylor, prawnik, przyjaciel Profesora. – Przez wiele lat przyjeżdżał z żoną każdej wiosny, zawsze na dwa tygodnie. W tym czasie miał zwykle umówionych wiele spotkań, w trójmiejskich księgarniach podpisywał książki, ale przede wszystkim spotykał się z przyjaciółmi. Miał ich w Sopocie bardzo wielu i był z nimi emocjonalnie związany. Przyjemnie było widzieć, jak na spokojnych ulicach większość przechodniów kłania się naszemu Profesorowi. Było oczywiste, że traktowali go jak swego.

Związki z naszym miastem zapoczątkowała znajomość z sopocianinem Bogdanem Borusewiczem, który poznał Bartoszewskiego w czasie, gdy studiował historię na KUL-u. Słuchacze znali heroiczną przeszłość swojego wykładowcy, był dla nich wzorem. Borusewicz po studiach wrócił do Sopotu i został jednym z czołowych uczestników tzw. opozycji

przedsiębiorczej, a potem zainicjował i zorganizował strajk w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 r. Profesor był dumny ze swojego byłego studenta. Kiedy w 2005 r. na Uniwersytecie Gdańskim odbywała się uroczystość nadania Władysławowi Bartoszewskiemu honorowego doktoratu tej uczelni, jednym z mówców był marszałek Senatu Bogdan Borusewicz. Powiedział wówczas, że to Bartoszewski nauczył go patriotyzmu. Wszyscy uczestnicy uroczystości zobaczyli, jak Profesor się wzruszył. Dwa lata później Rada Miasta nadała mu tytuł Honorowego Obywatela Sopotu, w lipcu 2020 r. stanął tu jego pomnik.

– Na coroczny przyjazd Władysława Bartoszewskiego w okresie wielkanocnym czekaliśmy jak na świeży powiew wiosny – opowiada Jacek Karnowski, prezydent Sopotu. – Przyjeżdżał z żoną Zofią pociągiem, z którego zawsze odbierał go przyjaciel, mecenas Jacek Taylor. Czasami miałem zaszczyt im towarzyszyć i obserwować, jak zbiegał ulicą Bohaterów Monte Casino w dół, w kierunku Domu ZAiKS-u na przeciwko Grand Hotelu, gdzie zwykle się zatrzymywał. Miał zawsze mnóstwo umówionych spotkań, nie tylko z czytelnikami, w księgarni na „Monciaku”, ale również z ważnymi politykami. Niezmiernie denerwowało to żonę, która była pełna obaw

o jego zdrowie. Z drugiej strony wszyscy czekali na te spotkania i słuchali go z wielkim przejęciem i uwagą. A Profesor mówił, z reguły bardzo dużo, ze swadą i bardzo ciekawie.

– Nigdy też nie zapomnę wizyt Władysława Bartoszewskiego w Urzędzie Miasta i jego spotkań, tych bardziej i mniej oficjalnych, z pracownikami – dodaje Jacek Karnowski. – Robił wielkie wrażenie na urzędnikach, szczególnie młodych, dla których już po pierwszym spotkaniu stawał się autorytetem. Wspaniale się go słuchało, mówił niezwykle zajmująco. Kiedyś, z pewnym wahaniem, zabrałem moje, wówczas nastoletnie dzieci na spotkanie z Profesorem. Słuchały go z otwartymi ustami, przez ponad półtorej godziny. Mój podziw zawsze budziła jego umiejętność współpracy. Potrafił współpracować z Lechem Wałęsą, Aleksandrem Kwaśniewskim czy Lechem Kaczyńskim. Zawsze opowiadał o tym z humorem i szacunkiem. Był mężem stanu i prawdziwym autorytetem moralnym ówczesnej polskiej polityki, który osobiście doświadczył tragicznych przeżyć w czasach wojny i komunizmu. I mimo tych doświadczeń nie było w nim żadnej nienawiści. Był przecież jednym z pionierów polsko-niemieckiego pojednania. Nigdy nie zapomnę, że poręczył za mnie w trudnych chwilach, podczas mojej rozprawy aresztowej. Ujął się za mną jako jedyny członek ówczesnego rządu. Pamiętam też nasze ostatnie pożegnanie w Sopocie, przed budynkiem ZAiKS-u. To był jedyny raz, kiedy nie miał prawie spotkań, bo opiekował się mocno schorowaną żoną, o którą bardzo się martwił. Wsiadł wówczas energicznie do samochodu, którym wracali, bo żona nie była już w stanie podróżować pociągiem. Był jak zwykle pełen wigoru i nic nie wskazywało na to, że odejdzie parę dni później... ©

Koncert i debata z okazji 100. rocznicy urodzin Władysława Bartoszewskiego odbędą się 24 kwietnia w sali Columbus hotelu Sheraton w Sopocie. Debatę pt. „Na ramionach olbrzymów. O roli władz we współczesnej demokracji. Pamięci Władysława Bartoszewskiego” zaplanowano na godz. 16.00, koncert rozpocznie się o godz. 18.00. Wystąpi Polska Filharmonia Kameralna Sopot pod dyktando Wojciecha Rajskiego oraz skrzypaczka Paula Preuss. Bilety można kupić na stronie www.pfksopot.pl.

Jak nie zostać emerytem

WŁADYSŁAW BARTOSZEWSKI:

Ja nie pouczam. Mówię, co myślę, ale nie narzucam się z radami. Bardzo się cieszę, jeśli mogę coś komuś załatwić, w czymś pomóc. Sprawia mi wielką frajdę, że jeszcze coś mogę.

KS. ADAM BONIECKI: Ma Pan szczęście, że nie jest Pan kardynałem, bo w tym wieku [rozmowa ukazała się w specjalnym dodatku do „Tygodnika” nr 7/2007, wydanym na 85. urodziny Władysława Bartoszewskiego – red.] byłby Pan już out: od pięciu lat nie miałby Pan prawa do udziału w konklawe. A gdyby był Pan biskupem, już od 10 lat byłby Pan seniozem, czyli emerytem. No, papieżem mógłby Pan być zawsze, nawet jako emeryt. Jak Pan to robi, Panie Władysławie, że wciąż nie jest Pan emerytem?

WŁADYSŁAW BARTOSZEWSKI: Wiem, co to znaczy emeryt. Wyrastałem w środowisku urzędniczym, a tam wiek emerytalny to było wycofanie się z życia. U mnie wszystko stanęło na głowie. Pierwszą podróż zagraniczną odbyłem, dzięki środowisku „Tygodnika Powszechnego”, gdy miałem 41 lat. Pierwszy raz objąłem stanowisko państwowe, mając lat 68. Ministrem zostałem, mając lat 73, a senatorem – 75. Potem drugi raz ministrem – w wieku lat 78. Przestałem nim być cztery miesiące przed ukończeniem osiemdziesiątki. A mój ojciec poszedł na emeryturę mając lat 70, bo przedłużyli mu ze względu na fachowe kompetencje. I zaczął prawie natychmiast gasnąć, potem dostał wylewu. Umarł w wieku 75 lat. A ja w tym wieku zaczynałem się rozwijać.

Z perspektywy długiego życia, jak Pan ocenia marzenia 12-letniego Władka, który w gazetce szkolnej pisał, że chce być geografem, a jeśli się nie uda, to przyrodnikiem, a jak nie przyrodnikiem, to reportażystą? Świat mnie interesował i ludzie. Ludzie bardziej nawet niż świat.

I dlatego, powiedział dwunastolatek, uczę się języków obcych.

Te marzenia się z grubszą spełniły. W tych deklaracjach był głód, ciekawość

świata. Może nie świata w dzisiejszym rozumieniu, w sensie chęci wyjazdu za granicę. Mnie interesowała różnorodność, różnorodni ludzie. Może dlatego, że z woli mojej matki zostałem oddany do szkoły katolickiej, która była aż tak wyznaniowa, że nie przyjmowano nawet uczniów innych wyznań chrześcijańskich. Do matury byłem uczniem katolickiego gimnazjum, potem liceum. Moich kolegów z gimnazjum już przy życiu nie ma, z liceum żyje Andrzej Grzegorz [logik, matematyk, filozof, zm. 2014 – red.], który był klasę niżej ode mnie.

Kawał czasu. A Pan się nie czuje emerytem. Jak się to robi?

Wiele o tym myślałem w ostatnich latach, bo żyję rzeczywiście długo i to bez mojej najmniejszej zasługi, np. bez starań o zdrowie. W życiu nie byłem w sanatorium, nie chorowałem ciężko, poza chorobami spowodowanymi więzieniami, więc wywołanymi sztucznie. Na moje życie, na ukierunkowanie myślowe, w ogóle na motywację i działanie decydujący wpływ wywarły dwa zespoły faktów: oddziaływanie szkół, do których uczęszczałem i gdzie napotkałem kilku ważnych dla mnie ludzi. Do gimnazjum i liceum chodziłem w latach 30., w 1939 r. zrobiłem maturę. To zostało.

Po 70 latach?

Jan Paweł II, chyba jako jedyny z naszych biskupów, przy różnych okazjach opowiadał o szkole, o nauczycielach. Chętnie o tym mówił, bo widocznie to odgrywało w jego życiu ważną rolę.

Ale mówmy o Bartoszewskim.

A drugi czynnik to wojna. Gdyby nie wojna, byłbym innym człowiekiem. Nie wiem, czy gorszym, jeden Bóg to wie. Ale innym. Wojna spowodowała mnie do podejmowania różnych decyzji, których jako syn urzędnika, niezłe sytuowanego, bo bankowego, na pewno nie musiałbym podejmować. Wziąłem sobie do

serca, że to było wolą Bożą. Mówię poważnie, a uświadomił mi to kapłan, u którego się spowiadałem po wyjściu z kacetu Auschwitz: ks. Jan Zieja. Wtedy czterdziestoparoletni, o ascetycznym wyglądzie, wydał mi się stary. Miałem 19 lat. Ksiądz Zieja powiedział mi wtedy mniej więcej tak: „Nie po to wyszedłeś z obozu, żeby cieszyć się życiem. Czy uważasz, że jest wszystko w porządku? Była wola Boża, żebyś poznał sprawy, to teraz będziesz świadkiem. Masz dawać świadectwo i pomagać ludziom”. Krótko mówiąc, zadecydowała wojna, wybory wojenne. Gdyby nie wojna, to nigdy bym się nie spowiadał u księdza Zieja. Gdyby nie wojna, nie poznałbym pisarki Zofii Kossak i nie został jej sekretarzem.

A więc zewnętrzne okoliczności?

Cóż, jest Pan, wbrew pozorom, człowiekiem skrytym. Godzinami może Pan opowiadać o wydarzeniach, w których brał Pan udział, o spotkaniach z ludźmi itd. Ale wydestylować z tego, co z Pana za człowiek, to nie takie proste.

Proszę nie zapominać, że jestem „urodzony w niewoli, okuty w powiciu”. Nie dosłownie, bo urodziłem się w wolnej Polsce. Ale dojrzałość osiągałem już nie w wolnej. Mając lat 17, przeżyłem wejście Niemców do Warszawy, do mojej Warszawy, a mając 18 – byłem w kacie. Tak więc wprawdzie nie urodzony w niewoli, ale uformowany w niewoli i okuty dość wcześniej, chociaż nie w powiciu. Życie mnie nauczyło, że im mniej powiesz z tego, czego mówić nie powinienes, tym zdrowiej dla ciebie samego i dla wszystkich dookoła.

Chciałbym jednak coś z głębszych Pana pokładów wyciągnąć. Wiadomo, że jednych do działania napędza pycha, innych chęć dorobienia się albo, powiedzmy, wyjścia z biedy, jeszcze innych pragnienie władzy, rządzenia, a innych po



ANNA KACZMARZ / DZIENNIK POLSKI / REPORTER

Debata z okazji 85. urodzin prof. Władysława Bartoszewskiego „Być Polakiem, być Europejczykiem”. Kraków, 12 lutego 2007 r.

prostu ambicja. Wszystkie te motywacje jakoś do Pana nie pasują. Co więc jest Pana siłą napędową?

Bardzo lubiłem być uhonorowany. Ja, człowiek całkowicie niewojenny, bez żadnego zamiaru bycia oficerem, kończyłem wojnę jako officer AK, z Krzyżem Walecznych, ciesząc się zaufaniem przełożonych, którzy angażowali mnie do ważnych prac w konspiracji. Na miły Bóg, komu potem coś takiego było dane? Po tysiąc razy dziękuję więc Bogu za wszystko to, co mi dane zostało, co mi się udało zrobić. O nic się nie ubiegam i się nie ubiegałem. Wszyscy wiedzą, że gdy w nowej Polsce był wyścig w 1989 i 1990 r. do tego i owego, to Mazowiecki mnie zmusił do bycia ambasadorem w Wiedniu. Pomyślałem: znam wiedeńskiego kard. Franza Königa, znam Szymona Wiesenthala, który w Wiedniu miał Centrum Dokumentacji zbrodni, to chyba dam sobie radę. Powiedziałem Mazowieckiemu: „Tadeuszu, ale ja tego nie umiem”. A on na to: „Ja też tego nie umiem”. Dziś mogę być idealnie nieprzekupnym, bo niczego nie potrzebuję. Byłem dwa razy ministrem, byłem senatorem. Mieszkamy w tym mieszkaniu w Warszawie już

czterdziesty rok. Mam poczucie, że ludzie patrzą i mówią: głupi to on jest, ale nie złodziej. Mieszka, jak mieszka, samochodu nie ma.

Znamy Bartoszewskiego pełnego zapału, werwy, zawsze czynnego. Czy jednak nie zdarzają się momenty zniechęcenia? Czy nie natchodzą Pana myśli w rodzaju: czy było warto się tak szarpać? Np. w takich sytuacjach jak w 1996 r., kiedy po przyznaniu Panu przez biskupa Essen nagrody im. Heinricha Braunsza kilku dawnych Pana kolegów z KUL napisało do hierarchy list, kwestionujący zarówno uzasadnienie nagrody, jak i to, co Pan zrobił dla zbliżenia niemiecko-polskiego, i właściwie kwestionujący także Pana osobiście. Co Pan czuje, gdy się Pan spotyka z zawiścią? Co Pan czuje widząc, że to, co Pan długo budował, inni beztrząsco niszczą? Czy Pana nigdy nie ogarnia zniechęcenie?

Przyznam, że mi to nigdy nie przyszło do głowy. Jeśli Bóg dopuścił, aby wśród dwunastu apostołów był Judasz, czyli 8 procent tego grona, to widocz-

nie wśród ludzi może być 8 procent łajdaków. Czy się zawiodłem? Jeśli w tym miejscu, w którym się wszystko zaczęło, było te 8 procent, to dlaczego tak bardzo mam się przejmować tym, że skażenie mnie dotyka? Czy zasłużyłem na te przykrości? Może tak, może komuś dojechałem... Trudno, tak ma być. Można mnie wygwizdać, można umieścić na afiszu, jak to było w Koszalinie, umieścić w spisie Żydów, którzy muszą opuścić Polskę... Co ja miałem zrobić, kiedy senator Ceberek napisał, że mnie z Auschwitz zwolniło Gestapo, żebym dla Niemców pracował? Miałem podać go do sądu? Ksiądz arcybiskup Życiński podjął nawet korespondencję z księdzem Ceberkiem, synem senatora, żeby jakoś wpłynął na ojca, który zrobił krzywdę człowiekowi. Ale się z nim nie dogadał. Są zjadłości, są przykrości. Ale jak mi arcybiskup Życiński opowiada, że dostaje anonimowe adresowane „Żydziński”, to widzę, że to normalka.

To jest przykre?

Trochę. Ale kiedy się popatrzy, jak ludzie żyją, jak by chcieli, żeby było lepiej, żeby ich dzieci żyły lepiej, to można wiele zrozumieć. Wybierają kogoś, kto im obiecuje, a potem frustracja. To jest ten, żyjący po dziś dzień, *homo sovieticus*, to są skutki zła, o czym pisze Jan Paweł II w książce „Pamięć i tożsamość” w rozdziale „Ideologie zła”. Nikt jeszcze nie doświadczył, nie praktykował tego, jakie są skutki totalitaryzmu, jak z tego wychodzą ludzie dotknięci, zakażeni. Niemcy to praktykowali po 1945 r., my praktykujemy od kilkunastu lat. Nawet w umysłach zdawałoby się inteligentów – mniejsza o nazwiska – jest nie wiadomo co. Tu nie chodzi o dzieci z baraków, z dawnych PGR-ów, z biedy.

Mówiliśmy o zniechęceniu i przykrościach. A czy jest Panu znane poczucie znużenia: tyle wysiłków, tyle słów, a w końcu efekt niewielki?

Kompletnie nie. Ja mam niesłychane szczęście. Wiem, próżność należy do moich wad. Ale to jest próżność, która chce, żeby coś koło niej było, nie tylko sama próżność. Miałem 79 lat, byłem ministrem spraw zagranicznych, a minister kultury powołał mnie na przewodniczącego Rady Powierniczej Zamku Warszawskiego. Premier powierzył mi Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, →

→ w której do dziś jestem czynny i traktuję to poważnie. Owszem, mam dyplomów, wyróżnień czy odznaczeń tyle, że nawet nie wszystkie pamiętam. Tym się nie zajmuję, to mnie nie obchodzi. Ale to, że było mi dane przemawiać w 60. rocznicę powstania warszawskiego, było dla mnie bardzo ważne i ważne było, że to zostało dobrze przyjęte. Inny moment: było mi dane przemawiać w 60. rocznicę oswobodzenia obozu Auschwitz-Birkenau i była to dla mnie ogromna satysfakcja, bo tam byłem, bo sam byłem świadkiem śmierci bardzo wielu ludzi. A coś dopiero, kiedy ja – który, będąc w klasie maturalnej, słuchałem w 1939 r. przemówienia polskiego ministra spraw zagranicznych Józefa Becka, a kilka dni wcześniej przemówienia Hitlera, który wydawał nieartykułowane ryki – oto 28 kwietnia 1995 r. jako pierwszy w historii narodu polskiego i narodu niemieckiego Polak przez 59 minut przemawiałem na uroczystej sesji połączonych izb Bundestagu i Bundesratu. Wiedziałem wtedy, że moje prywatne rachunki z Niemcami są zamknięte.

A teraz, kiedy nie pełni Pan ważnych funkcji?

Mogę powiedzieć, czym się syci moja próżność. Przy każdym spotkaniu autorskim doznaję niesłyszanej życzliwości ludzi, którzy się niczego ode mnie nie spodziewają, czyli są bezinteresowni, co jest najbardziej cenne i najwięcej warte. Właśnie dlatego, że bezinteresowne. Ja już nie mogę nikomu dać posady, niczego nie mogę dać. Jakże byłem uhonorowany, kiedy przymuszony przez księdza Bocka pojechałem na Areopag Gdański. Ściągnęli do Politechniki Gdańskiej półtora tysiąca młodzieży. I tam z nimi rozmawiałem. Czułem się zaszczycony, uhonorowany, usatysfakcjonowany. Albo takie przeżycie. W listopadzie 2005 r. dawali mi doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Gdańskiego. I tam zgłasza się do głosu obecny na sali mój student z KUL, Bogdan Borusewicz, który od kilku dni był już marszałkiem Senatu. Wszyscy go znają, bo jest stamtąd. I on, który niewiele mówi i nie za bardzo dobrze mówi, a raczej stęka niż mówi, występuje jako marszałek Senatu, jako poważny 50-letni, zasłużony dla Polski człowiek i powiada: „Profesor Bartoszewski nauczył mnie patriotyzmu”. Musiałem czynić wysiłki, żeby się nie rozpląkać. Albo kiedy się skończyła moja przygoda

przy Waleśie i przestałem być ministrem, przekonano mnie, żebym kandydował na senatora z Warszawy. No i są te wybory stu senatorów. Wyniki? Krzysztof Piesiewicz: 500 tys. głosów i Władysław Bartoszewski: 470 tys. głosów, przy minimalnej kampanii wyborczej. Cóż za zobowiązanie, ale i co za wspaniała nagroda. To wzmacnia moją motywację. Skoro ludzie cię potrzebują, to ma jakiś sens, że żyjesz, nie tylko dla najbliższej rodziny i dla siebie samego. Tego niesłyszanego szczęścia, że gdziekolwiek się pojawię, zjawiają się tłumy, doznaję, mając tyle lat, ile w tej chwili mam. Np. przedwczoraj w Katowicach: cała sala była pełna, około tysiąca osób. Niebawale, wzruszające.

Więc udane życie?

Ja właściwie jestem całkowicie wynagrodzony i to nie jest żadna obłuda. Ponad wszelkie zasługi. Bohaterstwo? Rzekniesz, że brałem udział w pomocy Żydom, ale też cholernie się bałem. Straszliwie się bałem. Tego nikt nie wie, bo bym się wstydził przyznać... Inni ludzie robili różne wspaniałe rzeczy, biegali z granatami, strzelali do pułkowników Gestapo. Pewnie też się bali. Ja się bałem w inny sposób. Ale to, że mogłem w jakiejś mierze, minimalnej w stosunku do chęci, pomóc komuś, okazało się w końcu czymś, co ma sens.

Ja na ten pomysł sam bym nie wpadł, gdyby nie ks. Zieja i słowa, które od niego usłyszałem po wyjściu z kacetu. To było ważne, bo nie miałem innego odniesienia. Nie miałem wielkich autorytetów w rodzinie, moi rodzice nie byli intelektualistami, nie miałem żadnego mądrego dziadka, moi nauczyciele się rozproszyli. I nagle ten Zieja!

Wiek jednak jest obiektywnym faktem. Czy nie spostrzega Pan w sobie pewnych wad starości?

Święty Tomasz z Akwinu modlił się: „Panie, Ty wiesz lepiej niż ja sam, że się starzeję i pewnego dnia będę stary. Zachowaj mnie od zgubnego nawyku mniemania, że muszę coś powiedzieć na każdy temat i przy każdej okazji. Odbierz mi chęć prostowania każdemu jego ścieżek”...

Dobrze powiedziane. Nie, ja nie pocuzam. Mówię, co myślę, ale nie naruzam się z radami, rad nie udzielam. Bardzo się cieszę, jeśli mogę coś komuś zała-

twić, w czymś pomóc. Sprawia mi wielką frajdę, że jeszcze coś mogę.

No to ja spytam o radę. Co robić, żeby ciągle być potrzebnym? Mnie to interesuje, bo żyję już trzeci rok po siedemdziesiątce, wchodzę w ten emerytalny etap życia. I zastanawiam się, czy w tym wieku nie powinno się myśleć o ustąpieniu z pełnionych funkcji, zostawieniu miejsca młodszemu, lepszym, sprawniejszemu?

Nie radziłbym trwać przy czymś, wiedząc, że się nie jest w stanie panować nad sytuacją.

W zawodach intelektualnych – reaktora, pedagoga itp. – wiek jest bonusem, bo w pewnym wieku zaczyna się patrzeć dużo spokojniej i obiektywniej niż w młodości. W drugim ministrowaniu – nie tylko dlatego, że to było już drugie – stałem się, przy tym samym usposobieniu, przy tych samych działaniach, dużo spokojniejszy i mniej w gorącej wodzie kąpany. Limit naszej aktywności nie jest w naszych rękach. Miałem dużo do czynienia z Janem Parandowskim, starym i mądrym człowiekiem. Bo to jest tak, że czego innego się oczekuje od mądrego ojca w rodzinie, a czego innego od najmądrzejszego nawet dziecka. W miejscu pracy intelektualnej obecność „mądrego dziadka” jest potrzebna. Są takie uprzywilejowane zawody. To się odnosi do wszystkiego, co jest powołaniem, a do tej sfery należy także dziennikarstwo. To zresztą mój pierwotny zawód. Dziennikarstwo zawsze uważałem za powołanie. I od kiedy pracowałem w „Tygodniku Powszechnym”, nigdy z tego nie zrezygnowałem. Byłem ministrem, tym, owym, ale zawsze byłem w stopce redakcyjnej „Tygodnika”... Kiedy zostałem mianowany ambasadorem, poprosiłem ministra Skubiszewskiego, żebym mógł w tej stopce pozostać.

Więc może jeszcze słowo o znaczeniu „Tygodnika” w Pana życiu.

„Tygodnik” był i jest moją ojczyzną z wyboru. Bo Warszawa, Polska to nie był mój wybór w tym sensie, że się tu właśnie urodziłem, a nie np. w Ameryce czy Afryce, tylko w Polsce, że ochrzczono mnie i stałem się katolikiem. Ale „Tygodnik” to wybór. Wiele by o tym jeszcze mówić...

INSTYTUT ZACHODNI IM. ZYGMUNTA WOJCIECHOWSKIEGO W POZNANIU

jest ośrodkiem naukowo-analitycznym prowadzącym badania w zakresie studiów niemieczonaukowych. Gromadzi, opracowuje oraz udostępnia informacje i opinie o ważnych wydarzeniach w Niemczech, Europie i świecie na użytek praktyki politycznej, społecznej i gospodarczej. Przeznaczone dla szerokiego grona odbiorców prace znajdują się na stronie internetowej www.iz.poznan.pl. Komentarze do bieżących wydarzeń publikowane są w zakładce „Serwis” i rozsyłane raz w tygodniu w formie newslettera. Drukowane opracowania, w tym czasopismo „Przegląd Zachodni”, można nabyć w księgarni internetowej. Komentarze i analizy publikowane w formie „Podcastów Instytutu Zachodniego” dostępne są na platformach [SoundCloud](https://www.soundcloud.com/iz.poznan), [Apple Podcasts](https://www.apple.com/podcasts/) oraz [Spotify](https://www.spotify.com/pl/podcasts/), a także na kanale [YouTube](https://www.youtube.com/channel/UC8vQvYUgUgUgUgUgUgUgUgUg).



Spotkanie z Władysławem Bartoszewskim, 16 czerwca 2010 r.

Porozumienie polsko-niemieckie

JADWIGA KIWERSKA

Władysław Bartoszewski był nie tylko świadkiem historii, ale również sam, w heroiczny sposób, tę historię współtworzył. Zespół Instytutu Zachodniego w Poznaniu, placówki od blisko 80 lat zajmującej się tematyką niemiecką, kojarzy prof. Bartoszewskiego, częstego gościa w naszych progach, przede wszystkim z zaangażowania w dialog polsko-niemiecki.

Człowiek, który tak bardzo doświadczył na sobie niemieckiego okrucieństwa, nie tylko nie popadł w nienawiść, ale wykazał się wspaniałomyślnością wobec dawnego wroga. Pomogła mu w tym pogodna natura, otwartość i ciekawość ludzi, ewangeliczny duch miłosierdzia. Stawiał jednak nieprzekraczalne moralnie granice. Uznał, że dialog polsko-niemiecki jest trudną do przecenienia wartością, i dla jej osiągnięcia zdecydował się działać w latach PRL-u – często wbrew społecznym nastrojom i antyniemieckiej propagandzie władz. Wiele działań prowadził ze środowiskiem „Tygodnika Powszechnego”, również pionierskiego na tym polu.

W wolnej Polsce otwarli się przed prof. Bartoszewskim szersze możliwości wpływania na kształt relacji polsko-

-niemieckich. Jako szef dyplomacji w 1995 r. wystąpił w Bundestagu w 50. rocznicę zakończenia II wojny światowej. Mówił szybko i dobitnie, głównie o tym, że był więźniem w Auschwitz i że dostrzega tragedię przymusowych wysiedleń Niemców. Wie, że Niemcy potrafili się zmienić, znaleźli drogę do korzeni Europy. Dowodził: „Pamięć i refleksja muszą towarzyszyć naszym stosunkom. Nie powinny jednak stanowić dla nich głównej motywacji, lecz torować drogę motywacjom współczesnym, skierowanym w przyszłość”. Przemówienie w Bundestagu zostało przyjęte kilkuminutową owacją na stojąco, a obejrzały je w telewizji miliony Niemców. W Polsce śledziliśmy je, mając poczucie wyjątkowości wydarzenia. Sam Bartoszewski powiedział: „Dla mnie to, że Polak z takim życiorysem jak ja przemówił do Niemców w Bundestagu, to jest rzecz rewelacyjna. Cieszę się bardzo, że mogłem tego dożyć”.

W ostatnich latach życia, pełniąc od 2007 r. funkcję pełnomocnika premiera Donalda Tuska ds. dialogu międzynarodowego, minister Bartoszewski bez reszty poświęcił się relacjom polsko-niemieckim. Starał się wprowadzać do nich nowe formy współpracy, np. cykliczne konsultacje

międzyrządowe. Zastługą ministra było powołanie do instytucji, organizacji i fundacji zajmujących się współpracą z Niemcami przedstawicieli otwartych na takie współdziałanie. Starał się wyeliminować napięcia, jakie we wzajemnych relacjach rodziła aktywność Eriki Steinbach, szefowej Związku Wypędzonych. Był czujny na każdy czynnik po stronie Niemiec, który nie służył dialogowi, ostro na takie działania reagował. Był uważnie słuchany, także przez kanclerz Angelę Merkel.

Można uznać za symbol, że ostatnim aktem ministra Bartoszewskiego było przemówienie, które w dniu śmierci, 24 kwietnia 2015 r., przygotował na kolejne konsultacje międzyrządowe. Napisał: „Wspólnota interesów nie jest dana raz na zawsze. Jest strukturą ruchomą, wymaga naszego stałego wysiłku i uwagi (...)”. Dopiero w praktyce współpracy występują rozbieżności. Wspólnota interesów wyraża się jednak w tym, że nawet najostrejsze spory nie godzą w fundamenty współpracy”. Władysław Bartoszewski zrobił wiele, a może i najwięcej, aby zbudować i umocnić fundamenty współpracy polsko-niemieckiej. Ważne, żeby nawet niesprzyjające okoliczności ich nie naruszyły. ©



MAGDA STAROWIEYSKA / MUZEUM POLIN x2

Władysław Bartoszewski z młodzieżą przed pomnikiem Rady Pomocy Żydom „Żegota”, w tle Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, 4 grudnia 2014 r.

Świadek wydarzeń niezwykłych

MATEUSZ SZCZEPANIAK MUZEUM POLIN

Władysław Bartoszewski był przyjacielem Muzeum POLIN. „Jako orędownik jego powstania, wspierał tę ideę nie tylko słowem, ale również czynami”, podkreśla Marian Turski, przewodniczący Rady Muzeum. „Uważał, że Muzeum Historii Żydów Polskich powinno wypełniać pustkę, która pozostała w Polsce po Zagładzie”. Kiedy działa się ona na jego oczach, podczas okupacji niemieckiej, postanowił dołączyć do konspiracyjnej Rady Pomocy Żydom „Żegota”. W późniejszych latach – jako historyk, działacz społeczny i polityk – był zaangażowany w dialog polsko-żydowski. W stworzonym z jego udziałem Muzeum pozostaje pełna szacunku i wdzięczności pamięć o nim.

„Była też Warszawa – ta moja – miastem, w którym co trzeci mieszkaniec był Żydem. Znaczącymi punktami, obok kościołów, były w niektórych częściach miasta bożnice i synagogi. (...) Wyrastałem na granicy

polskiej i żydowskiej części miasta. Niepełna 200 metrów od naszego mieszkania na ul. Bielańskiej znajdowała się wielka warszawska synagoga na Tłomackiem”, wspominał Bartoszewski w książce „Warto być przyzwoitym”.

Wychowywał się w międzywojennej Warszawie wśród żydowskich rówieśników. Niedługo później, podczas II wojny światowej, był świadkiem ich Zagłady. W dwudziestym roku życia włączył się w prace „Żegoty”, polsko-żydowskiej organizacji, powołanej 4 grudnia 1942 roku w celu udzielania pomocy Żydom w okupowanej Polsce. „Nigdy nie wiadomo, co w życiu się opłaca, a co nie, ale wiadomo, co warto”, mówił podczas jednego ze spotkań z młodzieżą w Muzeum POLIN. „Czy się bałem? Bałem się bardzo. Bardzo. Ale czy to wszystko tłumaczy? Czy strach wszystko tłumaczy? Otóż – nie”.

Przez całe życie imponował swoim zaangażowaniem i postawą. O priorytetach, którymi się kierował, świadczy nie tylko

działalność w „Żegocie” czy w strukturach Polskiego Państwa Podziemnego. Jego aktywności społecznej dowodzi długa lista ważnych stanowisk, które piastował po 1989 roku. Na każdym etapie jego życia problematyka żydowska zajmowała szczególnie miejsce.

„W okresie moich kilkunastu lat spędzonych u boku Władysława Bartoszewskiego, Muzeum Historii Żydów Polskich było stałym elementem jego działalności publicznej, obok zaangażowania w prace Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej, a później w powstanie Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku czy założenie Fundacji Auschwitz-Birkenau”, zauważa Marcin Barcz, wieloletni sekretarz Bartoszewskiego.

„Pamiętam entuzjazm, z jakim Profesor – człowiek wtedy ponad 80-letni! – podchodził do idei wykorzystania w tworzonego Muzeum POLIN nowych, audiowizualnych możliwości technicznych. Podkreślał to, często zwracając się do



Władysław Bartoszewski z żonkilem przed Pomnikiem Bohaterów Getta podczas obchodów 72. rocznicy powstania w getcie, 19 kwietnia 2015 r.

niemieckiej czy szerzej – międzynarodowej publiczności: oto w Warszawie powstać ma placówka wyjątkowa w skali Europy, miejsce, w którym dzięki najnowszej technologii odżyje duch, rozbrzmiewać będą na nowo dźwięki, odżyją obrazy dawnego dziedzictwa kulturowego polskich Żydów. Choć nie powiedział tego wprost, myślę, że w głębi duszy, może podświadomie, liczył też na pewien »powrót« swojej Warszawy, miasta lat dzieciństwa i młodości”.

Bartoszewski był gorącym zwolennikiem idei powstania Muzeum POLIN, a następnie doradcą jego organizatorów. Wspierał m.in. zbiórkę funduszy na rzecz stworzenia wystawy stałej, prowadzoną na całym świecie przez Stowarzyszenie Żydowski Instytut Historyczny w Polsce.

„W ostatnich latach był członkiem Rady Muzeum, która przy udziale tak wybitnych historyków, jak profesorowie Janusz Tazbir i Henryk Samsonowicz, sprostowała wielkiemu zadaniu weryfikacji treści wystawy stałej Muzeum – wystawy, jaką dzisiaj znamy. Rola autorytetu Władysława Bartoszewskiego, zwłaszcza w zakresie relacji polsko-żydowskich w XX wieku, była w tej pracy znacząca”, podkreśla Marian Turski.

Co roku 4 grudnia, w rocznicę powstania Rady Pomocy Żydom, Bartoszewski spotykał się z młodzieżą w Muzeum POLIN, by wspólnie złożyć kwiaty przed pomnikiem „Żegoty”. Uczestniczył w każdej rocznicy powstania w getcie warszawskim.

„Pamiętam kolejne uroczystości przed Pomnikiem Bohaterów Getta – kiedyś bez, potem już z imponującym gmachem Muzeum w tle; co roku z udziałem coraz mniejszej garstki świadków wydarzeń”, wspomina Marcin Barcz.

Po raz ostatni spotkaliśmy się z Władysławem Bartoszewskim w Muzeum POLIN 19 kwietnia 2015 roku. Słuchaliśmy jego słów wypowiedzianych przed Pomnikiem Bohaterów Getta, naprzeciw wejścia do Muzeum. Miał wtedy przypięty do płaszcza papierowy żonkil – symbol zbiorowej pamięci o powstaniu w getcie, rozdawany jak co roku na ulicach przez wolontariuszy i wolontariuszki.

Mówił: „To nie jest wystąpienie przedstawiciela rządu, tylko człowieka, który był i jest świadkiem wydarzeń historycznych i niezwykłych. To spełnienie mojego życia, że po 72 latach od tamtych wydarzeń mogę o tym mówić w imieniu także nieobecnych”.

Muzeum POLIN jest kustoszem nie tylko pamięci po Władysławie Bartoszewskim, ale także bezcennych pamiątek, które przekazał on do muzealnej kolekcji w 2013 roku, m.in. prezentowanej na

wystawie stałej fałszywej kenkarty Leona Feinera – czołowego przedstawiciela żydowskiego ruchu oporu i ostatniego przewodniczącego „Żegoty”. Wśród przekazanych obiektów jest również nadany Bartoszewskiemu przez Instytut Yad Vashem w Jerozolimie medal Sprawiedliwego wśród Narodów Świata.

Do Yad Vashem jeździł on dwa razy – najpierw w 1963 roku, by zasadzić w Ogrodzie Sprawiedliwych pamiątkowe drzewo „Żegoty”, potem w 1966 roku, by zasadzić swoje własne. W tym czasie wraz z Zofią Lewinówną wydał monumentalną i klasyczną już dziś pracę „Ten jest z ojczyzny mojej. Polacy z pomocą Żydom 1939-1945”. Jej przygotowanie zapoczątkowała głośna akcja zbierania wspomnień na łamach „Tygodnika Powszechnego”. Książka, opublikowana w 1966 (do księgarni trafiła w kwietniu następnego roku), ustanowiła kanoniczną wersję polskiej narracji o ratowaniu Żydów.

Przez minione dziesięciolecia badania nad postawami Polaków wobec Zagłady, a także nad pamięcią zbiorową na ten temat dalece się rozwinęły. Dlatego z okazji 100. rocznicy urodzin Władysława Bartoszewskiego oraz 55. rocznicy wydania pracy „Ten jest z ojczyzny mojej...” przyjrzymy się na nowo książce autora-świadka na prowadzonym przez Muzeum POLIN portalu Polscy Sprawiedliwi (sprawiedliwi.org.pl). Kolekcję ponad tysiąca historii pomocy, w tym losy Bartoszewskiego, przedstawiamy na tle społeczno-politycznego kontekstu okupacji niemieckiej w Polsce, uwzględniając złożoność i zróżnicowanie postaw społeczeństwa polskiego wobec Zagłady.

Historie Sprawiedliwych odczytujemy także w wymiarze uniwersalnym, myśląc o ludziach współcześnie potrzebujących pomocy, o aktywistach działających na ich rzecz. Skłania nas do tego m.in. aktualny kryzys humanitarny na granicy polsko-białoruskiej. Pytanie postawione przez Władysława Bartoszewskiego: „Czy strach wszystko tłumaczy?”, pozostaje aktualne. ©



Projekt jest finansowany przez Islandię, Liechtenstein i Norwegię w ramach Funduszu EOG oraz przez budżet krajowy

Iceland
Liechtenstein
Norway grants



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



Wspólnie działamy na rzecz Europy zielonej, konkurencyjnej i sprzyjającej integracji społecznej

Szwecja i Polska w oczach Hermana Lindqvista

NASZA WYOBRAŹNIA HISTORYCZNA

rozpięta jest na linii Wschód–Zachód i rzadko wykracza poza tę oś. Tymczasem książka „Przez Bałtyk. 1000 lat polsko-szwedzkich wojen i miłości” szwedzkiego historyka Hermana Lindqvista przypomina nam, że przez wieki relacje z naszym północnym sąsiadem – tym po drugiej stronie Bałtyku – były równie ważne, jak te z Rosją i Niemcami. I nie chodzi tylko o okres panowania dynastii Wazów, zakończony krwawą grabieżą nazwaną potopem szwedzkim, lecz o całe późnośrednio-wieczne i nowożytne dzieje Korony Polskiej i I Rzeczypospolitej. Taka zewnętrzna – szwedzka – perspektywa działa odświeżająco: dzięki niej możemy inaczej (bo nie o „lepiej” czy „gorzej” tu chodzi) spojrzeć na procesy dziejowe.

Lindqvist przypomina, że relacje polsko-szwedzkie to nie zawsze były konflikty, ale także współpraca, a nawet sojusze obliczone na dalekosiężne cele. Zanim w drugiej połowie XVII w. Rzeczpospolita została ostatecznie zmuszona do porzucenia swoich marynistycznych projektów, przez długi czas odgrywała istotną rolę na bałtyckiej arenie. Ta spuścizna zasługuje na przywrócenie należnego jej miejsca w narodowej historiografii i zbiorowej wyobraźni. Nasza obecność nad „płytym morzem” (jak zwano Bałtyk) odcisnęła głębokie ślady zarówno w polskiej, jak i szwedzkiej kulturze. Nie odnajdziemy ich (ani w pełni nie rozumiemy), jeśli nie będziemy o nich przypominać.



Lindqvist, rocznik 1943, to autor wyjątkowo płodny: na przestrzeni minionego półwiecza wydał kilkadziesiąt książek historycznych, poświęconych głównie dziejom Szwecji i Europy. Równocześnie pracował jako dziennikarz (korespondent szwedzkich mediów m.in. we Francji, Hiszpanii i Japonii) i prowadził programy historyczne w telewizji. Żonaty z Polką, mieszka dziś w Warszawie. Był też autorem przemówień obecnego króla Karola XVI Gustawa i prywatnym nauczycielem historii jego córki Wiktorii, następczyni tronu. © MS

Herman Lindqvist PRZEZ BAŁTYK. 1000 LAT POLSKO-SZWEDZKICH WOJEN I MIŁOŚCI, przeł. Emilia Fabisiak, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2022

HISTORIA

PRZEZ BAŁTYCKIE PŁYTKIE MORZE

HERMAN LINDQVIST, SZWEDZKI HISTORYK:

Brak wojen umożliwia rozwój przemysłu i handlu.
To jeden ze szczęśliwych losów, które my Szwedzi
wygraliśmy w XX wieku na loterii dziejów.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Co przeciętny Szwed wie o Polsce?

HERMAN LINDQVIST: Niestety, niewiele. Jeżeli to starsza osoba, zapewne przypomni sobie Lecha Wałęsę i upadek komunizmu, ale to z grubsza tyle. Nawet z geografii bywa różnie, bo Polska kojarzy się bardziej wschodnio niż południowo, mimo że Sztokholm i Warszawa leżą niemalże na tej samej długości geograficznej.

Nikt nie słyszał o potopie szwedzkim?

Wyłącznie zawodowi historycy. Zdarzało mi się oprowadzać szwedzkich znajomych po Krakowie, gdzie opowiadałem, jak nasi rodacy złupili to miasto w XVII wieku, i oni myśleli, że żartuję. Przecież żaden Szwed nie byłby zdolny do czegoś takiego!

W wielu kwestiach trudno o dwie bardziej różne nacje niż Polacy i Szwedzi.

To prawda, ale Europa ma w ogóle to do siebie, że jej poszczególne kraje, nawet pozornie sobie bliskie, bardzo różnią się od siebie. Wszystkiemu winna jest historia: w wieku XX nie sposób wyobrazić sobie dwa bardziej skrajne scenariusze dziejów niż w przypadku Polski i Szwecji. Z drugiej strony wyrastamy z tego samego podłoża kulturowego, więc przy

odrobinie dobrej woli potrafimy się porozumieć.

Największe różnice?

Znów: historia, szczególnie ostatnie 150 lat, w obu przypadkach wyglądała zupełnie inaczej. Szwedzi od wielu pokoleń nie doświadczyli wojny – nikt nie złupił ani nie zniszczył naszego kraju. To sprzyja rozwojowi i progresywnym reformom, zarówno ekonomicznym, jak i polityczno-społecznym. A instytucje demokratyczne potrzebują czasu, żeby się w pełni rozwinąć. Podziały i nierówności społeczne też nie znikają na przestrzeni lat czy dekady.

Różni nas podejście do władzy i hierarchii?

Szwecja jest pod tym względem wyjątkowa w skali świata. Wszyscy mówimy sobie na „ty” i nie ma znaczenia, czy zwracamy się do kolegi z pracy, przełożonego czy premiera.

Formy grzecznościowe są ważne, ale to trochę mało...

To oczywiście różnica symboliczna, ale bardzo znacząca, bo przekłada się na wiele innych rodzajów relacji społecznych. Rzadko u Szwedów można spotkać poczucie niższości z powodu braku wykształcenia czy prowincjonalnego pocho-



Pieter Snayers (1592-1667), Bitwa pod Kircholmem, 1605 r.

dzenia. To zapewne dlatego, że nie mieliśmy feudalizmu w takiej postaci, jak reszta kontynentu. Nie było więc ostrego podziału na chłopów i arystokrację, który pokutuje do dziś, zresztą nie tylko w Polsce.

Kilka razy słyszałem anegdotę, że w Szwecji, gdy zepsuje nam się auto, nie ma co liczyć na pomoc innych kierowców.

Oczywiście, ale nie dlatego, że jesteśmy żli i nieczuli – po prostu automatycznie zakładamy, że od tego są odpowiednie służby, które niezwłocznie udzielą fachowej pomocy, więc nie ma sensu się wtrącać. W Polsce z kolei oczywiste jest, że ludzie w każdej sytuacji powinni sobie nawzajem pomagać. Mieszkam w Polsce od lat i jeszcze nie spotkałem się, żeby w pociągu ktoś nie zaoferował pomocy kobiecie z ciężką walizką. Natomiast ze szwedzkiego punktu widzenia mogłoby to być postrzegane jako kwestionowanie czyjejś samodzielności, a więc zachowa-

nie nachalne, a nawet odrobinę obraźliwe.

Czyli te drobne różnice mają swoje drugie, mocno ideologiczne dno.

Kluczowe wydaje mi się tu inne rozumienie pojęcia „zaufanie” – zarówno do innych ludzi, jak i do instytucji publicznych. W Polsce wszystko, co państwowe, wciąż często budzi nieufność – i nie bez powodu. Żeby zbudować tego typu zaufanie, potrzeba wielu dekad dobrej, spokojnej współpracy obywateli z instytucjami różnego szczebla. Niestety, historia odmówiła Polakom tego komfortu, którym Szwedzi cieszą się od wieków. A skoro nie można budować zaufania wertykalnego, trzeba wzmacniać to horyzontalne. Ale znowu – nie jest to przypadek wyłącznie Polski. Miałem okazję mieszkać w jedenastu różnych krajach na całym świecie i wszędzie wygląda to podobnie. Tylko Skandynawowie tak bezkrytycznie ufają swojemu państwu.

Może mieliście szczęście do dobrych i uczciwych polityków?

W bardzo dużym uproszczeniu – można tak powiedzieć. W przeciągu ostatnich stu lat władzę najczęściej sprawowali socjaldemokraci. Mieli więc czas, żeby wyznaczyć polityczne standardy, które stały się wspólne dla właściwie wszystkich opcji politycznych. Oczywiście pojawiają się różne pomysły na konkretne działania, jednak cele polityki społecznej pozostają z grubsza niezmiennie.

Napisał Pan książkę o wspólnej przeszłości Polski i Szwecji w ostatnim tysiącleciu. Bardzo lubimy, gdy historycy-obcokrajowcy o nas mówią. Po drugiej stronie Bałtyku jest podobnie?

W Szwecji takie zainteresowanie wzbudza zdziwienie, a nawet pewną podejrzliwość. Lubimy myśleć, że od zawsze żyjemy na uboczu wielkiej historii, dlatego więc ktoś miałby się nami interesować? No chyba że chce krytykować nasz

→ aktualny model polityczno-społeczny. Wtedy należy takiej osobie spokojnie i rzeczowo wytłumaczyć, dlaczego nie ma racji.

Znowu – odwrotnie niż w Polsce.

Jako Szwed piszący o polskiej historii spotkałem się z zaskakująco wieloma entuzjastycznymi reakcjami na moje książki. Historia własnego kraju budzi w Polakach zazwyczaj skrajne emocje – częściej jednak negatywne, co ma oczywiście swoje uzasadnienie w wielu wydarzeniach z wieków XIX i XX. Opresja ze strony obcych mocarstw sprawiła, że polska kultura musiała rozwijać się w izolacji, a to z kolei zrodziło kompleks niższości.

Aż tak to widać?

Mieszkam już w Polsce kilkanaście lat, a Polacy wciąż mnie pytają, dlaczego się na to zdecydowałem. Na początku nie rozumiałem istoty pytania.

Gdzie mieszkał Pan wcześniej?

We Francji, która pod wieloma względami przypomina Polskę.

Naprawdę?

No właśnie, zawsze, gdy to mówię, spotykam się z niedowierzaniem, jakby porównywanie się z państwami Europy Zachodniej było czymś nie do pomyślenia. A polska kultura, ale też obyczaje czy temperament narodowy są ewidentnie podobne.

Szwedzi interesują się w ogóle historią?

Niespecjalnie. Lubimy o sobie myśleć jako o dobrych ludziach, którzy wyznaczają wysokie standardy humanitaryzmu, a przynajmniej nikogo nie krzywdzą. A w przeszłości bywało z tym różnie, lepiej więc za bardzo nie drążyć.

Jak w przypadku relacji z Finlandią?

To dobry przykład. Nie mówimy o naszej wspólnej przeszłości, bo jeszcze wydzie, że ich skolonizowaliśmy.

A przecież było zupełnie inaczej.

Finlandia od początku rozwijała się jako część Szwecji – to nawet nie była unia, tylko jeden organizm, ze wspólnym władcą, a potem parlamentem. No ale lek przed słowem „kolonia” sprawia, że wszyscy na wszelki wypadek wolą unikać te-



Bitwa pod Oliwą (1627 r.), ze sztambucha Heinricha Böhme, 1638 r.

matu. Zdecydowanie wolimy patrzeć w przyszłość.

W ostatnich latach powstało wiele książek o ciemnych stronach szwedzkiej historii w czasie II wojny światowej, choćby „W Lesie Wiedeńskim wciąż szumią drzewa” Elisabeth Åsbrink.

Niestety nie przełożyło się to na debatę publiczną, w której temat współpracy Szwecji z III Rzeszą przed 1943 r. jest właściwie nieobecny. A przecież cena, jaką musieliśmy zapłacić za tę pozorną neutralność podczas II wojny światowej, była ogromna. Przez lata w ogóle się o tym nie mówiło, dopiero na przełomie lat 60. i 70. zaczęły ukazywać się pierwsze książki, ale temat nie przebił się do powszechnej świadomości.

Podobnie jak fakt, że po wojnie Szwecja wydała Związkowi Sowieckiemu wielu jeńców wojennych pochodzących z krajów bałtyckich, którzy z takich czy innych powodów walczyli po stronie Rzeszy. A wiadomo było, jaki spotka ich los. To ciekawe, bo z drugiej strony w protestanckiej kulturze skandynawskiej poczucie wstydu i obwinianie się o wszystko, co najgorsze, zdarza się często.

Przykład?

Sam napisałem niedawno książkę o szwedzkich koloniach w Indiach Zachodnich i Afryce.

Nie wiedziałem, że Szwecja miała kolonie.

Szczerze mówiąc, praktycznie nikt o tym nie wiedział. Zyskaliśmy je bardzo

późno i były niewielkie – to były bardziej punkty przerzutowe w globalnym handlu niewolnikami niż kolonie w nowożytnym sensie. W sumie przewinęło się przez nie 6-7 tys. osób, nie więcej, czyli mówimy tu o niewielkim promilu w skali globalnej zbrodni, jaką było niewolnictwo. Niemniej reakcja w Szwecji była gwałtowna. Niektórzy mówili wręcz, że nasza ojczyzna zbudowana jest na krwi czarnych niewolników, co jest, delikatnie mówiąc, sporą przesadą. No ale tak mamy, czasem lubimy samobiczowanie.

W Polsce każdy jest wybitnym znawcą historii, szczególnie podczas spotkań z rodziną czy znajomymi.

To, że wasz naród przetrwał tyle krwawych wojen i innych form opresji, zachowując jednocześnie swoją wyrazistą tożsamość, zawdzięcza właśnie temu rozmiłowaniu we własnej historii. Nie ma w tym nic dziwnego. W szwedzkiej historii ostatnich stu czy nawet dwustu lat nie wydarzyło się wiele ekscytujących rzeczy, dlatego u nas przeszłością interesują się niemal wyłącznie zawodowi historycy. Najlepszy dowód: w Polsce przynajmniej raz w miesiącu wypada jakaś ważna narodowa rocznica. Myślę, że przeciętny Szwed nie byłby w stanie podać żadnej, nawet przybliżonej daty ważnej bitwy czy innego istotnego wydarzenia. Wedle zasady: w przeszłości różnie bywało, lepiej więc myśleć o przyszłości.

Ostatnia dekada – kryzys migracyjny i umocnienie się skrajnej prawicy – nie podkopały tego optymizmu?

Przez lata Szwecja była krajem wyjątkowo otwartym dla migrantów, jednak w okolicach roku 2015 zaczęło się pojawiać ich coraz więcej i więcej, przez co cały system uległ zachwianiu. Dodatkowo każdy, kto zwracał na to uwagę, automatycznie otrzymywał łatkę rasisty, a w Szwecji trudno wyobrazić sobie gorszą obelgę. Dlatego też wielu polityków i dziennikarzy unikało tego tematu. Tymczasem problem narastał. Dopiero w 2021 r. rząd po raz pierwszy oficjalnie przyznał, że popełniono wiele błędów i sporo rzeczy nie działa jak należy, i że potrzebne są reformy. Ale pozostają optymistą: wierzą, że większość problemów, których obecnie doświadczamy, uda się wkrótce rozwiązać.

Prawicowi publicyści w Polsce piszą czasem, że „Szwecji już nie ma”.

Wiem i nie przestaje mnie to bawić, podobnie jak rzekome „strefy szariatu”. Szwecja ma bardzo długą tradycję przyjmowania migrantów, a podstawowe mechanizmy wciąż działają, wymagają jedynie usprawnienia i dostosowania do nowych czasów. Nowi przybysze zawsze potrzebowali czasu, aby się zintegrować z resztą społeczeństwa – to naturalny proces, który należy na różne sposoby wspierać.

Jednak poziom niezadowolonia społecznego chyba nigdy nie był tak wysoki jak dziś.

Tak, ale to problem przede wszystkim polityczny. Radykalna prawica ma w tym momencie około 20 procent poparcia, bo umiejętnie rozgrywa lęki i uprzedzenia, szczególnie wśród ludzi mojego pokolenia, mieszkających na prowincji, którzy o migrantach słyszą niemal wyłącznie

w mediach. Z kolei gdy się jedzie metrem w Sztokholmie, nieczęsto słyszy się język szwedzki, ale tam mało komu to przeszkadza.

Wróćmy do naszej wspólnej historii. W XVII wieku niewiele brakowało, żebyśmy stali się jednym krajem.

To prawda, z drugiej strony presja naszych sąsiadów była olbrzymia, szczególnie Rosji. Takie transbałtyckie mocarstwo byłoby olbrzymim zagrożeniem dla całego regionu.

Okres panowania Wazów to krótki epizod polskiej przygody z morzem. Po abdykacji króla Jana Kazimierza w 1668 r., ostatniego z tej dynastii, projekt bałtycki został zarzucony na kilka wieków.

To istotna różnica między naszymi narodami. Szwedzi od czasów Wikingów byli nieprzerwanie ludem morskim, a przez to utrzymującym kontakty z najdalszymi zakątkami świata. Od zawsze przybywali też do nas najróżniejsi ludzie, przywoząc ze sobą swoją kulturę, idee czy praktyczne wynalazki. Kraje śródlądowe siłą rzeczy nie doświadczają tego typu komunikacji. Zamykają się w swoich granicach, których muszą skrupulatnie pilnować. Tę prawidłowość można dostrzec w każdej części świata i nawet tak etnicznie zróżnicowane mocarstwo jak Rzeczpospolita Wielu Narodów nie mogło konkurować pod tym względem z krajami morskimi.

W Pana książce często padają nazwy dużych szwedzkich firm: Electrolux, Ikea, Volvo. Dlaczego?

Bo stanowią ważną część szwedzkiej historii. Skandynawski protestantyzm

od zawsze sprzyjał nauce czytania i pisanie, a to dawało wysoki poziom wykształcenia. Do tego na początku XIX wieku wprowadzono w Szwecji darmową i powszechną edukację, i to na niezłym jak na tamte czasy poziomie. To z kolei zaowocowało pojawieniem się wielu wynalazców, często ze smykałką do interesów. Najróżniejsze technologie – wymyślane i wykorzystywane w rodzimym przemyśle – cieszyły się dużym zainteresowaniem w całej Europie, a później także poza nią. Tak powstały wielkie firmy, znane dziś na całym świecie.

To część narodowej tożsamości?

Z pewnością. Pod tym względem przypominamy nieco Japończyków. Dziś takie firmy jak Electrolux czy Ikea są już międzynarodowymi korporacjami, ale duma z naszych inżynierów i przedsiębiorców pozostała. Np. w 1855 r. Johan Edvard Lundström otworzył pierwszą w dziejach fabrykę zapalek, która na długi czas zmonopolizowała światowy rynek.

Niewiele firm tej wielkości może się pochwalić 150-letnią historią.

Po raz kolejny powiem, że to zasługa naszej spokojnej historii. Brak wojen umożliwia intensywny rozwój przemysłu i handlu. Na przełomie lat 40. i 50. XX wieku, gdy reszta Europy podnosiła się z ruin po II wojnie światowej, szwedzkie fabryki pracowały pełną parą, budując bogactwo naszego kraju. Pod tym względem mieliśmy ogromną przewagę nad większością świata. To jeden z wielu szczęśliwych losów, jakie wygraliśmy na loterii dziejów.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego” dostępne na Legimi.pl

Pobierz aplikację Legimi na smartfon, e-czytnik, tablet lub komputer i czytaj wygodnie wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”.

TYGODNIK
POWSZECHNY

Legimi

weź, czytaj!

ZA PAMIĘCI

HANNA

Krall:

Miło



ASTRONOM MA NIEBO, HISTORYK MA
czas, geograf ma miejsce, mówi archi-
tekt Czesław B.

(Reporter? Słowa ma. Te niezbędne, bez których tekst nie może się obejść. I dzianie się, bo po co słowa byłyby, gdyby się życie nie działo.

No to sporo ma. Może nawet najwięcej).

Czesław B. przygląda się miejscom. Jakie miały być. Czym są. Co z nimi zrobili architekci.

Dom nad Wodospadem

Stoi w Pensylwanii, w Stanach, ma osiemdziesiąt siedem lat. Zbudował go Frank Lloyd Wright. Konstruktorem był Mendel Glückman (który urodził się w Witebsku, zbudował fabrykę traktorów w Stalingradzie, wyjechał do Ameryki i pracował z Wrightem do jego śmierci).

Dom stoi wśród lasów i skał, ma sporo tarasów, a schody sięgają strumienia. Przeszkłone ściany sięgają lasu. W strumieniu leżą odwieczne głazy, jeden głaz wystaje z podłogi w salonie.

Właściciel-miliarder miał tu spędzać wakacje, ale w Domu nie dało się mieszkać. Zimno było i mokro. Rozmawiać też się nie dało, wszystko zagłuszał łoskot wody. Jedno można było – zachwycać się. Już pięć milionów osób podziwiała Dom nad Wodospadem.

Jest otwarte, można zwiedzać. Od piątego roku życia – ze świadectwem szczepienia. Od drugiego roku – w maseczce.

Zwiedzanie Domu – dwanaście dolarów. Dom i otoczenie – trzydzieści dwa dolary.

Dom, otoczenie i możliwość robienia zdjęć – osiemdziesiąt pięć dolarów.

Dom Müllerów

Stoi w Pradze, ma dziewięćdziesiąt dwa lata.

Nie miał być piękny, architekt Adolf Loos nie lubił ozdób. Ornament, mówił, to marnotrawstwo. Dopuszczał urodę kamieni – ich formę i kolor. Może dlatego, że był synem kamieniarza.

Dom powinien być użyteczny.

Stoi na stromej skarpie, więc ma dużo schodów.

Gospodyni była niskiego wzrostu, więc jest podest. Wydawała się na nim wyższa niż goście i domownicy.

Gospodarz prowadził bogatą korespondencję, więc jest specjalne biurko. Służyło za skrzynkę pocztową.

W łazience są sznurki do zapalania światła, żeby prąd nie łapał.

Okna w kuchni są pod sufitem. Kucharze nie widzieli ulicy i mogli się na pracy skupić... I tak dalej.

Podczas wojny Dom był domem publicznym.

W czasach komunizmu był centrum marksizmu-leninizmu.

Dawna właścicielka została sprzątaczką, dawny właściciel palił w kotłach i zatruił się czadem. Córka właścicieli zachorowała psychicznie.

Czesław B. ma za złe Adolfowi Loosowi, że Dom nadawał się do życia jednej rodziny, do niczego więcej.

Rzymskie bazyliki nadają się do modlitwy od tysięcy lat.

Angielskie townhouse'y sprawdzają się od trzystu lat w kolejnych pokoleniach.

Dom Müllerów ani na burdel się nie nadawał, ani do marksizmu-leninizmu. Co Czesław B. ma Domowi wyrażnie za złe.

Most. Pont du Gard

Ma blisko dwa tysiące lat, stoi w Prowansji. Zbudowali go Rzymianie. Nadal przydaje się, można się nim przeprawić przez rzekę.

Na trzech poziomach są arkady. Na najwyższym poziomie jest akwedukt, prowadził wodę ze źródeł w Uzès.

Czesław B. pisze o nim z podziwem. Zachwyca go kamienna konstrukcja, precyzyjny spadek akweduktu i mistrzostwo inżynierów.

W 1998 r. była powódź. Zniszczyła domy i drogi. Pont du Gard pozostał nietknięty.

Zobaczyłam most, bo nie było festiwalu w Awinionie. Zastrajkowali pracownicy i zabronili grania. Nawet próby były zakazane. Pilnowali nas i nie było „Dybuka” – opowieści An-skiego o nieszczęsnym kochanku ani mojej, o człowieku, w którym mieszkało dziecko, zamordowany brat.

Za to widziałam Prowansję.

No i ten most, który mnie wzruszył, nie wiem dlaczego. Może dlatego, że między łukami arkad płynęły obłoki – spokojne i doskonale obojętne na wszystko. Tutaj jestem, w Pont du Gard, zawołałam, bo musiałam się podzielić radością z całym światem. Z grupy turystów, która mijiała nas, ktoś odkrzyknął: – Ja też jestem! Ja też! Wołała dziewczyna w białej płócienną czapkę. Pomachałyśmy do siebie, obie nagle szczęśliwe, nie wiadomo dlaczego.

Opera w Sydney

Pół wieku.

Białe żagle rozpostarte nad morzem, gotowe do rejsu.

Nie mają wiele wspólnego z wnętrzem budowli.

I co z tego, że operę przerobiono na salę koncertową, a salę na operę. Co z tego. Było pięknie i jest. I o to chodziło.

Brasilia

Sześćdziesiąt lat. Kształt lecącego kondora. Pomnik architektury.

Czy miło jest żyć w pomniku? (zastanawia się Czesław B.).

Byłoby dobrze, gdyby budowano dla ludzi, nie dla mecenasów i twórców (refleksja Cz. B.).

Powstają dzieła głoszące chwałę architektów, pozbawione treści i obojętne dla ludzkich potrzeb (jak wyżej).

Osiedle Za Żelazną Bramą

Warszawa, pięćdziesiąt lat.

Dziewiętnaście bloków po trzysta-czterysta mieszkań. Małe pokoje, ślepe kuchnie. Dobrze, że łazienki są – był pomysł, żeby ubikacje były wspólne, na korytarzu.

Nad blokami unoszą się idee Le Corbusiera, więc też pomnik.

Czy miło jest żyć w pomniku?

Miło, jeśli są książki, pianino, a na pianinie zdjęcie kompozytora. Który oczy miał to smutne, to figlarne, opowiadała mieszkanka bloku Halina J. Ale smutne najczęściej.

Lubiła mówić o nim.

Pewnego dnia mówiła i mówiła, zbladła nagle i osunęła się na łóżko. Zrobili jej EKG i odesłali do szpitala.

Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy? – spytała po powrocie. Pamiętałam. O próbach powołania do życia ich syna – kompozytora i Haliny J. Już mieli imię – Gaspard, jak w utworze Ravela, ale próby spełzyły na niczym.

Opowiadałam za dokładnie, domyśliła się Halina J. Nie podobało mu się i dał mi to do zrozumienia.

Nie żył od wielu lat, ale bezbłędnie trafiał do bloku, jednego z dziewiętnastu.

Mijam czasami te bloki – szafy mamucie, jak się mówi o nich z pogardą, i wiem: dawno temu w jednej z szaf mieszkała kobieta. Która kochała kompozytora. Który chłopców kochał, nie ją.

Niestety. Pamięć o niespełnionych kochankach nie należy do historii architektury. ©

Czesław Bielecki „ArchiKod”, Warszawa 2021

O Domu Müllerów pisał w „Nie ma” Mariusz Szczygieł.

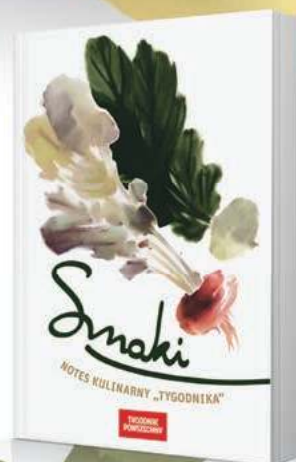
O Halinie – Anicie Janowskiej i Andrzeju Czajkowskim pisałam w „Hamlecie”, w „Fantomie bólu”.

TYGODNIK
POWSZECHNY



Po lekturze tego notesu
zwykła brukselka
stanie się arcydziełem,
a Ty kulinarnym
artystą.

ks. Adam Boniecki



Maharon z popiołem
Seksowny chłodnik
Karmelki truskawkowe

Jak zdobyć ten notes?
Sprawdź szczegóły
na III stronie okładki tego wydania

ŚWIECE, LINIJKI I SYRENY

Precyzyjne pomiary odległości są kluczowe dla naszego rozumienia kosmosu. Ale jak je wykonać, gdy światło gwiazd wędruje do nas przez miliardy lat, a przestrzeń nieustannie się rozszerza?

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

JAK NA STANDARDY MARSJAŃSKICH ŁAZIKÓW to wynik na miarę bolidu Formuły 1. Łazik Perseverance, który 18 lutego obchodzi rocznicę swojego lądowania na Marsie, w ubiegłym tygodniu w ciągu jednej doby pokonał 245,76 m, co jest zdecydowanym rekordem Czerwonej Planety. Od lądowania przejechał 3,34 km. Najwytrwalszy z marsjańskich wędrowców, Opportunity, pokonał nieco ponad 45 km, ale zabrało mu to ponad 14 lat. W obecnym tempie Perseverance dogoniłby go w pół roku.

Odległości na Marsie możemy mierzyć z centymetrową dokładnością. Łaziki i orbitujące wokół planety satelity są wyposażone w dziesiątki kamer, laserów i ra-

dary, które mogą zmierzyć i namierzyć każdy kamyczek na powierzchni naszej planety-sąsiadki. Odległość do samego Marsa w dowolnym momencie znamy z dokładnością do kilku metrów. Ale im dalej, tym trudniej. W przypadku większości kosmicznych pomiarów nie możemy po prostu posłać na miejsce robota z linijką. Kosmiczna geodezja to proces złożony i wymagający od astronomów wyjątkowej inwencji. Bo kosmos nieszczerze lubi być mierzony.

Gdzie radar nie sięga

„Kosmos jest wielki. Nie uwierzycie, jak ogromnie, osłupiająco wielki. Możecie myśleć, że do apteki na rogu jest daleko,

ale to pestka w porównaniu z kosmo-sem” – pisał w „Autostopem przez Galaktykę” Douglas Adams. Oszałamiające kosmiczne odległości były jednak czymś, co przeżywali nawet starożytni filozofowie.

Może nie Arystoteles, którego kosmos składał się z szeregu koncentrycznych sfer, jakie dziś uznalibyśmy za niemal klaustrofobiczne. Ale już Arystarch z Samos, twórca koncepcji heliocentrycznej, zakładał, że gwiazdy nie poruszają się po niebie wraz z ruchem Ziemi wokół Słońca, bo są tak niewyobrażalnie daleko, że orbita Ziemi mogłaby być z ich perspektywy punkcikiem. Nie ograniczył się do teoretyzowania. To właśnie Ary-

Satelita Gaia wykonuje pomiary przestrzeni kosmicznej od 2013 r. Wizualizacja urządzenia na tle Drogi Mlecznej.



EAST NEWS

starch jako pierwszy zmierzył pierwszą kosmiczną odległość. Posłużył się w tym jedną z ulubionych greckich nauk: geometrią.

Obserwując ruch cienia Ziemi podczas zaćmienia Księżyca, ustalili, że średnica Księżyca wynosi około 35 proc. średnicy Ziemi, a odległość między oboma ciałami niebieskimi to około 20 promieni Ziemi. Pomylił się niewiele: Księżyc jest nieco mniejszy (jego średnica to 27 proc. ziemskiej), a odległość od niego jest trzykrotnie większa, niż sądził. Błąd wynikał jednak z niedoskonałości instrumentów, a sama metoda była dobra. Jego następcy, m.in. Ptolemeusz, korzystając z precyzyjniejszych danych, uzyskali wyniki bar-

dzo zbliżone do dzisiejszych. I choć pomiary na większe odległości wychodziły gorzej – Ptolemeusz nie doszacował stokrotnie odległość Ziemi od Słońca – to już starożytni wiedzieli, że wszechświat jest bardzo, bardzo duży.

Mimo że dziś mamy o wiele precyzyjniejsze narzędzia do pomiaru odległości w naszym bezpośrednim sąsiedztwie – astronauta programu Apollo umieścili na powierzchni Księżyca reflektor odbijający promienie lasera, który pozwala mierzyć odległość z milimetrową precyzją, a ziemskie radary już w 1961 r. zmierzyły odległość od Wenus czy Marsa – to geometria pozostaje najbardziej niezawodną metodą mierzenia odległości tam,

gdzie radar nie sięga. Podstawowe narzędzie kosmicznej geodezji na niewielkie odległości to tzw. paralaksa.

Puszczanie oka do gwiazd

Paralaksę możemy sobie uwidocznić, patrząc na palec i zamykając raz jedno, raz drugie oko. Zobaczymy, że obraz palca zmienia swoje położenie na tle np. ściany – tłumaczy prof. Marek Biesiada, astronom z Narodowego Centrum Badań Jądrowych. – Coś podobnego powinno zachodzić dla gwiazd, gdy Ziemia obiega Słońce po swojej orbicie o promieniu 150 mln km. To powinno być zauważalne pod jednym warunkiem – że te gwiazdy są dostatecznie blisko. A w ostatnich dziesięcioleciach zrewidowaliśmy poglądy na to, co to jest „bliisko” – dodaje.

To prosta geometryczna sztuczka. Zaczynamy od dwukrotnego wyznaczenia położenia na nocnym niebie interesującego nas obiektu tak, aby te dwie obserwacje dokonywane były na przeciwnych punktach ziemskiej orbity: np. w czasie przesilenia zimowego i letniego. To odpowiednik oglądania tego samego palca najpierw jednym, a potem drugim okiem. Jeśli znamy odległość między dwoma punktami, z których prowadzimy obserwacje (dla przeciwnych punktów orbity jest to 300 mln km), i starannie odnotowujemy, o jaki kąt przemieścił się na nocnym niebie obserwowany obiekt, możemy obliczyć jego odległość za pomocą równań, których dziś uczą się dzieci w szkole podstawowej.

W przypadku planet w naszym układzie słonecznym nie trzeba nawet czekać pół roku na to, aż Ziemia znajdzie się po przeciwległej stronie Słońca. Do pomiaru odległości np. do Marsa wystarczy skorzystać z dwóch wystarczająco odległych obserwatoriów na Ziemi. Właśnie w ten sposób Giovanni Cassini i Jean Richer w 1673 r. zmierzili to, jak odległy jest Mars: obserwowali jego pozycję z Paryża i Gujany Francuskiej, uzyskując wynik z błędem zaledwie 7 proc.

Paralaksa ma jednak zasadnicze ograniczenie: im dalej, tym trudniej zaobserwować pozorne przesunięcie obserwowanego obiektu. Nawet najbliższa Ziemi ➔

→ gwiazda, Proxima Centauri, jest oddalona od nas o 41,5 bln km, co oznacza, że widziana z dwóch przeciwległych punktów ziemskiej orbity zmienia swoje położenie na niebie zaledwie o 0,0002 stopnia. To nie przeszkodziło jednak astronomom wykorzystać tej prostej i niezawodnej metody do zmierzenia za jej pomocą odległości do przeszło miliarda gwiazd w Drodze Mlecznej: wszystko dzięki bezprecedensowej precyzji satelity Gaia, która kosmiczną geodezję para się od 2013 r.

Tu jednak możliwości prowadzenia pomiarów tą metodą się wyczerpują. Nawet Andromeda, najbliższa Drodze Mlecznej galaktyka, leży 2,5 mln lat świetlnych od nas. Jej gwiazdy pozostają dla naszych teleskopów tak nieruchome, jakby były przybite do jednej ze sfer niebieskich Arystotelesa. Musimy więc wejść na kolejny szczebel czegoś, co naukowcy nazywają „kosmiczną drabiną odległości”. To złożony system metod, które pozwalają mierzyć kosmiczne odległości w kosmicznej skali. Błyskotliwych, czasem nieco szalonych pomysłów opartych na obserwacji egzotycznych zjawisk. System świec, li-nijk i syren.

Ostatni krzyk supernowej

– Wyobraźmy sobie stuwatową żarówkę. Gdy oświetlam nią biurko, jest bardzo jasno i przyjemnie. Gdybym kazał komuś odejść z nią na podwórko, nadal bym ją widział, ale stawałaby się coraz ciemniejsza – opowiada prof. Biesiada. – Skoro jednak wiem, że to jest stuwatowa żarówka, to mierząc jej jasność, mogę zmierzyć odległość do niej. To właśnie zasada, na jakiej opierają się tzw. świece standardowe – dodaje.

Problem w tym, że znalezienie we wszechświecie obiektów, które zawsze świecą z dokładnie taką samą jasnością, wcale nie jest prostym zadaniem. Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że każda z bilionów bilionów gwiazd ma własne cechy szczególne, indywidualne parametry i mniej czy bardziej przewidywalne humory. Po bliższym przyjrzeniu się niektórym z nich okaże się jednak, że są niewolnikami praw fizyki, które odziera ją z indywidualności.

– Jako pierwsze „świece standardowe” uznano gwiazdy zmienne zwane cefeidami. To gwiazdy pulsujące. A okres ich pulsacji jest ściśle związany z tym, ile promieniowania emitują w szczycie.

Supernowe typu Ia to wyjątkowe kosmiczne kataliklizmy. Są tak jasne, że przyćmiewają całe galaktyki.

I pozwalają astronomom
**mierzyć dystanse
do odległych obiektów.**

Mierząc okres pulsacji gwiazdy, możemy ustalić, jaka jest jej maksymalna jasność. A porównując to z jasnością, jaką obserwujemy, możemy zmierzyć jej odległość – wyjaśnia prof. Biesiada.

Znamy około 800 cefeid w Drodze Mlecznej i kilka tysięcy kolejnych w pobliskich galaktykach. Najdalsze, wypatrzone przez teleskop Hubble’a, są około 100 mln lat świetlnych od nas. Daleko – ale niewystarczająco daleko, by rozwiązywały problem. W dalszych galaktykach nawet te gwiazdne olbrzymy po prostu znikają w morzu światła. Tu z pomocą przychodzą inne świece standardowe. O ile w przypadku cefeid astronomowie mierzą tętno żyjącej gwiazdy, o tyle w przypadku tych drugich słuchają jej ostatniego krzyku.

To tzw. supernowe typu Ia. Wyjątkowe, kosmiczne kataklizmy, które powstają jedynie w ściśle określonych sytuacjach. Są jednak tak jasne, że przyćmiewają całe galaktyki, co pozwala astronomom mierzyć dystanse do obiektów odległych od nas nawet o 10 mld lat świetlnych.

Supernowa typu Ia pojawia się wyłącznie w układach podwójnych gwiazd, i to tylko wtedy, gdy gwiazdy dokonują swojego żywota w ściśle określony sposób. Najpierw pierwsza z nich, po przekształceniu całego wodorowego i helowego paliwa w węgiel i tlen, odrzuca zewnętrzne warstwy atmosfery i zmienia się w stygnącego, białego karła. Potem druga, podobna do Słońca gwiazda tzw. ciągu głównego zmienia się w olbrzyma. Jeśli urośnie wystarczająco, część jej materii zacznie „dokarmiać” sąsiada. Ale to bardzo niezdrawa dieta.

– Biały karzeł jest stabilny, dopóki jego masa nie przekroczy pewnej granicy kry-

tycznej. Wtedy następuje gwałtowny wybuch – mówi prof. Biesiada. – Taka eksplozja jest niesamowicie jasna. Widzimy te supernowe wyraźnie nawet w galaktykach, gdzie nie dostrzegamy pojedynczych gwiazd. A przez to, że ta krytyczna masa jest ustalona przez fundamentalne prawa fizyki i w zasadzie jest stała, jesteśmy w stanie dokładnie ustalić, jaka była maksymalna jasność supernowej – dodaje.

To zjawiska niezwykle rzadkie. W naszej galaktyce nie widzieliśmy żadnej supernowej od 1604 r. Ale przy miliardach galaktyk zawierających miliardy gwiazd każde, nawet najrzadsze zjawisko musi powtarzać się wystarczająco często.

Kandydat z daleka

W grudniu międzynarodowy zespół, w skład którego wchodził prof. Biesiada, zaproponował nowego kandydata na świecę standardową. Takiego, który byłby widoczny niemal z najdalszych otchłani wszechświata.

Chodzi o kwazary. Niezwykle aktywne i niezwykle jasne tzw. aktywne jądra galaktyk, które składają się z kolosalnej czarnej dziury ściągającej otaczającą ją materię. Wokół nich tworzy się gorąca korona, która emituje tak ogromne ilości energii, że czyni z kwazarów jedne z najjaśniejszych obiektów w całym wszechświecie. Korona emituje promieniowanie ultrafioletowe, ale to, zderzając się w pyłowej otoczce z elektronami, nabiera energii i zmienia się w promieniowanie Roentgena. Badacze wykazali, że analizując, jak jasno dany kwazar świeci w nadfiolecie, a jak jasno w promieniach rentgenowskich, można stworzyć model matematyczny, za pomocą którego jesteśmy w stanie obliczyć odległość obiektu. Dawałoby to nadzieję na zmierzenie odległości do najdalszych dających się zaobserwować obiektów, ponieważ kwazary powstawały już w bardzo młodym wszechświecie: nawet zaledwie kilkaset milionów lat po Wielkim Wybuchu.

– Istotne jest to, że kalibrując jasność kwazarów, nie musimy odwoływać się do modeli kosmologicznych – tłumaczy prof. Biesiada. – Opieramy się wyłącznie na danych, więc nie wpadamy w błędne koło, testując modele kosmologiczne przy pomocy pomiarów opartych na tych samych modelach.

Świece to jednak nie wszystko. W mierzeniu kosmosu przydają się także linijki. Również standardowe.

– Koncepcja linijki standardowej jest nieco podobna do paralaksy – mówi astronom. – Jeżeli mamy obiekt, którego rozmiar liniowy znamy, to mierząc jego rozmiar kątowy, czyli jak duży wydaje się na naszym niebie, jestem w stanie zmierzyć do niego odległość. Potrzebne tu są jednak obiekty, których fizyczny rozmiar potrafimy przewidzieć czy odgadnąć.

Jedną z takich metod rozwija prof. Grzegorz Pietrzyński z Uniwersytetu Warszawskiego. Opiera się ona na mierzeniu układów gwiazd podwójnych, z których jedna jest olbrzymem. Jasność olbrzyma może nam posłużyć do wyznaczenia jego rozmiaru kątowego. Kiedy gwiazdy okrążają się, czasem mogą znajdować się między swoim towarzyszem a nami, tworząc gwiazdne zaćmienia: powoduje to spadek blasku gwiazdy zakrywanej, z którego możemy wyliczyć jej faktyczny promień. A mając w rękę te dwie dane, możemy wyznaczać odległość, korzystając z gwiazdy jako linijki.

Podobnych metod, odwołujących się do „świec” i „linijek” jest w sumie kilkanaście. Kosmiczne odległości można mierzyć, badając minimalne zagęszczenia powstałe w towarzyszącym narodzinom wszechświata promieniowaniu mikrofalowym wypełniającym kosmos. Można korzystać z soczewek grawitacyjnych, w których masywne obiekty działają jak kosmiczne pryzmaty rozbijające światło odległych obiektów i tworzące miraż, w których te obiekty pojawiają się w kilku miejscach jednocześnie. Można posługiwać się obserwacjami odległych

grup galaktyk czy mgławic planetarnych. Najważniejsze jest to, że te metody często pokrywają się, pozwalając na wzajemną weryfikację pomiarów. To cenne, bo niespodzianki w astronomii nie są niczym niezwykłym. W ostatnich latach okazało się np., że niektóre „standardowe” supernowe ra wcale nie są aż tak przewidywalne i zdarzają się wśród nich dziwolaży zupełnie nieprzystające do modeli.

Pomiar na fali

Ostatnie lata przyniosły jednak nadzieję na to, że do arsenału kosmicznych geodetów dołączy jeszcze jedna broń: standardowe syreny, odwołujące się nie do obserwacji radiowych czy optycznych, ale do fal grawitacyjnych.

– Nazywamy je syrenami standardowymi, bo częstotliwości fal grawitacyjnych są zbliżone do fal dźwiękowych – wyjaśnia prof. Biesiada. – Niektóre obserwowane za pomocą obserwatoriów takich jak LIGO czy VIRGO fale mają taką ciekawą własność, że z tempa zmiany i amplitudy fal można ustalić masę układu i jego odległość od nas.

Nasze obserwatoria będą w stanie wykrywać za pomocą fal grawitacyjnych największe kosmiczne kataklizmy we wszechświecie – np. kolizje czarnych dziur czy gwiazd neutronowych zderzających się z prędkościami zbliżającymi się do prędkości światła. A dzięki wspólnym obserwacjom wykonywanym za pomocą tej nowej techniki i tradycyjnych obserwatoriów astronomowie będą mogli z większą precyzją ustalać nie tylko kosmiczne odległości, ale i podstawowe atrybuty wszechświata. Bo mimo naszych kolosalnych postępów miewamy z tym problemy.

Jednym z najważniejszych, i bezpośrednio związanym z kosmicznymi pomiarami odległości, jest wartość tzw. stałej Hubble’a – wartości mówiącej o tym, jak szybko w danym momencie rozszerza się wszechświat. Na razie różne metody pomiaru dają nieco inne wartości. Inne wyniki otrzymujemy, gdy opieramy się na standardowej „drabinie odległości”, wychodzącej np. od paralaksy i cefeid, a jeszcze inne, gdy mierzymy mikrofalowe echo Wielkiego Wybuchu. W rozwikłaniu tego problemu mogą pomóc m.in. nowatorskie metody wyznaczania odległości lub nowe, czulsze, dopiero planowane instrumenty. A tak prozaiczna z pozoru czynność jak mierzenie odległości może nam dostarczyć jeszcze wielu mocnych wrażeń.

– Jednym z największych wyzwania, jakie przed nami ciągle stoją, jest obserwacja tzw. dryfu redshiftu – mówi astronom. – Redshift, czyli przesunięcie ku czerwieni, polega na tym, że światło docierające do nas z oddalających się obiektów ma tym dłuższą falę, im większa jest prędkość tej ucieczki. Ale jako że wszechświat się rozszerza, ta wartość powinna zmieniać się w czasie, bo obiekty oddalają się coraz szybciej. Istnieją pierwsze zamysły stworzenia instrumentów tak czułych, że w ciągu dekady czy paru dekad zaobserwowałyby takie powolne „dryfowanie” zmierzonych już wcześniej redshiftów. Gdyby udało się nam stwierdzić, że po 10 latach przesunięcie ku czerwieni zmieniło się choćby o jedną miliardową, to murowana Nagroda Nobla. Będziemy mieli dosłownie nagranie rozszerzania się wszechświata.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Przed Sądem Rejonowym w Chełmie, I Wydział Cywilny, pod sygn. I Ns 659/21 toczy się postępowanie z wniosku Edmunda Fili z udziałem Zofii Fili o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie prawa własności nieruchomości grunтовой stanowiącej działkę o numerze ewidencyjnym 391/2, o pow. 0,50 ha, położonej w obrębie Wola Korybutowa Druga, województwo lubelskie, powiat chełmski, jednostka ewidencyjna 060311_5, Siedliszcze, dla której nie została założona księga wieczysta.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili i udowodnili swoje prawa do przedmiotowej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu, pod sygn. akt I Ns 652/21 toczy się postępowanie z wniosku Julii Zygmunta i Andrzeja Zygmunta z udziałem Gminy Tarnobrzeg i Skarbu Państwa – Starosty Powiatu Tarnobrzkiego o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonej w Tarnobrzegu gm. Tarnobrzeg oznaczonej jako działka ew. o nr. 1680, o pow. 0,1961 ha.

Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa do zgłoszenia w terminie trzech miesięcy swego udziału w sprawie wszystkich zainteresowanych prawnie wynikiem toczącego się postępowania. Jeśli we wskazanym terminie nikt się nie zgłosi albo zgłoszyszy się, własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

GORĄCZKA ŻŁOTA

Jonathan Franzen odkrył, że nic nie wzbudza w czytelnikach większej empatii wobec bohaterów powieści niż troska o ich stan finansów.

Nawet w czytelnikach wielkiej powieści.

MICHAŁ SOWIŃSKI

AMERYKAŃSKI PISARZ JOHN WILLIAM De Forest rozpętał burzę, która trwa już przeszło półtora wieku. Choć napisał kilkanaście popularnych w XIX w. książek, do historii przeszedł jako autor pojęcia „Wielka Powieść Amerykańska” (*Great American Novel*). Nie doprecyzował jednak, czym dokładnie dzieło tego typu miałoby się charakteryzować – po prostu na ogólnikach typu „uchwylenie esencji Ameryki” czy „narodowego charakteru”. I się zaczęło.

Powaga, z jaką wciąż dyskutuje się w USA na ten temat, może wprowadzić w lekkie zdumienie – pamiętajmy jednak, że i w Polsce na początku lat 90. wiele osób głośno domagało się kolejnej „Lalki”, panoramicznego obrazu nowej rzeczywistości i zamieszkujących ją ludzi. Nam już jakby przeszło, lecz w Stanach wciąż panuje owa godna pozazdroszczenia (piszę to bez ironii) wiara w moc powieści, dzięki której możemy zobaczyć i zrozumieć więcej świata.

Kolejnym wcieleniem Wielkiego Amerykańskiego Pisarza ma być Jonathan Franzen (tak się uważa od 20 lat). Wylądował na okładce tygodnika „Time” i wśród lektur polecanych przez prezydenta Baracka Obamę. Dlaczego? Odpowiedzi na to pytanie padały najróżniejsze, jednak jak refren powraca fraza „bo to autor naszych czasów” – co brzmi jak komunał z okładowego blurba, ale intensywność, z jaką chwyтали się jej kolejni najpoważniejsi nawet komentatorzy, jest intrygująca. Cóż to za duch dziejów, który znów nas nawiedził? I jaką pułapkę zmontował Franzen, że udało

mu się go schwytać (i przez dekady nie wypuścić)?

Kronikarz i prorok

Urodzony w 1959 r. w zapadłej części Środkowego Zachodu, pierwszą powieść „Dwudzieste siódme miasto” opublikował w 1988 r. Przed trzydziestką, gniewny i zbuntowany, zadziorny stylistycznie i lekko prowokacyjny – został przyjęty z entuzjazmem. Cztery lata później wydał kolejną powieść „Silny wstrząs”. Tym razem było gorzej. Krytycy kręcili nosami – że pretensjonalne i przekombinowane (mieli trochę racji...), a rozczarowani czytelnicy tylko wzruszyli ramionami i szybko zapomnieli. Innymi słowy – kłapa, kolejny dobrze rokujący pisarz wypalił się, zanim na dobre zabłysnął.

Gdyby chcieć wskazać najbardziej wyrazistą cechę charakteru Franzena, bez wątplenia byłby nią upór. Lata 90. wspomina on jako najtrudniejszą dekadę w swoim życiu: problemy finansowe, rozwód, choroba i śmierć ojca, potem matki. Jednak doświadczenia te powoli, ale systematycznie przekuwał w prozę – i tak przez dziewięć lat powstawała jego trzecia powieść, „Korekty”, wciąż chyba najwybitniejsza w jego dorobku i pod wieloma względami przełomowa. Dzięki niej momentalnie i jednogłośnie przez krytyków oraz czytelników został uznany za żyjącego klasyka (choć jeszcze nie Wielkiego Pisarza). Posypały się też nagrody, w tym ta najważniejsza, czyli National Book Award. Jakby tego było mało – książka miała premierę zaplanowaną na 11 września 2001 r. w Nowym Jorku...

Symbolika daty zrobiła swoje. W założeniu wielowątkowy obraz współczesnej klasy średniej momentalnie został odczytany jak punkt przełomowy – ostatni akord świata, który właśnie kończył się na zapętlonych obrazach nadawanych przez CNN. Jednocześnie wielu dostrzegło w tych niepozornych, ale jednocześnie niepokojących i pełnych napięcia perypetiach rodziny Lambertów zapowiedź nowej, burzliwej dekady. Franzen za jednym zamachem został kronikarzem i prorokiem Ameryki swoich czasów.

Kilka lat później, już po premierze następnej powieści zatytułowanej „Wolność”, dołączył do elitarnego grona pisarzy, których twarz znalazła się na okładce magazynu „Time”. Zdjęcie było zaskakujące zwyczajnie – kolejny lekko znudzony nowojorski intelektualista w dużych rogowych okularach. Podobnie enigmatyczny był podpis, który głosił, że zarówno autor (tu już oficjalnie nazywany Wielkim Amerykańskim Powieściopisarzem), jak i stworzone przez niego postaci nie wyróżniają się niczym szczególnym, a jednak „pokazują nam, jak dziś żyjemy”. Tak jakby źródła genialności tej prozy – instynktownie wyczuwanej przez wszystkich – pozostawały wielką zagadką.

Realista

Gdy pisze się portret wybitnego prozaika, zazwyczaj konieczna jest ostra selekcja cytatów, które planuje się wykorzystać – inaczej celne diagnozy społeczne albo zrzęczne metafory ujmujące istotę literatury zaczynają przystać w niebezpiecz-



MELISSA RENWICK / ZUMA PRESS / FORUM

Jonathan Franzen, Toronto, październik 2015 r.

nym tempie, grożąc ostatecznym rozsądzeniem tekstu. Z Franzenem jest jednak inaczej. Piękne i okrągłe zdania czy też fajerwerki stylistyczno-formalne to nie jego specjalność. Jeszcze gorzej wypada jako menadżer własnej marki – nie ma u niego żadnego uwodzenia czy mizdrzenia się do czytelników. Wywiadów udziela też niechętnie, a gdy już zgodzi się na rozmowę, jest zawsze skupiony i poważny. O mediach społecznościowych w ogóle nie ma

mowy, bo konsekwentnie uważa je za szkodliwe i oślepiające.

Tajemnica prozy Franzena polega bowiem na tym, że nie ma w niej żadnej tajemnicy – wielu osobom trudno się jednak pogodzić z faktem, że to po prostu autor olśniewająco i orzeźwiająco staroświecki, dla którego zarówno istota, jak i funkcja powieści zasadniczo nie zmieniły się od XIX wieku. Widać to wyraźnie zarówno w tych rzadkich sytuacjach, gdy opowiada

o tekstach innych autorów, jak również wtedy, gdy wymienia ulubionych pisarzy: Tolstoj, Dickens, Gertrude Stein. W „Korektach” (i kolejnych powieściach), zgodnie z zaleceniami tych prawodawców literackiego realizmu, nie koncentruje się na skomplikowanej fabule czy zaskakujących zwrotach akcji, tylko na budowaniu postaci. Wprowadzane na scenę niespiesznie i pojedynczo, z dbałością o najdrobniejsze szczegóły – później rozwijane →

→ i pogłębiane przez setki stron, ostatecznie konfrontowane i splatane ze sobą. Zamiast dokładnie planować trajektorię ich ruchów, woli starannie nakreślać napędzające je sprężyny, a potem przyglądać się, dokąd same zawędrują. W ten sposób powstaje zachwycająco gęsta i niejednoznaczna siatka nowych znaczeń, której na początku nawet sam autor nie był sobie w stanie do końca wyobrazić.

W „Korektach” mamy piątkę bohaterów – podstarzali rodzice i trójka dorosłych dzieci. Ojciec, uparty i zdystansowany, zdradzający pierwsze oznaki parkinsona. Matka, czuła i opiekuńcza, konsekwentnie wypierająca wszystko, co nie pasuje do wyidealizowanego obrazu jej rodziny. Starszy syn, makler giełdowy, dobry ojciec i mąż, choć zmagający się z depresją i kryzysem wieku. Młodszy syn, wiecznie splukany akademik z ciągłymi do artystycznej bohemy, chaotyczny i niedojrzały, który czasem jednak bywa szczęśliwy. Córka, oczko w głowie taty, słynna szefowa kuchni z masochistycznymi skłonnościami do komplikowania sobie życia prywatnego. Cel jest prosty – wszyscy mają się spotkać na wspólne, najprawdopodobniej ostatnie już w tym gronie Boże Narodzenie.

Oczywiście nic z tego nie wychodzi. Na przeszkodzie stają choroby, zdrady, bankructwa – jest intensywnie, ale z zachowaniem zasad prawdopodobieństwa. Brak tu konkluzji (ani – tym bardziej – moralów), dramaturgia momentami się zagęszcza, potem opada w łagodny, ale pozbawiony nadrzędnej struktury rytmem. Autora trudno dostrzec, bo skrupulatnie chowa się z narratorem tak wszechobecnym, a jednocześnie niewidzialnym, że nie powstydziłby się go sam Flaubert. Gołym okiem widać, że znajdujemy się na antypodach powieściowych rytuałów, odprawianych na śmietniskach nowoczesności.

Progresywny konserwatysta

Podstawowym założeniem nowoczesnej sztuki (a literatura zawsze była w tej kwestii w awangardzie) było nadążanie za coraz dynamiczniej zmieniającym się światem. Odpowiedzią na to wyzwanie były spektakularne – zarówno w swoich sukcesach, jak i porażkach – eksperymenty formalne, dzięki którym dziś trudno nawet wyobrazić sobie eksces, którego ktoś by już dawno temu nie wyperformował. Drugą stroną medalu były

oczywiście najróżniejsze nurty myślenia konserwatywnego, a ich przedstawiciele pokładali nadzieję wyłącznie w tym, co uniwersalne i ponadczasowe. Dynamika tego sporu z grubsza wytyczyła granice tego, co dziś rozumiemy pod pojęciem „sztuka”. Co jakiś czas zdarzają się jednak ekscentrycy, którzy idą w poprzek tych głębokich kolein.

Na poziomie fabularnym powieści Franzena wydają się bardzo zachowawcze – kolejne warianty tej samej opowieści o wzlotach i upadkach amerykańskich rodzin z prowincjonalnej klasy średniej. To jednak pozory, gdyż Franzen stosuje zmyślną (i jak widać, skuteczną) strategię ubierania tego, co nowe – a przez to niezrozumiałe i niepokojące – w klasyczną, dobrze oswojoną formę. W tym wypadku – rodzinnej sagi.

Co ciekawe, Franzen prywatnie nie jest człowiekiem przesadnie rodzinnym – rozwiedziony i bez dzieci – a jednak to właśnie rodzinę, i to wielodzietną oraz kilkupokoleniową, upatrzył sobie jako podstawową matrycę fabularną dla swojej prozy. Zapewne dlatego, że jej szczegółowa wiwisekcja jest jednocześnie sondowaniem głębokich i pierwotnych pokładów emocji, lęków i marzeń. Feeria egzystencjalnych barw rozbita na trzy podstawowe kolory, co do których z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy założyć, że są wspólne dla większości czytających. Ten krok wstecz rozszerza perspektywę, dzięki czemu pojawiać się mogą rzeczy nowe, dla których wcześniej brakowało języka.

Franzen to także mistrz budowania analogii. Postaci stworzone przez niego (nie tylko w obrębie jednej powieści) rymują się – wiele elementów ich osobowości i biografii się powtarza, co stanowi dobry punkt zaczepienia dla doświadczeń zupełnie nowych. To z kolei świetnie koresponduje z podstawowymi mechanizmami naszego poznania w ogóle – każdy, kto próbował wytłumaczyć kilkuletniemu dziecku jakiś bardziej skomplikowany problem czy zjawisko, wie, że ta żmudna metoda to jedyny sposób, aby w sobie miniwersum w końcu zamieniło się w społecznie komunikowalne uniwersum.

Makler w depresji

Częste i pouczające wycieczki na emocjonalne zaplecza kolejnych bohaterów to także najstarsza, bo opisywana już przez Arystotelesa pisarska sztuczka, służąca

zdobyciu uwagi czytelników. Wszystkie postaci Franzena są przy pierwszym spotkaniu mało sympatyczne albo nijakie. Wystarczy jednak sto stron, żeby w napięciu śledzić wszystkie ich życiowe rozterki. Szczegółowa receptura tego procesu jest dobrze znana, bo pochodzi wprost od XIX-wiecznych klasyków powieści, Franzen dokonał jednak bardzo ciekawego ulepszenia. Odkrył mianowicie, że nic nie wzbudza w czytelnikach większej empatii wobec fikcyjnych postaci niż troska o ich stan finansów.

Ten mechanizm również nie jest nowy – komu z nas nie krwawiło serce, gdy Wołkusi trwonili swój ciężko zarobiony majątek na dyrdymały? Franzen jednak poszedł dużo dalej – w każdej powieści pojawia się nie tylko mglista obietnica zdobycia olbrzymiego majątku, ale również szalona logika ekonomii, która konstytuuje naszą epokę. Nie tylko akcje podlegają tu giełdowym fluktuacjom, także serotonina i dopamina w mózgach bohaterów zaliczają hossy i bessy, podobnie jak ich aktywa i pasywa miłosno-erotyczne. Systemy wartości wielu postaci zbudowane są z kolei na tym, co upłynianiu i wymianie się wymyka (albo przynajmniej powinno).

To widmo współczesnej gorączki złota, które nawiedza właściwie wszystkich bohaterów Franzena, pozwala pośrednio (a przez to subtelniej) nakreślić społeczną panoramę współczesnej Ameryki. Trzymając się dalej „Korekt” – same pokoleniowe spory w definiowaniu pracy i wartości, jaką ze sobą niesie, doskonale obnażają miękkie podbrzusze nowoczesności. Warto przy tym zaznaczyć, że książka ma już prawie ćwierć wieku, a podczas lektury przypominają o tym właściwie wyłącznie archaiczne, przedsmartfonowe formy komunikacji.

Franzen ma też śmiałość operowania wysokooktanowymi metaforami – ryzykowna zabawa, która jemu akurat wychodzi znakomicie. No bo komu innemu uszłoby na sucho napisanie takiej powieści jak „Wolność”, w której każdy rozdział to kolejna próba zdefiniowania takiego słowa, jak to użyte w tytule? A Franzen pyta nas wprost – myślisz, że Patty jest naprawdę wolna? A Walter? Jeśli nie oni, to może Richard? A tak w ogóle – co to właściwie znaczy „być wolnym”? Warto sięgnąć po tę powieść choćby dlatego, żeby przypomnieć sobie, o jakie stawki powinna grać literatura.

Mistrz PR-u

Franzen-pisarz, który już za życia został okrzyknięty klasykiem amerykańskiej literatury, idealnie rozmija się z Franzenem-personą publiczną. W 2001 r., gdy nagle wychynął z pisarskiego czyścca, zasady społecznych gier wizerunkowych były znacznie prostsze niż dziś – a mimo to już wtedy nie potrafił się w nich odnaleźć. Oczywiście łatwo postawić zarzut, że to tylko wystudiowana poza, doskonale pasująca do jego XIX-wiecznego sznytu. Jeżeli tak jest w rzeczywistości, to jego zdolności aktorskie i piarowe dorównują tym pisarskim.

Można zresztą samemu wykonać test. Proszę uważnie odsłuchać słynny już wywiad udzielony NPR kilka tygodni po zamachach 11 września (i premierze książki). Słynny, bo za jego sprawą Oprah Winfrey – pierwszy raz w historii – publicznie wycofała zaproszenie do studia oraz anulowała swoją legendarną okładkową naklejkę-polecankę, która potrafi zwiększyć sprzedaż książki o kilkaset tysięcy egzemplarzy.

Cóż takiego powiedział Franzen, że tak rozsierdził najserdeczniejszą kobietę w USA? Stwierdził, że jest miło zaskoczony tym wyróżnieniem, ale również nieco zdziwiony, bo nie przypuszczał, że jego powieść spodoba się Winfrey, która do swojego programu zazwyczaj wybiera „bardziej kiczowate i sentymentalne” książki. Po pierwsze, to prawda. Po drugie, wyrwanymi z kontekstu wypowiedziami piekło debaty publicznej jest wybrukowane – a już wtedy mało kto miał cierpliwość słuchać 40-minutowych audycji o literaturze, zwłaszcza jeżeli prowadząca i jej gość mówią zdaniem wielokrotnie złożonymi.

W skrócie – Franzen otrzymał łatkę zarozumiałego bufona, do której wielu próbowało doszywać kolejne (coraz bardziej absurdałne): ksenofoba, mizogina, denialisty klimatycznego, który woli ratować ptaki niż osierocone w wyniku wojny iraakijskie dzieci... Jednocześnie przy każdej kolejnej powieści był wychwalany pod niebiosa – często przez tych samych krytyków, którzy wcześniej mieszały go z błotem. To szaleństwo zyskało nawet swoją nazwę: *Franzenfreude*.

O ile pierwsze piarowe potknięcia można wytłumaczyć ogólnym brakiem medialnego obycia, o tyle późniejsze burze nabierały mocy tyle przy aktywnym (choć raczej niewyrachowanym) udziale



Jego zdjęcie na okładce tygodnika „Time” było wyzywająco zwyczajne. A podpis głosił, że zarówno autor, jak i stworzone przez niego postaci nie wyróżniają się niczym szczególnym. Tak jakby źródła genialności prozy Franzena pozostawały zagadką dla wszystkich.

samego autora, który wrodzony dar wsadzania kija w sam środek mrowiska wyniósł do rangi sztuki. Najogólniej rzecz biorąc, w kwestiach ideologicznych pisarz ma serce bez wątplenia po mainstreamowej stronie, jednak jego poglądy w konkretnych kwestiach często idą pod prąd aktualnych mód i trendów w debacie publicznej. Choćby w kwestii katastrofy klimatycznej, którą uważa za nieuniknioną – nie podziela naiwnego optymizmu, że domowa segregacja śmieci albo wymiana żarówek na energooszczędne cokolwiek zmieni, zwłaszcza gdy w kwestii emisji gazów cieplarnianych w globalnej polityce od lat trwa impas. Albo gdy kręci nosem na elektrownie wiatrowe, które zabijają rocznie miliony ptaków (o jego pasji do ptaków „Tygodnik” coś wie, bo kiedy pisarz zgodził się być gościem naszego Festiwalu Conrada, poprosił o umożliwie-

nie mu obserwacji orzechówki; udało się – przyleciała).

Mitolog

Gdyby ktoś był zainteresowany szczegółami tej trwającej od ponad dwóch dekad wojny toczzonej przez uroczysto staroświeckiego oraz błyskotliwie złośliwego inteligenta z kolejnymi pokoleniami wyznawców czarno-białych ideologii, z łatwością znajdzie w internecie zaskakująco dużo materiałów poświęconych wyłącznie temu zjawisku. Być może już historycznemu, bo zeszłoroczna premiera powieści „Na rozdrożu” przebiegła znacznie spokojniej.

Ciekawe, bo to powieść wybitnie franzenowska – historia jednej rodziny opowiedziana z perspektywy jej poszczególnych członków. Są zdrady, ciemne namietności, depresja i kryzys wieku, poszukiwanie sensu życia – *the best of* ponad trzydziestoletniej kariery. Z jedną różnicą – akcja powieści rozgrywa się na początku lat 70., co nieco komplikuje obraz „autora naszych czasów”. Warto też zwrócić uwagę na tytuł trylogii, której „Na rozdrożu” jest pierwszą częścią – „Klucz do wszystkich mitologii”.

Franzen po raz pierwszy na poważnie dotyka problemu religii i duchowości. Wybrał lata 70., bo to epoka kluczowa dla historii Ameryki: koniec powojenowego optymizmu i złotej ery kapitalizmu, klęska w Wietnamie, Watergate – początek kryzysu, który, z pewnymi modyfikacjami, trwa do dziś. Sam Franzen przyznał też, że to najdalszy moment w dziejach, do którego potrafi świadomie sięgnąć pamięcią. Innymi słowy, mamy do czynienia z wielką, rozpisaną na trzy tomy opowieścią o narodzinach współczesnej Ameryki – summa jej kulturowego i duchowego dziedzictwa.

Jednocześnie wybór tytułu dla całego projektu, „Klucz do wszystkich mitologii”, to przecież żart – i to ponury, wymierzony zarówno w samego siebie, jak i w nas, czytelników. Jakby Franzen miał dość i abdykował z funkcji Wielkiego Pisarza. A może chce pójść jeszcze krok dalej: zostać jednocześnie mędrce i błaznem? Jeżeli w XXI wieku komukolwiek może udać się ta sztuka, to wyłącznie jemu.

© MICHAŁ SOWIŃSKI

Jonathan Franzen **NA ROZDROŻU**
przeł. Witold Kurylak
Sonia Draga, Katowice 2021

Idź i patrz

DARIUSZ KOSIŃSKI

Przedstawienie „Śmierć Jana Pawła II” będzie uwieralo wszystkich: czcicieli i prześmiewców, gorących ortodoksów i letnich liberałów, teatromanów i teatralnych turystów. Teatr śmierci powinien uwierać. Naprawdę strasznie będzie, kiedy przestanie.

WIEM, ŻE TRAKTuję TEATR ZBYT poważnie. Niektórych ludzi zajmujących się nim stale, zakulisowo, zawodowo i praktycznie zazwyczaj to śmieszny. Za dużo wiedzą, za dużo widzieli, żeby się tak przejmować. A mnie teatr wciąż wydaje się sprawą bardzo serio. Nieodmiennie szukam w nim doświadczeń i wiedzy dużego kalibru i ciężaru. Ale chyba nie tylko ja. Wbrew różnym kontrakcjom, teatr polski w tym, co ma znaczenie, co pozostaje, sam siebie traktuje zaskakująco poważnie. Szuka doświadczeń i wiedzy na tyle silnych, by mogły potwierdzić jego społeczną niezastępowalność.

Którym nie wystarczy

W tym szukaniu powagi od stuleci pozostaje w szczególnej relacji do najsolenniejszej instytucji rodzimego życia społecznego, jaką bez wątpienia jest Kościół rzymskokatolicki. Od czasu kontrreformacji to właśnie on w decydujący sposób naznacza estetykę i performatykę rodzimych wyobrażeń i praktyk dotyczących wielkiego serio. Choć Kościół sam stara się unikać jak ognia wszelkich skojarzeń z teatrem, to nie sposób nie przyznać, że właśnie jego przedstawienia i ceremonie są najtrwalszymi i najstarszymi odmianami teatru narodowego.

Z drugiej strony – co mniej oczywiste – katolicka liturgia podsiąka i przenika na różne sposoby to, co w polskim teatrze najoryginalniejsze, a bunt przeciwko symbolicznej władzy Kościoła, równie jak próba jej spożytkowania dla celów własnych, wyznaczają rwący, choć czasem ukryty jego nurt. Ostatnimi czasy w twórczych i pełnych napięcia relacjach wzajemnych dominuje właśnie bunt, czego dowodem choćby głośne „Radio Marii” w Teatrze Powszechnym w Warszawie – beczelnie prowo-

kacyjna fantazja na temat Polski bez katolicyzmu. Wszystko wskazuje na to, że ta fala będzie narastać. Nic w tym dziwnego – skoro sam Kościół dyskusji o swojej szczególnej pozycji i skutkach jednoznacznych politycznych wyborów podejmować nie chce, to teatr natychmiast w tę opuszczoną przestrzeń wchodzi, rzucając wyzwanie zbyt pewnemu sobie suwerenowi. Uciszenie go okrzykami nacjonalistycznych i pozwami legislacyjnych bojówek na niewiele się zda. W końcu trzeba będzie odpowiedzieć. Nie teatrowi, ale publiczności.

„Śmierć Jana Pawła II” w reżyserii Jakuba Skrzywanika i dramaturgii Pawła Dobrowolskiego w poznańskim Teatrze Polskim to zupełnie inne i nie Kościółowi rzucone wyzwanie, choć z łatwością może zostać uznane za kolejną prowokację czy świętokradztwo. Już choćby nagie męskie ciało reprezentujące Świętego Polskiego Papieża może być trudne do zniesienia dla czcicieli figury. Ale tym razem naprawdę bardzo trzeba uważać i zanim powie się cokolwiek – obejrzeć przedstawienie bez uprzedzeń. Ten spektakl jest równie niewygodny dla wszystkich. Owszem, wiernych oburzy zapewne odsłanianiem (dosłownym) cielesności Świętego. Ale licznym osobowościom uciekającym w memiczny śmiech od wszystkiego, co serio, sprawi kłopot i dosłownością śmierci cielesnej, i powagą kościelnego rytuału, i sformalizowaną, ale przecież niekwestionowaną duchową siłą jego modłów.

Bo Kościół wcale nie pojawia się na scenie Teatru Polskiego jako anachroniczna instytucja pełna pustych obrzędów. Jeśli jest w jego liturgii i procedurach teatralność, to ta rozumiana najbardziej ludzko, a dla mnie najszlachetniej – jako próba przebicia się ponad nieuchronną doczesność skazanego na zagładę ciała. „Śmierć



Jana Pawła II” rozgrywa się między biologicznym procesem zmierzania do śmierci a kulturowymi zabiegami o nadanie mu sensu. Między teatrem śmierci a teatrem przemiany otwiera przestrzeń, w której sami musimy wyznaczyć swoje miejsce.

Teatr śmierci

Tytuł spektaklu jest najdosłowniej konkretny – w ciągu stu minut oglądać będziemy śmierć Jana Pawła II (niesamowity Michał Kaleta) w jej kolejnych etapach i aspektach: od cielesnego umierania, przez rozpad życiowej osoby po procedury przekształcające trupa w świętego przodka.

Nie ukrywa się tu symptomów fizycznego rozpadu: ciekącej śliny, chrapliwego oddechu, zaburzeń fizjologii wymuszających przekraczanie granic intymności – wszystkich tych drobnych, a stopniowo narastających objawów kończącego się życia, które tak dobrze zna każdy, komu przyszło czuć przy odchodzących. Ale Skrzywanek i znakomity zespół aktorski zamiast na biologii umierania, skupiają się raczej na troskliwej drobiazgowości zabiegów czynionych wokół słabnącego ciała, które nie jest już



Premiera spektaklu „Śmierć Jana Pawła II”,
5 lutego 2022 r.

MAGDA HUECKEL / TEATR POLSKI

w stanie samo siebie kontrolować. Najdalej posuwa się w scenie, w jakiejś mierze oczekiwanej – przebierania pieluchomajtek. Zapewne będą widzowie, których ona oburzy lub po prostu zniesmaczy, rodząc podstawowe dla całego tego przedstawienia pytanie: „po co to pokazywać?”. Na najprostszym poziomie odpowiedź jest taka, że w procesie umierania troska o fizjologię i higienę wydalania stanowi jeden z najważniejszych i najpoważniejszych obowiązków. Jest też punktem granicznym – punktem przyjęcia odpowiedzialności i wejścia w sferę intymności.

Pokazanie tego przekroczenia w odniesieniu do Jana Pawła Wielkiego oznacza wzmocnienie naruszenia kulturowego tabu, a dla części widzów może być wręcz świętokradztwem. Ale w przedstawieniu nie ma ani cienia takiej tonacji – wszystkie zabiegi wokół umierającego ciała wykonywane są z profesjonalną troskliwością. Włoski Pielęgniarnik (Mariusz Adamski) zdaje się pozostawać ze swoim pacjentem w tej szczególnej relacji, dla której nie ma żadnego znaczenia, że zwraca się do niego „Santo Padre”. Jego działania są zawodowo precyzyjne, a zarazem wręcz czułe. Bo ten przedostatni

stan, w którym znajduje się umierający papież, jest dotkliwie ludzki i zarazem ma w sobie jakiś rodzaj świeckiej świętości człowieczeństwa rozebranego z roli, z kostiumu, ze scenariusza. Sądzę, że realizatorzy właśnie dlatego odwołali się do śmierci Jana Pawła II, żeby tę zupełnie inną świętość, daną w chwili odchodzenia każdemu z nas, wydobyć spod czczonej w każdej parafii figury.

Z szat obnażanie

Przedstawienie zaczyna się od rekonstrukcji niedzieli wielkanocnej 2005 r. i od ostatnich prób papieskich sekretarzy, którzy łudzili się, że Jan Paweł II wygłosi wielkanocne orędzie. Nie wygłosi. Nie jest w stanie pełnić już roli, którą wykonywał z oddaniem tyle lat i której nadał nowe znaczenie i moc. W relacjach z tych ostatnich dni wielokrotnie to podkreślano – oto były aktor, Karol Wojtyła, który dał się poznać światu jako papież Jan Paweł II, wielki performer Kościoła, histrion Dobrej Nowiny doby globalnego widowiska, nie może już wystąpić na wielkiej scenie, którą sam tworzył. Nie dobędzie głosu, który dawał życie słowom zmieniającym obraz ziemi. Tej ziemi.

Ale tego superteatralnego wątku Skrzywanek też nie akcentuje. Zamiast tego klarownie i spokojnie pokazuje przebieg wypadków, które niejako same układają się w znaczące napięcia. Jest niedziela wielkanocna, więc przychodzący do umierającego papieża z radością zwiastują mu Zmartwychwstanie, a reżyser i aktorzy nawet niuansami tonu nie usiłują nadać temu kontrastowi ironicznego wydźwięku. Powstrzymują się też przed wszelką jednoznaczną interpretacją ambiwalentnej przeciwieństwa roli „Don Stanisłao”. Kardynał Dziwisz (Andrzej Szubski) wprowadzie najdłuższe usiłowanie podtrzymać rozpadającą się iluzję trwałości roli „Polskiego Papieża” (najwyraźniej to widać w scenie poświęcenia koron dla obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej), ale w tej walce o podtrzymanie postaci jest tyleż polityki instytucjonalnej, ile troski o przyjaciela, dla którego ta rola była ważna i któremu była droga. Szubski jako sekretarz papieża jest wprowadzie suchy i zdystansowany, ale właśnie dlatego nie sposób jednoznacznie zinterpretować jego intencji i zachowania.

Szczególnie mocno ta niejednoznaczność brzmi w scenie ostatniego namaszczenia, kiedy po raz pierwszy w przedstawieniu pojawia się solenna pewność religijnego rytuału. Jej uosobieniem jest właśnie kardynał Dziwisz. Gdy papież prosi, by „pozwolono mu odejść do domu Ojca”, jego sekretarz z całą powagą odprawia liturgię sakramentu chorych. W kontraście do lekarzy coraz bardziej bezradnych wobec nieuchronnej śmierci, Kościół pojawia się jako wspólnota mogąca udzielić godnej odpowiedzi. Rytuał daje pewność tego, co trzeba zrobić, i w ten sposób nie tylko chroni przed bezradnością, ale też pozwala przekroczyć cielesną doczesność umierania.

Ta moc religijnych odpowiedzi uderza najsilniej w może najbardziej niesamowitej scenie przedstawienia – scenie zasadniczo nieprzedstawialnej i dlatego tytułowej. Milkną maszyny mierzące czynności życiowe, ekrany wyświetlają zero. Papieski lekarz (Piotr Kaźmierczak) nie ma już nic do zrobienia poza stwierdzeniem zgonu. I wtedy – zgodnie z relacjami świadków – nie kto inny, tylko kardynał Dziwisz zapala jasne światło nad umarłym i intonuje pochwalne „Te Deum”. ➔

→ „Ciebie Boga wychwalamy” – śpiewa początkowo sam, ale wkrótce dołącza do niego ksiądz Mieczysław Mokrzycki (Piotr B. Dąbrowski) i dwie towarzyszące umieraniu papieża siostry (Barbara Krasieńska, Monika Roszko). Głosy nie są potężne, raczej drżące od emocji, ale pieśń ma siłę. Szczególną wtedy, gdy ostatnią zwrotkę śpiewa już tylko najmłodsza siostra. Na chwilę musi zapaść ciemność.

Wystawianie

Ale to nie jest koniec. Kolejny etap śmierci stanowi to, co najskrzętniej ukrywane, o czym mówi się rzadko i pod uczenie brzmiącymi kryptonimami. Tanatopraksja i tanatokosmetyka. Nagie ciało wypełniane substancjami chemicznymi mającymi zapewnić tkankom utraconą w chwili śmierci sprężystość. Twarz malowana, by przykryć ślady rozpadu.

Przekształcenie trupa w relikwie dokonuje się znów poprzez rytuał Kościoła – z chórem i łacińskimi sekwencjami. Ciało, które przed chwilą oglądaliśmy obnażone w bezradności wobec zgonu, zostaje przemienione w znaną ze zdjęć figurę w szatach pontyfikalnych. Ten umarły papież już czekający na świętość zostaje po ostatecznym oznajmieniu jego śmierci oficjalnie wystawiony jako obiekt kultu.

Następuje zwrot, który muszę ujawnić (*spoiler alert!*), choć wiem, że przygotowaniu na niego widzowie nie będą reagowali tak jak ci, dla których był zaskoczeniem. Gdy liturgia się kończy, Piotr B. Dąbrowski podchodzi do rampy i zaprasza... nie – zezwala widzom na podejście do Umarłego. „Przecież po to tu przyszliście – zdaje się mówić. – Chcieliście zobaczyć śmierć Jana Pawła II. Oto ona – teraz to wy macie coś z nią zrobić”.

Brzmi to jak trick i sprytna prowokacja, ale jest logicznym finałem całego przedstawienia. Równowaga, ukazanie złożoności i wielostronności konstruktów budowanych na (nie)realności śmierci, po-

Po co pokazuje się w teatrze śmierć papieża?

Żeby zmierzyć się ze złożonością i tej konkretnej śmierci, i także każdej z tych ponad 103 tysięcy, które przesłaniamy pandemiczną statystyką.

woduje, że cały czas – także w mojej relacji – pojawia się odwołanie do tego, co może pomyśleć, jak może zareagować ta czy inna część publiczności. Czyli, innymi słowy, do tego, co my – oglądający (a może nawet świadkowie?) zrobimy ze śmiercią Jana Pawła II.

O tym, co już z nią zrobili ci, którzy pamiętają wieczór 2 kwietnia 2005 r., dowiadujemy się z filmowych wywiadów wyświetlanych na ekranie-kurtynie pomiędzy kolejnymi sekwencjami przedstawienia. Dla młodszych 21.37 to mem, z którego dziś się tylko śmieją, choć siedemnaście lat temu zapisywali w nastoletnich pamiętnikach swoją rozpacz. Dla starszych – emocjonalne wspomnienie wypowiadane w nieporadny sposób, który wśród premierowej publiczności wywoływał podejrzenie ochoczy śmiech. Relacje wideo odwołują się oczywiście do tego, co zrobiliśmy z tamtym doświadczeniem, i tego, jak niewiele zostało po szumnych zapowiedziach moralnego przełomu i pokolenia JP II.

Ale nagrane na wideo wypowiedzi widzów wydarzeń z 2005 r. służą czemuś ważniejszemu niż powierzchownie krytyczna i w sumie dość banalna konstatacja, że śmierć Jana Pawła II nie przemieniła Polski i Polaków. Wskazują bowiem na zasadnicze i wcale nieoczywiste cen-

trum tego już nie przedstawienia, ale wydarzenia i doświadczenia teatralnego, jakie przygotowała ekipa Jakuba Skrzywanka.

To od publiczności przychodzącej do Teatru Polskiego zależy, czym (czy w ogóle czymś?) stanie się dla niej dziś „Śmierć Jana Pawła II”. Sama kompozycja teatralna konsekwentnie nie podsuwa żadnego sposobu rozumienia tego wydarzenia. Jeśli będzie skandalem – uczynią go takim widzowie. Jeśli stanie się obiektem parareligijnego kultu (tak, takie reakcje też są możliwe, choć rama „lewicowego teatru” pewnie skutecznie je zablokuje) – to również przez widzów. Bo na pytanie, po co pokazuje się w teatrze śmierć papieża, odpowiedź jest chyba taka – żeby jeszcze raz zmierzyć się ze złożonością i tej konkretnej śmierci, którą tak szybko ukryliśmy w monumentach, i każdej śmierci – także każdej z tych ponad 103 tysięcy, które przesłaniamy pandemiczną statystyką.

I właśnie dlatego tak logiczny i konsekwentny jest finał z zaproszeniem widzów, by podchodzili do Umarłego. To oczywiście pułapka bardzo dwuznaczna – zarazem potwierdzenie siły teatru i jego przekroczenie. Teatr odwraca się ku publiczności i zadaje jej podstawowe pytanie, które nagle formułuje mi się w ewangeliczny cytat: „Ale coście wyszli zobaczyć?”.

Nie wszedłem na scenę Teatru Polskiego. Niemal natychmiast, odruchowo wiedziałem, że nie wejdę, choć równie odruchowo byłem wdzięczny Skrzywankowi, że kończy przedstawienie w sposób blokujący konwencjonalne brawa (a jednak na premierze ktoś zaklaskał!). Jak najszybciej chciałem wyjść z teatru. Nie, nie dlatego, że mnie oburzyli widzowie zmierzający ku „papieżowi”. Ich dobre prawo. I nie dlatego, że kiedyś w Watykanie słyszałem pełne przejęcia głosy ludzi śpiewających przy grobie Jana Pawła II tę samą „Barkę”, z której śmiała się dziewczyna opowiadająca swoje wspomnienia na filmie. Jej dobre prawo.

Nie wszedłem na scenę nie z powodu papieża, wiary czy Kościoła. Nie wszedłem z powodu teatru. Miałem poczucie, że tym razem coś się w nim stało naprawdę i że moim wejściem na scenę paradoksalnie tej rzeczywistości zaprzeczę. Dziwne? Czyż nie mówiłem, że traktuję teatr zbyt poważnie? Po tym spektaklu tym bardziej nie potrafię inaczej.

© DARIUSZ KOŚCIŃSKI

Przed Sądem Rejonowym w Jaśle, pod sygn. akt I Ns 438/20, z wniosku Lidii Kosiek i Franciszka Kośka zam. w Osobnicy toczy się postępowanie o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonych w Osobnicy stanowiących działki nr 1050, 1066/2, 1076, 1095 i 1131, stanowiących pierwotnie własność nieżyjącego Stanisława Bągla, s. Jakuba i Katarzyny.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, a w szczególności następców prawnych zmarłego Zbigniewa Bągla, s. Stanisława, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili i wzięli udział w sprawie, gdyż w przeciwnym razie mogą utracić prawo do ww. nieruchomości.

OGŁOSZENIE



NETFLIX MATERIALY PRASOWE

Amybeth McNulty jako Anne w serialu „Ania, nie Anna”, Netflix 2017 r.

Nie dla dziewczynek

PIOTR OCZKO, BADACZ LITERATURY:

Po II wojnie wiejskie dziewczyny, harujące dotąd w gospodarstwach albo jako służące, dostały możliwość kształcenia się. Anne Shirley jak nikt nadawała się na wzorzec osobowy, dawała nadzieję i budziła aspiracje.

PIOTR OCZKO: Od razu zaznaczam, że to ukochana książka mojego dzieciństwa. W podstawówce, razem z Agnieszką i Elą mieliśmy nawet trzyosobowy tajny klub miłośników „Ani z Zielonego Wzgórza”. Jest taki rodzaj małych chłopców, którzy lubią czytać książki dla dziewczynek... Długo się tego wstydziałem, do tego stopnia, że gdy studiowałem anglistykę i prowadząca zajęcia spytała, w jakiej książce dla dzieci bohaterki odgrywają poemat Tennysona, nie przyznałem się, że wiem. Do „Ani” wróciłem po latach, jako dojrzały facet, i wtedy wydała mi się niesłychanie egzaltowana i pretensjonalna.

MONIKA OCHĘDOWSKA: Cóż, dla mnie była taka od zawsze.

Jest taka w polskim przekładzie Rozalii Bernsteinowej z 1911 roku, datowanym na 1912, z którym zapewne miałś do czynienia. Ale dla mnie właśnie od tego dorosłego wrażenia pretensjonalności rozpoczęła się naukowa przygoda z Anne Shirley.

Dlaczego?

Z wielu powodów. Po pierwsze – jest to książka formacyjna dla wielu pokoleń polskich kobiet, i nie tylko. Po drugie, kwestia przekładów. Sam pierwszy tom cyklu ma ich w tej chwili w Polsce

siedemnaście, wliczając jedno „opracowanie literackie”. Jednocześnie pełnych tłumaczeń „Hamleta” (licząc od końca XVIII w.) mamy dwadzieścia – już samo to zestawienie chyba coś mówi.

Ogromne emocje wzbudza właśnie najnowszy przekład Anny Bańkowskiej, już ze względu na samą zmianę tytułu. Nie dość, że zamiast Ani mamy „Anne”, to jeszcze jest ona nie z „Zielonego Wzgórza”, a z jakichś „Szczytów”.

Choć twórczość Lucy Maud Montgomery jest literaturą drugo-, a nawet trzeciorzędą pod względem artystycznym, nie jest to bynajmniej powód, żeby się nią nie zajmować i nie emocjonować. Takie powieści dają wgląd w mentalność czytelniczek i czytelników, dlatego zasługują na szczególną uwagę badaczek i badaczy. Jako przykład przywołam tylko świetne posłowie prof. Teresy Walas do pierwszego powojennego wydania „Trędowatej”.

Ale ustalmy, skąd przyjechała do nas Ania – ze wzgórz czy ze szczytów?

Przed wszystkim ze Szwecji. Odkryłem, że pierwsza tłumaczka, Rozalia ➔

→ Bernsteinowa (choć co do jej imienia nie mamy pewności), przełożyła powieść ze szwedzkiego przekładu Karin Jensen z 1909 roku pt. „Anne på Grönkulla”. Bernsteinowa miała oczywiście oryginał angielski na podorzędziu, ale analiza porównawcza pokazuje, że to tekst szwedzki był dla niej głównym punktem odniesienia. Ze szwedzkiego wziął się także ten poetycki tytuł – „Ania z Zielonego Wzgórza”. Po angielsku jest to rzeczywiście „Anne z Zielonych Szczytów”, czyli z domu o zielonych spadziowych dachach, jak precyzyjnie oddała to Bańkowska.

Dlaczego „Ania” została przetłumaczona akurat ze szwedzkiego?

Zacznijmy od tłumaczki. Bernsteinowa była polską Żydówką. W publikacjach jej imię skracano zawsze do inicjału R., bibliografie literackie rozszerzają go na Rachel, Rozalię lub Różę. Najbardziej wiarygodna jest tzw. bibliografia Bara z lat 40. XX w., w której Bernsteinowa figuruje jako Rozalia. Ktoś ją musiał jeszcze wtedy pamiętać i dlatego tak rozszyfrował inicjał.

Czego jeszcze o niej nie wiadomo?

Z czasem domysły na temat tożsamości Bernsteinowej urosły w kręgach polskich wielbicieli i wielbicieli „Ani z Zielonego Wzgórza” do rangi hipotez na temat autorstwa dzieł Szekspira i dowodzenia, że dramaturg był kobietą. Raz po raz pojawiają się sensacyjne przypuszczenia: Bernsteinowa to pseudonim, tłumaczka była mężczyzną itp. Nie udało się znaleźć wzmianek na jej temat w polskich

Montgomery nie poucza swoich czytelniczek. Jej Anne jest impulsywną indywidualistką, aspirującą literatką i intelektualistką.

Na tle wiejskiej społeczności Avonlea jawi się jako Inna.

listach i pamiętnikach z epoki, a archiwa wydawnictw zaginęły. Jestem niemal pewien, że odpowiedź kryje się w piśmiennictwie w języku jidysz.

Dziś wiemy o niej tyle, że tłumaczyła z niemieckiego, duńskiego, szwedzkiego i norweskiego. A to dlatego, że literatura skandynawska była wówczas bardzo popularna, przyczyniła się do tego nagroda noblowska. Jednocześnie języki skandynawskie są do siebie dosyć podobne i znając jeden, nietrudno jest czytać w pozostałych, a nawet z nich tłumaczyć.

Jak Bernsteinowa poradziła sobie zatem z „Anią”?

Zmieniła nie tylko tytuł książki. Jej ingerencja była o wiele bardziej znacząca, zwłaszcza jeśli chodzi o późniejszy odbiór powieści. Tłumaczka swój przekład znaturalizowała, czyli dostosowała go do rodzimych realiów i oczekiwań ówczesnych odbiorców. Przełożyła na polski angielskie nazwy miejscowe i imiona bohaterów (Mateusz, Maryla, Karolek,

Janka), niektóre imiona zmieniła (Rachel Lynde stała się Małgorzatą Linde). Farmy są u niej „dworkami”, a pastorzy księżmi. Opuściła wiele ustępów odwołujących się do kanadyjskiej rzeczywistości społecznej i kultury, jak również liczne nawiązania do literatury angielskiej. Przede wszystkim zmieniła jednak styl powieści, w miejsce ironii, humoru czy dystansu narratora pojawiły się irytujące z dzisiejszego punktu widzenia emfaza, egzaltacja i sentymentalny rys. Nie możemy jej jednak za to winić – tak wówczas tłumaczono i spolszczano. Bernsteinowa osłabiła również fragmenty, które dzisiaj odczytalibyśmy jako szokujące.

Na przykład?

Weźmy rozdział, w którym bohaterka piecze ciasto na wizytę pastorstwa Allanów i przez pomyłkę dodaje do niego lekarstwo zamiast aromatu waniliowego. U Bernsteinowej są to krople walerianowe, a ów wyczyn kulinarny kończy się tak: „Tak, tak, ale oto teraz pójdz raczej zanieść to ciasto dla wieprzków – rzekła Maryla. – Żaden człowiek nie potrafiłby tego przełknąć”. U Bańkowskiej mamy anodynę na ból stawów i czytamy: „Dobrze, to teraz zanieś ten tort świniom – zmieniła temat Marilla. – On się nie nadaje nawet dla Jerry’ego Buote’a”.

O co tu chodzi?

Jerry był wynajętym przez Cuthbertów parobkiem, najprawdopodobniej sierotą z Francji – dzieci takie „importowano” do Kanady jako tanią siłę roboczą, w domowej hierarchii sytuującą się tylko nieco wyżej od inwentarza. Gdyby Anne była chłopcem, jej los byłby pewnie podobny. Zresztą, kiedy powieściowy cykl Montgomery czytać uważnie, okaże się, że świat przedstawiony wcale nie jest taki bezpieczny, ciepły i optymistyczny. Sporo tam trupów w szafach, sfrustrowanych starych panien, zadawnionych urazów, walk o władzę, przemocy psychicznej czy tłumionej nienawiści.

Jak „Ania” została przyjęta w Polsce?

Bardzo dobrze! Przed wojną sam pierwszy tom cyklu miał siedem wydań i doczekał się licznych recenzji i wzmianek w prasie. W latach 30. Maria Dunin-Kozicka opublikowała też daleko inspirowaną powieścią trylogię, endecką w duchu „Anię z Lechickich Pól”. Po wojnie

8 lutego 2022 r. zmarła

Ś.†P.

Barbara Sowińska

Ukochana Matka, Babcia, Teściowa i Prababcia

Przeżyła 84 lata.

Msza żałobna odprawiona zostanie 18 lutego 2022 r. o godz. 14.00 w kościele pw. Narodzenia NMP i św. Michała Archaniola w Kurowie, po czym nastąpi odprowadzenie do grobu na cmentarzu parafialnym.

O czym zawiadamia

POGRAŻONA W ŻAŁOBIE RODZINA

POŻEGNANIE

powieść (przeredagowaną i uwspółcześnioną przez Dżennet Połtorzycką) wydała w 1956 r. Nasza Księgarnia. Moja babcia Adela stała wówczas po tę książkę w kolejce do krakowskiej księgarni przy ul. Stradom, a następnie przyniosła ją mojej mamie na dużej przerwie do szkoły na Bernardyńskiej, czyniąc ją w ten sposób bohaterką dnia!

Skąd u nas taka popularność przygód kanadyjskiej rudej sierotki?

Ani przed wojną, ani długo po wojnie nie było równie atrakcyjnych powieści dla dziewcząt. Te, które istniały, epatowały natrętnym dydaktyzmem, występował w nich też pewien wyraźny schemat fabularny. Niegrzeczna, krnąbrna bohaterka manifestująca indywidualizm i niezależność ponosiła zasłużoną karę (najczęściej utratę majątku i pozycji społecznej), odbywała pokutę, w trakcie której zdawała sobie sprawę z błędów, i dostosowywała się do patriarchalnych, genderowych norm, wreszcie otrzymywała nagrodę w postaci męża – milionera lub arystokraty. Widzimy to na przykład w „Małej księżniczce” Frances Hodgson Burnett czy w „Księżniczce” Zofii Urbanowskiej. Bohaterka powieści dla dziewcząt bywała też altruistką poświęcającą się dla innych, szerzącą dobroć „Pollyanną” Eleanor Porter albo „Heidi” Johanny Spyri.

Ten schemat Montgomery łamie, nie poucza swoich czytelników. Jej Anne Shirley jest impulsywną indywidualistką, aspirującą literatką i intelektualistką. Mało tego, na tle wiejskiej społeczności Avonlea jawi się jako Inna, wyalienowana outsiderka i dziwaczka. To Gilbert musi udowodniać, że jest wart dziewczyny, którą kiedyś obraził...

...nazywając jej warkocz marchewką, gałgan!

Po drugie, za popularnością książki stoi chyba pewien nasz anglosaski kompleks lub fantazmat. Przykładem niech będzie niezwykle niedługo pożytność „Sagiego rodu Forsyte’ów” Johna Galsworthy’ego. „Anne of Green Gables” to przecież powieść późnowiktoriańska, literacka prawnuczka „Dziwnych losów Jane Eyre”. W latach 80. XX w. głód anglosaskiej literatury dla dziewcząt był tak wielki, że moja szkolna koleżanka przepisała sobie do brulionu powieść Pameli Brown „Mały świat na Cromwell Road”.



MARCIN BARCZYK / ARCHIWUM PRYWATNE

PIOTR OCZO jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Opublikował 25 książek, w tym 10 monografii. Ostatnio ukazał się jego zbiór esejów „Pocztówka z Mokum. 21 opowieści o Holandii”.

O kserach nikt wtedy jeszcze nie słyszał.

Po trzecie, to opowieść o sierocie, czyli temat niezwykle chętnie podejmowany w literaturze polskiej. Na dodatek, za sprawą poczynionych przez Bernsteinową zmian, Shirley jawiła się też poniekąd jako mała polska ziemianka, dziewczę z dworku. Co z tego, że rude, a nie jasnowłose i niebieskookie.

Jaka w takim razie naprawdę jest Anne Shirley?

Przed wszystkim „Anne...” nie jest książką dla dziewczynek. Należy do gatunku *college girl literature*, amerykańskich i kanadyjskich powieści, które czytały młode, ambitne, kształcące się i emancypujące kobiety w wieku ok. 16-20 lat. Cykl o Shirley to rzecz o potężnej kobiecej edukacji, opowieść o sierocie ze wsi, która kończy uniwersytet!

Akcja pierwszego tomu, opublikowanego w 1908 roku, toczy się w latach 80. XIX w. Dla porównania, pierwsze studentki, przyszłe farmaceutki, Uniwersytet Jagielloński przyjmie dopiero w 1894 roku i nie będą to bynajmniej chłopki z galicyjskich wsi.

Dobrze, ale jak ta opowieść przekładała się na nasze polskie realia?

Bardzo się przekładała. Po II wojnie wiejskie dziewczyny, harujące w gospodarstwach, pasące krowy i mogące liczyć na najwyżej kilka klas szkoły podstawowej, a potem na zostanie służącą w mieście, dostały możliwość kształcenia się. Shirley jak nikt nadawała się na wzorec osobowy, dawała nadzieję i budziła aspiracje.

Feminizm z Green Gables?

To temat na dłuższą rozmowę. Feministycznych odczytań powieści, czasem bardzo zniuansowanych, artykułów i monografii jest dzisiaj ponad setka. Podam dwa przykłady. Powieściowca Rachel Lynde zauważa, że dziewczęta nie powinny studiować z mężczyznami i zwracać sobie głowy bzdurami, bezużyteczną łaciną lub greką. Shirley odpowiada jej, że „nie ma powołania do robót”, czyli szycia, haftowania i dziergania, a następnie w zawołowany sposób ujawnia to, co czyta. A czyta powieści Marietty Holley, amerykańskiej satyryczki i emancypantki, zagorzałej orędowniczki praw kobiet.

Drugi przykład jest jak na owe czasy tak rewolucyjny, że niemal bluźnierczy. Shirley deklaruje: „Gdybym była mężczyzną, też chciałabym zostać pastorem” i następnie przedstawia słuszne argumenty na rzecz ordynowania kobiet. W zachodnich denominacjach protestanckich to dziś oczywistość, prymaską Kościoła Szwecji jest obecnie kobieta, Antje Jackelén. Co prawda niektóre amerykańskie wspólnoty miały pastorki już w XIX w., ale były to wyjątki, powszechnie uznawane za robotę szatana. Spytałbym: ile mamy teraz w polskich, katolickich parafiach dziewczyn ministrantek?

Pyskata Shirley nie wychowała sobie jednak w Polsce feministek.

I tak, i nie. Pierwotnie powieść Montgomery te dążenia wspierała, ale czasy i świadomość się zmieniały. Wiele Polek zatrzymało się na poziomie bezpiecznej i niesubwersywnej emancypacji z epoki „kanonicznego” przekładu Bernsteinowej, modelu kobiecości konserwatywnej, anachronicznej, by użyć krzywdzącego stereotypu – „nauczycielkowej”. Mało kto zdaje sobie jednak sprawę, że nauczycielka z przełomu XIX i XX w. to przecież potężna figura →

→ emancypacyjna. I myślę, że awantura o „Anne z Zielonych Szczytów”, czyli o przekład Anny Bańkowskiej, bierze się właśnie z tego, że zburzył on pewien utrwalony, sentymentalny mit odbioru powieści. Zburzył dobre samopoczucie czytelniczek, które w tę książkę bardzo wiele emocjonalnie zainwestowały.

Co jeszcze dostajemy dzięki nowej Anne?

Moim zdaniem jest to przekład świetny, nowoczesny, wierny oryginałowi. Mogą do niego sięgnąć dorośli czytelnicy, którzy bohaterki do tej pory, całkiem zresztą słusznie, tak jak ty, nie znosili. To książka-lustro, w którym wciąż odbijają się nasze wyobrażenia na temat kobiecości i męskości, anachroniczne i mające 100 lat, powielające zdezaktualizowany już infantylny język mówienia o genderowych rolach. Przekład Bańkowskiej daje nam właśnie szansę na wydoroslenie.

A jak w takim razie „Anne” była i jest czytana w Kanadzie?

Powieść Montgomery reinterpretuje się tam i czyta pomiędzy wierszami. Shirley stała się twarzą kanadyjskiego ruchu obywatelskiego walczącego o wolny dostęp o aborcji – Abortion Rights Network. Co więcej, bohaterka jest ikoną nieheteronormatywnej społeczności kobiet. Wiele kanadyjskich lesbijek podkreśla, że lektura powieści, czytanie o przyjaźni Anne i Diany, dawało im siłę i odwagę, by zdefiniować swoją tożsamość. Tego w książce oczywiście nie ma, ale, wierz mi, mały, wyalienowany i niemający pozytywnych wzorców gej może się utożsamiać np. z Muminkiem czekającym na Włóczykija. ©® Rozmawiała

MONIKA OCHĘDOWSKA

Zabawkowa tarcza

ANITA PIOTROWSKA

Po kolorowej czołówce, pyszniącej się pocztówkowymi kadrami z dzisiejszym Belfastem, Kenneth Branagh rozwija zupełnie odmienną stylistycznie taśmę pamięci.

DZIECIŃSTWO KENNETHA BRANAGHA musiało pachnieć sączonym przez ojca guinnessem, „biologicznym” proszkiem Omo i typowym irlandzkim śniadaniem, które drastycznie podnosiło poziom cholesterolu. Ale tamten czas miał także zapach prochu, czy raczej butelek z benzyną, jakimi w „Belfaście” sąsiedzi obrzucają domy innych sąsiadów. Budują więc ten film wspomnienia i beztroskie, i równocześnie traumatyczne, sentymentalne i bolesne, dziecięco uproszczone i zarazem dorosłe ambiwalentne. Najlepszy bywa wtedy, kiedy zgrabnie balansuje między zabawą pośród ulicznych zasieków w robotniczej dzielnicy i kolejnym „lądowaniem na Księżycu”. Bo tak wyglądało dorastanie w stolicy Irlandii Północnej.

Latem 1969 roku była ona miejscem przeklętym, zapętlonym w bratobójczej walce, a jej kolejna odsłona, trwająca prawie trzydzieści lat, dopiero się rozpoczęła. Reżyser powraca do rodzinnych pieleszy w butach niesfornego dziewięciolatka o imieniu Buddy (w tej roli sympatyczny Jude Hill), do tego uzbrojony w samodzielnie skonstruowaną latarnię magiczną. Albowiem wzorem Felliniego, Bergmana, Tornatorego i ostatnio Sorrentina buduje Branagh na ekranie własną prywatną mitologię. Ów zbiorowy mit miasta współtworzą urodzeni w Irlandii członkowie ekipy i obsady, na czele z Judi Dench w roli babci i Vanem Morrisonem, którego piosenki słychać w tle. Aż siedem nominacji do Oscara, włącznie z najważniejszą, świadczy o tym, że reżyserowi udało się poruszyć jakieś czułe struny i to niekoniecznie w widzach związanych

emocjonalnie z przywoływanym czasem, miejscem i tematem. Najwyraźniej potrzebujemy schronić się w przeszłości, choćby tej głośniejszej od bomb. Byłe spowiła ją urokliwa mgiełka.

Zwłaszcza że po kolorowej czołówce pyszniącej się pocztówkowymi kadrami z dzisiejszym Belfastem rozwija reżyser taśmę pamięci, zupełnie odmienną stylistycznie. Czarno-białe zdjęcia Harisa Zambarloulouka uszlachetniają i zarazem osławiają przeszłość, a jednocześnie pozwalają dostrzec w niej różne odcienie szarości. Kiedy w jednej z pierwszych scen filmu unioński atakują mieszkających na tej samej ulicy katolików, perspektywa przerażonego dziecka jest równocześnie perspektywą ulsterskiego protestanta, którego rodzina odmawia wzięcia udziału w plemiennym konflikcie polityczno-religijnym. Lecz w ówczesnym Belfaście panuje zasada „kto nie z nami, ten przeciw nam”, toteż rodzice Buddy’ego coraz poważniej myślał o opuszczeniu miasta. Zresztą ojciec (Jamie Dornan) od lat pracuje w Anglii, by wyciągnąć rodzinę z rosnących długów. Poza tym Irlandczycy, jak mówi żartem ciotka głównego bohatera, „mają migrację we krwi – inaczej nie byłoby na świecie pubów”. O cierpieniach i upokorzeniach związanych z przeprowadzką w obce strony usłyszymy dopiero później. Bo przecież „Belfast” jest nade wszystko historią opowiedzianą przez „wyjechanych”. Nostalgiczna i pobawiona resentymentu czy zapiekłości, unikająca zbyt łatwych podziałów na „ich” i „nas”.

Właśnie ta dziecięca, nieco łotrzykowska optyka każe dostrzec w tamtej niewinności cały jej absurd (patrz: dywagacje w rodzaju „jak odróżnić protestanta od katolika”). Służy również usprawiedliwieniu banału – wszystko bowiem, co brzmi w tym filmie naiwnie, można uznać za rozmowę dorosłych przepuszczoną przez chłonne i płochę dziecięce ucho. Bywa, że owa dziecięcość nawet ratuje życie. Gdy chłopiec wraz z matką (Caitriona Balfe) znajduje się przypadkiem w grupie atakowanych, przed kamieniami chroni ich... zabawkowa tarcza – choć pewnie wedle pastora była to ręka Boga. Branagh bawi się także przewrotną naturą dziecięcych wspomnień. Wydarzenia ciężkiego kalibru bezpośrednio sąsiadują z zabawą; przemoc spotyka się z rubasznym humorem. Temu, co zdarzyło się naprawdę, towarzyszą fantazje, wyimki z kościelnych

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
głoszą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM
Andrychów – 98,8 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM | Gorlice – 97,4 FM
www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE

Jamie Dornan i Jude Hill w filmie „Belfast”

kazań i dziadkowych mądrości czy kolorowe fragmenty obejrzanych niegdyś hollywoodzkich przebojów. Zwłaszcza klasycznych westernów, gdzie zawsze było wiadomo, kto jest tym dobrym, a kto nie. W „Belfaście” takie myślenie kończy się w najlepszym razie plądrowaniem sklepów. Przed takim myśleniem chcieliby uciec z miasta rodzice Buddy’ego.

Belfast zdaje się tu miejscem w dużej mierze wyobrażonym, rok 1969 nie aspiruje do wizji historycznej ani do politycznego manifestu. Branagh napisał ten scenariusz, by pokazać, jak specyficzne środowisko (rodzinne, proletariackie, irlandzko-protestanckie) ukształtowało w nim człowieka i artystę, dziś już nie tylko brytyjskiego. W tym mistrza mowy angielskiej i jednego z ważniejszych adaptatorów Szekspira („Henryka V” nakręcił w wieku zaledwie 28 lat), uznanego za spadkobiercę sir Laurence’a Oliviera. Zdążył też odcisnąć swoje piętno na wysokobudżetowych widowiskach typu „Thor” Marvela, do czego w „Belfaście” znajdziemy małą aluzję, niejedyną tego typu. Za chwilę na polskie ekrany wejdzie kolejny jego lżejszy film, „Śmierć na Nilu”, na podstawie Agathy Christie, sequel „Morderstwa w Orient Ekspresie” z 2017 roku. 61-letni reżyser powoli staje się klasykiem, nic zatem dziwnego, że zawitał w końcu do swo-

jego matecznika i lubi czasem zacytować sam siebie.

„Belfast” zrealizowany został w duchu nie tylko bardzo osobistym, ale literalnie wręcz ekumenicznym, co wynika – znowu – z zastosowanego na ekranie prostodusznego punktu widzenia i z tym akurat trudno polemizować. Trochę gorzej jest ze zmienną temperaturą filmu, jako że chwilami dociska on widza „hollywoodzkim” nastrojem albo porywa swą energią kinetyczną, lecz za chwilę luzuje swój emocjonalny uchwyt i zwalnia z zaangażowania. Branagh usilnie próbował zuniwersalizować irlandzki konflikt, ażeby łatwo było fabułę o zwalczających się plemionach przełożyć na bliższe nam kulturowo konteksty. Jednak w wywiadach mówi, że zrozumiał w pewnym momencie, iż tak naprawdę nakręcił po prostu film o utracie: swego domu, kraju, irlandzkiego akcentu, rodziny, sposobu życia... I w takim ujęciu „Belfast” rzeczywiście może poruszać – niczym rekonstrukcja przerwanej brutalnie, na różnych polach, wieku niewinności. Z pięknymi rodzicami, pocziwymi dziadkami, szkolnymi miłostkami i swojskim otoczeniem, które niemal z dnia na dzień stało się przestrzenią opresji. ©

BELFAST – reż. Kenneth Branagh.
Prod. Wielka Brytania 2021.
Dystryb. UIP. W kinach od 25 lutego.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Bukolika



Dokumentalny, reż. Karol Palka, Polska 2021, CANAL+ Dokument, 19 II, 20.00

Wbrew tytułowi życie bohaterów wydaje się zaprzeczeniem sielskości. Matka i dorosła córka mieszkają w rozpadającym się domu na odludziu, kultywując życie surowe i pełne znoju. Twórcy dokumentu dostrzegają w tym jednak swoiste piękno, co prowokuje pytania o pornografię biedy czy romantyzowanie natury. Towarzyszy im bardzo oryginalna ścieżka dźwiękowa.

2. Żeby nie było śladów



Dramat, reż. Jan P. Matuszyński, Polska/ /Czechy/Francja 2021, Player, Premiera CANAL+

Adaptacja nagradzanego reportażu Cezarego Łazarewicza to oskarżenie przeszłości i ostrzeżenie dla współczesnych. A przede wszystkim gęsta od wątków i postaci rekonstrukcja sprawy Grzegorza Przemyka, wzbogacona o wątki fikcyjne. Poprzez postać świadka zbrodni (Tomasz Ziętek) pokazuje funkcjonowanie mechanizmu totalitarnej przemocy i fabrykowania kłamstw.

3. Człowiek, który sprzedał swoją skórę



Dramat, reż. Kaouther Ben Hania, Tunezja i inne, VOD.pl

Nominowany do Oscara film tunezyjskiej reżyserki miał różne recenzje, lecz jego temat – jak daleko może sięgać desperacja uchodźcy? – pozostaje aktualny. Z dużą dozą surrealizmu, życiowego nieprawdopodobieństwa i satyry na sztukę współczesną opowiada o Syryjczyku, który zgodził się, by wytatuowano mu na plecach wizę Schengen. I stał się galeryjnym obiektem.

4. King Richard: Zwycięska rodzina



Biograficzny, reż. Reinaldo Marcus Green, USA 2021, HBO GO

Czy film o ojcu tenisowych supergwiazd, Venus i Sereny Williams, nakręcony z jego błogosławieństwem, opowiada historię prawdziwą? Nawet jeśli to „narracja kontrolowana”, stanowi udany przykład *success story* – amerykańskiego snu, który spełnił się mimo rasowych i klasowych barier. Kino rodzinne ku pokrzepieniu w trudnych czasach, z trzema nominacjami do Oscara.

JAN

Klata: Świąteczne fajerwerki



PAMIĘTAM, ŻE PIERWSZY RAZ WOJNA ZACZYNAŁA SIĘ KILKA LAT TEMU, KIEDY TURCY ZE-STRZELILI ROSYJSKI BOMBOWIEC. WOJNA TRWAŁA SIEDMNAŚCIE SEKUND, ROSJANIE WYKLUCZYLI MILITARNĄ ODPOWIEDŹ NA DZIAŁANIA – BYŁO NIE BYŁO – CZŁONKA NATO.

Putin nie chciał zadzierać z Erdoğanem. Przebywałem wtedy w Moskwie, pracowałem nad „Makbetem”. Pamiętam, że drugi raz wojna zaczynała się całkiem niedawno, tego lata, kiedy zniknęła Białoruś. Pracowałem wtedy w Kłajpedzie, kilkanaście kilometrów od obwodu kaliningradzkiego – największego skupiska sił militarnych w Europie. Premiera litewskiego „Borysa Godunowa” odbyła się 1 września, jak zawsze w terminie. Kiedy teraz wojna wybucha po raz trzeci, pracuję w Göteborgu. Szwecja jest neutralna, no może z wy-

jątkiem Gotlandii. Za kilka dni premiera. Nie wygląda na to, żebyśmy zdążyli przed wojną.

Tak się jakoś zupełnie przypadkowo składa, że 23 lutego Rosjanie obchodzą Dzień Obrońcy Ojczyzny, zwany bardziej familiarnie Dniem Mężczyzn. Dzień Mężczyzn to prawie jak Dzień Kobiet – bardzo, bardzo ważne święto, dzień wolny w Rosji, oraz w Ługańsku i Doniecku. Pamiętam to święto w Moskwie. Robiliśmy wtedy próby w Moskiewskim Akademickim Teatrze Artystycznym, choć aktorzy akurat tego ranka jakby nie do końca pamiętali szekspirowski tekst, ale i tak starali się dać z siebie wszystko na scenie, *mołodcy*. W przerwie poinformowali mnie, że *prazdnik*, i zapytali, czy my – Polacy – nie obchodzimy Dnia Mężczyzn. Odpowiedziałem, że nie. Zdziwienie. „Ale jakiś Dzień Obrońcy Ojczyzny chyba macie w kalendarzu?”. Odpowiedziałem, że nie. „Co ty, nigdy w wojsku nie byłeś?”. Odpowiedziałem, że nie. Konsternacja. Oraz pocieszenie: „Nie martw się, jeszcze będziesz!”. Pośmialiśmy się serdecznie między nami Słowianami i wróciliśmy do Makbeta. Akurat nadchodził Las Birnamski. A wieczorem z okien mojego służbowego mieszkania nad rzeką Moskwą obserwowałem niekończące się świąteczne fajerwerki nad stolicą zranionego imperium. Zapierały dech w piersiach.

Jedno wydaje się pewne: 23 lutego 2022 r. będzie obchodzony bardzo, ale to bardzo hucznie. ©

Lektor: Świeżym okiem



■ Robert Louis Stevenson

DOKTOR JEKYLL I PAN HYDE

Przełożył Tadeusz Jan Dehnelt.

Zilustrował Adão Iturrusgarai.

Wydawnictwo Dwie Siostry,

Warszawa 2022, ss. 250. Seria „Świeżym okiem”.

KLASYKA W NOWEJ SZACIE: sławna nowela szkockiego pisarza brawurowo i niekonwencjonalnie zilustrowana przez współczesnego (rocznik 1965) brazylijskiego artystę i autora komiksów. W obrazkach i kolażach, w których Iturrusgarai wykorzystał... roczniki tygodnika „Paris Match” z lat 50., jest, owszem, groza, ale więcej czarnego humoru i surrealistycznych konceptów. Zaczęłam od strony graficznej, bo to ona najpierw przyciąga uwagę,

zwłaszcza jeśli ktoś się spodziewał sztychów stylizowanych na epokę wiktoriańską – a przecież w wiktoriańskim Londynie toczy się akcja noweli. Robert Louis Stevenson (1850-1894), mistrz stylu i sprawnej narracji, poeta, eseista i autor powieści przygodowych osadzonych w realiach XVIII-wiecznej Szkocji, opublikował ją w 1886 r., trzy lata po pierwszym sukcesie, jakim była awanturka „Wyspa skarbów”. Historia zaniepokojonego doktora Henry’ego

Jekylla i jego alter ego, demonicznego Edwarda Hyde’a, zajmuje poczesne miejsce w kanonie literatury grozy. I jak wcale często bywa w tym gatunku, jej ambicje przekraczają chęć dostarczenia czytelnikowi mroźnej krew w żyłach rozrywki – jest i studium psychologicznym, i przypowieścią moralistą.

Zajmująco pisze o tym Jerzy Jarniewicz w posłowie zatytułowanym „Dom z dwiema drzwiami”. Zwraca przede wszystkim uwagę, że pan Hyde nie jest wcale zaprzeczeniem doktora Jekylla: „Doktor nie powołał do życia swojego przeciwnika, ale Hyde’a z siebie niejako wydestylował”. Zło nie jest czymś zewnętrznym wobec bohatera, ale tkwi w nim samym i czekało tylko, by móc stopniowo przejąć nad nim kontrolę. Jekyll

nie jest uosobieniem niewinności i o tym wie – co więcej, jego przeszłość kryje nieznane nam tajemnice, które mogą być podstawą szantażu. Jarniewicz przypomina hipotezę Nabokova, który podejrzewał Jekylla o ukryty homoseksualizm, w wiktoriańskiej Anglii karany, przywołuje też Freuda, którego teorię nowela niejako antycypuje. I szkicuje tło pisarstwa Stevensona, dla którego ważna była i surowa tradycja kalwińska z nauką o predestynacji, i relacje między podbitą Szkocją a Anglią. Dwie Siostry, wydawnictwo, które wyrobiło sobie renomę wspaniałymi książkami dla dzieci, teraz sięga po klasykę dla dorosłych: najpierw „Inwazja jaszczurów” Čapka, teraz Stevenson. Trzymam kciuki. ©

PAWEŁ

Bravo:

Poezja i nawóz



DWIEŚCIE PIĘCDZIESIĄT HEKTARÓW POLA uprawnego może użyźnić nawóz, który zaprawimy substancją uzyskaną z pecherza jelenia wypełnionego kwiatami krwawnika zakopanego w ziemi na pół roku. Róg krwi z kolei wypełniamy łajnem, a czaszkę bydlęcą korą dębu. Każdy z preparatów do rolnictwa biodynamicznego jest oznaczony liczbą (np. rumianek w jelicie to nr 503), ale na tym się kończy podobieństwo do praktyk świata, gdzie najważniejsze to mieć swój kod, systemowy numerki i PESEL.

Biodynamika to mroczna „ezoteryka” i „czary” – tak ostrzegali niedawno naukowcy, agronomowie i politycy w trakcie prac we włoskim parlamencie nad nowelizacją ustawy regulującej zasady rolnictwa ekologicznego. W pierwotnej wersji istniał paragraf rozszerzający zakres stosowania ustawy (a zatem również dotacje) na rolnictwo biodynamiczne. Zeszłoroczny włoski noblista z fizyki poczuł się zmuszony zaapelować do prezydenta, żeby w razie gdyby posłowie ulegli „szamanom”, postawił weto. Odnośny artykuł wyleciał z tekstu ustawy i można o sprawie zapomnieć, ale ja zawsze lubię się przyglądać dzieciom wylewanym z kąpielą.

Łatwo obśmiać detale praktyk biodynamicznych, a także wytknąć, że nie są wcale efektem „pradawnej” tradycji. W rzeczy samej biodynamika powstała dopiero na fali fascynacji holistyczną antropologią i ezoteryczną wiedzą kosmologiczną, obecnymi w niemieckim obszarze kulturowym u początków zeszłego stulecia. Fakt, że te ciągoty zaprowadziły niektórych potem na nikczemne manowce nazizmu (który we wczesnej fazie miał silne składniki ezoteryczne), nie uprawnia, by do jednego worka wrzucać inne owoce tego fermentu myślowego, choćby pedagogikę waldorfską Rudolfa Steinera. Tenże Steiner w ośrodku rolniczym pod ówczesnym Breslau w 1924 r. po raz pierwszy przedstawił koncepcję uprawy roli zgodną z określonymi przezeń w ramach tzw. teozofii prawami istnienia i działania kosmosu. Gospodarstwo tworzyło dlań jedną wielką całość: ludzie, zwierzęta, ziemia, rośliny – każde, zarówno te uprawne, jak i „zielsko” – a także niebo nad nimi. Myśl skądinąd oczywista, tyle że Steiner przełożył ją na szereg wskazówek, których szczegółowe uzasadnienie brzmi dla naszych uszu egzotycznie.

Ze wszystko, co się na polu, w ogrodzie czy winnicy robi, musi się dziać w określonej fazie cyklu księżycowego, to żadne szamaństwo, tylko wiedza, którą posiada każdy działkowiec, i którą szanuje każdy, kto widział potęgę oddziały-

wania księżycy na wodę, obserwując np. przypływy na plaży w Bretanii. Ale dlaczego akurat pecherz jelenia pomaga aktywować określone siły ziół tak, by uzyskany preparat wzmocnił działanie naturalnego kompostu czy obornika? Zwłaszcza gdy ten preparat stosowany jest w mikroskopijnych dawkach, przypominających homeopatyczne rozcieńczenie? Nieraz padają pod adresem biodynamiki zarzuty, że to coś równie oszukańczego jak homeopatia w leczeniu chorób.

Krzywdząca to analogia. Biodynamiczne praktyki uprawy nie są alternatywne wobec rolnictwa ekologicznego, czyli tego, które obywa się bez wspomagania sztucznymi nawozami i środkami ochrony. Są raczej jego rozwinięciem, szczególnie bardziej pracochłonną formą. I mniejsza o to, że jej uzasadnienia brzmią nam dziś jak poezja. Jeszcze 200 lat temu poeci tacy jak Goethe zajmowali się systematycznie przyrodznawstwem, botaniką, geologią.... Albo odwrotnie: przyrodznawcy, jak tenże Goethe, autor wielkiego traktatu o morfologii roślin i nadzorca kopalń w Turynii, przy okazji pisali wiersze i dramaty, budując w nich świat wedle prawideł, które odnajdywali podczas namysłu naukowego.

Jeśli homeopata stosuje gusła, to szkodę poniesie pacjent, który poszedł doń leczyć raka kropelkami. Jeśli rolnicze teorie Steinera są błędne, to straci na tym tylko gospodarstwo, gdzie nic nie wyrosło na zagonie zharmonizowanym z kosmosem. Stosując się do zaleceń jego teorii, trzeba włożyć jeszcze więcej pracy i troski niż przy „normalnej” uprawie bez pestycydów. Widziałem nieraz ten podniesiony do potęgi trud, odwiedzając biodynamiczne winnice. Nawet jeśli kosmosu nie obchodzą zakopane pod płótem jelenie pecherze, to mrówcza praca przynosi efekty. Jak dotąd, o ile mi wiadomo, nie wynaleźliśmy bezpieczniejszego i skuteczniejszego zarazem nawozu niż pot. ©P

Oprócz krzywych marchewek, kostropatych jabłek i dobrego wina rolnictwo biodynamiczne kojarzy mi się z piekarniami ze znacznikiem „Demeter” (pamiętajmy, że organizacja ta nie ma prawnego monopolu i gospodarstwo biodynamiczne nie musi do niej należeć). Sporo ich pojawiło się w bogatszych dzielnicach niemieckich metropolii – mają zawsze zgrzebną,

burą estetykę, zresztą dobra pełnoziarnista mąka ma zaiste nieciekawą kolor. Taka szaroburość to domena wszelkich zimowych dań

z soczewicy. Jeśli znajdziecie w sklepie kasztany, spróbujcie takiego połączenia, stosowanego w diecie górali z Abruzzi:

W litrze wody z gałązką rozmarynu i listkiem laurowym gotujemy

250 g brązowej soczewicy, soląc dopiero pod koniec (ok. 40 min.). Osobno prażymy w piecu 200 g kasztanów (koniecznie je

nacinając), studzimy, obieramy, kroimy w kostkę. Kroimy w kostkę gruby plaster boczk, rumienimy go na dnie dużego garnka na łyżce oliwy,

dodajemy kasztany i pół puszki pulpy pomidorowej, dusimy kilka minut, dodajemy soczewicę i rozcieńczamy trochę wodą z gotowania. Gotujemy dalej 5 minut, doprawiamy na koniec majerankiem. Można do tego dodać na wydaniu grzanki z białego pieczywa.



BRUKIEW W ŁASCE

KAJA NOWAKOWSKA, GOSIA RUSZKOWSKA – MEAD LADIES:

Ludzie często myślą, że trzeba się nauczyć wszystkiego naraz, a my mówimy:
wystarczy, że poznasz dwie rośliny miesięcznie.

Po roku będą to już dwadzieścia cztery.
Wiesz, ile z tego można dań przyrządzić?



*Kaja
z naręczem
piołunu,
ziela
pełnego
mocy.*

MARIA HAWRANEK: Czego dzikiego dzisiaj użyłycie?

GOSIA RUSZKOWSKA: Kosmetyki robię sama. Myłam włosy szamponem w kostce z kozieradką i alkaną barwierską.

KAJA NOWAKOWSKA: A ja z wierzbą.

GOSIA: Myłam się też mydłem potasowym mandarynkowo-pomarańczowym – także zrobionym własnoręcznie.

KAJA: Teraz pijemy herbatę ziołową – babka lancetowata, kwiat głogu, utleniany kwiat lilaka, czyli poddawany takiemu samemu procesowi jak czarna herbata czy kakao, cytryniec chiński, czaga i persymona, a więc owoc kaki. Większość składników zebraliśmy same.

Czaga to grzyb z historią, prawda?

KAJA: Błyskoperek podkorowy, rośnie na brzozie. Ma długą tradycję użytkowania, szczególnie na Syberii. Działa proodpornościowo i, jak wiele grzybów, przeciwwirusowo, dlatego zwykle dodajemy go do zimowych naparów.

A jadłycie dziś coś dzikiego?

GOSIA: Kanapki z rukwią wodną, zebraną przedwczoraj w Albanii.

KAJA: Ja dziś tylko boczniki i płomiennice w potrawce z ryzem.

Teraz mnóstwo wirusów. Co byście sobie na nie przyrządzili?

KAJA: Na grype jelitową wywar z korzeni kobyłaka, polecam mieć zawsze w domu, a jeśli się ma dzieci, to również napar z nasion, łagodniejszy w działaniu. Poprawia trawienie i minimalizuje biegunki.

Trzeba je samemu zbierać?

KAJA: Tak, ale to żaden kłopot. Na pewno je kojarzysz: takie wysokie szczawie na łące, mają duże rudobrzowe nasiona.

Rzeczywiście kojarzę. A na przeziębienia co?

KAJA: Teraz, gdyby mnie łamało w kościach, poszłabym po pędy malin, pączki topolowe, sosnę, świerk, gałązki brzozy, korę wierzby, które działają przeciwdziałalnie.

GOSIA: Oczywiście nie wszystko można zastąpić – jak jest bakteryjne zapalenie ucha, włączamy antybiotyk. Ale u nas zioła zawsze są częścią leczenia. W czasie obniżonej odporności trzeba jeść dużo grzybów, dzieci też.

A mówi się, że dzieci nie powinny, bo grzyby ciężkostrawne.

KAJA: Rzeczywiście takie są, ale dzieci jedzą teraz mnóstwo ciężkostrawnych rzeczy, więc to chyba słaby argument. Ważniejszy jest taki, że niektórzy błędnie rozpoznają grzyby i stąd biorą się złe doświadczenia, oraz że w polskiej kuchni przygotowuje się je smażone, w kapuście, zawiesistych sosach. I bez grzybów można się po tym źle poczuć.

GOSIA: Ale bulion na bocznikach i płomiennicach jest lekki i wspaniały.

Pisałycie ostatnio o innym grzybie – uszaku bżowym.

KAJA: To gatunek siostrzany grzybka mun. Działa przeciwdziałalnie i immunostymulująco. W Rosji robiono z niego

napary i przemycano nim oczy przy zapaleniu spojówek. Jak większość grzybów zawiera betaglukan, więc będzie działał prozdrowotnie.

GOSIA: I świetnie chrupie w *stir-fry*.

Grzyby wracają do łask. Kiedy i dlaczego straciliśmy zaufanie do nich i dzikich roślin?

KAJA: Moim zdaniem to dwie odrębne historie. Grzybom dużą krzywdę zrobiła dawna nauka, która jeszcze kilkadziesiąt lat temu twierdziła, że nie mają one żadnych wartości odżywczych. Dopiero kilkanaście lat temu to obalono. Zanim jednak ta wiedza przeniknie do świadomości społecznej, musi minąć trochę czasu. Sądzę, że w przypadku dzikich roślin jadalnych istotną rolę odegrała nasza historia – łobody, komosy, pokrzywa bywały głodowym pokarmem. Na jednym z warsztatów uczestniczka wspomniała, że kiedy zebrała pokrzywę, babcia ją skrzyzczała, żeby to wyrzuciła i nie robiła wstydu przed sąsiadami, bo to głodowe jedzenie jest.

GOSIA: A brukiew? Tu rządzi podobna zasada, bo to warzywo budzi jednoznaczne skojarzenia: zupa obozowa. W Skandynawii je się ją cały czas. Nasza gastronomia jeszcze jej nie przywróciła do łask.

Dawniej częściej gotowaliśmy dzikie rośliny?

GOSIA: Kiedy przeglądałam dawne przepisy kucharskie, przyglądałam się np. kuchni kaszubskiej czy z Mazowsza, to nie ma ich jakoś specjalnie dużo. Nie mamy takiej tradycji, jak np. na południu Europy. Choćby w Grecji hortę, czyli pęk zbłanszowanych dzikich roślin, podaje się w każdej restauracji, a nie w żadnych trzygwiazdkowych.

KAJA: Za to z medycyną naturalną nie jest u nas źle. Pamiętam z dzieciństwa syrop z cebuli, dziewanny, młodych pędów sosny, winą jałowcowe.

GOSIA: Suszone jagody na biegunkę.

Robicie młode pędy chmielu na maśle, moskole z nasionami dzikiej marchwi. Skąd pomysły na te frykasy, skoro to nie odkrywanie tradycji?

KAJA: Uwielbiamy eksperymenty. Raz nie wyjdzie? Trudno, na coś się przerobi. Kiedy poznamy smak i zapach nasion marchwi, możemy je połączyć z dotychczasowymi doświadczeniami – skoro przypominają nam nasiona kopru czy kminku, to już wiemy, gdzie ich użyć na początek. A później... to już szaleństwo.

GOSIA: Robimy np. zgliwiały ser. Pamiętam, jak byłam mała, to jeszcze gliwiła na parapecie. Do tego sera świetnie nadają się zebrane nasiona pasternaku czy dzikiej marchwi, mają intensywny smak.

KAJA: Od lat jesteśmy wegetariankami, więc zastępowanie jednych składników drugimi praktykujemy od dawna. Nigdy się nie zastanawiałam nad tym, co wymyślić, to samo przychodzi.

GOSIA: Np. znajdujemy kisielnicę kędzierzawą, grzyb, który wygląda jak czarna galaretką, po angielsku mówi się na nią *witches' butter*, maselko czarownicy. Kisielnica nie ma specjalnie smaku, ale ma śmieszna konsystencję. Kaja wymyśliła, że zrobimy całe czarne spaghetti – czarny czosnek, kisielnica, czarny makaron, tylko chili będzie czerwone. Czasem pojawia nam się taka idea na totalne danie.



Ale gdybyście miały przekonać innych, po co właściwie uczyć się tych wszystkich nazw, z mozołem wyszukiwać rośliny?

KAJA: To nie jest trudne, czasochłonne ani męczące! Jestem leniem kuchennym, nie przyrządzam rzeczy, których przygotowanie trwa dłużej niż pół godziny. Jeżeli zbierasz dzikie rośliny zgodnie z sezonowością, to masz ich mnóstwo. Oczywiście teraz nie znajdzie kurdybanku, ale kiedy wyjdę na spacer wiosną, po 15 minutach mam pełną siatkę. Jeśli wiesz, co kiedy zbierać, to jest szybsze niż wyprawa do marketu. I dzieje się przy okazji.

Gdzie zbieracie?

GOSIA: Dużo chodzimy nad rzekę, na łąkę, na opuszczone działki, do lasu podmiejskiego. Nie mamy samochodów. Kiedy stoisz na przystanku autobusowym, to zauważysz: o, tu rośnie portulaka, a jak przejeżdżasz autem, to już nie.

KAJA: Albo z okna autobusu zauważasz jakiś las, myślisz: następnym razem wysiądę przystanek wcześniej.

GOSIA: Od wielu lat modna jest uważność. Celowy kontakt z przyrodą umożliwia jej praktykowanie. Poznawanie, wąchanie, smakowanie roślin, grzebanie za informacjami o roślinach, grzybach i porostach.

Jednak trochę wysiłku trzeba włożyć, by się nauczyć, co jest co.

KAJA: Gdy mówimy o takim złotoroście, ludzie mogą pomyśleć: cóż to jest? Ale przecież dzikie jedzenie można zacząć od roślin czy grzybów bardziej popularnych: dzika morwa, dzika róża, zdziczałe winogrona, pędy chmielu, które na wiosnę są wszędzie i są łatwe do rozpoznania. Ludzie często myślą, że trzeba się nauczyć wszystkiego naraz, a my mówimy: wystarczy, że poznasz dwie rośliny miesięcznie – po roku będą to już dwadzieścia cztery. Wiesz, ile z tego można dań przyrządzić? Jeśli się nauczysz rozpoznawać pierwszoroczny wiesiołek, to na wiosnę nie zdołasz przerobić tych wszystkich korzeni i liści do zup i zapiekane. Wszędzie rośnie go cała masa.

Czyli nie jest tak trudno, jak się wydaje. Ale wciąż nie wiem, dlaczego w ogóle warto się do tego zabierać.

KAJA: To rośliny niepryskane, do tego mają więcej substancji odżywczych, bo rosną w środowisku, które jest wymagające – susza, duże wahania temperatur, liczne patogeny, inne rośliny, które chcą je zagłuszyć. Przez to wszystko mają więcej substancji czynnych, np. goryczy, tanin i flawonoidów. Dziką kuchnię to też poznawanie nowych smaków i aromatów, których nigdzie nie dostaniesz. Nie da się komuś wytłumaczyć, jak pachnie róża, tak jak nie da się wytłumaczyć, jak smakuje wiesiołek.

W kuchni ajurwedyjskiej stosuje się wiele ziół, które wspomagają trawienie. Czy dzikie rośliny też mają takie supermoce?



Żółciak siarkowy to grzyb nazywany czasem miejskim kurczakiem – ma konsystencję przypominającą mięso kurczaka. Szukajmy go na starych topolach albo klonach. Często rośnie w nadrzecznych łęgach.

GOSIA RUSZKOWSKA / INSTAGRAM.COM / MEAD LADIES

KAJA: Bardzo dużo dzikich roślin pobudza trawienie, ochrania naszą wątrobę, wspomaga działanie układu krążenia i limfatycznego, np. przytulia, która pojawia się na wiosnę, działa odtruwająco. Dzikie rośliny są często intensywniejsze w smaku, gorzkie. Zapomnieliśmy trochę o tym smaku, bo dąży się do tego, by uprawiane warzywa i owoce miały go jak najmniej. A gorzkie pobudzają wydzielanie soków żołądkowych, wspomagają trawienie. Klasyczna nasza przyprawa – bluszcz kurdybanek – działa właśnie w ten sposób. Wiele roślin zawiera też olejki eteryczne.

GOSIA: Jest wiele substancji, które stanowią naturalną barierę roślin przed owadami, mają działanie wirusobójcze czy bakteriobójcze, i podobnie będą

działać na nasz organizm. Wiele dzikich roślin zawiera np. substancje z grupy flawonoidów, które działają zbawiennie choćby na naczynia krwionośne czy skórę. To naprawdę temat rzeka.

Botanik z plemienia Naso w dżungli w Panamie tłumaczył mi kiedyś, że gorycz rośliny to jedna ze wskazówek, że może ona leczyć.

KAJA: Gorycz wskazuje, że roślina ma jakieś właściwości. Są też rośliny silnie leczniczo, a jej pozbawione. Ale jeśli jakieś rośliny są gorzkie i nietrujące, to znaczy, że zawierają dużo goryczy lub tanin, wspomagają układ pokarmowy, wątrobę, woreczek żółciowy. Mamy ich dużo: bylica pospolita, bylica piołun, krwawnik, chmiel, wrotycz.

Mamy też rośliny, które były używane szeroko w roku rytualnym, najpierw słowiańskim, a potem chrześcijańskim – zawieszano je np. przy drzwiach w celu ochrony albo okadzano nimi pomieszczenia. Należą do nich choćby bylica, krwawnik, wrotycz.

Czy czujecie się wiedźmami, czyli kobietami wiedzącymi?

KAJA: Mam dystans do neoszamanizmu i nowoczesnych wiedźmich dróg. Nie nazwałabym się wiedźmą ani czarownicą, ale dużo osób z mojego otoczenia właśnie tak na mnie mówi. Nie odrzucamy medycyny i nauki, ale czujemy więź z roślinami, myślimy o nich w duchowy sposób.

Teraz inne dyskusyjne słowo, ja go nie lubię i Wy też nie: chwast. Skąd ta etykieta?

KAJA: Słownikowo to roślina, która ma działanie niepożądane lub zaniża plony w rolnictwie. Jeśli uprawia się zboże lub warzywa, ona w jakiś sposób zaburza uprawę. Później tę nazwę rozszerzono na większość roślin, których nie znamy i nie mają dla nas większego pożytku na co dzień, bo zarastają nam np. róże.

GOSIA: Jeśli wpisujesz w Google „podagrycznik”, od razu masz podpowiedź, jak zwalczać. I tak jest z wieloma rzeczami,

które my w sezonie jemy na co dzień: przytulia, bluszczyk, rzeżucha.

Jako dziewczynka miałam za zadanie wykopywać mlecze z trawnika. Ten lęk przed dzikimi roślinami napędza też u nas chyba miłość do sterylnych trawników.

GOSIA: A byłaś w innych europejskich krajach? Ostatnio byliśmy u przyjaciółki w Danii. I mówimy: chodźmy w chaszczę. A ona na to: ale gdzie?

KAJA: No jakieś krzory, chaszczę, nieużytki. Na co ona, po chwili: na końcu miasta rośnie dzika wiśnia. Tam nie było chaszczy! U nas nawet jeśli las ma 500 metrów na 500 metrów, to zawsze są grzyby, porosty. Tam podjechałyśmy w końcu do lasu bukowego, pięknego, ale np. nie rosły tam żadne grzyby, a pnie nie były pokryte mchem czy porostami.

GOSIA: W Szwajcarii też wszędzie są przyszytych trawniki. W krajach środkowej czy południowej Europy, nazwijmy je mniej cywilizowanymi, takich jak Polska, Słowacja czy Albania, dzikie rośliny rosną na bogato.

KAJA: Nasze lasy są jeszcze nieuczesane, pozwala im się być. Niestety coraz rzadziej.

GOSIA: Mamy dziką Wisłę w Warszawie. Brzeg jest nieuregulowany, są piękne łęgi, rosną płomienice, boczniki, przytulie. Widujemy powalone topole nad Świdrem, które leżą tak od kilku lat. Na budowie, o której ktoś zapomniał, jest hałda, pojawiają się rośliny pionierskie i dwa lata możesz garściami zbierać łobodę. Są opuszczone działki, bo np. deweloper zbankrutował. To nie są sprawy świadczące o naszym kraju może dobrze, ale paradoksalnie czasem sprzyjające dzikiej, ruderalnej roślinności.

KAJA: Przynoszę z takich terenów całe plecaki jabłek, dzikich gruszek, winogron, morwy.

I można te rośliny ot tak garściami rwać?

KAJA: To zależy od rośliny. Inwazyjnym gatunkom, jak nawłoc późna czy kanadyjska, rdestowiec, szczawik żółty, czy pospolitym, jak gwiazdnica lub podagrycznik, nic się złego od tego nie stanie. A łoboda to roślina pionierska, po kilku latach już i tak jej nie będzie, więc można zebrać ją ze stanowiska prawie w całości. Wiemy, co jest chronione, a co nie, znamy cykl życiowy poszczególnych roślin. Nie zbierzemy kwiatostanów z całej leszczyny, bo wiemy, że są jej potrzebne. Z tego samego powodu nie zbierzemy zbyt dużo pączków z jednego drzewa. Nigdy nie zbieramy więcej niż 15-20 procent. Nie trzebimy – zostawiamy dla tej rośliny, dla zwierząt, innych osób. Ale na dzikich działkach jeśli nie zbierzesz winogron, wiele z nich po prostu zgnieje.

GOSIA: Ostatnio przechodziłam obok budowy metra na Bródnie, stoją tam kamienne donice. Zwykle zarastają rzezuszką, gwiazdnicą i innymi roślinami pionierskimi, super to jest. A tam – fiołek dwubarwny! W życiu nie widziałam takiego stanowiska. No powiedz, co się stanie, jeśli go



Korzenie żywokostu są zasobne w substancje, które bywają przydatne np. przy leczeniu złamań. Zbieramy je na przednówku i jesienią. Liście są natomiast jadalne – nie przesadzajmy jednak z ilością.

zbiore? Ano nic, zieleń miejska i tak to wypełni i na wiosnę będzie tam wko-pywać begonie.

Jakimi zasadami jeszcze się kierujecie?

KAJA: Nie zbieramy roślin, których nie znamy, chronionych albo z miejsc chronionych, z rezerwatów, nie zbieramy więcej, niż potrzebujemy, poszukujemy w świadomy sposób – co innego skosić roślinę, a co innego wyrwać ją z korzeniami. Nie zbieramy kwiatów wczesną wiosną, bo nie są nam niezbędne, a zapylaczom tak. To, co zbierzemy, staramy się wykorzystać do końca.

Jak na przykład?

KAJA: Jeśli mamy owoce, to skórki idą na ocet, nasiona na pillingi, szypułki, np. truskawek czy czereśni, na herbatę.

GOSIA: Woda po robieniu hydrolatu jest używana do mydeł lub barwienia tkanin. Z resztek roślin robimy *potpourri* albo mielimy je na pył i używamy do kadzideł lub kosmetyków.

KAJA: Zaparzone herbaty suszymy i robimy z nich kadzidła. Ze zdrewniałych części rośliny przyrządzamy wywary do kąpieli i płukanek. Używamy je do cna.

Przed nami luty i marzec. Co zbierać?

GOSIA: Korzenie i kłącza.

KAJA: Jak tylko ziemia się roztopi, można wykopać korzeń wiesiołka i łopianu, są pyszne, bogate w skrobię. Albo dziki topinambur.

GOSIA: Kłącza kuklika, bardzo aromatyczne, pachną goździkowo-korzennie, można robić z nich kawę. Można też cały czas zbierać grzyby zimowe, np. boczniki. Oczywiście wszystko zależy od pogody, zauważamy ocieplenie klimatu, co roku jest inaczej. Jeśli chodzi o rośliny, na pewno będą: gwiazdnica, przytulia, bluszczyk, wszelkie dzikie rzeżuchy, taszniki, pączki topolowe...

KAJA: ...pączki lipy, kwiatostany leszczyny. Dzikie szczy-pior i podagrycznik pojawiają się dość wcześnie. Na przełomie lutego i marca można chrupać listki ziarnopłonu – jemy je, zanim roślina zakwitnie, potem jego części nadziemne zanikają. To wszystko klasyczne miejskie rośliny.

© Rozmawiała MARIA HAWRANEK



KAJA NOWAKOWSKA jest biologką i botaniczką, pracuje jako laborantka w zakładzie patomorfologii.

GOSIA RUSZKOWSKA jest etnologą, przewodniczką po Warszawie, autorką książek dla dzieci. Jako Mead Ladies prowadzi warsztaty kulinarne, zielarskie, kosmetyczne, barwierskie i spacer etnobotaniczne.

STANISŁAW

Mancewicz:

O dobrej zmianie



MAMY DZIŚ GARŚĆ ZNAKOMITYCH SPOSTRZEżeń i jeden pomysł, który wydaje się absolutnie rewolucyjny w skali globu, jeśli idzie o rozwój społeczeństwa obywatelskiego. Na początek kilka uwag sumujących wydarzenia ostatnich dni.

Okazało się, że były wicepremier p. Gowin nie był szpiegowany za pomocą Pegasusa, o czym poinformował opinię publiczną, nie kryjąc przy tym zawodu i goryczy. Sprawdzenie jego telefonu musiało rzecz jasna zaangażować tzw. pieniądze. Zapewne była to czynność też czasochłonna i technicznie zapewne niełatwa. Otóż wydaje nam się, że p. Gowin mógł zaoszczędzić sobie rozczarowań, wydatków i fatygi, i po prostu zadzwonić w tej sprawie do nas. I zwyczajnie, po ludzku, zapytać, czy sądzimy, że był on przez swych przyjaciół podsłuchiwany. Nasza odpowiedź byłaby krótka, jak strzał w polskim plejstejszyn – nie! Oto nie było naprawdę żadnych powodów do podsłuchiwania p. Gowina. Można rzec mocniej, nie było pół powodu, by zakładać mu podsłuch, a kto by to zrobił, winien odpowiedzieć karnie za uszczuplanie potencjału służb specjalnych RP, a przede wszystkim za marnowanie czasu najbliższych współpracowników Gospodarza. I to by było niemal tyle w sprawie pokątnego operowania izraelskim wynalazkiem tu, w Polsce, pośród wierzby płaczących i pól malowanych żytem rozmaitem.

Obserwacja z lotu ptaka pokazuje, że napięcie wyzwolone Pegasusem opada, i że afera nic nie zmienia. System szpiegujący Pegasus, stosowany w Polsce, nie naruszył spoistości władzy. Żyliśmy nadzieją, że notowania obecnie rządzących spadną, że jednak – mniemaliśmy naiwnie – ludzie nie lubią takich numerków, a historia podobnych afer tu i ówdzie

wskazuje, że działania państwa na takim poziomie wulgarnej bandyterki nie przechodzą bez konsekwencji. Ale – popatrzmy – nic się specjalnie nie zmieniło. Dlaczego? To dobre pytanie. Otóż ludzie tu po prostu lubią, jak ktoś kogoś podsłuchuje. Polska jest bowiem nie tylko Krainą Wiecznego Uśmiechu, ale też – to wiadomo od lat – krajem nagrań. Zaznaczmy z naciskiem: nagrań znakomitych technicznie. Ludzie nagrania lubią, ale – popatrzmy – wolą ich słuchać, niż o nich czytać. Żeby czytać, trzeba być jakby humanistą, a to jest teraz podejrzane. No więc tu się raczej słucha, bo w zarejestrowanym głosie jest życie i są emocje, jest normalność ludzkiego obcowania, jest też figiel. Na razie więc sprawa Pegasusa na tym poziomie rozrywki jest kompletnie martwa. Nie ma filmików, nie ma fonii, nie ma fotek – wiadomo, nie ma zabawy, więc nie ma ocen. Polska publiczność ma swoje przyzwyczajenia i wymagania, i – jakby rzekł Jacek Kurski – są one elementem wspólnoty aksjologicznej.

Nie wiadomo więc, co będzie dalej. Czy pojawią się jakieś audio i video, jakieś za przeproszeniem multimedia, czy o całej sprawie będzie można tylko gdzieniegdzie poczytać bądź to wysłuchać kilku mdłych analiz lub arcysłusznych połajanek. Trzeba być przygotowanym na najgorsze, czyli na – podobne p. Gowinowi – rozczarowanie. Trzeba przyznać, że jest to perspektywa zniechęcająca, wręcz smutna. Ponieważ nie płacą nam za łzy, za zawodzenie, za kryptoreklamę chusteczek do nosa, mamy w zanadrzu pomysły krzepiący i zabawny. Być może zmieniający świat i byłaby to zaiste zmiana dobra.

Oto – popatrzmy – Pegasus jest produktem firmy prywatnej. Ogromnie elastycznej, jeśli idzie o kontakt z klientem, i ogólnie gibkiej. Dzięki obywatelskiej, publicznej zbiorce internetowej można by kupić ten mechanizm i zainstalować go w urządzeniach wpływowych ludzi u władzy. Od czasu do czasu można by urządzać w internecie pokazy urobku. Zdolni reżyserzy mogliby z niego tworzyć seriale lub proste klipy. Część każdy by sobie mógł obejrzeć za darmo, ale co lepsze kawałki musiałyby być płatne. Można by dzięki temu dokupywać opcje i ulepszenia. Ciekawscy zadadzą teraz pytanie niepoważne: komu najpierw, np. w Warszawie, byśmy to – jako ruch obywatelski – zamontowali. Oczywiście odpowiedź byłaby teraz przedwczesna i popsulałaby całą zabawę. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



Cennik i zasady zakupu „Tygodnika Powszechnego” z dostawą do domu

PRENUMERATA	EKONOMICZNA PRIORYTET	
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny**		
+ 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Prenumeratę (krajową i zagraniczną)
można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela
Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej
informacji oraz wsparcia technicznego udziela
Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00
pod nr. tel. **668 475 263** lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić
przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

TYGODNIK
POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALES_{MAN}manago
marketing automation



Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



Dużo stron!

Ochędowska,
Kuźmiński,
Bravo, Ukłaja

Do **KAŻDEGO** zamówienia
autorski, wyjątkowy
notes kulinarny
W PREZENCIE!

Przepisy,
rozmowy, eseje



12 sezonów

Autorskie ilustracje

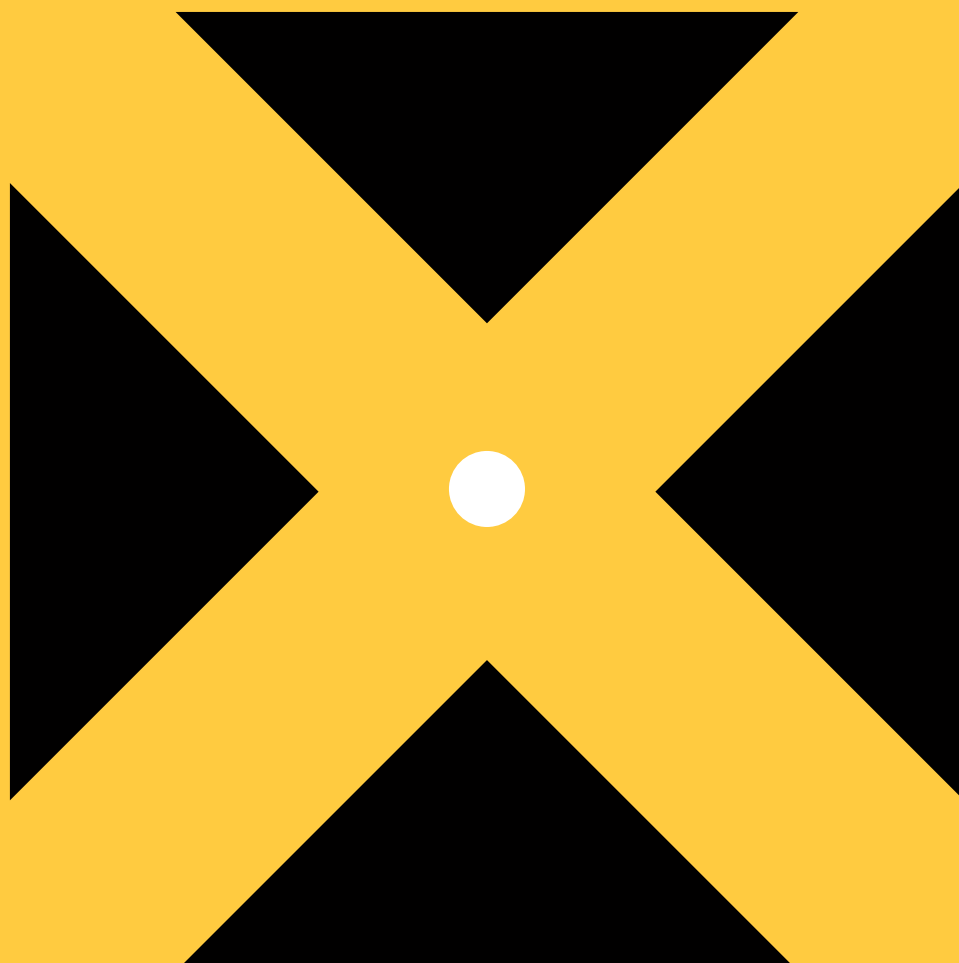
Notes kulinarny
„Smaki”
wyślemy do Ciebie
na nasz koszt!



Szanuję każdego, ale...

66% Polaków twierdzi, że hejtowanie
to sposób na wyrażanie opinii*

KAMPANIA SPOŁECZNA MIASTA GDAŃSKA



Gdańsk
Miastem
Równości

Tu nie ma miejsca na **ale!**

* www.gcrt.pl